



ANNA

# KANTOCH

SAMOTNIA

MARGINESY

ANNA  
**KANTOCH**

**SAMOTNIA**

MARGINESY



# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

NAGRANIE 1

NAGRANIE 2

NAGRANIE 3

NAGRANIE 4

NAGRANIE 5

NAGRANIE 6

NAGRANIE 7

NAGRANIE 8

NAGRANIE 9

NAGRANIE 10

NAGRANIE 11

NAGRANIE 12

NAGRANIE 13

NAGRANIE 14

NAGRANIE 15

NAGRANIE 16

NAGRANIE 17

NAGRANIE 18

NAGRANIE 19

NAGRANIE 20

NAGRANIE 21

NAGRANIE 22

NAGRANIE 23

NAGRANIE 24

NAGRANIE 25

NAGRANIE 26

NAGRANIE 27

NAGRANIE 28

NAGRANIE 29  
NAGRANIE 30  
NAGRANIE 31  
NAGRANIE 32  
NAGRANIE 33  
NAGRANIE 34  
NAGRANIE 35  
NAGRANIE 36  
NAGRANIE 37  
NAGRANIE 38  
NAGRANIE 39  
NAGRANIE 40  
NAGRANIE 41  
NAGRANIE 42  
NAGRANIE 43  
NAGRANIE 44  
NAGRANIE 45  
NAGRANIE 46  
NAGRANIE 47  
NAGRANIE 48  
NAGRANIE 49  
NAGRANIE 50  
NAGRANIE 51  
NAGRANIE 52  
NAGRANIE 53  
NAGRANIE 54  
NAGRANIE 55  
NAGRANIE 56  
NAGRANIE 57  
NAGRANIE 58  
NAGRANIE 59  
NAGRANIE 60  
NAGRANIE 61  
NAGRANIE 62  
NAGRANIE 63  
NAGRANIE 64  
NAGRANIE 65

NAGRANIE 66  
NAGRANIE 67  
NAGRANIE 68  
NAGRANIE 69  
NAGRANIE 70  
NAGRANIE 71  
NAGRANIE 72  
NAGRANIE 73  
NAGRANIE 74  
NAGRANIE 75  
NAGRANIE 76  
NAGRANIE 77  
NAGRANIE 78  
NAGRANIE 79  
NAGRANIE 80  
NAGRANIE 81  
NAGRANIE 82  
NAGRANIE 83  
NAGRANIE 84  
NAGRANIE 85  
NAGRANIE 86  
NAGRANIE 87  
NAGRANIE 88  
NAGRANIE 89  
NAGRANIE 90  
NAGRANIE 91  
NAGRANIE 92  
NAGRANIE 93  
NAGRANIE 94  
NAGRANIE 95  
NAGRANIE 96  
NAGRANIE 97  
NAGRANIE 98  
NAGRANIE 99  
NAGRANIE 100  
NAGRANIE 101

Wydawca, redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja KAROLINA MACIOS  
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, BEATA WÓJCIK  
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI  
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK  
Zdjęcie na okładce © Manuel Bonadeo / Unsplash

Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Anna Kańtoch  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Warszawa 2023  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67674-80-5

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A  
01-527 Warszawa  
tel. 48 22 663 02 75

[redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)





## NAGRANIE 1

Ostatnim widokiem, jaki w życiu zobaczyłem i zapamiętałem, były szarpane wiatrem gałęzie gruzłowanej wierzby, która rośnie w naszym ogrodzie, przytulona do muru pozostałego po dawnych zabudowaniach. Pod nią leżała łąca brudnego śniegu, resztki dziennego światła z mozołem przedzierały się przez ciemny wał deszczowych chmur. Chciałbym pamiętać coś innego: fioletowe od lawendy pola Prowansji, lazur włoskiego morza, twarz mojej żony – którejkolwiek z żon. Ale mam właśnie ten już nie zimowy, a jeszcze nie wiosenny krajobraz, ołowianą szarość marcowego dnia, ozłoconą odrobiną słońca w kwaśnym kolorze cytryny.

Wtedy, na samym początku miesiąca, doniesienia o covidzie wciąż były egzotyczną ciekawostką z dalekiego kraju i chyba nikt nie wierzył, że wirus dotrze w końcu i do nas. Przynajmniej nie wierzyłem w to ja. Pierwsze uderzenie pandemii przespałem w szpitalu, a gdy odzyskałem przytomność, nad moją głową krążyły strzępy rozmów podobne do zbłąkanych papierowych samolocików: zamknięte szkoły, lockdown, rosnąca liczba zachorowań, ludzie w panice wykupujący papier toaletowy.

Otumaniony lekami mózg zareagował, produkując obrazy rodem z *The Walking Dead*: oto budzę się po długiej chorobie w opustoszałym szpitalu, wychodzę na ulicę i stoję oko w oko z hordą żądnych krwi zombie. Gdy rzucałem się na łóżku, wyslizgując się z jednego koszmaru i wślizgując w drugi, ktoś trzymał moją rękę; kobieca dłoń łagodnie, lecz stanowczo zawracała mnie w stronę realności. Nie miałem pojęcia, do kogo należy, a jednocześnie czułem, że głupio byłoby zapytać. Matka? Dziewczyna, może żona? Moja pamięć przypominała wirujący w blenderze koktajl, wspomnienia wynurzały się na powierzchnię i zaraz znikwały, a ja nie potrafiłem poskładać z nich niczego sensownego. Będzie padać, mówi młodzietka blondynka, dotykając mojego ramienia; nie rozpoznaję jej twarzy, choć wiem, że powinienem. Wakacje nad morzem, dzień rozdania świadectw maturalnych, studencka impreza z mnóstwem piwa i zbyt głośną muzyką, ja na scenie, mówiący do zgromadzonej w półmroku publiczności. W pewnym momencie zdało mi się, że wreszcie wszystko sobie przypomniałem: pojechałem na ferie zimowe do Białki Tatrzańskiej i miałem wypadek na nartach, nic poważnego, po prostu przez parę tygodni będę musiał nosić gips. Ominie mnie klasówka z fizyki, pomyślałem i chciałem już przekazać tę radosną wieść siedzącej przy łóżku matce, kiedy uświadomiłem sobie, że gimnazjaliści rzadko bywają na studenckich imprezach i jeszcze rzadziej uprawiają na biurku seks z brunetkami wyglądającymi plus minus na trzydzieści lat – bo to też widziałem we wspomnieniach. Od czasu do czasu głos w ciemności zadawał mi natarczywe pytania: „Czy pan wie, jak pan się nazywa? Czy pan wie, co się stało? Co pana boli?”. A ja, w zależności od bardzo wielu czynników, milczałem, bełkotałem: „Spadaj” albo starałem się odpowiadać. Miałem przy tym wrażenie, że znalazłem się nagle w sytuacji człowieka, który pozbawiony prawej ręki, lewą rzuca strzałkami do tarczy. Czasem udawało mi się trafić, częściej nie. W końcu jednak zdołałem sformułować odpowiedzi, którymi mówiący do mnie bezcielesny głos zdawał się w miarę usatysfakcjonowany.

Nazywam się Leon Cichy, niedawno skończyłem trzydzieści cztery lata. Miałem wypadek. Bolało mnie wszystko, a przede wszystkim panikowałem, bo niczego nie widziałem. Uniosłem rękę do oczu i dotknąłem czegoś, co bez zdziwienia zidentyfikowałem jako opatrunek.

– Kiedy zdejmiecie mi bandażę? – zapytałem.

Bezcielesny męski głos odparł: „Wkrótce” tonem, który niezupełnie mi się spodobał, zaś tajemnicza kobieta ścisnęła moją rękę i powiedziała: „Wszystko będzie dobrze”, co spodobało mi się zdecydowanie bardziej. Mimo to musiałem spytać:

– Kim jesteś?

Zapadło milczenie i kiedy doszedłem już do wniosku, że popełniłem naprawdę poważne faux pas, kobieta odparła bez cienia urazy:

– Twoją żoną oczywiście.

– Jasne, Ala. Od Aliny, nie Alicji. – Tak bardzo chciałem się pochwalić, że wreszcie coś pamiętam, że nie jest ze mną wcale tak źle.

Usłużna pamięć podsunęła twarz ładnej brunetki – tej, którą posuwałem na biurku. Moja szkolna miłość, pierwsza poważna randka w wieku piętnastu lat, ślub zaraz po studiach, jedno mieszkanie, potem drugie, wreszcie zakup domu...

Zanim jednak poskładałem wszystko do końca, niezręczna cisza podpowiedziała mi, że tym razem naprawdę palnąłem głupstwo.

– Julia, twoja druga żona. Z Aliną rozwiodłeś się w zeszłym roku. – Nawet wtedy w jej głosie nie słychać było pretensji.

Gdy tylko wspomniała o rozwodzie, wszystko sobie przypomniałem. I wiedziałem już, kim jest Julia. Moja pamięć z każdą chwilą wydawała się działać sprawniej, niczym samochód, w którym wreszcie zaskoczył silnik, i to przynio-

sło mi odrobinę ulgi. Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Julia, pewnie. Przepraszam...

– Nic się nie stało. – Chłodne usta musnęły mój policzek. – Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Wtedy jej uwierzyłem. Dopiero następnego dnia lekarz, którego nazwiska nie potrafiłem zapamiętać – Wilczek? Wilczur? Wilczyński? – po serii badań poinformował mnie profesjonalnie współczującym głosem o skali urazów, jakich w trakcie wypadku doznało moje ciało. Miałem połamaną nogę i zwichnięty staw biodrowy, przede wszystkim jednak ucierpiała głowa. Poznałem wtedy takie terminy jak złamanie kości pokrywy czaszki z obrzękiem mózgu i nieodwracalne uszkodzenie nerwu czaszkowego II, w wyniku czego straciłem wzrok. W prawym oku całkowicie, lewe wciąż reaguje na światło. Oznacza to, że siedząc w pokoju, potrafię zlokalizować okno, jeśli akurat jest słoneczny dzień, a wieczorem znaleźć zapaloną lampę. I tyle. Ludzi widzę, tylko gdy staną na bardzo jasnym tle, a i wtedy jawią mi się jako złowrogie cienie pozbawione konkretnych konturów. O czymś takim jak rysy twarzy nawet nie ma co wspominać. Kierując się wielkością tych cieni, mógłbym pewnie odróżnić pięciolatka od dorosłego człowieka, ale na tym kończą się moje umiejętności. Tamtego dnia przestałem wierzyć w to, że „wszystko się ułoży”.

W to, że kobieta przedstawiająca się jako Julia naprawdę jest moją żoną, przestałem wierzyć półtora miesiąca później.

## NAGRANIE 2

Gdy nagrywam te słowa, jest czerwiec, a ja siedzę na tarasie mojego domu. W upalnym powietrzu pachnie krzew jaśminowca zasadzony jeszcze przez Alę. Nie wiem, czy Julia o niego dba, czy może wszystko teraz w ogrodzie rośnie zdziczałe, spragnione wody, może bliskie śmierci. Na twarzy czuję chłodny podmuch, a jednocześnie gdzieś daleko, na zachodzie, słychać pomruk nadciągającej burzy. Gdybym wciąż miał sprawne oczy, mógłbym zobaczyć falujący pod wpływem wiatru łan pszenicy rosnącej po drugiej stronie drogi. Jakby wielka ręka Boga głaskała łagodnie kłosa, przesuając się powoli i starannie wzdłuż pola.

Będzie padać, to właśnie powiedziała Julia tamtego dnia tuż po naszym powrocie z Włoch, a ja odwróciłem się i spojrzałem na ciemne niebo i gruzłowatą wierzbę. Moje ostatnie wspomnienie sprzed wypadku. Co stało się potem? Julia twierdzi, że nie zdarzyło się nic szczególnego, po prostu spędziliśmy miło wieczór i położyliśmy się spać. Obudziła się koło północy, zobaczyła, że łóżko po mojej stronie jest puste, zaniepokoiła się i poszła mnie szukać. Najpierw w domu, później w ogrodzie. W końcu, zdesperowana, wyszła na drogę i tam właśnie leżałem, skulony pod płótnem niczym potrącony pies. Auto musiało uderzyć we mnie z prędkością co najmniej siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, tak mówił policjant, który odwiedził mnie w szpitalu. Nie wiem, dlaczego wyszedłem z domu ani kto właściwie we mnie wjechał, poza tym że samochód miał niebieski kolor, bo na miejscu wypadku znaleziono odpryski lakieru. Sprawca uciekł, a w mojej pamięci zieleń czarna dziura. Co się działo w Samotni tamtego marcowego wieczoru? Co robiłem na drodze o tak późnej porze? I przede wszystkim gdzie się podziała prawdziwa Julia?

Lekarze twierdzą, że może kiedyś przypomnę sobie te brakujące kilka godzin. A może nie, trudno powiedzieć.

### NAGRANIE 3

Zaczęło padać, pokuśtykałem więc do domu. Do niedawna jeszcze chodziłem o kulach, teraz potrafię samodzielnie przejść ze dwadzieścia–trzydzieści metrów. Cóż za sukces. Umiem się także ubrać, skorzystać z ubikacji, wytrzeć sobie tyłek, podciągnąć spodnie i spuścić wodę. Radzę sobie nieźle z włączeniem radia – od czasu wypadku to moje jedyne źródło wiadomości, dzięki niemu wiem, że świata jeszcze nie opanowały hordy krwiożerczych zombie – a także z obsługiwaniem dyktafonu w komórce. Wiem, że są inne ważne umiejętności, których również mógłbym się nauczyć. Jak włączyć gaz tak, żeby nie poparzyć sobie palców, jak nalać wody mineralnej z butelki do szklanki, nie rozchlapując przy tym połowy na podłogę. Mógłbym też skorzystać z syntetyzatora mowy, który czytałby mi najnowsze doniesienia o pandemii i wszystkie te obrzydliwe szczęśliwe posty moich znajomych – dawnych znajomych – korzystających z uroków lata mimo wciąż obowiązujących covidowych obostrzeń. W szpitalu bezcielesny głos, przedstawiający się jako specjalista od czegoś tam, tłumaczył mi, że utrata wzroku to nie koniec, że osoba niewidoma może żyć pełnią życia. Nie wiem, co mu wtedy odpowiedziałem, prawdopodobnie nic grzecznego. Gdy wróciłem do domu, Julia wspomniała o instruktorsze czynności codziennych, którego pomoc mi przysługuje, ale kiedy przypomniałem jej o tym tydzień czy dwa później, oznajmiła, że z powodu pandemii nic nie da się teraz załatwić: ani w Polskim Związku Niewidomych, ani w ośrodku pomocy społecznej. Nie nalegałem. Jaki jest sens uczyć się, jak żyć „pełnią życia”, gdy wejście pod prysznic przypomina wyprawę na Kilimandżaro?

## NAGRANIE 4

Z przedpokoju dobiegło skrzypnięcie podłogi. Zamarłem, nadstawiając uszu, ale słyszałem już tylko krople deszczu bębniące o szybę. Julia wyjechała rano, podobno na zakupy, a kiedy jej nie ma, w pustym domu każdy, nawet najcichszy dźwięk sprawia, że moje serce podskakuje jak obłąkany królik. To dziwne, bo jednocześnie wcale nie chcę, żeby była w domu. Nie czuję się swobodnie z jej cierpliwą obecnością, z pomocnymi rękami, które jeszcze niedawno ubierały mnie i kładły do łóżka, jakbym miał pięć lat, z tym że nie wiem, kim ona jest ani dlaczego właściwie ze mną mieszka. Ale nie chcę też być sam. Od czasu wypadku wciąż się boję. Wyobrażam sobie, że kierowca niebieskiego auta zakradnie się w otaczającej mnie ciemności i dokończy to, co zaczął nocą na drodze. Nie takie rzeczy wymyślałem w książkach. Napisałem ich siedem, pierwsza sprzedała się całkiem nieźle jak na dzieło debiutanta, pozostałe były już bestsellerami. Dwie doczekały się nawet ekranizacji.

Nikt lepiej ode mnie nie wie, że czasem wyobraźnia to przekleństwo.

Drobny, miękki kształt otarł się o moje nogi, a ja drgnąłem nerwowo. Kot miauknął, gdy schyliłem się, aby go pogłaskać. Puszek albo Puszkin. Jeden biały w czarne łaty, drugi czarny w białe, jeśli wierzyć Julii, oczywiście. Przyplątały się jakieś dwa tygodnie temu i już zostały. Czasem zastanawiam się, skąd przyszły. Nasz dom znajduje się co prawda teoretycznie w granicach Samborowiczek, ale od centrum wsi dzieli nas dobre półtora kilometra. Wokół nie ma nic oprócz pól jęczmienia i pszenicy, niewielkiego zagajnika i majaczących na horyzoncie wzgórz. Dlatego nazwaliśmy go Samotnią, ja i Ala. Jednak zagadka niespodziewanego pojawienia się dwóch łaciatych kotów to mój najmniejszy problem.

Mam inne, znacznie ważniejsze.

## NAGRANIE 5

Zastanawiam się, jaki był początek całej tej historii. Gdzie popełniłem błąd, jaka decyzja pchnęła mnie na ścieżkę, z której nie mogę już zawrócić. Powinienem to wiedzieć, prawda? Jestem w końcu pisarzem. Ale nie wiem. Za każdym razem, gdy o tym myślę, z jakiegoś powodu wracam do chwili, gdy Ala powiedziała, że chce się rozwieść. Tak jakby tamten moment przerwał pasmo mojego szczęścia. Bo prawda wygląda tak, że zawsze byłem szczęściarzem. Jak na pisarza kryminalistów miałem aż nieprzyzwoicie pogodne dzieciństwo: żadnych traum czy ciężkich chorób, najpoważniejszym wypadkiem był ten na nartach w Białce Tatrzańskiej, kiedy złamałem nogę, która zresztą zrosła się szybko i bez problemów. Dzięki kombinacji dobrej pamięci, inteligencji i uroku osobistego łatwo przechodziłem z klasy do klasy, maturę zdałem bez stresu i zarywania nocy nad podręcznikami, równie łatwo dostałem się na studia dziennikarskie, których – w przeciwieństwie do wielu moich kolegów i koleżanek – nigdy nie musiałem łączyć z pracą. Moi rodzice nie są może milionerami, ale pieniędzy nam nie brakowało, jestem zresztą jedyńkiem, nie musiałem się więc z nikim dzielić. A kiedy pod koniec studiów napisałem powieść, znalazłem wydawcę w rekordowe trzy miesiące. Rok później zająłem się na poważnie pisaniem, wziąłem ślub z dziewczyną, z którą chodziłem od czasów gimnazjum, a ona zaczęła pracę we wrocławskim banku. Okres młodzieńczej namiętności mieliśmy już za sobą, ale zawsze dobrze się rozumieliśmy. Może to właśnie był ten błąd, który zapoczątkował wszystko, nie wiem. Może ślub powinno się brać tylko z wielkiej miłości. Ja się ożeniłem, ponieważ wszyscy tego oczekiwali, a zawsze byłem w pewnym stopniu oportunistą: nie walczyłem z życiem, nie miałem wielkich planów, po prostu chwytałem okazje i pozwalałem się nieść fali, wierząc, że zanieśie mnie ona tam, gdzie powinienem się znaleźć. Na swoje usprawiedliwienie mam to, że nawet jeśli nie kochałem Ali wielką miłością, to zawsze uważałem ją za przyjaciółkę i – co prawdopodobnie było z mojej strony mocno egoistyczne – wierzyłem, że ona kocha mnie bardziej niż ja ją. Dlatego tamta rozmowa była dla mnie takim szokiem. To ja myślałem o rozwodzie. Niezbyt poważnie, w gruncie rzeczy były to tylko fantazje trzydziestolatka, który co prawda jest szczęśliwy, ale jednocześnie na w pół świadomie uważa, że mógłby być szczęśliwy jeszcze bardziej, że może zasłużył na więcej. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek się na to zdobył. Ala miała odwagę, której mnie brakowało.

– To nie ma sensu – zaczęła tamtego wieczoru w naszym wrocławskim mieszkaniu, po wszystkich znaczących „Musimy poważnie porozmawiać” i „Mam ci do powiedzenia coś ważnego, usiądź i posłuchaj uważnie”, które powinny mnie ostrzec, ale z jakiegoś powodu zupełnie nie ostrzegły. Ucieszyłem się nawet, bo myślałem, że zaszła w ciążę. Staraliśmy się o dziecko od dwóch lat, lekarze zapewniali, że wszystko z nami w porządku i mamy po prostu czekać. Czekaliśmy więc, Ala niecierpliwie, ja z odrobiną ulgi, że to jeszcze nie teraz, lecz gdy zaprowadziła mnie do pokoju i z poważną miną posadziła w fotelu, naprawdę byłem gotów świętować wraz z nią. A ona powiedziała: „To nie ma sensu”.

To.

Nasz związek. Prawie dwadzieścia lat razem wyrzuconych przez okno w jednym zdaniu.

– O czym ty mówisz? – zapytałem. Lewa noga zaczęła mi drgać, moje ciało zawsze było szybsze od mózgu. Ono już wiedziało, że stało się coś nieodwracalnego. Ja wciąż jeszcze się łudziłem, że to jakaś pomyłka, może dziwaczny żart. Czułem się, jakby ktoś włożył mi dłoń w brzuch i wyszarpnął garść wnętrzości. Jeszcze nie bolało, na razie po prostu byłem oszołomiony.

– Mówię, że nasze małżeństwo nie ma sensu – powtórzyła cierpliwie. – Było nam ze sobą dobrze, ale to już przeszłość. Naprawdę możesz powiedzieć z ręką na sercu, że wciąż mnie kochasz?

Przegapiłem szansę, żeby potwierdzić: tak, oczywiście. Gdybym wtedy się odezwał, nie wypadłoby to naturalnie. Ala parsknęła śmiechem, który bardziej przypominał płacz.

– Widzisz? Nic już nas nie łączy...

– Bzdura. A dom, nasze marzenia o trójce dzieci? Wymyśliliśmy nawet dla nich imiona, nie pamiętasz? Moja rodzina... – bełkotałem, czując, jak od dziury w brzuchu rozpełza się lodowaty lęk. Ala mówiła serio.

– Twoja rodzina nie będzie zadowolona, wiem. – Zdobyła się na coś, co od biedy można uznać za uśmiech. Moi rodzice traktowali Alę jak córkę, znali ją w końcu, odkąd była dziewczynką zbierającą figurki z jajek niespodzianek. – Zwłaszcza mama, ona jest przecież bardzo wierząca. Ale musimy to zrobić. Ja zostanie tutaj, a ty zatrzymasz Samotnię. I tak włożyłeś w nią więcej niż ja.

– Porozmawiamy o tym jutro, w porządku? Kiedy się uspokoisz.

– Jestem spokojna.

– Nieprawda. Nie myślisz jasno. Jutro...

– Nie zmienię zdania.

– Chodź tutaj. – Objąłem ją. Kiedy byliśmy młodszy, większość naszych kłótni kończyła się w łóżku. Teraz też z jakiegoś powodu ubzdurałem sobie, że jeśli namówię ją na seks, wszystko wróci do normy.

– Nie. – Próbowała się wyrwać, ale trzymałem mocno.

– Będzie dobrze – mruzczałem w jej włosy, jednocześnie błędząc rękami po pośladkach. Przez krótką chwilę sądziłem, że wygrałem, będziemy się kochać, a potem nigdy już nie wspomnimy o rozwodzie, ale ona odepchnęła mnie mocno, aż uderzyłem tyłkiem o szafkę. Była prawie tak wysoka jak ja, wysportowana, prawdę powiedziawszy, chyba nawet silniejsza ode mnie.

– Powiedziałam „nie”.

– Masz kogoś. – Spłynęło na mnie olśnienie. Przez ostatnie dwa tygodnie Ala była dziwnie milcząca i wycofana. Nie zwracałem na to zbyt uwagi, sądziłem, że może ma kłopoty w pracy albo martwi ją problem z zajściem w ciążę. Teraz wszystko nabrało sensu.

Milczała odrobinę za długo, jak ja przed chwilą.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Poznałam... pewnego mężczyznę.

– Kim on jest?

– Jakże to ma znaczenie? Proszę, możemy przecież rozstać się jak przyjaciele.

Zabolało, bo to był mój tekst. To ja, w tych nielicznych chwilach, gdy fantazjowałem o rozwodzie, zamierzałem powiedzieć coś podobnego.

Rozmawialiśmy do późna, kręcąc się w kółko jak dziecięce bączki. Ja naciskałem, miałem pretensje, momentami chyba nawet krzyczałem. Ala potrzasała uparcie głową, coraz bardziej zmęczona, ale nieustępliwa. Na zmianę miałem ochotę ją przytulić, to znów uderzyć, chwycić za włosy i szarpać, zobaczyć zdumienie i ból na jej twarzy. Przeraziły mnie te myśli. Nigdy nie uważałem się za brutala.

– Chodźmy spać – zaproponowałem, bojąc się, że zrobię coś, czego będę żałował do końca życia. – A rano...

– Rano nic się nie zmieni. Mówiłam ci.

Znowu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Patrzyliśmy na siebie jak dwaj bokserzy, dyszący w przeciwnych narożnikach ringu.

– Poza tym i tak teraz nie zasnę – dodała. – Nie tutaj. – Prawie usłyszałem, jak mruczy: „Nie z tobą”. – Zrobimy tak: pojedę do mojej matki i zostanę u niej parę dni, a ty wyprowadzisz się do soboty.

– Dlaczego ja mam się wyprowadzić? – Wszystko buntowało się we mnie na myśl, że miałbym omawiać z nią warunki rozstania, bo to czyniło je realnym, sprowadzało rozwód z poziomu propozycji na poziom czegoś, co już właściwie zaczęło się dziać. Jeszcze przed chwilą chciałem przerwać naszą rozmowę, teraz zrobiłbym wszystko, by do niej wrócić, by znowu kręcić się w kółko, nie dochodząc do żadnych sensownych wniosków.

– Bo ja zostawiam ci Samotnię, pamiętasz?

Mimo szczerych chęci nie znalazłem na to odpowiedzi. Patrzyłem więc bezradnie, jak Ala pakuje walizkę i wychodzi. Padał deszcz, prawdziwa jesienna ulewa, choć był dopiero początek września i formalnie wciąż trwało lato. Pomyślałem, że weźmie samochód – ponieważ ja pracowałem w domu, mieliśmy tylko jeden – ale ona poszła w stronę przystanku, skąd odjeżdżały nocne autobusy. Przez moment miałem zamiar wybiec za nią i zaproponować, żeby zabrała naszego forda focusa. Przez moment szczerze wierzyłem, że jeśli to zrobię, Ala przekona się, jakiego fajnego faceta zamierza porzucić, wróci do domu i wszystko będzie jak zawsze.

Ale nie ruszyłem się z miejsca. Już wtedy w głębi duszy wiedziałem, że pewnych rzeczy nie da się naprawić.

## NAGRANIE 6

Julia zjawiła się, gdy deszcz przestał padać, a dzień powoli zmierzał ku końcowi. Potrafię to wyczuć: do mojego lewego oka dociera mniej światła, wieczorny chłód unosi delikatne włoski na przedramionach, a kwiaty i zioła w ogrodzie pachną inaczej, bardziej intensywnie, tak jak pachniały dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem. Zdążyłem do tego czasu porządnie zgłodnieć i nawet zastanawiałem się, co zrobić, jeśli Julia nigdy nie wróci. Półtora kilometra dzielące mnie od centrum wsi to żaden dystans dla zdrowego, sprawnego człowieka. Dla mnie równie dobrze mogłoby to być dziesięć kilometrów albo i czterdzieści. Gdybym chciał się wydostać z Samotni, musiałbym wyjść na drogę i machając rękami, zatrzymywać przejeżdżające auta. A na samą myśl, że miałbym stać na poboczu, słysząc ryk silnika zbliżającego się samochodu, robi mi się niedobrze – i nie jest to żadna pisarska metafora, tylko brzydka życiowa prawda, o jakiej rzadko pisze się w książkach.

Na szczęście Julia wróciła. Zawsze wraca, prędzej czy później. Podeszła do mnie i pocałowała zdawkowo w policzek, a ja poczułem woń dymnych perfum. Między innymi to ją zdradziło. Julia, którą poznałem w Bari i poślubiłem po dwóch miesiącach w konsulacie polskim w Mediolanie, pachniała kwiatami jaśminu.

– Zaraz zrobię obiad. Przepraszam, że zakupy zajęły mi tyle czasu.

Pół godziny później, gdy w całym domu rozchodził się smakowity zapach sosu grzybowego, pomogła mi usiąść za stołem. Jej silne dłonie zdają się znać moje ciało lepiej niż ja sam, wiedzą, jak prowadzić mnie w stronę celu, tak że bym nie potknął się o róg dywanu, i jak sadzać, żeby nie urazić wciąż pobolewającego biodra. Kolejny niezgadający się szczegół. Prawdziwa Julia miała miękkie, dziewczęce łapki, które przysiadły na moim ciele, a potem podrywały się nagle niczym spłoszone motyle. W dotyku kobiety, która mieszka ze mną, jest coś profesjonalnego, co przywodzi na myśl pielęgniarkę. „Kim jesteś?” – miałem ochotę zapytać, ale przecież już to zrobiłem, a ona zapewniła mnie, że jest Julią, moją drugą żoną. Udamę, że jej wierzę, bo jakie mam inne wyjście? Członkowie mojej rodziny nigdy nie widzieli prawdziwej Julii. Gdybym powiedział im o swoim odkryciu, uznaliby, że wciąż nie doszedłem do siebie po wypadku i dlatego wszystko mi się miesza.

Potrzebuję twardych dowodów, nie czegoś tak ulotnego jak zapach czy dotyk rąk, ale kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, moje myśli znów uciekają w przeszłość.



## NAGRANIE 7

Gdyby istniała nagroda za najbardziej kulturalny rozwód, ja i Ala bylibyśmy pewnymi kandydatami na zwycięzców. Rozstaliśmy się przy minimum zamieszania i w rekordowym tempie czterech miesięcy. Masz szczęście, powiedział mój kuzyn Piotrek, który rozwodził się przez dwa lata, a przez kolejne dwa chodził na terapię. Zorientował się zaraz, jak to zabrzmiało, widziałem po jego minie, nie uznał jednak za stosowne przeprosić.

Nie czułem się szczęściarzem. Powieść, którą dawno powinienem skończyć, czekała rozgrzebana na dysku, a ja spędzałem dni, wymieniając uprzejme esemesy z moją już wkrótce byłą żoną. „Możesz zabrać kolekcję płyt, zostaw mi tylko Pink Floyd”. „OK”. „Znalazłam pudło ze starymi rachunkami, potrzebujesz ich czy mam wywalić?” Oboje zgodnie unikaliśmy spotkań twarzą w twarz dłuższych niż chwila potrzebna, żeby przekazać w drzwiach paczkę. Wiedziałem, że jeśli zaczniemy rozmawiać, cały mój pozorny spokój trafi szlag. Nie wiem, czy cierpiełem z miłości, czy po prostu bolała mnie urażona duma. Bywały dni, gdy szczerze wierzyłem, że rozwód wyjdzie mi na dobre, odblokuje mój ukryty potencjał, pozwoli rozwinąć skrzydła i co tam jeszcze, znacznie więcej jednak było takich, gdy całymi godzinami gapiłem się w komórkę, walcząc z pragnieniem zadzwonienia do Ali choćby tylko po to, żeby usłyszeć jej głos. Założyłem konto na Tinderze, po czym niemal natychmiast je skasowałem. Zaczęłem pisać dwie nowe powieści – jedna miała być obyczajówką o rozwodniku, który w górach odnajduje sens życia, druga krwawym horrorem o mordujących się nawzajem pracownikach bankowych. Obie po kilku akapitach uznałem za absolutnie idiotyczne. Wstawałem rano i biegałem w głębokim przekonaniu, że to pierwszy dzień mojego nowego, lepszego życia. Wieczorem wywalałem do śmieci zdrowy, zbilansowany posiłek, smażyłem frytki z pomarszczonych ziemniaków, które znalazłem w szafce, i użalałem się nad sobą, pijąc wino, jakbym był postacią z kiepskiego serialu. I co najgorsze, zostałem z tym wszystkim sam. Rodziny celowo unikałem. Męczyło mnie ciągle dopytywanie, co się stało i czy nie dałoby się jakoś naprawić moich stosunków z Alą, jakby małżeństwo było parą butów, które można zanieść do szewca. Irytowały lamentsy ciotek, bo przecież tak bardzo do siebie pasowaliśmy – nienawidziłem współczucia podszytego słabo zawołowanym przekonaniem, że jeśli związek się rozpada, to obie strony zawsze są choć trochę winne. To Ala znalazła sobie kochanka, nie ja, wygarnąłem w pewnym momencie matce, ale ona potrząsnęła tylko głową, wciąż nieprzekonana. Straciłem też najbliższych kumpli, ponieważ z własnej winy. Tych, którzy jeszcze do niedawna byli znajomymi moimi oraz Ali. Wszyscy mieli angażującą pracę, większość też małe dzieci, a teraz nagle musieli dzielić nieliczne wolne chwile pomiędzy dwie osoby, które nie chciały już więcej się widywać. Powodowany masochistyczną dumą – a może po prostu potrzebą dobitcia się jeszcze bardziej – coraz częściej odmawiałem, gdy zapraszali na piwo albo weekendowy wypad w góry. W październiku jeszcze się odzywali, w grudniu mogłem już tylko przeglądać na Facebooku czy Instagramie zdjęcia byłych kumpli i byłej żony miło spędzających czas beze mnie. Co zaskakujące, na żadnym z tych zdjęć nie znalazłem tajemniczego faceta Ali. Rozstali się? On był żonaty i nie chciał się afiszować? Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Próbowałem podpytać tych znajomych, z którymi od czasu do czasu jeszcze utrzymywałem kontakt, jednak o niczym nie wiedzieli. Albo wiedzieli, ale mnie okłamywali. Przed świętami miałem już taką obsesję, że zdarzało mi się spędzać całe noce w samochodzie zaparkowanym przed mieszkaniem Ali – naszym dawnym mieszkaniem. Chciałem zobaczyć mojego rywala. Nie fantazjowałem o daniu mu w zęby, nic z tych rzeczy. Po prostu chciałem na niego spojrzeć. Nie wiem po co. Czy byłbym szczęśliwszy, gdybym się przekonał, że człowiek, który zastąpił mnie w łóżku Ali, jest cherlawym i łysiejącym okularnikiem? Albo odwrotnie, gdyby okazało się, że to jasnowłosy ideał w stylu Roberta Pattinsona? Nie mam pojęcia. Tak czy inaczej nikogo nie zobaczyłem – zawsze wracała do domu sama.

– Okłamała mnie – powiedziałem odkrywczco do Piotrka, jedyne go członka rodziny, z którym wciąż chętnie się spotykałem. Był kilka lat starszy, więc w dzieciństwie nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, ale kiedy dorośliśmy, okazało się, że mimo różnic dogadujemy się zaskakująco dobrze.

– I co z tego?

– Nic. Jeśli nie ma żadnego faceta, chciałbym wiedzieć, dlaczego w takim razie mnie rzuciła.

Piotrek dolał mi whisky, którą ku jego dezaprobachie rozcieńczyłem colą. Po rozwodzie nie ożenił się ponownie, nie znalazł sobie nawet dziewczyny. Mieszka w kawalerce, a większą część pensji wydaje na drogie alkohole i skomplikowane wojenne gry planszowe, które mnie, niedzielnego gracza w *Carcassonne* i *Osadników z Catanu*, zawsze trochę przerażały. Z tego, co wiem, takie życie w zupełności mu odpowiada. Jeszcze do niedawna patrzyłem na niego z odrobiną wyższości. Teraz coraz częściej przyłapywałem się na tym, że zaczynam mu zazdrościć.

– Może miała dosyć tego małżeństwa i potrzebowała pretekstu, żeby się wymiksować. Może się w kimś zakochała, ale związek nie wypalił. Albo znalazła sobie dziewczynę i teraz obie się zastanawiają, kiedy wyjść z szafy. Naprawdę ma to znaczenie?

– Dla mnie ma.

– Czemu? Jeśli się okaże, że facet ją rzucił, będziesz chciał, żeby do ciebie wróciła?

Wiedziałem, że mnie podpuszcza, ale zastanowiłem się nad tym całkiem serio.

– Nie. Teraz to już nie miałoby sensu.

– W takim razie jaka to różnica, czy będziesz wiedział czy nie? Pomyśl lepiej, co ze świętami.

Skrzywiłem się, bo dobrze trafił. Moi krewni ze strony matki są dużą, zżytą ze sobą rodziną i święta zawsze spędzają razem. Z Alą czasem podśmiewaliśmy się z tej tradycji, ale w gruncie rzeczy nawet ją lubiliśmy. A przynajmniej ja lubiłem, co do Ali niczego już nie jestem pewien. W tym roku kolację wigilijną mieliśmy jeść jak zwykle u ciotki Tereski i wujka Władka – tylko ich dom jest wystarczająco duży, by pomieścić liczną rodzinę Ochockich. Jeszcze na początku września wyobrażałem sobie, że podczas tej kolacji ogłosimy radosną wiadomość. Ala jest w ciąży, powiedziałbym gdzieś między pierogami a kutią. Wybuch radosnego entuzjazmu, pytania, kiedy termin, czy znamy już płęć i czy wybraliśmy imię. Zarumieniona Ala popijająca kompot śliwkowy zamiast wina, radosne piski dzieciaków wyciągających prezenty spod choinki, wspólne śpiewanie kolęd coraz bardziej fałszującymi głosami i wreszcie, gdy będziemy już objedzeni po uszy i nieco bardziej niż trochę pijani, spacer na pasterkę, żeby przewietrzyć głowy. Nie jestem nawet wierzący, ale były w tej wizji ciepło i poczucie bezpieczeństwa, które mnie pociągały. Magia świąt z dzieciństwa. Teraz tamte marzenia wydawały mi się naiwne, jakby snuł je niedojrzały chłopak, a na samą myśl, że miałbym siedzieć u ciotki Tereski, wdychając mulisty zapach smażonego karpia i patrząc na krzesło, które zawsze zajmowała Ala, czułem mdłości.

– Wyjeżdż. – Piotrek najwyraźniej odgadł, o czym myślę. – Ciotka i wujek pewnie się obrażą, ale za jakiś czas im przejdzie.

– Dokąd mam wyjechać? W góry? Nad morze? Mam przesiedzieć wigilię w hotelu, gapiąc się przez okno na łyse drzewa?

Pokręcił głową.

– Za granicę. Na przykład do Włoch. Kiedyś wspomniłeś, że chciałbyś tam pojechać. Teraz masz okazję.

Jeszcze głupszy pomysł, pomyślałem. Już otwierałem usta, żeby powiedzieć to Piotrkowi, ale on mnie uprzedził.

– Przynajmniej nie będziesz musiał użerać się z tłumem spoconych turystów. Poza tym to będzie jakaś odmiana po urlopiach spędzanych z Alą. Zasługujesz, żeby wreszcie wyjechać tam, gdzie ty chcesz, a nie tam, gdzie chce ona.

Zamknąłem usta. Ala jest fanką sportów zimowych, więc na wczasy jeździliśmy wczesną wiosną, gdy w Alpach wciąż leży śnieg, ale ceny są odrobinę niższe niż w styczniu czy lutym. Latem, jeśli gdzieś się wybieraliśmy, to tylko na północ. Sztokholm, Helsinki, ewentualnie Londyn. Moja była żona nie znosi upałów. Mnie jest wszystko jedno, w każdym miejscu potrafię znaleźć coś ciekawego i dobrze się bawić. Tak mówiłem każdemu, kto zapytał, czemu to Ala zawsze organizuje nasze wspólne wakacje. Jeszcze do niedawna szczerze w to wierzyłem, uważałem nawet, że ta łatwość aklimatyzacji jest cechą prawdziwego pisarza.

Teraz, zupełnie nagle, pomysł pojechania tam, gdzie Ala nigdy nie chciała jechać, wydał mi się nieodparcie pociągający.

## NAGRANIE 8

Gdybym był postacią z romantycznej starej powieści, mógłbym powiedzieć, że uzdrowił mnie widok moknącego w zacinającej ulewie Koloseum albo smutek pustego placu Świętego Marka. Że zimowe piękno zastygłych w kamieniu stuleci uświadomiło mi błahość moich własnych problemów. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej prozaiczna. Na placu Świętego Marka – który swoją drogą wcale nie był pusty – wyzywałem się w myślach od idiotów, gdy deszcz lał mi się za kołnierz, a po powrocie do hotelu mało brakowało, żebym kupił bilet powrotny do Wrocławia. Takich chwil załamania, wymieszanych z momentami równie niezdrowej euforii, miałem jeszcze kilka, stopniowo jednak zacząłem łapać jako taką równowagę. Nie wiem, czy piękno Włoch miało z tym coś wspólnego, może to była zwyczajnie kwestia odległości albo czasu, tak czy inaczej w dzień Wigilii udało mi się wreszcie skończyć książkę, na którą mój wydawca czekał od sierpnia. Dotąd pisałem lekkie kryminały z nutą czarnego humoru i makabry, nieprzekraczające jednak granicy pomiędzy realizmem a groteską. Ostatnie dwadzieścia stron nowej powieści zdecydowanie tę granicę przekroczyło: w końcu w końcu główny bohater, złośliwy, wybuchowy i wiecznie niedomyty komisarz Wolczak, czołga się w kałuży własnej krwi z odciętymi stopami. W rękę trzyma nóż, którym zamierza zabić niewierną żonę. To nie jest dobre zakończenie, sam doskonale o tym wiem, ale jego napisanie sprawiło mi perwersyjną przyjemność. Wydawca nie narzekał, zdawał sobie zresztą sprawę, że innego nie dostanie. Kiedy już wcisnąłem przycisk „wyślij”, zamówiłem do pokoju butelkę wina. Wigilię spędziłem na balkonie w hotelu, patrząc na połyskujące w dole światła Florencji i ignorując esemesy od rodziny życzącej mi, żeby ten rok był lepszy niż poprzedni, i pytającej, jak sobie radzę.

Nowy rok powitałem w towarzystwie grupy Szkotów mówiących z tak silnym akcentem, że ledwo ich rozumiałem, a rano wsiadłem w pociąg i pojechałem dalej. Zwiedziłem Rzym i kilka włoskich miasteczek, o których nie wspominają żadne przewodniki. Kupowałem panforte i pieczone kasztany na świątecznych jarmarkach, zachodziłem do maleńkich knajpek, gdzie Włosi dyskutowali nad filiżankami espresso, a ja musiałem dogadywać się z kelnerami na migi. Była w tym magia rzeczywistości oglądanej od podszewki; czar krainy po drugiej stronie lustra, pachnącej kawą i oprószonej śniegiem znikającym szybciej niż sen.

A potem, gdy już miałem wracać, poznałem Julię. Nie muszę nawet zamykać oczu, żeby przywołać tamtą chwilę: kawiarenka niedaleko nadbrzeża w Bari, syczenie ekspresu i podmuchy wilgotnego chłodu uderzające w rozgrzane twarze, gdy ktoś otwierał drzwi. Czytałem *Psy wojny*, rozpadający się angielskojęzyczny egzemplarz, który znalazłem w hotelowej biblioteczce. Dziewczyna przy stoliku obok też coś czytała, z początku jednak nie zwróciłem na nią uwagi. Zagadywałem czasem miejscowych albo spotykanych w pociągach turystów, starałem się jednak unikać zaczepiania samotnych kobiet, zwłaszcza młodych. Nie miałem ochoty na flirty, ale ona wyglądała na tak bardzo pogrążoną w lekturze, że wreszcie przyciągnęła mój wzrok. Nasze spojrzenia się spotkały i wtedy dostrzegłem tytuł książki, którą trzymała w rękach.

To była moja książka.

## NAGRANIE 9

Przerwałem nagrywanie, ponieważ wróciła wcześniej. Ona, kobieta, którą nazywam Julią, choć z całą pewnością nie jest tamtą dziewczyną, która we włoskiej kawiarni spojrzała na zdjęcie na skrzydełku okładki, a potem znów na mnie i uniosła dłoń do ust w wyrazie komicznego zdumienia, wyglądającego niemal jak przerażenie.

Potknęła się w salonie i zaklęła soczystym „kurwa mać”. To też ją zdradzało. Prawdziwa Julia mówiła najwyżej „kurde” albo „o kurczaku” niczym mała dziewczynka. Pamiętam, że wydawało mi się to urocze. Zresztą w Julii – mojej Julii – wszystko było urocze, nawet nadwaga. Należała do kobiet, którym do twarzy jest z dodatkowymi kilogramami.

Teraz nie jestem pewien, czy tamta pulchna, jasnowłosa i odrobinę naiwna dziewczyna w ogóle kiedykolwiek istniała. Bo jeśli tak, to gdzie się podziała? Czemu na jej miejscu pojawiła się ta druga, inna?

Usłyszałem kroki na schodach, wyłączyłem nagrywanie i schowałem telefon do kieszeni szortów. Zawsze staram się mieć go przy sobie. To odruch, jeszcze z dawnych czasów, ale też ostrożność.

– Co robisz? – Julia Druga stanęła w progu. – Rozmawiasz z kimś?

– Nie. Nagrywam.

– O! – W jej głosie zabrzmiało wyraźne zainteresowanie. – Nową powieść?

– Tak.

– Mogę posłuchać?

– Nie.

Milczenie. W ciszy słyszałem niespokojny oddech. Mógłbym powiedzieć, że oddałbym oczy, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy, ale w moim przypadku byłyby to wyjątkowo kiepski dowcip.

– Ali pozwalaleś czytać swoje teksty przed wydaniem. To niesprawiedliwe. – Pretensja w jej głosie brzmiała aż do przesady dziecinnie, jakby Julia Druga tylko się ze mną droczyła. Wiedziałem jednak, że mówi poważnie.

– To coś innego. Nie mogę poprawiać na bieżąco takiej książki. Poza tym... jeszcze nie wiem, czy coś z tego będzie. Coś wartego wydania. Na razie to tylko... luźne zapiski.

Usiadła obok mnie na łóżku, tak blisko, jakbyśmy naprawdę byli małżeństwem. Zesztywniałem, z trudem opanowując odruch, żeby się odsunąć.

– Może jednak dasz się przekonać, Leosiu? – wymruczała, przeciągając dłonią po mojej głowie pod włos, jakby chciała zburzyć mi fryzurę. „Leosiem” bywałem też dla Julii Pierwszej, ale ona nigdy nie dotykała mnie w taki sposób.

Zapach siedzącej obok kobiety, jej nagie, rozgrzane słońcem udo, stykające się z moim udem – wszystko to na mnie działało, nawet jeśli wcale tego nie chciałem. Kiedy ostatni raz uprawiałem seks? Chyba jeszcze we Włoszech, przed powrotem do Polski. Powinniśmy się kochać tamtego wieczoru, tuż po przyjeździe do Samotni, tuż przed moim wypadkiem. To byłoby naturalne, prawda? Młode małżeństwo, pierwsza noc we wspólnym domu. A jednak nie poszliśmy wtedy do łóżka, jestem tego pewien, choć moje wspomnienia z tamtego wieczoru pełne są dziur. Dlaczego?

Ponieważ mieliśmy gościa.

Wspomnienie powróciło w nagłym rozbłysku, jakby ktoś strzelił fleszem. Dzwonek, zarumieniona Julia Pierwsza biegnie do drzwi. „Już jest!”, woła.

Kto taki?

Tymczasem dłoń Julii Drugiej zsunęła się z włosów na udo i zaczęła delikatnie je ugniatać. Wyczuwałem w tej pieszczocie niepewność, kobieta wydawała się lekko spięta. Może nawet bardziej niż lekko. Uświadomiłem sobie, że ta bliskość musi być dla niej równie niekomfortowa jak dla mnie. Nie spaliśmy nawet w jednym łóżku. Gdy wróciłem ze szpitala, oznajmiła, że przeniesie się do salonu na kanapę, żebym mógł wypocząć. Wtedy przyjąłem tę decyzję z ulgą. Nie potrafiłem znieść myśli, że moja piękna, świeżo poślubiona żona miałaby dotykać tego obolałego, le-dwo poskładanego do kupy ciała, które we mnie samym budziło coś pomiędzy nienawiścią a przerażeniem. Albo, o zgrozo, że mogłaby chcieć się ze mną kochać. Od tej pory nasze wzajemne stosunki wyglądały tak, jakbyśmy byli pacjentem i pielęgniarzką, a nie małżeństwem. Julia pomagała mi wykonywać zalecone przez lekarza ćwiczenia, myła mnie i ubierała, a gdy stanąłem na nogi, oprowadzała po domu, ostrzegając: „Uwaga, próg” albo „Nie wpadnij na krzesło”. Czulem wtedy jej ramię przyciśnięte do moich pleców, ramię znacznie mniej pulchne niż to, które pamiętałem, ale nic więcej. Gdy raz spróbowałem ją przytulić, odsunęła się pod byle pretekstem, a kiedy chciałem dotknąć jej twarzy, ze śmiechem odtrącała moją dłoń albo odwracała się tak, że muskałem tylko włosy. Teraz wreszcie mia-

łem szansę. Jej niepewność dodała mi odwagi. Wyciągnąłem rękę w stronę, gdzie powinno być ramię. Trafiłem na pierś, kobieta cofnęła się, a ja chwyciłem materiał jej tiszerta. Mało romantyczne, ale powiedzmy, że nie romantyzm był moim celem. Przyciągnąłem ją do siebie i objąłem, a ona na to pozwoliła, choć nadal wydawała się spięta. Spięta i jednocześnie zdeterminowana, żeby tym razem się nie odsunąć. Przespałaby się ze mną tylko po to, żeby zdobyć dostęp do nagrania mojej nowej książki? Idiotyczna myśl. Nie jestem Stephenem Kingiem ani J.K. Rowling, tłumy fanów nie czekają z zapartym tchem na każde zdanie, które spłynie z mojej klawiatury. Wcześniejsze podniecenie zamieniło się w złość, trwaliśmy teraz w dziwnym niezgrabnym uścisku, przypominającym zwanie dwóch zapasników. Przesunąłem dłońią po jej spoconych pośladkach, plecach, ramionach.

– Puść. – Odepchnęła mnie, zanim dotarłem do twarzy. Nawet w jej uszach musiało to zabrzmieć zbyt ostro, bo zmieniła ton. – Jeszcze nawet nie rozpakowałam zakupów, a mleko w tym upale zaraz samo wyjdzie. Pogadamy, jak trochę się ogarnę, co ty na to?

Cmoknęła mnie w policzek. Zdawkowy pocałunek, jaki mogłoby wymienić dwoje ledwo znających się ludzi. Usłyszałem trzaśnięcie drzwiami, potem odgłos kroków na schodach. Liczyłem do dziesięciu, starając się robić to powoli i spokojnie. Gdy skończyłem, do moich uszu dobiegł dźwięk otwieranych drzwi lodówki. Wiedziałem, że Julia Druga nigdy nie wróci.

Zsunąłem się z łóżka i przyciśnięty do niego plecami, objąłem kolana, chowając głowę. Tym razem atak paniki nie był tak poważny jak wtedy, gdy po raz pierwszy dopuściłem do siebie myśl, spychaną do tej pory w głąb umysłu: mieszkam z obcą kobietą. Tamten na szczęście przydarzył się, gdy mojej żony-nieżony nie było w domu, miałem więc kilka godzin, by dojść do siebie. Teraz musiałem ogarnąć się szybciej. Jeśli Julia Druga wejdzie na górę i zobaczy mnie w takim stanie, będzie wiedziała, że ja wiem, a wtedy runie panująca między nami krucho równowaga. Tego się bałem. Przypominałem ofiarę przemocy domowej; nawet jeśli tkwiłem w koszmarnej sytuacji, był to przynajmniej koszmar znany i w pewien sposób oswojony. Każda zmiana mogłaby być zmianą na gorsze.

Starłem się oddychać powoli i spokojnie przez nos, tak jak przeczytałem kiedyś w jakimś poradniku. Dygotałem, serce waliło mi, jakbym za chwilę miał dostać zawału. Spodziewałeś się tego, więc o co ci właściwie chodzi? – tłumaczyłem sam sobie.

Wiedziałem o co. Po pierwszym ataku paniki wciąż została we mnie iskra nadziei, że to wszystko jest jedną wielką pomyłką. Że istnieje banalne wyjaśnienie, dlaczego druga Julia pachnie inaczej niż pierwsza, czemu ma łudząco podobny, a jednak nie ten sam głos, czemu używa innych słów i nie łapie naszych wspólnych żartów. Wszystko to były w gruncie rzeczy ulotne drobiazgi. Przed chwilą jednak dotknąłem dowodu jak najbardziej namacalnego. W ciągu trzech miesięcy, jakie minęły od mojego wypadku, można stracić sporo na wadze, owszem, jednak ciało, które trzymałem w ramionach, nie należy do kobiety zeszczupłej pod wpływem stresu i troski o ukochanego męża. To silne, zwarte ciało osoby uprawiającej sport – i to nie lekkie przebieżki po pobliskim lesie, tylko coś poważniejszego. Nawet Alina, biegająca trzy razy w tygodniu na siłownię, nie ma takich mięśni. Albo więc pulchna Julia od marca katowała się wielogodzinnymi ćwiczeniami, ukrywając je przede mną, albo od początku miałem rację. Wróciłem z Włoch z jedną żoną, a kiedy obudziłem się w szpitalu, przy moim łóżku siedziała już druga. A ja, co jest w tym wszystkim najbardziej niepokojące, nie pamiętam prawie nic z wieczora, kiedy ta zamiana musiała nastąpić – z wyjątkiem tego, że mieliśmy wtedy gościa.

## NAGRANIE 10

Muszę się z kimś skontaktować. Wciąż do tego wracam. Każdego dnia w myślach robię przegląd członków rodziny, których mógłbym poprosić o pomoc. Którzy nie odesłaliby mnie na terapię, uznając, że pod wpływem ciężkich przeżyć pomieszało mi się w głowie. Rodzice z pewnością odpadają. Moja matka należy do osób wierzących, że życie powinno przebiegać według pewnego planu. Dzieciństwo, dorastanie z wszystkimi jego problemami, praca, ślub i założenie rodziny. Jest naprawdę znakomita, jeśli chodzi o pokonywanie banalnych trudności – gdy byłem maluchem zapadającym na typowe dziecięce infekcje, godzinami siedziała przy moim łóżku, czytając mi *Wodnikowe wzgórze*, *Muminki* i *Kubusia Puchatka*. Potrafi też wyklócać się w urzędach i z pięciu składników wysychających od tygodnia w lodówce wyczarować obiad dla niespodziewanego gościa, jednak gdy tylko coś wychodzi poza zwyczajną codzienność, zaczyna się gubić. Już mój rozwód, a potem wypadek mocno nadwyrężyły jej tolerancję na niespodziewane wydarzenia. Gdy odwiedziła mnie w szpitalu, w jej głosie, obok niewątpliwej grozy wywołanej moim stanem, usłyszałem też coś, co odczytałem jako zakłopotanie. Biedaczka zupełnie nie wiedziała, jak się odnaleźć w nowej sytuacji.

Ojca trudniej rozgryźć. Jest lekkoduchem radzącym sobie w życiu dzięki sporej dozie bezczelności i urokowi osobistemu, który zresztą po nim odziedziczyłem. Gdybym powiedział mu o swoich podejrzeniach, a on akurat potrzebowałby rozrywki, zrobiłby z tego przygodę, śledztwo jak z książek. Ojciec i niewidomy syn na tropie oszustki podszuwającej się pod uczciwą żonę! Równie dobrze mógłby też poklepać mnie po plecach, rzucić uspokajający w jego mniemaniu żart i uciec do jednej ze swoich licznych kochanek. Bo mój ojciec miał – i prawdopodobnie wciąż ma – kochanki, domyśliłem się tego w pierwszej klasie liceum, a matka woli niczego nie widzieć i nie słyszeć. Gdy raz spróbowałem z nią o tym porozmawiać, mruknęła: „Tata ma swoje sprawy” i zmieniła temat.

Kto jeszcze? Kuzynka Aneta zajmująca się trójką małych dzieci, w tym jednym autystycznym? Ciotka Tereska i wujek Władek, ona zapalona ogrodniczka, on równie zapalony hipochondryk, antyklerykał i lewicowiec uwielbający na rodzinnych spotkaniach wyklócać się o politykę? Kuba, jedyny prawnik w rodzinie? Sylwia i Adrian, których związek pełen rozstań i powrotów przypomina brazylijską telenowelę? Dziewiętnastoletni Staszek, dumny ze swojej orientacji gej i jednocześnie świetny sportowiec, nadzieja polskiej kadry pływackiej? Dobiegająca siedemdziesiątki ciotka Lilka, którą z jakiegoś powodu lubię, choć ona za mną nie przepada, odkąd dwadzieścia lat temu omal nie przyprowadził jej kota o zawał? Nikt z nich nie wydaje się odpowiedni. Są zbyt starzy albo za młodzi, zajęci własnymi problemami.

Zostaje Piotrek. Nie licząc tamtego wieczoru, gdy doradził mi wyjazd do Włoch, nie zwierzałem się sobie ani nie rozmawiałem o niczym poważniejszym niż to, czy Lakersi mają szansę dostać się do play-offów i kiedy *Gwiazdne wojny* zaczęły się psuć. Czasem dawałem mu się namówić na planszówki, choć jak na mój gust zdecydowanie zbyt często wygrywał. Nie było w naszej znajomości nic, co pozwalałoby sądzić, że to właśnie on będzie potrafił mi pomóc. Z mojego punktu widzenia jednak Piotrek ma jedną ważną zaletę. A właściwie dwie. Sporo wolnego czasu, który zawdzięcza elastycznym godzinom pracy na stanowisku administratora sieci komputerowych, i żadnej żony, której musiałby się tłumaczyć, dlaczego zamiast rodziną zajmuje się wydumanymi problemami niewidomego kuzyna.

Kiedy nagrywam te słowa, jest jedenasta wieczorem, może nawet później. Julia Druga śpi, a przynajmniej mam taką nadzieję. Piotrek nie kładzie się przed pierwszą, mógłbym więc do niego zadzwonić. Nie mam już drogiego, eleganckiego smartfona, tylko staroświecki aparat z dużymi przyciskami, jaki kupuje się dla seniorów. Dostałem go od Julii, kiedy wróciłem ze szpitala. „Ma funkcję dyktafonu, żebyś mógł nagrywać nową powieść”, powiedziała. Tym samym moja żona-nieżona umożliwiła mi choćby szczątkowy kontakt ze światem zewnętrznym. Potrafię odebrać przychodzące połączenie, ale z dzwonieniem mam już problem. Julia obiecała, że rozejrzy się za modelem z interfejsem głosowym, jak dotąd jednak nic z tego nie wyszło. Cóż, człowiek w mojej sytuacji nie może wybrzydząć.

Nie znam na pamięć żadnego numeru z mojej książki telefonicznej, muszę więc wejść na listę kontaktów i liczyć, że dzięki łutowi szczęścia dodzwonię się jeśli nie do Piotrka, to przynajmniej do kogoś, kto przekaże mu wiadomość.

Oczywiście mogę zadzwonić przypadkiem do dentysty, lekarza czy ZUS-u, ale żadna z tych placówek nie działa o takiej porze. Istnieje też szansa, że obudzę telefonem śpiącą w salonie na parterze żonę (czy Julia Druga używa numeru Julii Pierwszej? Oto jest pytanie...) – ta możliwość stresuje mnie najbardziej, w ostateczności jednak wykręcę się kłamstwem, że palec mi się omsknął, gdy chciałem włączyć nagrywanie.

Tak czy inaczej zamierzam spróbować. Wiem, że jest późno, osoba wyrwana ze snu moim telefonem prawdopodobnie nie będzie zachwycona, ale nie chcę czekać. Zmarnowałem już zbyt dużo czasu.

## NAGRANIE 11

Udało mi się wykonać trzy połączenia, nie mam pojęcia do kogo. Żadne z nich nie zostało odebrane. Powinienem spodziewać się tego o tej porze, a i tak poczułem się jak porzucony w lesie pięciolatek. Chciało mi się płakać. Po wypadku miewałem chwile załamania – prawdę mówiąc, miewałem mnóstwo takich chwil – ale one objawiały się złością, nie rozpaczą. Lubię uważać się za nowoczesnego faceta, który umie przyznać, że kobieta jest w czymś od niego lepsza, i potrafi rozmawiać o uczuciach. A jednak gdzieś głęboko tkwi we mnie staroświeckie przekonanie, że mężczyznom nie wypada się mazać. Dlatego siedziałem w sypialni, walcząc z napływającymi do oczu łzami, żaloszny, zbliżający się do średniego wieku facet, który zupełnie serio myślał, że zawsze będzie zdrowy i sprawny, że jemu nigdy nie przydarzy się nic złego.

Wtedy telefon zadzwonił.

Z wrażenia upuściłem go na łóżko i dobrą chwilę szukałem, macając po pościeli, a potem minęło jeszcze kilka sekund, nim upewniłem się, że trzymam aparat właściwą stroną do góry, i znalazłem przycisk. W normalnych warunkach odbieranie połączenia nie stanowi większego problemu – moja matka dzwoni prawie codziennie, mam więc praktykę – ale teraz, gdy komórka ślizgała się w spoconych, drżących dłoniach, byłem przekonany, że coś sknocę. Wcisnę „odrzuć” zamiast „odbierz” albo osoba po drugiej stronie zniechęci się i rozłączy. Jednak telefon wciąż wygrał motyw przewodni z serialowej Gry o tron, a gdy wreszcie uniosłem go do ucha, zamiast ciszy usłyszałem szmer oddechu.

– Halo? – powiedziałem.

Dzwoniący milczał i zdążyłem już sobie wyobrazić, że właśnie teraz, kiedy najbardziej potrzebowałem pomocy, stałem się ofiarą głupiego żartu – byłaby to naprawdę ironia losu – gdy usłyszałem niepewne pytanie.

– Leon? Twój numer wyświetlił mi się w nieodebranych. Wszystko u ciebie w porządku?

Ala. Myślałem o tylu możliwościach, ale nie wziąłem pod uwagę tej jednej: że przypadkiem mogę zadzwonić do byłej żony. Zapomniałem nawet, że wciąż mam jej numer na liście kontaktów. Sądząc po głosie, wydawała się... wytrącona z równowagi, jakbym przyłapał ją w chwili słabości. Gdy jesienią zeszłego roku zdarzało nam się spotykać, zawsze była przygotowana, niczym zakuty w zbroję rycerz wychodzący na pole bitwy. To dlatego nigdy nie mogłem się do niej przebić z moimi pytaniami i wątpliwościami. Przeczcucie podpowiadało, że teraz miałbym szansę.

Ale teraz już mi nie zależało.

– Możesz poprosić Piotrka, żeby się ze mną skontaktował?

– Piotrka Wachowskiego?

– Nie, mojego kuzyna. Masz jego numer, prawda?

– Mam, ale...

– W takim razie poproś, żeby do mnie zadzwonił. Najlepiej jutro, koło dziesiątej. – O tej porze Julii zazwyczaj nie ma w domu.

– Jest wpół do pierwszej w nocy, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Wpół do pierwszej? – Pożałowałem zaraz zdziwienia w głosie. To było przyznanie się do słabości. Popularny pisarz Leon Cichy nie wie nawet, która jest godzina.

– Tak. Spałam już, kiedy zadzwoniłeś.

Nie było nic więcej do powiedzenia, a jednak żadne z nas nie chciało rozłączyć się jako pierwsze.

– Leon... – zaczęła Ala po chwili. – Naprawdę mi przykro, że tak to się skończyło. Gdybyśmy mogli porozmawiać...

– Nieważne. Pamiętaj, żeby zadzwonić jutro do Piotrka.

Wreszcie zdobyłem się na to, żeby wcisnąć czerwoną słuchawkę. Poczucie triumfu trwało krótko, a kiedy minęło, zostawiło po sobie gorzyc smakującą jak zwietrzałe fusy po kawie.

## NAGRANIE 12

Urażona Ala mogła zlekceważyć moją prośbę albo wbrew temu, co mówiła, dawno już zdążyła wykasować numer Piotrka. Potrafiłbym wymyślić mnóstwo innych czarnych scenariuszy, zanim jednak na dobre się rozkręciłem, dzisiaj rano telefon znowu zadzwonił.

– Podobno chciałeś ze mną pogadać – odezwał się Piotrek.

– Tak. Możesz do mnie przyjechać? Pracujesz dzisiaj?

– Jest niedziela. – W głosie kuzyna brzmiało rozbawienie. – I tak, mam dyżur, ale to znaczy, że muszę być pod telefonem, a nie że siedzę w pracy. Mogę przyjechać.

– Dzięki. – Zrobiło mi się gorąco i nie miało to wiele wspólnego z tym, że przez otwarte na taras drzwi do domu wpadało nagrzane słońcem czerwcowe powietrze. Jak mogłem do tego stopnia stracić poczucie czasu, że nawet nie zdawałem sobie sprawy, jaki jest dzień tygodnia?

– Przywieść coś dobrego do picia? Mam niezłą starą whisky.

– Przecież będziesz prowadzić.

– Ja tak, ale ty nie.

– Wolalbym piwo. – Mam słabą głowę i nawet kilka kieliszków czegoś mocniejszego może sprawić, że urwie mi się film. Nawiasem mówiąc, mój kuzyn doskonale o tym wie.

Zaśmiał się.

– W porządku, wezmę piwo.

Dopiero gdy się rozłączył, zacząłem się denerwować. Piotrek jest pierwszą poza Julią Drugą i moimi rodzicami osobą, która ma mnie zobaczyć po wyjściu ze szpitala, a ja nie przypominam już dawnego siebie. Nieobcinane od tygodni włosy spadają mi na twarz, pod palcami na policzkach czuję szorstkość zarostu. Prawą nogę wciąż mam wyraźnie słabszą – gdy jej dotykam, wyczuwam pod palcami pozbawioną mięśni łydkę, zakończoną nieproporcjonalnie dużym, gruzłowatym kolaniem. Piotrek nie zobaczy w drzwiach eleganckiego, odnoszącego sukcesy trzydziestokilkulatka, jakim byłem jesienią zeszłego roku. Zobaczy człapiące ostrożnie, zarośnięte i ślepe monstrum. Przerazi się albo, co gorsza, zacznie się nade mną litować. Wdrapałem się więc po schodach na piętro i zamiast szortów włożyłem dżinsy – będzie mi w nich gorąco, ale przynajmniej moja ułomność mniej rzuci się w oczy. Potem zmieniłem tiszert na czysty, na wypadek gdyby na starym zostały resztki śniadania, i opłukałem twarz. Obmacując tyłek, sprawdziłem, czy majtki nie wystają mi ze spodni. Włosy przeczesalem palcami, bo nie umiałem znaleźć grzebienia. Nic więcej nie mogę zrobić; muszę liczyć, że przy odrobinie szczęścia wyglądam jak zaniedbany metalowy muzyk, a nie kulawy Igor z filmu grozy.

Pozostaje mi czekanie.



## NAGRANIE 13

Gdy Piotrek się pojawił, oczekiwałem zwyczajnego początku rozmowy. Pytania, jak sobie radzę, komentarza na temat mojego wyglądu, może przeprosin za to, że nie kontaktował się ze mną wcześniej. Takie rzeczy jednak najwyraźniej nie są w stylu mojego kuzyna.

– Jezu, już prawie zapominałem, jak ona ponuro wygląda – oznajmił. Staliśmy na tarasie, mógł więc mieć na myśli cokolwiek, co znajdowało się w ogrodzie.

– Jaka ona?

– Ta ruina. Moglibyście ją wreszcie rozebrać. Zawsze uważałem, że to trochę creepy kupować ziemię z czymś takim.

To prawda, na terenie Samotni znajdują się resztki starego, jeszcze przedwojennego domu, ale to tylko jedna ceglana ściana, latem prawie niewidoczna spod bujnie rosnących krzewów. Gdy zaczęliśmy z Alą budować nowy dom, faktycznie chcieliśmy ją rozebrać, zawsze jednak było coś pilniejszego do zrobienia. Zresztą oboje się zgodziliśmy, że wystający z morza zieleni czerwony mur wygląda całkiem malowniczo.

– Przesadzasz – mruknąłem, odrobinę urażony. Spodziewałem się przykrych uwag pod własnym adresem, a nie pod adresem mojego domu.

– Mniejsza z tym. Trzymaj, ciągle zimne. – Wcisnął mi w rękę butelkę.

Udało mi się znaleźć leżak i w miarę zgrabnie w nim usiąść. Piwo było już otwarte. Było także zwyczajnym lagerem, podczas gdy ja wolę stouty – uznałem jednak, że nie będę wybrzydzać.

– Twojej żony nie ma w domu? – zagadnął Piotrek.

– To nie jest moja żona. – Przygotowując się do tej rozmowy, po kilkanaście razy obracałem w głowie, co powinienem powiedzieć, żeby zabrzmiało to w miarę możliwości rozsądnie. A teraz nagle słowa wymknęły się, zanim zdążyłem się nad nimi zastanowić. Mimo wszystko nie żałowałem, przynajmniej początek miałem już za sobą.

– Julia cię rzuciła, a teraz mieszkasz z jakąś nową dziewczyną? – zapytał ostrożnie.

– Nie. Osoba, z którą mieszkam, podaje się za Julię, moją żonę, a ja jestem pewien... prawie pewien, że nią nie jest. Barwę głosu ma podobną, owszem, ale nie dokładnie taką samą. I mówi... inaczej. To kwestia doboru słów, akcentów, ogólnie stylu wypowiedzi. Są jeszcze inne rzeczy. Jest szczuplejsza i silniejsza niż kobieta, z którą wziąłem ślub, czasem nie wie czegoś, co powinna wiedzieć, na przykład co zamówiła w kawiarni tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy.

W milczeniu, które zapadło, słyszałem cykanie świerszczy i brzęczenie owadów: os, może pszczoł krążących nad kwiatami jaśminu. Wiedziałem, że to jaśmin, bo czułem jego zapach, rozpościerający się w letnim powietrzu jak atłasowa biała chusta. Zapach Julii, tej prawdziwej. Wdychałem go, wtulając twarz w jej szyć, wtedy w pokoju hotelowym, gdy kochaliśmy się po raz pierwszy, i później, gdy opowiedziała mi całe swoje życie, tak po prostu, bez żadnego skrupowania, jakby wręczała prezent.

– Jestem sierotą – oznajmiła, pociągając nosem. – Mój ojciec zniknął, kiedy byłam malutka, nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Dostałam po nim tylko dwie dobre rzeczy: pierwsza to ładne nazwisko, a druga ładne imię, jego ulubione, podobno po babce. Mamie udało się zapać na śmierć, jak miałam dziesięć lat, więc wzięli mnie do rodziny zastępczej, najpierw jednej, potem drugiej i trzeciej. W żadnej mi się nie podobało. Ciągle się czepiali, że za dużo jem, za mało się uczę albo ubieram nie tak, jak trzeba. Jak tylko skończyłam osiemnastkę, poszłam na swoje i nawet się obejrzałam. Pracowałam w knajpach jako kelnerka, a potem za barem. Lubiłam to nawet, tyle że z ostatniej roboty mnie wylali. Nie z mojej winy. – Kolejne pociągnięcie nosem. – Szef ciągle mnie zaczepiał, dotykał niby przypadkiem, jak mijaliśmy się na zapleczu, i takie tam. I zachowywał się, jakby robił wielką łaskę, bo jestem gruba, a wiadomo, grubych nikt nie chce. Uważasz, że jestem gruba?

– Uważam, że jesteś piękna – odparłem szczerze, głaszcząc dużym palcem u stopy jej nagą łydkę. – A twój szef to kawał gnoja.

– No, też tak myślę. W każdym razie w końcu miałam dość i dałam mu w twarz. Niezbyt mocno, pewnie nawet nie poczuł. Ale się obraził. Powiedział, że mnie zwalnia i że mam się cieszyć, bo mógłby oskarżyć mnie o napaść. Mógłby?

– Pewnie tak, ale ty z kolei mogłabyś oskarżyć go o molestowanie.

– Wtedy jakoś o tym nie pomyślałam. Mam koleżankę i ona mnie namówiła, żebym zrobiła sobie wakacje, zanim zacznę szukać nowej pracy. Karnawał we Włoszech, to brzmiało naprawdę fajnie. Miałyśmy lecieć razem, ale na dzień przed Idę złapał jakiś wirus. Grypa żołądkowa albo coś w tym rodzaju. Miałam już wszystko odwołać, bo sama

trochę się bałam, ale potem pomyślałam: przecież bilety i hotel są zapłacone, szkoda rezygnować. I nigdy wcześniej nie byłam za granicą, tylko raz, w Wilnie, na trzy dni ze szkolną wycieczką.

– Bardzo się cieszę, że twoja koleżanka dostała grypy żołądkowej. Gdyby nie to, nie siedziałabyś sama nad książką w kawiarni i nigdy byśmy się nie poznali. Powinniśmy wypić za rzygającą Idę.

Julia zachichotała. Wypiliśmy, a potem przyciągnąłem ją do siebie. Pachniała jaśminem i smakowała tanim czerwonym winem, które kupiliśmy w sklepie na rogu.

Czy historia, którą mi opowiedziała, była prawdziwa? Śmierć matki alkoholiczki, rodziny zastępcze, pchający się z łapami szef – wszystko to mogło się faktycznie zdarzyć. Równie dobrze jednak mogła to być opowieść, jaką nieszczególnie kreatywna dziewczyna wymyśliłaby, żeby wzbudzić współczucie. Czy dałem się nabrać na „jestem biedną sierotką”, najstarszy numer świata?

Piotrek milczał, gdy wszystkie te myśli przemykały mi przez głowę. Piwo w mojej ręce zdążyło się ogrzać, więc ostrożnie odstawiłem butelkę na taras. Zawsze pochlebiałem sobie, że umiem czytać ludzi. Z drobnego skrzywienia warg potrafiłem poznać, czy ktoś jest znudzony, zirytowany czy rozbawiony, i w razie czego odpowiednio pokierować rozmową, a teraz nie miałem nic poza pulsującą gorącym ciemnością, rozciągającą się przed moimi oczami. W tej ciemności Piotrek mógł się ze mnie śmiać, gapić z otwartymi ustami albo nawet wybierać numer kogoś z rodziny, najlepiej wujka Jacka, który uchodzi za autorytet w sprawach medycznych, bo piętnaście lat temu prawie udało mu się zostać dentystą. Halo, z biednym Leonem jest naprawdę źle, nie poznaje już własnej żony. Co robimy?

Nie jestem bohaterem powieści gotyckiej i doskonale wiem, że jeśli człowiek nie stanowi zagrożenia dla siebie albo innych, to nie można zamknąć go wbrew woli. Zresztą szpitale psychiatryczne i tak są przepełnione, ludzie w poważnym stanie tygodniami czekają, aż zwolni się miejsce. Niemniej myśl, że cała rodzina będzie deliberować nad stanem mojego umysłu, namawiać na wizytę u specjalisty albo polecać ziołowe herbatki księdza jakiegoś tam, bo „kuzynce Heli pomogło, jak po śmierci męża trochę się pogubiła”, zdecydowanie nie była przyjemna.

– Piotrek? – rzuciłem w kierunku, skąd przed chwilą dobiegło skrzypnięcie leżaka.

Odchrząknął.

– To nie jest dowcip, co?

– Nie jest.

– Kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, że to może nie być ta sama kobieta?

Odetchnąłem, bo w jego głosie brzmiało coś, co przy odrobinie dobrej woli mogłem zinterpretować jako ostrożne zaufanie. Jeszcze mi nie wierzył, przynajmniej jednak był gotów dopuścić do siebie myśl, że nie konfabuluje i nie zwariowałem.

– Od początku chyba czułem, że coś jest nie tak, ale zaraz po wypadku w ogóle byłem mocno oszołomiony, moja pamięć nie funkcjonowała tak jak trzeba i momentami... powiedzmy, że nie bardzo sobie ufałem. Potem nie chciałem się nad tym zastanawiać, bo to brzmiało jak kompletne szaleństwo. Ale coraz częściej zdarzały się sytuacje, kiedy myślałem: moja Julia nigdy by tego nie zrobiła czy nie powiedziała. Wzięła do domu dwa koty, chociaż zawsze wolała psy. Gotowała na obiad szpinak, którego nie cierpiała od czasów przedszkola. W rozmowie raz się poskarżyła, że nowa książka Jo Nesbo jest słaba, zdecydowanie gorsza niż seria o Harrym Hole'u. Moja Julia nie lubi sensacji, jej ulubioną autorką jest Marta Krajewska.

– Ta, która pisze o wiedźmach, magii i seksie w słowiańskich chatkach?

– Chyba tak. Moją powieść kupiła na lotnisku tylko dlatego, że spodobała jej się okładka. Poza jakimiś losowymi książkami Agathy Christie, przeczytanymi w dzieciństwie, to był pierwszy kryminał, po jaki sięgnęła. Nawiasem mówiąc, nie przypadł jej do gustu, za co mnie przeprosiła. – Uśmiechnąłem się do własnego wspomnienia. „Jest, no wiesz, zbyt brutalny. I ten główny bohater... Straszny dziwak i w sumie niesympatyczny facet. Nie gniewasz się?”

Jeden z kotów wskoczył mi na kolana, zacząłem więc odruchowo go głaskać. Pewnie Puszek, bo Puszkini, jak przystało na zwierzaka, który otrzymał imię po romantycznym poecie, zachowywał wyniosły dystans.

– W końcu dotarło do mnie, że nie ma racjonalnego wyjaśnienia na wszystkie te drobiazgi, tylko to jedno, przed którym cały czas się broniłem: że mieszkam z obcą kobietą.

Ja na podłodze w łazience, wciśnięty w kąt między prysznicem a toaletą, wyjący w zwinięty ręcznik. Gdybym w tamtym momencie potrafił utrzymać w trzęsących się rękach telefon, zadzwoniłbym po pogotowie, przekonany, że przeżywam właśnie zawał serca. A potem zacząłbym tłumaczyć lekarzowi, że kobieta udająca moją żonę chce mnie zamordować – już w marcu próbowała przejechać mnie samochodem. Wtedy szczerze w to wierzyłem. Dopiero dobrą godzinę później, kiedy wreszcie udało mi się uspokoić, doszedłem do niewątpliwie słusznego wniosku, że gdyby Julia chciała mnie zabić, dawno by to zrobiła.

Nie jest to wspomnienie, do którego chętnie wracam.

– I czego właściwie ode mnie oczekujesz? – zapytał Piotrek. – Mam poprosić ją o dokumenty, jak wróci?

– Nie. Gdyby... jeśli to jednak jest prawdziwa Julia, wyjdę na histeryka, a jeśli to obca kobieta, nie chcę, żeby wiedziała, że się domyśliłem. Jeszcze nie. Ale mógłbyś... Słuchaj, ty ją w ogóle kiedykolwiek widziałeś?

– Tak, w marcu, jak tylko się dowiedziałem, że odzyskałeś przytomność. Przyjechałem, żeby cię odwiedzić, ale wtedy do pacjentów wpuszczali już tylko najbliższych krewnych. Stałem na korytarzu, a ona do mnie wysłała, przedstawiła się i chwilę pogadaliśmy. Wydawała się... normalna. Zwyczajna, rozsądna babka, chociaż widać było, że wygląda na przybitą.

– Przypominała kobietę ze zdjęcia, które wam wysłałem?

– Bo ja wiem? Czekaj chwilę.

Domyśliłem się, że Piotrek przeszukuje wiadomości w telefonie. Nie było ich wiele, przynajmniej nie ode mnie. Podczas włoskich wakacji opublikowałem w social mediach mnóstwo fotek zabytków, świątecznych kramów, potraw i ciekawych miejsc. Pisałem, jak smakowała kawa przy śniadaniu, gdzie obecnie jestem i dokąd się wybieram. Tylko o Julii nigdy nie wspominałem. Staram się oddzielać życie prywatne od zawodowego. Rodzinie mógłbym napisać, że kogoś poznałem, owszem, ale długo odwlekałem ten moment. Nawet przez gęstą mgłę szczeniackiego zauroczenia przebijają rozsądna myśl, jak ten romans będzie wyglądał w oczach moich krewnych. Trzydziestokilkuletni rozwodnik traci głowę dla młodzieutkiej kelnerki i barmanki. Dlatego postawiłem ich przed faktem dokonanym, informując tuż po ceremonii, że właśnie wziąłem ślub. To wtedy rozesłałem rodzinie jedyne wspólne zdjęcie moje i Julii. Stoimy na nim objęci przed katedrą w Mediolanie. Ja się szczerzę jak kompletny idiota, ona, z czapką ściągniętą na czoło i rysami zamazanymi przez padający deszcz, wydaje się uroczyście poważna, niczym dziewczynka na szkolnej akademii.

– Nie wiem – odezwał się Piotrek. – Jest podobna do kobiety, z którą gadałem w szpitalu, ale nie mam pojęcia, czy to ta sama osoba, a na zdjęciu od ciebie nawet za bardzo nie widać jej twarzy. Poza tym, nie obraź się, ale ta twoja Julia nie jest jakoś szczególnie charakterystyczna. Po prostu ładna blondynka.

„Po prostu ładna blondynka...” Ubodło mnie trochę to podsumowanie mojego gustu, ale Piotrek miał rację: Julia była zwyczajną miłą dziewczyną o zwyczajnej miłej buzi. Na podstawie niezbyt wyraźnego zdjęcia wiele młodych kobiet o podobnym typie urody można by z nią pomylić. Tak naprawdę tylko tusza dodawała jej oryginalności.

– A jej figura? – zapytałem. – Wtedy, w szpitalu, była szczupła czy pulchna?

– Jezu, Leon, myślisz, że zauważyłem? Gdyby wysłała do mnie w kostiumie kąpielowym, to pewnie bym zwrócił uwagę, ale był marzec, na dworze zimno jak w psiej budzie. Miała na sobie coś zielonego, jakąś bluzę czy sweter. Może nawet kurtkę. W każdym razie nic obcisłego. Słuchaj – zmienił nagle temat – ten twój ślub na pewno jest ważny? Da się coś takiego załatwić za granicą?

– Da się i tak, jest ważny. – Zdjąłem z kolan Puszka, który już od jakiegoś czasu wbijał delikatnie pazurki w moje udo. Kot miauknęła urażony. – Wystarczy ściągnąć z polskiego urzędu odpis aktu urodzenia i złożyć go we włoskim konsulacie razem z ksero dowodu albo paszportu i zapewnieniem o braku okoliczności wyłączających zawarcie małżeństwa. Ja musiałem jeszcze dorzucić odpis aktu wcześniejszego małżeństwa z adnotacją o jego ustaniu. Potem płacisz pięćset euro i gotowe.

– Nie chciałeś brać ślubu w Polsce z powodu rodziny?

Pozostawiłem pytanie bez odpowiedzi. Sądząc po dobiegającym od strony Piotra zadowolonym mruczeniu, Puszek znalazł nową ofiarę.

– To co ja właściwie mam dla ciebie zrobić? – odezwał się po chwili mój kuzyn. – Nie jestem prywatnym detektywem, nie potrafię ustalić, czy kobieta, z którą mieszkasz, to ta sama, z którą wziąłeś ślub.

– Możesz mi pomóc w kilku kwestiach.

## NAGRANIE 14

– Jesteś pewien?

Nie, pomyślałem. W gabinecie, w którym kiedyś pracowałem (pisałem, podpowiedział głos przyczajony pod moją czaszką, dawniej umiałeś pisać, nie tylko nagrywać), było przyjemnie chłodno, klimatyzacja pracowała pełną parą. Wzdrygnąłem się, kiedy po plecach spłynęła mi strużka zimnego potu.

Nie, ale jakie miałem wyjście? Alternatywą było dogadywanie się z bankiem przez telefon, a wtedy – przy weryfikacji mojej tożsamości – tak czy inaczej musiałbym prosić o pomoc Piotra.

– Tak. W szufladzie znajdziesz wszystkie papiery. Hasło do konta zapisane jest na umowie.

Bez trudu mogłem zgadnąć, co myśli. To prawda, jeszcze do niedawna – przed wypadkiem, przed Julią Drugą – nie grzeszyłem nadmierną ostrożnością. Mój poprzedni telefon nawet nie miał blokady. Aktualny zresztą też nie, bo nie potrafiłem jej założyć.

– Skoro tego chcesz.

Odgłos stukania w klawiaturę brzmiał tak znajomo, że ścisnęło mi się serce. Piotrek jest przysadzisty, z kwadratową szczęką i grubymi brwiami wygląda bardziej na robotnika niż na administratora sieci komputerowych, dlatego zawsze bawiło mnie, jak szybko potrafi pisać na komputerze.

– Masz na koncie pięćdziesiąt trzy tysiące siedemset dwadzieścia trzy złote – poinformował mnie po chwili. – Tyle powinno być?

Nie, chciałem już odpowiedzieć, kiedy uświadomiłem sobie, że owszem, miałem więcej – zeszłej jesieni. Od tego czasu zdążyłem się rozwieść i odbyć długą podróż, w czasie której płaciłem nie tylko za siebie, ale od stycznia również za Julię, a rozliczenie za nową książkę, tę, która wyszła, gdy leżałem w szpitalu, miałem dostać dopiero pod koniec sierpnia.

– Mniej więcej – mruknąłem. – Możesz sprawdzić wydatki z ostatnich paru miesięcy? Tak od marca.

– Jasne, moment. Sklep spożywczy, siedemdziesiąt trzy złote. Apteka Grosik, trzydzieści dwa złote i pięćdziesiąt groszy. Stacja benzynowa, stowa. Rachunek za prąd, za internet i wywóz śmieci. Media Markt, dziewięćdziesiąt dziewięć złotych.

– To pewnie mój telefon.

– ...znowu sklep spożywczy. Pizzeria Piekiełko w Przewornie, całe sześć złotych. Szaleństwo. Co ona zamówiła, wodę mineralną? Dla szklanki muszynianki naprawdę warto oskubać faceta.

– Przestań się wygłupiać.

– Przepraszam. Dalej mamy sklep ogrodniczy, tu już jest poważna suma, prawie dwie stowy. Kolejny rachunek... Nie widzę niczego podejrzanego. Ta kobieta przez ostatnie trzy miesiące nie kupiła sobie nawet butów z twoich pieniędzy. Jesteś pewny, że we Włoszech Julia po prostu trochę nie udawała? Spotkała przystojnego faceta, chciała zrobić na nim wrażenie, wiesz, jak to jest. Moja eks dopiero dwa lata po ślubie przyznała, że whisky smakuje jej politurą do mebli. Wcześniej kłamała, żeby sprawić mi przyjemność. W dodatku teraz to już nie jest romantyczna wycieczka, tylko chujowa proza życia. Dlatego Julia może ci się wydawać kimś innym. Brałeś to pod uwagę?

– Brałem. To mogłoby wyjaśniać niektóre rzeczy, ale nie wszystko.

– W takim razie czego ona może od ciebie chcieć? I gdzie jest prawdziwa Julia?

Przygryzłem wargi. Gdyby moje konto zostało wyczyszczone do zera, byłoby to przynajmniej jakieś wyjaśnienie, a tak nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Albo się myliłem i Julia była po prostu Julią, albo... co właściwie? Padłem ofiarą szalonej fanki jak bohater Misery? Przyszło mi to do głowy, owszem. Kobieta, z którą mieszkałem, chciała przeczytać – czy może raczej przesłuchać – moją nową książkę, czasem też zadawała mi typowe pytania, jakie na spotkaniach autorskich zadają czytelnicy: skąd biorę pomysły, czy inspiruję się sprawami z pierwszych stron gazet, w jaki sposób pracuję. Nic oryginalnego. Nie wyczuwałem w niej jednak entuzjazmu typowego dla fanów. Nie znała na pamięć moich książek, towarzystwo popularnego pisarza Leona Cichego też w gruncie rzeczy niezbyt ją interesowało. Pod pretekstem robienia zakupów potrafiła zniknąć na cały dzień, a kiedy wracała do domu, większość czasu spędzała zamknięta w salonie. Rozmawialiśmy głównie przy posiłkach, i to na banalne tematy. Wolisz na obiad mielone czy schabowe? Podać ci wody? Jak się dziś czujesz? Powinieneś wykonywać te ćwiczenia, które zalecił lekarz, one naprawdę pomagają.

Myśl o ćwiczeniach wywołała we mnie przelotne poczucie winy – faktycznie nie miałem do nich cierpliwości. Po tem wróciłem do Piotra i jego pytania.

– Nie mam pojęcia. Ale jest ktoś, kto może coś wiedzieć. Tamtego wieczoru, przed moim wypadkiem, mieliśmy gościa. To nie byłeś ty?

– Zdecydowanie nie ja. Nie wpadłbym do nowożeńców w pierwszy dzień po ich powrocie do domu, mam jeszcze odrobinę taktu. Serio nie pamiętasz, kto to był? Nawet mniej więcej? Mężczyzna, kobieta?

Zarumieniona Julia biegnąca do drzwi. „Już jest!” Czy wymieniła czyjeś imię?

– Nie. Lekarz powiedział, że mogę nigdy nie odzyskać wszystkich wspomnień z tamtego wieczoru, ale jest szansa, że nasz gość zapowiedział się z wizytą. – Wygrzebałem z kieszeni spodni telefon. – W środku jest stara karta. Sprawdź połączenia telefoniczne z początku marca i esemesy. Na laptopie możesz sprawdzić Messengera. Niczego innego nie używam. Nie używałem – poprawiłem się.

Piotrek wyjął komórkę z mojej ręki, nie komentując w żaden sposób jej staroświeckości, za co byłem mu absurdalnie wdzięczny.

– Mnóstwo osób pisało do ciebie z gratulacjami po ślubie, ale to było wcześniej, jeszcze pod koniec lutego. Twoja mama pytała, kiedy wracacie, wiadomość z pierwszego marca. Drugiego umawiałeś się ze mną na piwo. Czekał, zerknął na Messengera. Trzeciego...

Dzień wypadku, pomyślałem.

– Trzeciego widzę tylko wiadomość od Anety. Píše, że musicie koniecznie spotkać się po twoim powrocie.

Musimy koniecznie się spotkać brzmiało jak konwencjonalna uprzejmość, nie jak zapowiedź konkretnej wizyty. Ale niczego innego nie miałem.

– Wybierzesz dla mnie numer Anety? Proszę.

Moja kuzynka odebrała po trzecim sygnale.

– Leon? Dobrze cię słyszeć. Przepraszam, że się nie odzywałam. Sam rozumiesz, życie i jeszcze ta cholerna pandemia. Chłopcy mają teraz lekcje w domu. Łukaszowi i Markowi to się chyba nawet podoba, bo mogą się objąć, zamiast uczyć, ale z Maćkiem mam problem. On nie znosi zmian. Dobrze, że zaraz zaczną się wakacje. A co u ciebie? Jak sobie radzisz?

Wiedziałem, że czeka na odpowiedź „doskonale”, która zwolniłaby ją z odpowiedzialności za los kuzyna i pozwoliła w spokoju, bez poczucia winy zająć się swoimi problemami. Przez moment z czystej przekory miałem ochotę odpowiedzieć „kiepsko”. W dzieciństwie łączyła nas głęboka kuzynowska więź, ale w miarę jak dorastaliśmy, nasze drogi coraz bardziej się rozchodziły. A Aneta, cokolwiek by o niej powiedzieć, poważnie traktuje rodzinne obowiązki. Gdybym przyznał, że radzę sobie kiepsko, przyjechałaby do Samotni z całą rodziną. Potrafiłem sobie wyobrazić takie spotkanie: jej wiecznie przemęczony pracą mąż przysypia w fotelu, dwójka starszych dzieciaków goni po ogrodzie zestresowane koty, podczas gdy najmłodszy z autystyczną szczerością oznajmia, że wujek wygląda jak kupa.

– Znakomicie – odparłem.

– Gdybyś potrzebował pomocy...

– Wiem. Słuchaj, mam pytanie. Nie wpadłaś przypadkiem do Samotni trzeciego marca?

– Trzeciego marca?

– W dzień, kiedy miałem wypadek, zaraz po naszym powrocie.

– Nie, zobaczyłam cię dopiero w szpitalu. Przez chwilę. Pielęgniarka nie chciała mnie wpuścić, ale ją przekonałam. Przyniosłam ci wtedy belgijskie czekoladki. Dobre były?

– Pyszne. – Nie pamiętałem żadnych belgijskich czekoladek.

Pożegnaliśmy się i schowałem telefon z powrotem do kieszeni. Mogłem sobie wyobrazić coraz bardziej sceptyczną minę Piotra.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Tak. Chyba. Julia... ta kobieta... wychodzi prawie codziennie. Nie wiem dokąd. Mógłbyś...

– Przypiąć sobie fałszywą brodę i śledzić ją jak Sherlock Holmes?

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale wyszedł mi tylko grymas. Piotrek westchnął i zmienił ton.

– Nawet gdybym miał czas, żeby za nią chodzić, to przecież by się zorientowała. Może nawet by mnie poznała, jeśli ma pamięć do twarzy. Mam lepszy pomysł. Poczekam tu z tobą, a jak wróci, porządnie jej się przyjrę. Może wtedy będę w stanie powiedzieć, czy to ta sama kobieta, co na zdjęciu, czy nie.

– Dzięki. – Wiedziałem, że niczego więcej nie powinienem od niego oczekiwać.

## NAGRANIE 15

Przyznaję, byłem ciekaw, jak moja fałszywa żona zareaguje na obecność obcej osoby w domu. Nie widziałem oczywiście jej miny, ale kiedy weszła na taras, wyczułem wyraźne zdziwienie.

– To mój kuzyn, Piotrek – powiedziałem. – Może go pamiętasz. Wpadł na chwilę.

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko, że tak bez zapowiedzi.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Gdzie byłaś?

Nie zadałbym tego pytania, gdybyśmy byli sami. Zabrakłoby mi odwagi. Zresztą gdyby nie Piotrek, pewnie wciąż wierzyłbym, że jest zwyczajny dzień tygodnia i moja żona-nieżona po prostu pojechała na zakupy.

Chwila ciszy, a potem dziewczęcy chichot, bardzo podobny do śmiechu prawdziwej Julii.

– Boże, przyłapaliście mnie. Byłam na wagarach. Jestem miastową dziewczyną i na wsi czasem strasznie się nudzę. Pojechałam do Wrocławia pokręcić się trochę po mieście. Nie gniewasz się, prawda? – Wzięła mnie pod ramię i zanim zdążyłem odpowiedzieć, poprowadziła w stronę drzwi. – Chodźcie do środka, zrobię coś do jedzenia. Zostanie pan jeszcze, prawda?

– Piotrek, nie pan, możemy przecież mówić sobie po imieniu. I tak, chętnie zostanę.

## NAGRANIE 16

Zazdrościłem im dzisiejszego popołudnia. Tego, jak swobodnie śmiali się nad talerzami makaronu z sosem pomidorem, jak rozmawiali o serialu, którego nie widziałem i nigdy nie zobaczę, o pogodzie i oczywiście o pandemii. Byłem zazdrosny nawet o te idiotyczne kombatanckie wspomnienia z pierwszych dni lockdownu, gdy zdobycie kilograma cukru graniczyło z bohaterским czynem, a spacer po lesie przypominał przekradanie się za liniami wroga. Nie wiem, czy udawali, że tak świetnie czują się we własnym towarzystwie – jeśli tak, oboje musieli być dobrymi aktorami. A może naprawdę od razu przypadli sobie do gustu. Gdy Piotrek żartobliwie zaprosił Julię na partię Twilight Struggle („Pozwolę ci grać Związkiem Radzieckim, on na początku ma fory”), poczułem absurdalną falę złości, jakbym był klasowym łamagą, którego koledzy nie chcą w drużynie. A przecież nawet nie lubiłem tej planszówki. Wstałem i objając się o ściany, poszedłem do łazienki. Kiedy sikałem – na siedząco, bo tak łatwiej wcelować w muszlę – wciąż słyszałem ich śmiech i nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że śmieją się ze mnie.

Znalazło się drugie piwo – nie wiem, czy Piotrek przywiózł ze sobą więcej, czy może kupiła je Julia. W każdym razie to przynajmniej nie było lagerem. Wypiłem, choć wiedziałem, że za chwilę znowu będę musiał iść do kibla. Czuję pierwsze oznaki rozluźnienia, trochę przyjemnego, trochę zaprawionego goryczą. Gdybym był sam, pewnie zacząłbym się już rozklejać.

Dobrze, że Piotrek nie przyniósł tej whisky.

Wspomnienie jego słów i smak alkoholu przywołały obraz, jakby w moim mózgu odskoczyła jakaś klapka. Jest początek marca, właśnie wróciłem z długiej podróży. Siedzę przy tym samym stole i patrzę na butelkę wódki. Wiem, że nie powinienem jej pić, ale myślę sobie: jestem przecież w domu, nawet jeśli spadnę pod stół albo zrobię z siebie idiota, co z tego?

Jeżeli tamtego wieczoru przed wypadkiem byłem pijany, to nic dziwnego, że niewiele zapamiętałem.

Przewróciłem coś, odstawiając pustą szklankę. „Uważaj!”, krzyknęła Julia, a Piotrek zaklął. Zastygłem w bezruchu. Wiedziałem, że jeśli spróbuję pomóc, narobię tylko większego bałaganu.

– Zostaw, zajmę się tym. – Julia najwyraźniej nie chciała pomocy także od Piotra. Po chwili usłyszałem dźwięk kroków oddalających się w stronę aneksu kuchennego. Mój kuzyn wykorzystał okazję i przysunął się bliżej. Na policzku poczułem cuchnący piwem oddech, a kiedy Piotrek się odezwał, w jego głosie usłyszałem złość, dziwnie kontrastującą z dobrym humorem, który prezentował jeszcze przed chwilą.

– W co ty pogrywasz? To jakiś pisarski eksperyment? Chcesz mnie opisać w książce?

– Co takiego?

– Ożeniłeś się z Julianną Potocką, tak? Która po ślubie nie zmieniła nazwiska?

– Nie, ona... nie chciała rezygnować... Ale co...

– Kiedy poszła po piwo, zerknąłem na szybko do jej torebki. Ma w dowodzie napisane jak byk: Julianna Potocka. Dlatego pytam: co ty, kurwa, wyprawiasz? Nudziło ci się i postanowiłeś zabawić się moim kosztem czy naprawdę masz coś nie tak z głową?

– Ja...

Sapnięcie przypominało dźwięk pary spuszczonej z kotła.

– Lubię cię, Leon, i naprawdę nie chcę się na ciebie wkurzać. Dlatego przyjmijmy, że faktycznie coś ci się pokreśliło. Ale, facet, ogarnij się trochę. To fajna babka, miałeś szczęście, że na nią trafiłeś. I widać, że jej na tobie zależy. Zamierzasz to teraz spierdolić?

Na szczęście nie musiałem odpowiadać, bo Julia wróciła, a Piotrek zaczął się żegnać. Odprowadziła go do drzwi – ze swojego miejsca przy stole słyszałem, jak obiecują sobie, że wkrótce się skontaktują. Może naprawdę zamierzali grać w Twilight Struggle. Zatęskniłem nagle za siedzeniem nad tą cholerną planszówką i obliczaniem, jakie szanse ma zamach w Libii czy w Egipcie. Nawet za układaniem maleńkich znaczników, które wiecznie się przesuwały i gubiły. Wszystko, co dawniej uważałem za nudne czy irytujące, teraz, gdy już nie mogę tego robić, nabrało nieodparłego uroku.

Kroki za moimi plecami, dotyk dłoni na policzku.

– Jak się czujesz? W porządku?

– Tak – skłamałem.

– Na pewno? – Głos Julii ociekał niepokojem. Co ten Piotrek jej nagadał?

– Oczywiście.

Położyła dłoń na moim ramieniu i delikatnie je uściśnęła.

– Wiem, że ostatnio... trochę cię zaniedbałam. Ale to się zmieni, obiecuję. Będzie dobrze.



## NAGRANIE 17

Było dobrze, przynajmniej przez ostatnie dwa tygodnie. Julia nie zniknęła już tak często i choć nadal niewiele rozmawialiśmy, to przynajmniej spędzaliśmy ze sobą więcej czasu. W dzień przesiadywaliśmy w ogrodzie, pijąc zimną lemoniadę i głaszcząc koty, wieczorami słuchaliśmy audiobooków albo słuchowisk radiowych. Ona bardzo starała się nie odsuwać, gdy nasze ciała stykały się przypadkiem na tapczanie, ja bardzo starałem się nazywać ją w myślach po prostu Julią. Nie Julią Drugą, nie moją żoną-nieżoną, tylko zwyczajnie Julią. Bo przecież Piotrek mógł mieć rację, prawda? Dziewczyna z kawiarni w Bari zniknęła, ponieważ nigdy nie istniała. Tej zimy we Włoszech oboje tak naprawdę byliśmy innymi ludźmi. I nawet jeśli udawała, żeby mi się przypodobać, nawet jeśli naopowiadała kłamstw, a teraz żałowała naszego pospiesznego małżeństwa, to co z tego? Nie odeszła, została z wrakiem człowieka, jakim się stałem. Pomyślałem, że moglibyśmy się poznać, jakbyśmy byli dwojgiem ludzi, którzy dopiero się spotkali, zostali jeśli nie romantycznymi kochankami, to przynajmniej przyjaciółmi. Ostatecznie z Alą taki układ działał przez prawie dwadzieścia lat. Tłumaczyłem sobie, że niewidomy czy nie, wciąż mam coś do zaoferowania, a kiedy wróciłem do zaleconych przez lekarza ćwiczeń, moje zdrowie zaczęło się poprawiać. Gdy samodzielnie dokużytkowałem do bramy naszej posesji, po raz pierwszy w mojej głowie pojawiła się nadzieja, że mimo wszystko mam przed sobą jakąś przyszłość. Pozwoliłem sobie nawet na marzenia: nagrywam nową książkę, a Julia towarzyszy mi w spotkaniach autorskich, staje się moją sekretarką i prawą ręką. Wracamy do Włoch, tym razem latem, wylegujemy się na plażach i zwiedzamy muzea (czy w watykańskim mają przewodnik dla niewidomych?). A wieczorem w hotelu Kochamy się na sztywnych, pachnących świeżością prześcieradłach. Rano budzą nas ciepłe promienie słońca, schodzimy na śniadanie, ja wciąż trochę niezręcznie wylewam kawę na obrus, Julia kwituje tę małą katastrofę śmiechem.

Czy naprawdę wierzyłem, że to wszystko mogłoby się wydarzyć?

Odpowiedź brzmi: tak, nie, może, czasami.

Jedynym minusem ostatnich dwóch tygodni był najazd krewnych, niewątpliwie świadczący o tym, że Piotrek nie utrzymał języka za zębami. Jako pierwsi zjawili się moi rodzice. Matka zadzwoniła dwa dni po jego wizycie i tym razem nie udało mi się jej spławić zapewnieniem, że czuję się doskonale, ale potrzebuję trochę spokoju. Uparła się, że wpadnie z ojcem w środę po południu. Z tej okazji Julia mnie ogoliła, a potem zabrała do fryzjera, więc gdy dzwonek przy drzwiach zadzwonił, czułem się prawie jak normalny człowiek. A jednak wizyta wypadła kiepsko. Choć moi rodzice i Julia znali się z czasów, gdy leżałem w szpitalu, w ich wzajemnych stosunkach wyczuwałem badawczą ostrożność, charakterystyczną dla ludzi, którzy nie do końca sobie ufają. Matka trzy razy pytała, czy mam wszystko, czego potrzebuję, a kiedy tato i Julia oddalili się, żeby obejrzyć posadzone w tym roku róże, chwyciła mnie za rękę i szepnęła natarczywie:

– Wiesz, że bardzo cię Kocham, prawda? Niezależnie od wszystkiego.

Niezależnie od czego, mamo? – mogłem zapytać. Czy jestem zdrowy psychicznie, czy może lekko, leciutko zaczyna mi odbijać? To właśnie próbujesz mi powiedzieć?

Ostatecznie uznałem, że lepiej się nie odzywać.

Ojciec udawał lepiej – momentami prawie mogłem uwierzyć, że jego śmiech jest szczery. Pod koniec chyba nawet udało mu się oczarować Julię – jeśli nie całkowicie, to przynajmniej odrobinę. To naprawdę miły człowiek, powie działa, gdy sobie poszli. O matce nie wspomniała. Biedaczka zawsze była szarą myszką. W dzieciństwie nie zwracałem na to uwagi, ale kiedy trochę podrosłem, zorientowałem się, że małżeństwo moich rodziców opiera się na wzajemnej wymianie korzyści. On, sierota z nieciekawego środowiska, dostał w pakiecie zamożną, wspierającą się rodzinę z tradycjami, a ona charyzmatycznego, przystojnego męża, który spełnił jej nieskomplikowane marzenia o domu i dziecku. Może dlatego, mimo wszystkich jego zdrad, wciąż ze sobą byli – nie wiem. Nie jestem nawet pewien, czy chcę się nad tym zastanawiać.

Dzień później pojawiła się Aneta z synami, ale bez męża, który miał „parę ważnych spraw”. Łukasz i Marek, tak jak się spodziewałem, biegali po ogrodzie, wrzeszcząc, kiedy oparzyły ich pokrzywy, i stresując koty. Maciek zapytał, czy teraz, kiedy jestem ślepy, będę się bił jak Daredevil, a gdy odparłem, że to tak nie działa, stracił mną zainteresowanie.

Potem wpadł Kuba, pogadał piętnaście minut, poklepał po plecach, rzucił: „Jak coś, to dzwoń” i zniknął, zaaferowany prawniczymi sprawami. To naprawdę twój wujek? – zapytała Julia. Wygląda na młodszego od ciebie. Rozśmiałem się i zapewniłem, że owszem, trzydziestoletni Kuba jest moim wujkiem. Dziadkowie mieli sześcioro dzieci, najstarsze zdążyły dorobić się własnego potomstwa, zanim najmłodsze pojawiło się na świecie.

Dalej byli ciotka Tereska i wujek Władek, Adrian i Sylwia, nawet Staszek zjawił się na moment. Niewiele zapamiętałem z tych wizyt. Mniej lub bardziej szczerze zapewnienia o chęci pomocy, moja żona dzielnie przygotowująca,

w zależności od pory dnia, słodkie albo słone przekąski, drinki czy herbatę. Trochę mi zaimponowała, przyznaję. Chwilami miałem wrażenie, że mimo wciąż wyczuwalnej ostrożności bawi się podczas tych odwiedzin lepiej niż ja. Nigdy nie byłem tak bliski uwierzenia, że jest prawdziwą Julią, jak wtedy, gdy z ożywieniem wypytywała o anegdotki z czasów mojego dzieciństwa. Gdyby była oszustką, czy towarzystwo moich krewnych sprawiałoby jej przyjemność? Oto jest pytanie.

Ta historia mogłaby się skończyć w tym właśnie miejscu. Dzięki wsparciu rodziny pisarz po wypadku przyjmuje do wiadomości, że jego żona jest nikim innym jak tylko jego żoną, happy end, żyją razem długo i szczęśliwie. Nie byłoby to zakończenie satysfakcjonujące dla czytelników czekających na więcej dramatu, z pewnością jednak dobre dla mnie.

Tak się nie stało, ponieważ dziś rano dostałem wiadomość.

## NAGRANIE 18

Julia zaproponowała spacer, a ja wymyśliłem, żeby pojechać na Gromnik. Chodziliśmy tam często z Alą, może dlatego to właśnie miejsce przyszło mi do głowy.

– To jakaś góra? Jesteś pewien, że dasz radę?

– Nie góra, tylko wzgórze. Niedaleko stąd.

Gromnik ma niecałe czterysta metrów, od parkingu na szczyt idzie się kilkanaście minut prowadzonymi przez las schodami. Trasa, którą bez większego trudu może pokonać staruszek albo małe dziecko. Dla mnie jednak było to pierwsze wyjście z domu od czasu wypadku i przyznaję, kiedy wysiadałem z samochodu, miałem pietra. Julia wzięła mnie pod ramię. Teraz, szeptała, a ja wiedziałem, że powinienem unieść nogę, bo zaczyna się kolejny ciąg stopni. Pod dłonią wyczuwałem gładkość drewnianej poręczy, pod stopami szeleściły zeszlóroczne liście, słońce przebijające się przez korony drzew łaskotało mnie w twarz. Pachniało lasem i latem. Nigdy wcześniej nie zwracałem uwagi, jaki to zapach, ciepły, drzewny, z nutą wilgotnej i chłodnej tajemnicy w tle. Od czasu do czasu mijali nas młodzi ludzie pędzący w dół tak szybko, że ledwo nadążałem z rejestrowaniem ich obecności: tupot stóp, muskający twarz powiew, rzucone w przelocie słowo albo śmiech. Dziwna wydawała się myśl, że jeszcze rok temu sam mógłbym zbiec z Gromnika w takim tempie, wołając kogoś, kto został z tyłu. Było mi słodko i gorzko zarazem; tak muszą się czuć starzy ludzie przywołujący wspomnienia z młodości. Może tak właśnie wygląda godzenie się z kolejnym etapem w życiu. Żegnajcie, zdrowe oczy, miło było z was korzystać przez trzydzieści kilka lat.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Julia.

Niepotrzebnie, bo zdążyłem wyczuć, że schody się skończyły, a do moich nozdrzy dotarł zapach dymu. Ognisko można palić na Gromniku tylko na płaskim niczym naleśnik szczyt. Niespodziewanie przypomniały mi się czasy, gdy z rodziną jeździłem na wakacje. Nie z rodzicami, ale właśnie z rodziną, bo zazwyczaj było nas więcej. Trzy, nawet cztery samochody. Najczęściej wujek Władek wybierał trasę. Czasem lądowaliśmy w wynajętym domu pośrodku lasu, czasem na polu namiotowym na Mazurach albo w górskim pensjonacie. Nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Jako dzieciak uwielbiałem te wyjazdy, nawet jeśli wracałem z nich pogryziony przez komary, z pozdzieranymi kolanami i łokciami, chudszy o pięć kilo po zatruciu lodami z salmonellą. W liceum zacząłem się ich wstydzić. Stadność Ochockich postrzegałem jako coś, od czego muszę się odciąć.

Sądząc po głosach, siedząca przy ognisku rodzina też musiała być duża. A może była to po prostu grupa przyjaciół, która zabrała ze sobą dzieciaki? Wciągałem właśnie zapach pieczonej nad ogniem kielbaski, gdy Julia trąciła mnie w ramię.

– Wejdziemy na wieżę widokową?

– W moim przypadku to nie ma wiele sensu, nie uważasz?

– No tak. – Zakłopotana się lekko. – A masz coś przeciwko, że ja wejdę? Dasz sobie radę sam przez chwilę?

– Gdyby zachciało mi się sikać, pomacham chusteczką, a ty przybiegniesz z odsieczą i zaprowadzisz mnie w krzaki.

Skwitowała niezbyt udany żart wymuszonym śmiechem. Gdy zostałem sam, oparłem się o niewysoki murek, zdecydowany, że nie dam sobie odebrać przyjemności, jaką sprawiał mi ten dzień. Kamień za moimi plecami był ciepły i chropowaty. Próbowałem przywołać z pamięci, co znajdowało się tutaj dawno temu. W średniowieczu zamek braci Czirnów, słynnych w okolicy rycerzy-rozbójników, a wcześniej? Jakiś słowiański gród? Miejsce pogańskiego kultu? Gdybym wciąż miał sprawne oczy, sięgnąłbym po smartfona i wygugłał tę informację, a tak pozostało mi tylko zgadywanie. W pewien sposób podobała mi się ta niepewność – mogłem puścić wodze fantazji, wyobrażając sobie, że składano tu dawniej ofiary z ludzi. Czemu nie? Tworzenie historii jest jedną z nielicznych przyjemności, jakich nie odebrał mi wypadek.

Niedaleko zabrzmiał pierwszy pomruk burzy, co też mi się spodobało. Gdybyśmy musieli ewakuować się stąd w deszczu, byłoby to przynajmniej coś nowego. Przygoda, ale taka zwyczajna, jaka przydarza się zwyczajnym ludziom. Tym, którzy nie zastanawiają się całymi dniami, czy ich żona to na pewno ich żona.

Chłodny podmuch wiatru przełamał stagnację upalnego dnia, przeczesał niedawno obcięte włosy, wywołał gęsią skórkę na przedramionach. Będzie padać, powiedział mężczyzna przy ognisku.

Brawo, Sherlocku, pomyślałem.

Bardziej wyczułem, niż usłyszałem, że ktoś się zbliża. Lekkie kroki, dziecięce, zmiana w otoczeniu, jakby powietrze tuż przede mną nagle się zagęściło, nabrało ciężaru i kształtu. Sapiący oddech na wysokości mojego pasa świadczył, że to faktycznie dziecko.

– Pana żona kazała przekazać panu wiadomość. – Głos należał do małego chłopca, choć nie dałbym sobie uciąć głowy. Mogła to być i dziewczynka.

– Moja żona? Ta, która ze mną była?

– Nie, inna. Powiedziała, że będzie czekała jutro rano w ruinach kościoła w Krzywiniu.

Dziecko zniknęło, a ja oddychałem powoli i spokojnie, starając się nie wpaść w panikę. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Nie tu i nie teraz.

Inna żona. Będzie czekała rano w ruinach kościoła.

Moja wcześniejsza wiara, że Julia to naprawdę Julia, musiała mieć trwałość domku z kart, bo rozpadła się, jakby zdmuchnął ją zły wilk. Puff i nie ma. W jednej chwili wyrzuciłem do kosza podane przez Piotrka rozsądne argumenty. Nawet nazwisko w dowodzie już mnie nie przekonywało: kobieta, która ze mną mieszkała, mogła używać dokumentów Julianny Potockiej, jeśli była do niej choć trochę podobna.

A prawdziwa Julia ukrywała się przez cały ten czas i teraz próbuje się ze mną skontaktować.

– Wszystko w porządku?

Podskoczyłem nerwowo, gdy głos Julii Drugiej zabrzmiał tuż przy moim uchu.

– Tak – zapewniłem pośpiesznie, mając nadzieję, że moja nerwowość zostanie złożona na karb nowej sytuacji. Pierwsze wyjście po długim pobycie w domu, nieznani ludzie wokół, nadciągająca burza.

– Widziałam z góry, że rozmawiałeś z jakimś dzieciakiem.

– Tak, chłopak znalazł dziesięć złotych i spytał, czy to moje. Powiedziałem, że nie mam pojęcia, ale może je zatrzymać i kupić sobie lody.

– Prawdziwy z ciebie dobroczyńca – zakpiła. – A teraz chodź, bo zaraz zaczniesz lać.

## NAGRANIE 19

Burza przeszła bokiem, choć kiedy jechaliśmy do Samborowiczek, trochę pokropiło. Namacałem przycisk otwierający okno, wyciągnąłem rękę i złapałem na nią odrobinę deszczu. Chłód na skórze pomógł mi się uspokoić. Wdech, wydech. Nie będę myśleć o tym, kim jest siedząca obok mnie Julia Druga ani jak właściwie dostanę się na miejsce spotkania z Julią Pierwszą. Nie teraz.

W domu zastaliśmy dwa głodne, miauczące koty. O Puszkina mało się nie przewróciłem – wiedziałem, że to on, bo Puszek nie domaga się jedzenia aż tak natarczywie. Gdy Julia Druga zajęła się miskami, skorzystałem z okazji i zamknąłem się w sypialni na piętrze, by spokojnie pomyśleć.

Ruiny kościoła znajdują się trzysta, może czterysta metrów od Samotni, już na terenie sąsiedniej wsi. Skoro dałem radę wspiąć się na Gromnik, dałbym też radę przejść taki dystans. Nie w tym problem.

Problemem są samochody. Na trasie do Krzywiny nie ma ich dużo – to zwyczajna wiejska droga, żadna tam ruchliwa szosa, i większość kierowców przestrzega przepisów. Niektórzy jednak mają je gdzieś, wiem o tym aż nazbyt dobrze, a ja nie potrafiłbym nawet uskoczyć w bok. Gdybym usłyszał za plecami ryk pracującego silnika, zatrzymałbym się, sparaliżowany strachem jak królik na widok wycelowanej w niego strzelby. Albo odwrotnie, spanikowany, zacząłbym się miotać zupełnie bez sensu, w rezultacie wpadając pod koła nadjeżdżającego auta.

Nie, pomysł pójścia pieszo na spotkanie zdecydowanie odpada. Muszę poprosić kogoś o podwiezienie. Piotrka? Anetę? Każda z tych osób niewątpliwie zada mi mnóstwo pytań, na które nie mam ochoty odpowiadać. I nie jestem pewien, czy Julia Pierwsza chciałaby, żeby ktoś jeszcze wiedział o naszym małym rendez-vous.

Pozostaje tylko jedno wyjście: zadzwonić po taksówkę. Strzezińska firma ma stosunkowo prosty numer, to akurat pamiętam. 316 516 716 albo coś w tym stylu.

Przy odrobinie szczęścia prędzej czy później wpadnę na właściwą kombinację cyfr.

## NAGRANIE 20

– Taxi Strzelin, słucham – powiedział damski głos.

Rozłączyłem się i dla pewności powtórzyłem kilka razy w myślach numer, na który przed chwilą zadzwoniłem.

Julia Druga śpi, a ja siedzę na łóżku, ściskając w dłoni telefon. Boję się tego spotkania. Wyjaśnienia, gdzie Julia Pierwsza podziwiała się przez ostatnie kilka miesięcy. Jej reakcji na to, kim teraz jestem. Mojej reakcji na to, kim okaże się ona. Ale przecież nie mogłem aż tak bardzo się pomylić, prawda? Pamiętam, kiedy całowaliśmy się po raz pierwszy, smak kawy i czekolady w jej oddechu, wilgotne od deszczu włosy muskające moją twarz. Pamiętam moment, gdy zaproponowałem jej, żeby anulowała bilet lotniczy i została ze mną we Włoszech jeszcze parę dni. Z paru dni zrobił się tydzień, potem kilka tygodni. Z początku Julia miała opory, bo to ja za wszystko płaciłem. Wiedziałem jednak, że przedłużony urlop sprawia jej przyjemność taką samą jak mnie. I tamten ciepły, zupełnie niezimowy poranek nad morzem w Syrakuzach, gdy staliśmy na molo, a ja chwyciłem ją za rękę.

– Wyjdz za mnie. – Nie planowałem tego, ale kiedy oświadczyłem się pod wpływem impulsu, zrozumiałem, że tak właśnie powinno być, tak od początku miała się skończyć nasza historia. Poczułem wtedy osobliwy spokój, jakbym wreszcie zrobił to, co należało zrobić. – Nie musimy nawet wracać do Polski, możemy wziąć ślub tutaj. Proszę. Wiem, że to szybko, ale czemu mamy czekać? Nie chcę, żebyś się tułała po wynajętych mieszkaniach, nie chcę spotykać się z tobą raz na kilka dni, kiedy tobie uda się wyrwać z pracy, a ja zrobię sobie wolne od pisania. To nie ma sensu. Chcę, żebyś ze mną zamieszkała.

– W Samotni.

– Tak. Nazwa może nie brzmi zachęcająco, ale tak naprawdę to nie jest żadne odludzie. Jeśli wsiądziesz w samochód, za kilkanaście minut możesz być w Strzelinie, a za godzinę we Wrocławiu. Poza tym tam jest pięknie. Zobaczysz, pokochasz to miejsce.

Sądziłem, że powie: „Przecież możemy zamieszkać ze sobą bez ślubu”, i już zacząłem przygotowywać kontrargumenty. Z jakiegoś powodu wydawało mi się ważne, żeby Julia wróciła ze mną jako moja żona, a nie dziewczyna przypadkiem poznana na wakacjach. W takiej roli chciałem przedstawić ją mojej rodzinie. Ona jednak potrząsnęła tylko głową, jakby zdziwiona, a potem wybuchnęła szczerym, dziecięcym śmiechem.

– Czemu nie! Do cholery ze wszystkim i wszystkimi. Zróbmy to.

Nawet jeśli nie do końca była osobą, za jaką ją uważałem, nawet jeśli z jakiegoś powodu porzuciła mnie, zostawiając z obcą kobietą, to w tamtym momencie nie mogła udawać. Jestem tego pewny.

A jutro się z nią spotkam i wreszcie będę mógł o wszystko zapytać. Pod warunkiem oczywiście, że Julia Druga okaże się miłą i wyjdzie rano na zakupy. Wierzę w to, bo nie mam innego wyjścia.

## NAGRANIE 21

Zastanawiam się, jak zapłacię taksówkarzowi. Mojej karty używa Julia Druga, ale w portfelu zostało kilka banknotów z dawnych czasów. Nie mam pojęcia, jakie to nominały. Pamiętam jednak, że na wrocławskim lotnisku wymieniłem w kantorze pozostałe euro i dostałem za nie jakieś sto pięćdziesiąt, może sto sześćdziesiąt złotych. Powinno wystarczyć na kurs ze Strzelina do Samborowiczek i Krzywiny. W to też wierzę z całych sił.

## NAGRANIE 22

Tak wiele się wydarzyło, że nie wiem, od czego zacząć.

Nie jestem nawet pewien, czy dam radę opisać to wszystko. Zawsze jednak uważałem, że nieskończona książka jest jak złamana obietnica, dlatego spróbuję.

Zacznę od początku – tym razem przynajmniej wiem, gdzie on się znajduje.

Rano dwudziestego czerwca Julia Druga wyszła wreszcie z domu: trzask drzwi, warkot uruchamianego silnika, szum opon toczącego się po podjeździe samochodu, a potem zgrzyt zamykanej autopilotem bramy. Odczekałem chwilę, na wypadek gdyby zapomniała czegoś i wróciła, po czym wystukałem na mojej przedpotopowej komórce numer strzelińskiej firmy taksówkarskiej. Tak jak przed wizytą Piotrka przebrałem się i przeczesałem włosy – tym razem grzebieniem, który udało mi się znaleźć w łazience. Uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie staram się niepotrzebnie – Julia musiała mnie przecież widzieć na Gromniku, ale rozsądek niewiele miał dziś do powiedzenia. Wyjąłem z szuflady chustę, która od biedy mogła służyć za maseczkę, włożyłem buty i wykużyłem z domu. Nie kłopotąłem się zamykaniem drzwi – ostatecznie ryzyko, że akurat dzisiaj ktoś postanowi nas okraść, było minimalne.

Szedłem powoli ścieżką, pilnując, żeby żwir przez cały czas zgrzytał pod butami. Gdybym przewrócił się w grządki, prawdopodobnie zdołałbym się podnieść, nie miałem jednak ochoty jechać na spotkanie z Julią umorusaną ziemią. Ile czasu minęło, odkąd zadzwoniłem? Pięć minut, dziesięć? Więcej? Może taksówka czekała już przed domem, a licznik tykał? Może powinienem najpierw się przebrać, a dopiero potem dzwonić? Zdusiłem chęć, żeby przyspieszyć. Słońce grzało, ale nie przesadnie, wiał lekki, przyjemny wiaterek. Dzień w sam raz na wyprawę w góry, pomyślałem z ukłuciem nostalgii, po czym stanąłem, wczepiony w furtkę niczym rozbitek na morzu trzymający się deski ratunkowej. Wokół panowała cisza, mącona jedynie szelestem wiatru buszującego w kłosach zboża, pachniało trawą i kurzem. Czekałem. Od strony Samborowiczek nadjechał samochód, warkot pracującego silnika stawał się coraz głośniejszy, a ja, coraz bardziej przerażony, zaciskałem palce na siatce, choć nie stałem przecież na środku drogi, tylko na poboczu. Nie pamiętam nic z samej chwili wypadku, ale czasem mam wrażenie, że pamięta go moje ciało: uderzenie masy rozpędzonego metalu, ból, oszołomienie, świdrujący w uszach pisk hamulców.

Samochód przejechał, pozostawiając za sobą woń spalin. Odetchnąłem. Po chwili znowu usłyszałem warkot silnika, tym razem nadjeżdżającego z drugiej strony. A co, jeśli to wraca fałszywa Julia? Jak wytłumaczę jej fakt, że stoję przed furtką, wyraźnie na kogoś czekając?

Coś wymyślę, uznałem. Moja kreatywność zawsze zwiększała się w chwilach zdenerwowania.

Samochód zwolnił i przystanął. Usłyszałem zgrzyt opuszczanej szyby.

– Dzień dobry. To pan zamawiał kurs?

– Tak.

– Dokąd?

– Do ruin kościoła w Krzywiniu.

– Wezwał pan taksówkę, żeby przejechać niecałe pół kilometra?

– Jestem ślepy. I ledwo chodzę.

Chwila pełnego zakłopotania milczenia.

– Proszę zaczekać. – Taksówkarz wysiadł, chwycił mnie za łokieć i pociągnął. Julia Druga robiła to zdecydowanie delikatniej, lepsza jednak taka pomoc niż żadna. Usiadłem na miejscu pasażera i jeszcze zanim podjąłem próbę zapięcia pasów, sięgnąłem do kieszeni.

– Tyle wystarczy? – zapytałem, wyjmując z portfela plik banknotów.

– Pan nie wie, ile tu jest pieniędzy?

– Nie. Może pan wziąć wszystko. – Uświadomiłem sobie nagle, że kwestii powrotu też w zasadzie nie przemyślałem. Zakładałem wcześniej, że Julia coś wymyśli, nie wziąłem jednak pod uwagę, co zrobię, jeśli pojawię się za późno i nie zastanę jej już w kościele.

Wszystko jedno, pomyślałem. Będę dzwonił na numer alarmowy albo losowo do członków mojej rodziny. Większość z nich mieszka we Wrocławiu albo okolicy i od biedy mogła po mnie przyjechać. Nie musiałem się tym martwić teraz.

Zapiąłem pasy, ale taksówka nie ruszyła.

– Coś nie tak? – zapytałem niepewnie. – Mam założyć maseczkę?

– Nie trzeba, cały ten covid to jedna wielka rządowa ściema. Po prostu nie chcę mieć kłopotów.



– Nie rozumiem. Płacę panu, prawda?

– Nie o to chodzi. Mam kumpla, który raz wioził pasażera takiego jak pan. Potem policja się go czepiała.

Wreszcie coś zaskoczyło w moim mózgu.

– Jezu, pan myśli, że jadę tam, żeby się zabić? Czy ja wyglądam na potencjalnego samobójcę?

– Trochę tak – mruknął z ociąganiem. – Bez urazy.

Odetchnąłem, starając się uspokoić.

– Nie chcę się zabić, jasne? Gdybym chciał, zrobiłbym to w domu. Po cholere miałbym jeździć w tym celu do jakichś ruin? Dla ładnych widoków, których nawet nie mogę obejrzeć? A teraz zawiezie mnie pan czy mam dzwonić po inną taksówkę?

– Zawiozę, niech się pan tak nie denerwuje.

Ruszył wreszcie, a ja odrobinę się rozluźniłem. Tylko odrobinę, bo zdążyłem się zorientować w czasie krótkiej wycieczki na Gromnik, że nie przepadam już za jazdą samochodem. Może to kwestia braku kontroli, nie wiem. Jest coś stresującego w tym, że nie widzę, dokąd jadę, dlaczego hamujemy i czy autem szarpnęło, bo kierowca jest niedoświadczony, czy może stało się coś złego.

– Wszystko w porządku?

– Jasne. – Zmusiłem się do, jak miałem nadzieję, uspokajającego uśmiechu. Jeszcze tego brakowało, żeby facet zawrócił i odstawił mnie z powrotem do Samotni.

– Jesteśmy na miejscu.

Taksówka zahamowała, kierowca pomógł mi wysiąść, a potem na moją prośbę chwycił mnie pod ramię i zaprowadził do wejścia. Dawniej przy kościele znajdował się cmentarz, gdzieś tam pod ziemię wystają resztki płyt nagrobnych, o które w każdej chwili mogłem się potknąć, a cały teren porośnięty jest kolczastymi krzewami jeżyn i róż. Dobrze, że włożyłem długie spodnie, pomyślałem chwilę przed tym, nim moja wyciągnięta dłoń dotknęła oplecionego bluszczem kamiennego muru.

– Dalej poradzę sobie sam, dziękuję.

Wyczułem wahanie towarzyszącego mi mężczyzny.

– Jest pan pewien?

– Tak. Może pan wracać.

Założyłbym się o każde pieniądze, że gdy szedł w stronę taksówki, obejrzał się jeszcze kilka razy. Oczekałem, aż zapali silnik, a potem ostrożnie ruszyłem naprzód. Prawdę powiedziawszy, nie miałem bladego pojęcia, co dalej. Spodziewałem się, że Julia wyjdzie mi naprzeciw, wyglądało jednak na to, że w ruinach nikogo nie ma. Niedaleko donośnym „kraaa” darł się jakiś ptak – kruk, a może zwyczajny gawron – poza tym panowała cisza.

– Halo? – zapytałem na wszelki wypadek, czując się jak kompletny idiota. – Jest tu ktoś? Julia?

Żadnej odpowiedzi. Gdy wychodziłem z domu, była dziesiąta – to akurat wiedziałem, bo miałem włączone radio. Julia albo już sobie poszła, albo jeszcze się nie zjawiła. Rano to bardzo pojemne określenie.

Żałowałem, że nie poprosiłem taksówkarza, by posadził mnie na kamieniu, gdzie mógłbym zaczekać. Pamiętam ten porośnięty bluszczem głąz jeszcze z czasów, gdy spacerowaliśmy tu z Alą. Kiedyś nawet piliśmy na nim piwo niczym para wagarujących licealistów, a potem planowaliśmy, jak będzie wyglądał nasz wspólny dom. Mieliśmy już wtedy kupioną ziemię, ale jeszcze nie zaczęliśmy budowy. Czy to tutaj właśnie Ala wpadła na nazwę „Samotnia”? Miałem wrażenie, że tak. Droczyłem się z nią, że co to za Samotnia, skoro do najbliższej wsi jest półtora kilometra, ona jednak potrząsnęła głową. „Wyobraź sobie, że w środku nocy zaatakuje nas szalony morderca, a my będziemy musieli biec po pomoc. Czy wtedy uznasz, że to zła nazwa?” „Może to ty powinnaś pisać kryminały”, powiedziałem, a ona się roześmiała i pocałowała mnie. Trudno było uwierzyć, że to wszystko działo się niecałe trzy lata temu.

Kamień leży niedaleko wejścia, tam gdzie dawniej znajdowała się kruchta. Wiedziałem, że jeśli będę szedł wzdłuż muru, powinienem na niego trafić. Obróciłem się więc i poczłapałem z wyciągniętymi rękami, ostrożnie stawiając stopy. Z kościoła zachowały się ściany, ale brakuje sufitu, dlatego w środku poza płóciącym się wszędobylskim bluszczem i trawą zdążyło wyrosnąć kilka młodych drzewek. Olchy i buki, przypominałem sobie, gdy trafiłem palcami na gładką, chłodną korę. Tak mówiła Ala. Dla mnie drzewo to drzewo, mogą długo opisywać, jak bardzo smukłe pnie przypominają podtrzymujące nieistniejący strop kolumny, ale odróżnienie jednego gatunku od drugiego przekracza moje możliwości.

Potknąłem się, gdy coś wyskoczyło mi spod nogi: lis, może zwykła nornica. Na szczęście zdołałem utrzymać równowagę. Cholera. Nie przeszedłem jeszcze pięciu kroków, a już byłem spocony, jakbym przebiegł pół maratonu. Drogą przejechał samochód z otwartymi oknami. Musiały być otwarte, bo dudnienie muzyki disco polo słyszałem przez kilka sekund tak wyraźnie, jakby ktoś przystawił mi głośnik do ucha. Prawa noga słabła, ciężar ciała opierałem

teraz głównie na lewej, wiedziałem jednak, że jeśli nie trafię zaraz na ten cholerny kamień, będę musiał usiąść na ziemi.

Nagle moja stopa dotknęła czegoś, co uznałem za worek wypełniony śmieciami. Duży przedmiot uginający się pod naciskiem buta. W powietrzu unosił się słodkawy zapaszek, który skojarzył mi się z wonią rozkładających się w ciepłe resztek z obiadu. Nie był bardzo nieprzyjemny, jeszcze nie, na razie budził tylko lekki niepokój, przypominający skrobienie wewnątrz czaszki. Powinienem wiedzieć, prawda? Ja, który napisałem tyle kryminałów. Ale nie wiedziałem. Zorientowałem się, dopiero gdy się schyliłem, żeby przesunąć zagradzający drogę przedmiot, i moje palce dotknęły ludzkiej twarzy.

Zacząłem krzyczeć.

## NAGRANIE 23

Kiedy nagrywam te słowa, naprawdę trudno mi wyjaśnić, co właściwie się wydarzyło. Tak, znalazłem zwłoki – z jakiegoś powodu byłem już wtedy pewien, że to martwe ciało. Byłem też pewien, że to Julia. Nie dlatego, że miałem się z nią spotkać, a dlatego, że dokładnie w momencie, gdy dotknąłem chłodnego policzka, przypomniałem sobie jej śmierć. Obraz pojawił się w mojej głowie wyraźny niczym świeżo wywołana fotografia. Julia Pierwsza na dywanie w salonie Samotni, zsiniała twarz, na szyi zaciśnięty krawat w psychodeliczne różowe słonie. Letnia sukienka podciągnięta do połowy biodra, jeden but tkwi na stopie, drugi leży obok.

Krzyk przeszedł w żalodne, zwierzęce skomlenie, jakbym był porzuconym na pustkowiu psem. Trzeźwa częśćka mojego umysłu zdążyła się nawet zastanowić, jakim cudem taki dźwięk wydobywa się z ludzkich ust, kiedy ktoś zła-  
pał mnie za ramię i szarpnął do góry.

– O kurwa – powiedział znajomy głos. – A ja naprawdę nie chciałem kłopotów.

Siedziałem skulony na ziemi, gdy przyjechała policja. Od razu wiedziałem, że to muszą być oni, kobieta i mężczyzna, oboje mówiący ostrym, nieznośnym sprzeciwu tonem.

– To pan nas wezwał? – Kobieta, prawdopodobnie młoda. Z jakiegoś powodu wyobraziłem ją sobie jako przysadzistą brunetkę z cieniem wąsika nad górną wargą.

– Ja – odpowiedział taksówkarz.

– A kim jest ten człowiek? – Tym razem odezwał się mężczyzna. Blondyn, wysoki i tyczkowaty, uznałem. Fantazjowanie o wyglądzie policjantów pomagało mi oderwać myśli od horroru, którego przed chwilą dotknąłem. Od martwej Julii.

– Gość, którego wiozłem taksówką. Odjechałem, a potem zawróciłem, bo się o niego martwiłem. Myślałem, że to samobójca, nie morderca...

## NAGRANIE 24

Nie protestowałem, gdy poprosili, bym pojechał z nimi na komendę. Nie pytali po drodze o nic, ale ja i tak wszystko im opowiedziałem. O Julii Pierwszej i Drugiej, o wieczorze, kiedy miałem wypadek, i otrzymanej na Gromniku wiadomości. Wszystko. Kiedy zacząłem mówić, nie potrafiłem się powstrzymać – słowa sypały się jak paciorki z rozrwanego naszyjnika. Niemal słyszałem suchy dźwięk koralików toczących się po podłodze policyjnego auta. Mówiłem, oddychając zapachem gumy, potu i mokrego psa. Przez moment bałem się, że pies jest gdzieś obok, że dotknę go, jeśli wyciągnę rękę, a on mnie ugryzie. W przeciwieństwie do Julii Pierwszej zawsze wolałem koty. Jednak w samochodzie znajdowały się tylko trzy żywe istoty: ja i dwójka policjantów wysłuchujących mojej bełkotliwej spowiedzi.

Zatrzymaliśmy się i zostałem odeskortowany do pomieszczenia, w którym pracował klimatyzator. Pod pośladekami poczułem chłód twardego krzesła. Ktoś podał mi kubek z wodą, a ktoś inny zapytał, jak się czuję i czy nie potrzebuję pomocy lekarza. Wypiłem wodę i zaraz dostałem drugą. Jakaś kobieta weszła, zadała mi pytanie, którego nie zrozumiałem, i wyszła. Gdy pojawiła się kolejna osoba, musiałem ją poprosić, żeby zaprowadziła mnie do toalety, gdzie usiadłem na sedesie, wysikałem się, a potem zalałem łzami. Za drzwiami słyszałem niespokojne szepty i wiedziałem, że coś jest nie tak. Powinienem zostać przesłuchany, prawda? W końcu po to mnie tutaj przywieźli. Oni jednak zachowywali się tak, jakby nie bardzo wiedzieli, co ze mną zrobić.

Wróciłem do pomieszczenia z klimatyzatorem, dostałem jeszcze jedną szklanekę wody, którą zignorowałem, bo nie chciałem przeżywać po raz drugi upokorzenia, jakim było prowadzenie mnie do toalety.

Szmer otwieranych drzwi, odgłos kroków, szurnięcie odsuwanej krzesła.

– Dzień dobry, nazywam się Marek Gościniak. Spotkaliśmy się już w szpitalu, kiedy odzyskał pan przytomność po wypadku.

– Pamiętam. Obiecał pan, że znajdzie człowieka, który we mnie wtedy wjechał.

– Wciąż go szukamy. Podobno przypomniał pan sobie coś z tamtej nocy?

– Tak, ale nie... nie z momentu samego wypadku.

– Za chwilę do tego wrócimy. Na razie chciałbym podkreślić, że o nic pana nie podejrzewamy. Według wstępnych oględzin lekarza ofiara zginęła mniej więcej koło siódmej, może ósmej rano. Nie ma mowy, żeby pan ją zabił zaraz po przyjeździe, a taksówkarz zabrał pana krótko po dziesiątej. Czyli albo był pan tam wcześniej, zabił ją, po czym wrócił do domu tylko po to, żeby zadzwonić po taksówkę i jechać znowu do Krzywiny, albo jest pan niewinny. To drugie brzmi zdecydowanie bardziej prawdopodobnie, dlatego nie musi pan się denerwować. To nie jest oficjalne przesłuchanie, na razie tylko sobie rozmawiamy. Czy to jest jasne?

Skinąłem głową, zastanawiając się, skąd ta łaskawość. W moich książkach policjanci rzadko bywają mili, chyba że chcą coś osiągnąć. Czy Marek Gościniak próbował mnie oszukać? Sięgnąłem po szklanekę z wodą. Nie podniosłem jej do ust, po prostu trzymałem, pozwalając, by uspokajał mnie chłód. Moja lewa noga drgała nerwowo. Myślałem jasno, tak jak zdarza się to czasem przy gorączce, a jednocześnie miałem upiorne wrażenie, że przegapiłem coś bardzo ważnego, co powinienem był wziąć pod uwagę.

– To możemy zaczynać. Twierdzi pan, że trzeciego marca, czyli w dzień wypadku, ktoś odwiedził pana i pana żonę, tak?

– Tak, nie pamiętam, kto to był, ale on... ta osoba przyniosła ze sobą wódkę. A ja chyba... to znaczy na pewno, nie najlepiej znoszę mocne alkohole. Szybko się upijam i wtedy też urwał mi się film. Tak mi się wydaje. – Znowu zaczynałem bełkotać. Zaciśnąłem mocniej dłoń na szklance. Lewa noga wciąż podskakiwała jak spławik na jeziorze. W górę i w dół, w górę i w dół. – W każdym razie... Poza tym, że ktoś zadzwonił do drzwi, pamiętam tylko jedną scenę. Moja żona... Julia... leży w salonie na dywanie, martwa. Na szyi ma zaciśnięty krawat, taki śmieszny, w różowe słonie. Czy ona dalej miała ten krawat, jak ją znalazłem?

– Moment. Uważa pan, że kobietą zabita w kościele w Krzywini jest pana żona, Julia, która zginęła na początku marca?

– Tak... – Dostałem szansę, by cofnąć się znad przepaści, nad którą stałem już od dłuższej chwili, zamiast tego jednak ochoczo skoczyłem do przodu i teraz spadałem, oszołomiony niczym kojot Wiluś w kreskówce.

– Zdaje pan sobie sprawę, że od początku marca minęły prawie cztery miesiące? Po takim czasie ciało wyglądałoby zupełnie inaczej. Nie mówiąc już o tym, że osoba zamordowana nie byłaby w stanie wysłać panu wiadomości i umówić się na spotkanie.

– Nie. Nie wiem... Chyba tak. – Z trudem rozwarłem palce i puściłem szklankę. Bałem się, że jeśli nadal będę ją trzymał, szkło pęknie i pokaleczy mi dłoni.

– Świetnie, przynajmniej to mamy za sobą. Twierdzi pan jednocześnie, że w dzień wypadku pana nowa żona została zastąpiona obcą kobietą, która od tego czasu mieszka z panem i udaje Julię, tak?

Nie, chciałem zaprotestować, bo przecież wiedziałem, do czego to wszystko zmierza, ale nie mogłem się cofnąć. Kojot Wiluś może tylko spadać.

Potwierdziłem.

– I nikt tej pana żony wcześniej nie widział? Nie ma żadnych zdjęć, dzięki którym można zweryfikować tę zamiarę? – Wyobraziłem sobie brew na czole policjanta uniesioną w przesadnym, niemal komediowym wyrazie niedowierzania.

– Nie mam. Braliśmy ślub we Włoszech i z różnych powodów nikogo nie zaprosiliśmy. A jeśli chodzi o zdjęcia, mam tylko jedno, niezbyt wyraźne. – Nagle tknęła mnie pewna myśl. – Julia robiła zdjęcia. Powinny być na jej smartfonie. Możecie o nie zapytać.

– Zapytamy – westchnął, jakby ustępował dziecku. Albo kompletnemu szaleńcowi. – Niech pan teraz powie, jak pan się znalazł dzisiaj w tych ruinach.

Powtórzyłem więc jeszcze raz historię o przekazanej mi na Gromniku wiadomości. To także nie brzmiało zbyt wygodnie, ale przynajmniej już nie tak wariacko jak to, co mówiłem wcześniej.

– Ta martwa kobieta... Jak ona wyglądała? – zapytałem na koniec. – Powie mi pan?

– Brunetka, szczupła, dość młoda. Kojarzy pan kogoś takiego?

– Całe mnóstwo osób.

– Faktycznie, to nie jest szczególnie precyzyjny opis. – W słowach Gościniaka wyczułem cień uśmiechu, który sprawił, że na moment pojawiło się między nami coś, co od biedy mogłem uznać za nic porozumienia. – Chce pan wiedzieć, jak zginęła?

– Tak. – Nie byłem pewien, czy chcę, wiedziałem jednak, że prędzej czy później i tak się tego dowiem.

– Jeden cios nożem w brzuch z prawej strony. Ostrze najprawdopodobniej uszkodziło naczynia wątrobowe. Zabójca albo wiedział, co robi, albo po prostu miał szczęście. Jeśli chciał zabić, oczywiście. Żadnych krawatów w różowe słonie.

Zlekceważyłem tym razem już wyraźną ironię, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego mi o tym mówi. Opisanie ofiary miało sens, zdradzanie, w jaki sposób zginęła, wydawało się przesadą. Czy ten podstęp miał sprawić, że powiem coś, co zamierzałem zachować w tajemnicy? A może nie chodziło o nic szczególnego – policjanci w końcu też są ludźmi i zdarza im się powiedzieć słowo czy dwa za dużo.

Rozległo się pukanie do drzwi, Gościniak mruknął: „Przepraszam” i znowu zostałem sam. Przesunąłem po blacie stołu szklankę z wodą, która z zimnej stała się letnia. Gdybym wciąż miał sprawny wzrok, gapiłbym się teraz przez okno albo wyjąłbym komórkę i zaczął przeglądać Facebooka, a tak mogłem tylko siedzieć i czekać. To jedna z nielicznych zalet bycia niewidomym: pozbawiony rozpraszaczy człowiek ma naprawdę dużo czasu na myślenie.

Zdążyłem wymyślić, że martwą kobietą w ruinach nie może być Julia Druga – wyszła z domu zbyt późno, żeby dać się zabić w kościele o ósmej rano, nie mówiąc już o tym, że była blondynką, nie brunetką – kiedy Gościniak wrócił.

– Nasi funkcjonariusze znaleźli właśnie samochód zaparkowany niedaleko ruin kościoła, a w nim torebkę z dokumentami. Zdjęcie w dowodzie osobistym przedstawia denatkę. Chce pan wiedzieć, jak się nazywała?

– Przecież i tak mi pan powie, prawda? – Przez głowę przemknęła mi krótka straszna myśl, czy nie byłoby dobrze, gdyby zmarłą okazała się jednak Julia Pierwsza. Wtedy przynajmniej zaczęliby mi wierzyć.

– Ma pan rację, powiem. Alina Stasiaczek, mówi panu coś?

## NAGRANIE 25

Julia Druga przyjechała jakieś pół godziny później, by zabrać mnie do domu. Jeden z policjantów wziął ją na chwilę do pokoju przesłuchań, gdy ja czekałem na korytarzu. Nie wiem, o czym rozmawiali, czy zapytał ją o zdjęcia, czy w ogóle wiedział, że powinien to zrobić. W każdym razie zapytałem o nie sam, chwilę później, gdy jechaliśmy w stronę Samborowiczek.

– Jakie zdjęcia? – W tonie Julii Drugiej wyczułem napięcie.

– Z Włoch. Ja robiłem fotki na Instagrama i Facebooka, takie, na których ciebie nie było, ale ty fotografowałaś nas oboje. Mamy mnóstwo wspólnych selfiaków. A w Taorminie dałaś komórkę takiemu starszemu facetowi, który nie mówił słowa po angielsku. Pamiętasz? Musiałaś na migi pokazać, czego od niego chcesz.

– Jezu, Leon, znalazłeś właśnie zwłoki swojej ekszony i pytasz o jakieś stare zdjęcia? Nie wydaje ci się, że mamy ważniejsze tematy do rozmowy? Na przykład czemu właściwie pojechałeś do tego kościoła? Nie mogłeś spotkać się z Alą zwyczajnie w domu? Uznałeś, że będę zazdrosna czy jak? I Boże, kto mógł zrobić jej coś takiego?

Wydawała się wstrząśnięta, tak jak należałoby się tego spodziewać. A jednak we wszystkich tych pytaniach po-brzmiewała jakaś fałszywa nuta.

– Tak, pytam o zdjęcia. Gdzie one są? W twoim telefonie?

– Nie. Wrzucałam je na bieżąco na Snapchata i kasowałam. Sorry, gdybym wiedziała, że zależy ci na takich pamiątkach, tobym je zostawiła.

Była szybka, jednak niewystarczająco, żeby mnie oszukać. Wiedziałem już, że zdjęcia zniknęły razem z prawdziwą Julią i jej komórką. Albo wraz z ciałem Julii.

Nie miałem pojęcia, ile ta obca kobieta wie, ale nie potrafiłem dłużej udawać.

– Kim ty jesteś? – zapytałem, gdy rozległ się zgrzyt rozsuwanej bramy i wjechaliśmy na teren Samotni.

Przez krótki moment sądziłem, że wreszcie powie mi prawdę. Słowa wisiały już w powietrzu, wyczuwałem ich ciężar, kiedy położyła rękę na mojej dłoni i ucisnęła ją.

– Twoją żoną, oczywiście. Kim innym miałabym być?

– Julia nie żyje. Ktoś ją udusił tamtego wieczoru, kiedy miałem wypadek. W naszym, kurwa, salonie.

– Udusił?

– Aha. Krawatem w różowe słonie, jakby to był jakiś popierdolony żart. – Zamrugalem, ale było za późno; łzy spłynęły po moich policzkach.

Martwa Julia. Martwa Ala. Jakby wszechświat uznał, że po tych wszystkich latach, które przeżyłem bez żadnych poważniejszych zmartwień, wreszcie zabawi się ze mną na całego.

Julia Druga ścisnęła moją rękę, jakby zamierzała połamać mi palce. Paradoksalnie ból przyniósł mi odrobinę ulgi.

– Chodźmy do domu – powiedziała po chwili, rozluźniając się. – Zrobię coś do jedzenia, ale najpierw pomogę ci się umyć i przebrać. Masz krew na spodniach i tiszert włożony na lewą stronę.

## NAGRANIE 26

Dlaczego od razu nie wpadłem na to, że wiadomość na Gromniku musiała wysłać Ala? Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje się to tak bardzo oczywiste. Ala bywała ze mną w ruinach kościoła, Julia chyba nawet nie wiedziała o ich istnieniu. Zamierzałem pokazać jej to miejsce, ale nie zdążyłem. Najważniejsze pytanie jednak brzmiało: dlaczego moja była żona zwyczajnie do mnie nie podeszła? Albo nie zadzwoniła? Po co te wybiegi i tajemnice jak z kiepskiej powieści szpiegowskiej?

Bo nie chciała, żeby fałszywa Julia dowiedziała się o naszym kontakcie.

Przypomniałem sobie moment, gdy dodzwoniłem się do Ali przypadkiem, tamto natarczywe, pełne napięcia pytanie: „Wszystko w porządku?”. Już wtedy musiała się o mnie niepokoić, a potem... Potem co?

Pod wpływem nagłego impulsu wstałem i poszedłem do salonu, skąd dobiegał dźwięk włączonego YouTube’a. Julia Druga oglądała Makłowicza.

Stałem w progu, wyciągając dłoń z telefonem.

– Możesz wybrać dla mnie numer Piotрка?

Dźwięk przycichł do ledwie słyszalnego szumu. Odgłos miękkich kroków na jeszcze bardziej miękkim dywanie, zapach dymnych perfum.

Wyjęła telefon z mojej ręki, bez słowa wystukała numer i oddała mi aparat. Gdy wychodziłem z salonu, usłyszałem jeszcze, jak Makłowicz zachwala czarnogórskie przysmaki. Pokuśtykałem na taras.

– Cześć, Leon – powiedział Piotrek. – Co tam?

– Mam pytanie. Czy po wizycie u mnie rozmawiałeś z Alą?

– Rozmawiałem – przyznał z ociąganiem. – Sama do mnie zadzwoniła. Martwiła się o ciebie po tamtym telefonie w nocy.

– I powiedziałaś jej o mnie... o moich podejrzeniach?

– No, mogłem coś wspomnieć. I z Anetą też o tym gadałem, jeśli już chcesz wiedzieć. Wszyscy się o ciebie martwią. Leon, co się dzieje? Potrzebujesz pomocy?

– Ala nie żyje.

Długa chwila milczenia. Pod bosymi stopami czułem szorstkość betonu, coś delikatnie ocierało się o moją łydkę: koci wąs, a może źdźbło rosnącej przy tarasie trawy. Ciepło letniego dnia powoli, niechętnie przechodziło w wieczorny chłód.

– Nie żartujesz, co?

– Uważasz, że mógłbym żartować z czegoś takiego? Ala została zamordowana, a ja przesiedziałem dzisiaj pół dnia na komendzie, bo to ja ją znalazłem.

– Kurwa.

– Masz rację, kurwa.

– Ale kto... Nie rozumiem. Została zabita w Samotni?

– W ruinach kościoła w Krzywiniu. Pojechałem tam, żeby się z nią spotkać. Powiedz reszcie rodziny. I tak prędzej czy później się dowiedzą.

Rozłączyłem się, w ostatniej chwili wyłapując jeszcze pełne żalu: „Nic z tego nie rozumiem”.

Ja też nic nie rozumiem.

Zadzwoniłem przypadkiem do Ali, a ona zapytała, czy wszystko w porządku. Potem skontaktowała się z Piotrkim, który powiedział jej, że Leon najwyraźniej zwariował, bo sądzi, że jego żona została podmieniona na obcą kobietę, jak w filmie Inwazja porywaczy ciała. Jeszcze później Ala wybrała się na Gromnik i najprawdopodobniej, widząc mnie na szczycie, doszła do wniosku, że odzyskałem już po wypadku większość sił. Pewnie dotarła też do niej informacja, że w jednym oku zachowałem częściową zdolność widzenia, i wyobrażała sobie, że bez większego trudu dotrę do ruin kościoła w Krzywiniu. Tak czy inaczej pod wpływem impulsu postanowiła wysłać wiadomość i zrobić to tak, żeby towarzysząca mi Julia Druga niczego nie zauważyła.

Co z tego wszystkiego wynika?

Ala niepokoiła się o mnie już wcześniej, a kiedy Piotrek powiedział jej o moich podejrzeniach, nie uznała, jak reszta rodziny, że po wypadku coś mi się pomieszało. Wręcz przeciwnie, z jakiegoś powodu doszła do wniosku, że mam rację i moja żona naprawdę nie jest moją żoną.

Od implikacji tego prostego faktu zakręciło mi się w głowie. To Ala, nie Piotrek, była moją naturalną sojuszniczką, to ją powinienem był prosić o pomoc. Gdybym to zrobił, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Ale jakim cudem...? Po rozwodzie nie zerwała stosunków z członkami mojej rodziny, po tylu latach wspólnego życia byłoby to zresztą trudne. Wiedziałem, że się z nimi kontaktuje, bo dzień po ślubie dostałem od niej esemesa z gratulacjami. Jednak ten kontakt z natury rzeczy musiał być dość ograniczony – Ochoccy niewątpliwie wiedzieli więcej o mnie i mojej nowej żonie niż Ala. Dlaczego więc ona jako jedyna była skłonna mi uwierzyć?

To nie ma sensu.

Wróciłem do domu. Julia Druga skończyła oglądać Makłowicza i zmywała teraz po późnym obiedzie, co wywnioskowałem z energicznego podzwaniania garnkami i szumu odkręconej wody. Przysłuchiwałem się tym zwyczajnym domowym odgłosom. Co dalej? Bałem się momentu, gdy będzie wiedziała, że ja już wiem, ale ta chwila nadeszła i niewiele się zmieniło. Zachowujemy się wobec siebie z uprzejmością wrogów, którzy zupełnie niezależnie zdecydowali, że jeszcze nie pora na rozpętanie prawdziwej wojny. Mogę oczywiście powiedzieć, żeby się wyprowadziła. Wątpię, żeby oponowała, gdybym kazał jej się spakować i wynieść. Każdy rozsądny człowiek podjąłby na moim miejscu taką właśnie decyzję, prawda? Wyrzucam ją, a potem dzwonię do pierwszego z brzegu członka rodziny i proszę o pomoc w wynajęciu profesjonalnego opiekuna bądź opiekunki, który zajmie się mną, dopóki nie nauczę się samodzielności. To takie proste, takie kuszące. A jednak nie zamierzam tego robić. Julia Druga nie zabiła Ali. Słyszałem ją, kręcącą się po parterze, już od szóstej rano, a z domu wyszła przed dziesiątą. Ona daje idealne alibi mnie, a ja jej. Wątpię także, by zamordowała Julię Pierwszą – uduszenie krawatem to zdecydowanie męski rodzaj zbrodni. Ale coś wie, to oczywiste. I nie zamierzam pozwolić jej odejść, dopóki nie wyciągnę z niej prawdy, kim jest i dlaczego udaje moją żonę.



## NAGRANIE 27

Moi rodzice zjawili się dzisiaj rano. Nie powiem, żebym się tego nie spodziewał. Matka zamknęła mnie w gwałtownym uścisku i szepnęła: „Moje biedactwo”, jakbym był pogrążonym w żalobie wdowcem. Zaskoczyła mnie jej kruchość: ostatnio chyba straciła sporo na wadze. A może to ja już nie pamiętam, jaka była dawniej? Jej włosy laskoczące moje usta miały w sobie nierealną miękkość babiego lata. I trzymała mnie tak długo, że pod koniec nie byłam już pewien, które z nas tak naprawdę potrzebuje pocieszenia: ona czy ja.

Będą się coraz bardziej starzeć, kurczyć, siwieć i marszczyć, a ja nawet tego nie zobaczę, przemknęło mi przez głowę. To też zostało mi odebrane tamtej marcowej nocy przez człowieka, którego policja wciąż nie potrafi znaleźć.

Uścisk ojca był krótszy, bardziej oszczędny.

– Taka tragedia – odezwał się niepasującym do niego, zmęczonym głosem, a ja przytaknąłem, bo nie było niczego innego, co mógłbym powiedzieć.

Usiedliśmy w salonie: matka obok mnie na kanapie, ojciec naprzeciwko w fotelu. Nie wiem, gdzie była Julia Druga. Może wyszła, żeby dać nam trochę prywatności.

– To wszystko jest takie... – Mama szukała właściwego słowa. Najwyraźniej nie znalazła, bo końcówka zdania zawiła w powietrzu. – Spotkaliśmy się z Alą przedwczoraj i wydawało się, że wszystko jest w porządku...

– Spotkaliście się?

– Tak. Obiecałam jej trochę czereśni z działki na przetwory i tato mnie do niej podrzucił. Porozmawialiśmy chwilę. Nie masz nic przeciwko?

– Czemu miałbym mieć coś przeciwko? – Czuję, że to wszystko zaczyna mnie przerastać. Albo przerosło już dawno temu, a ja dopiero teraz to zauważyłem.

– Rozwiedliście się, więc jakoś tak... może to trochę dziwne. Ale my zawsze... przecież sam wiesz.

Urwała, co prawdopodobnie znaczyło, że Julia Druga znajduje się jednak gdzieś w pokoju. Doskonale wiedziałem, co moja matka chciała powiedzieć: rozwód czy nie, dla niej Ala zawsze była tą prawdziwą synową, a Julia – chwilowym kaprysem. Prawdopodobnie aż do wczorajszego popołudnia szczerze wierzyła, że Ala i ja kiedyś do siebie wrócimy.

– Nie była... – zaważałem się, bo co ja właściwie wiedziałem o tym, jak powinna się zachowywać przyszła ofiara morderstwa – zdenerwowana? Nie mówiła, że kogoś się boi?

– Martwiła się o ciebie, ale poza tym zachowywała się całkiem zwyczajnie. Na koniec nawet odprowadziła nas do samochodu.

– Zmieniła zamki – wtrącił ojciec niespodziewanie. – Zauważyłem, że są nowe, kiedy wychodziliśmy i zaczęła zamykać mieszkanie.

– Musicie powiedzieć o tym policji.

– Ale to przecież nie ma chyba znaczenia? Mogła je zmienić po rozwodzie.

– Albo później, żeby chronić się przed facetem, z którym mnie zdradzała. Może zerwali ze sobą, a on zrobił się nieprzyjemny i zaczął ją nachodzić.

– Ala z nikim cię nie zdradzała. – Po tonie matki poznałem, że zaciska usta.

– Powiedziała, że chce się rozwieść, bo kogoś ma.

– Nikogo nie miała. Zawsze kochała tylko ciebie. I zamierzała się z tobą spotkać, prawda?

Przecież nie po to, żeby ze mną romansować, na litość boską, pomyślałem. Ta wizyta zaczynała mnie irytować. Wiedziałem, że rodziców nie przygnała tu pusta ciekawość, tylko troska o mnie i rozpacz po stracie Ali. Naprawdę jednak chciałem, żeby już sobie poszli.

– Nie rozumiem, czemu Ala po prostu nie przyjechała do Samotni – marudził ojciec. – Po co umawiała się z tobą w jakimś zrujnowanym kościele?

Od strony okna dobiegł szmer – a więc to tam właśnie siedziała Julia Druga. Przez moment miałem ochotę powiedzieć prawdę, ale co by to właściwie dało? Albo by mi nie uwierzyli, albo, co gorsza, uwierzyli i zaczęli się upierać przy podjęciu jakichś kroków.

– Nie mam pojęcia.

Czy mi się zdawało, czy usłyszałem ciche westchnienie ulgi?

Kiedy pozbyliśmy się moich rodziców, przeniosłem się na taras. Ledwo zdążyłem usiąść w leżaku, gdy zadzwoniła Aneta z pytaniem, czy to prawda, że Ala nie żyje, a ja znalazłem ciało. W jej głosie brzmiało wahanie, jakby na-

prawdę spodziewała się, że wszystko okaże się jakąś osobliwą pomyłką. Zapewniłem ją, że tak, to prawda i nie, nie potrzebuję pomocy.

– To ty powiadomiłaś ją o ślubie moim i Julii? – zagadnąłem, tknięty pewną myślą. Aneta i Ala kiedyś bardzo się przyjaźniły. Co prawda jeszcze przed narodzinami chłopaków, potem ta wzajemna sympatia jakby osłabła, bo moja kuzynka zajmowała się dziećmi, a Ala robieniem kariery, zakładałem jednak, że jeśli ktoś oprócz moich rodziców utrzymywał kontakt z moją eks, prawdopodobnie była to właśnie Aneta.

– Ja. A co?

– Nic. Pokazałaś jej przy okazji nasze zdjęcie? To, które wam wysłałem?

– Jezu, naprawdę nie pamiętam. To ważne?

– Chyba nie. – Ala nie radziła sobie dobrze z rozpoznawaniem twarzy, wątpliwe więc, by porównując niezbyt wyraźne zdjęcie z żywą osobą, nabrała pewności, że to nie jest ta sama kobieta.

Kto następny? – rozważałem, gdy Aneta się rozłączyła. Stawiałem na Piotrka, kiedy jednak późnym popołudniem moja komórka odezwała się po raz kolejny, usłyszałem głos Kubę.

– Nie rozmawiaj z policją bez prawnika. I w żadnym razie niczego w ciemno nie podpisuj.

– W ciemno? Naprawdę użyłeś tego właśnie słowa?

– Wiesz, o co chodzi – zirytował się. – Teoretycznie twoje przesłuchanie powinni nagrać albo ewentualnie odczytać ci protokół i zrobić wzmiankę, dlaczego brakuje podpisu, ale diabli ich wiedzą. Dlatego dzwoń do mnie, gdyby chcieli z tobą rozmawiać.

– Nie jestem o nic podejrzany. Tak powiedzieli.

W jednym krótkim parsknięciu wyrażało się wszystko, co mój trzydziestoletni wujek sądzi o prawdomówności polskich organów ścigania.

– Dzwoni do mnie. Jasne? – powtórzył.

– Tak – zgodziłem się pokornie, bo ostatecznie Kuba ma sporo racji. Jestem ślepy, a Julia Druga zapewniła mi alibi, więc na razie mnie nie podejrzewają, nie zmienia to jednak faktu, że człowiek w mojej sytuacji w którymś momencie może potrzebować pomocy dobrego adwokata. A mój wujek podobno jest dobry.

Schowałem komórkę do kieszeni szortów. Od trzech, może nawet czterech godzin nie wstałem z leżaka na tarasie. To kolejna rzecz, która zmieniła się po wypadku. Dawniej byłem w ciągłym ruchu, książki wymyślałem, chodząc tam i z powrotem po wrocławskim mieszkaniu. Teraz, jak przystało na niewidomego rekonwalescenta, rzadko ruszam się z wygodnego miejsca, kiedy już je znajdę. Siedziałem więc, łapiąc na twarz ciepło ostatnich promieni słońca. Dzień opadał w stronę wieczoru łagodnie, jak szubujący na powietrznych prądach ptak, cykały świerszcze, w krzakach jaśminu buszował jeden z naszych kotów. Myślałem o Ali, o tym, że jeszcze rok temu o tej porze wyobrażałem sobie nas oboje obserwujących, jak w ogrodzie bawią się nasze dzieci. Może nie kochałem jej tak, jak to pokazują w romantycznych filmach, ale była moją przyjaciółką. Myślałem, że jesteśmy bratnimi duszami, że nie mamy przed sobą tajemnic. Przynajmniej nie w najważniejszych kwestiach. Na studiach zwierzyłem jej się, że pociąga mnie kolega z grupy: Adam, ciemnowłosy, ze smukłym ciałem i rysami melancholijnego elfa. Pocałowaliśmy się raz na imprezie, kiedy obaj byliśmy kompletnie zalani, i do dziś pamiętam tamten elektryzujący dreszcz, który przeszył całe moje ciało. Do niczego więcej nie doszło, ale i tak czułem potrzebę opowiedzenia o tym Ali. Zmarszczyła wtedy brwi i oznajmiła, że musi się zastanowić, a ja przez kilka następnych godzin panikowałem, że mnie rzuci. Ona jednak przyszła wieczorem do pokoju, który wynajmowałem, usiadła na tapczanie i powiedziała: „Ja to widzę tak: jesteście razem od pięciu lat i myślimy o sobie na poważnie. Chcę wziąć z tobą ślub i mieć dzieci. Ale jednocześnie głupio byłoby zakładać, że żadne z nas nigdy nie pójdzie z nikim innym do łóżka. Dlatego jeśli chcesz przespać się z tym chłopakiem, to proszę bardzo, droga wolna. Gdyby jednak miało być z tego coś poważniejszego, masz przyjść do mnie i mi o tym powiedzieć, bo nie zamierzam żyć w trójkącie, jasne?”.

Taka była Ala. Dlatego wciąż nie potrafię pojąć, czemu tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o rozwodzie, nie potrafiła zdobyć się na szczerść. Nawet jeśli jej tajemniczy facet miał żonę albo był księdzem, mogła mi o tym powiedzieć. Wciąż czułbym się zraniony, pewnie, ale w końcu bym ją zrozumiał.

Może kochanek Ali był gangsterem, a jej milczenie miało zapewnić mi bezpieczeństwo, pomyślałem z uśmiechem. Tylko gdzie zwyczajna pracownica banku mogłaby poznać gangstera? Na nartach w Alpach? Na planszówkach u naszych wspólnych znajomych? Zresztą większość wolnego czasu i tak spędzaliśmy wspólnie, zauważyłbym więc, gdyby nagle zaczął się nią interesować jakiś facet.

Taras załało światło, odwróciłem się więc odruchowo, jakbym naprawdę miał coś zobaczyć. Julia Druga nadeszła niczym duch: ledwo słyszalne kroki, zapach dymu i jałowca, cień pochłaniający żółtawy blask wiszącej przed domem lampy.

– Robi się chłodno, powinieneś wejść do środka – powiedziała.

– Tak, wiem.

– Dzisiaj też zamierzasz się zamknąć w sypialni?

Drgnąłem lekko. Faktycznie wczoraj, powodowany impulsem, przekręciłem klucz w zamku. Na wszelki wypadek.

– Może.

– Boisz się mnie, a jednocześnie jesz posiłki, które dla ciebie gotuję. Nie widzisz w tym sprzeczności?

– Gdybyś mnie otruła, byłabyś jedyną podejrzaną, a nie posądzam cię o taką głupotę.

Zachichotała. W tej chwili prawie byłem gotów ją polubić, prawie widziałem w niej kobietę podobną do Ali – kogoś, z kim czułem się na tyle swobodnie, że mogłem pozwolić sobie na żarty nawet z tych najważniejszych kwestii.

– Jeśli chcesz, będę podawać ci tylko gotowane jajka. Opowiadałeś mi kiedyś o książce, której bohater bał się otrucia, więc jadł tylko jajka, bo ich nie da się zatruci bez naruszenia skorupki.

– Pamiętasz, gdzie ci o tym mówiłem?

– W hotelu w Taorminie, podczas śniadania – odparła bez namysłu. – Wzięłam wtedy jednego tosta i trzy jajka na twardo, a ty zacząłeś ze mnie żartować.

Tym razem trafiła w dziesiątkę. O czym to świadczyło? Że była prawdziwą Julią, a ja miałem halucynacje, bo widziałem jej martwe ciało na podłodze salonu w Samotni? A może raczej Julia Pierwsza pozostawała w kontakcie z Julią Drugą przez cały czas naszej podróży po Włoszech? Komu człowiek się zwierza z takich głupstw jak poranna rozmowa o zatruciu jajek i starych kryminalach?

Dobiegający z krzaków bolesny pisk zasygnalizował, że kolejna nornica zakończyła życie za sprawą jednego z naszych kotów. Wzdrygnąłem się, Julia Druga położyła dłoń na moim ramieniu.

– Nadal mi nie ufasz, prawda?

– Nie.

– Cokolwiek o mnie myślisz, nie jestem twoim wrogiem.

Co to właściwie miało być? Pośrednie przyznanie, że owszem, nie jest prawdziwą Julią, a jednak nie zamierza mnie skrzywdzić?

– Ale nie jesteś ze mną szczerą, prawda?

– A ty jesteś ze mną szczery?

– Jasne, że tak. Wiesz o mnie wszystko. Ja nie mam nawet pojęcia, jak się nazywasz ani jak wyglądasz.

Westchnęła i poszła w stronę domu. Wróciła po chwili: znów ciche, miękkie kroki, zapach dymu i jałowca, cien przesłaniający światło. Czekałem, bo co innego mogłem zrobić. Niewidomi są naprawdę nieźli w czekaniu.

– Posłuchaj tego: „W salonie leżało ciało młodej blondynki uduszonej krawatem w absurdalne różowe słonie. Na widok tych słoni Wolczak pomyślał, że trzyma go jeszcze delirka z poprzedniego dnia, ale nie, teraz miał tylko uczciwego kaca. Co swoją drogą nie wróżyło dobrze, kiedyś w takiej sytuacji zdarzyło mu się zwymiotować na zwłoki. Nieważne, stare dzieje. Dziś to on będzie górą, a nie mdłości. Obejrzał uważnie ofiarę, zarejestrował zadartą niemal do pasa sukienkę i stopę, z której spadł but”. Kojarzysz, co to?

– Nie.

– Naprawdę? Występuje tam twój bohater, komisarz Wolczak.

– O co ci właściwie chodzi?

– To twoja książka, Leon. Pierwsza, zatytułowana *Uciekaj albo giń*. Zdjęłam ją właśnie z półki i przeczytałam fragment. Poważnie go nie pamiętasz?

Potrząsnąłem głową. Może to się wydać dziwne, ale po roku, najdalej dwóch od wydania zapominam większość swoich tekstów. Pamiętam pomysł na intrygę, główną postać, czasem jakieś charakterystyczne sceny, które przy pisaniu sprawiły mi najwięcej frajdy albo odwrotnie, najwięcej trudności, jednak szczegóły szybko zaczynają się zacierać. Zupełnie jakby nowe powieści wypychały z pamięci stare, które z chwilą, gdy je kończę, przestają być ważne. *Uciekaj albo giń* pisałem jak w amoku tamtej ciepłej wiosny pod koniec studiów. Zarywałem noce, podczas gdy słowa wypływały ze mnie niepowstrzymanym strumieniem – nigdy wcześniej ani później nie doświadczyłem czegoś, co byłoby do tego stopnia przerażające i cudowne jednocześnie. Kolejne książki, pisane już na spokojnie, mają zdecydowanie lepiej dopracowane intrygi, ale nawet moi krytycy przyznają, że w *Uciekaj albo giń* są świeżość i energia, których trochę brakuje późniejszym powieściom. I tak, opisałem tam uduszoną dziewczynę, pierwszą ofiarę seryjnego mordercy o przezwisku Krawaciarz.

Jak mogłem o tym zapomnieć?

– Nie rozumiem... – szepnąłem, bo to wszystko nie miało najmniejszego sensu. Julia zginęła jak postać w książce, którą napisałem dziesięć lat wcześniej. Albo ja oszalałem, albo cały świat, pomyślałem. Nie wiem, co byłoby gorsze.

– Mogę ci zadać pytanie?

Nie odpowiedziałem. Z doświadczenia wiem, że ktoś, kto zagaduje w ten sposób, i tak to pytanie zada.

– Jaka jest najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś?

– Co masz na myśli?

– No wiesz, coś naprawdę złego.

– W piątej klasie podstawówki wysłałem mojej nauczycielce angielskiego anonimowy list, w którym groziłem jej śmiercią. Domyśliła się oczywiście, że to ja. Musiałem przeprosić, a ona oddała mi list pokreślony czerwonym długopisem. W zdaniu I will kill you, stupid beach zaznaczyła beach i dopisała, że chyba nie tego słowa chciałem użyć.

Wyobraziłem sobie, że Julia Druga uśmiecha się lekko w ciemności, ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał poważnie.

– Nie mam na myśli takich szczeniackich zagrywek, tylko coś... poważnego.

Westchnąłem. W przedszkolu ukradłem koleżdze figurkę He-Mana, schowałem ją do kieszeni kurtki i poszedłem z mamą do domu. Po drodze dopadł mnie strach, co będzie, gdy rodzice znajdą tę figurkę i zapytają, skąd ją wziąłem, w końcu więc, spanikowany, wrzuciłem He-Mana do kosza na śmieci przed sklepem, gdy mama kupowała mi lizaka. Męczyła mnie potem nie sama kradzież – choć nawet w wieku pięciu lat wiedziałem, że to coś złego – ale fakt, że przez moją głupotę ulubiona zabawka skończyła zapomniana na wysypisku, a Tomek nigdy się nie dowiedział, co się z nią stało. Dziesięć lat później wybrałem pójście z kolegami do kina zamiast wizyty w szpitalu, gdzie umierała moja babcia. Rok temu minąłem starszego mężczyznę leżącego na ławce na przystanku: noc była ciepła, a facet najprawdopodobniej pijany, ale i tak powinienem zatrzymać się i sprawdzić. Drobne akty tchórzostwa i egoizmu, jakie zdarzają się każdemu z nas. Julii Drugiej nie chodziło o nic takiego, ona mówiła o czymś poważnym. Pod tym względem jednak sumienie mam czyste. W szkole nikogo nie prześladowałem, nawet z nikim się nie biłem – jako naczelnik klasowy wesołe konflikty rozwiązywałem, robiąc z siebie idiotę, a nie używając pięści. W dorosłym życiu nie kradłem, nie oszukiwałem, nie hejtowałem ludzi przez internet i nie gnoić młodych autorów, którzy przychodzili do mnie ze swoimi pierwszymi tekstami. Z Alą umówiliśmy się, że przed ślubem możemy pozwolić sobie na jednorazowe eksperymenty, ale po już nie – i ja słowa dotrzymałem.

Byłem miłym dzieciakiem i wyrosłem na miłego faceta. Może dlatego wciąż czuję się bezpiecznie w towarzystwie Julii Drugiej. Po prostu mój mózg nie dopuszcza do siebie myśli, że ktokolwiek mógłby chcieć mnie skrzywdzić, bo przecież nikomu nie dałem do tego powodu.

Otwierałem już usta, żeby to wszystko powiedzieć, ale ostatecznie potrząsnąłem tylko głową.

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zrobił coś naprawdę złego.

– A ja owszem. Kiedyś... naprawdę kogoś skrzywdziłam. Tak, że nie można już było tego w żaden sposób naprawić. To nie był nikt bliski, nawet tego człowieka nie lubiłam, ale wyrzuty sumienia prawie mnie wykończyły. Poczuć winy to straszna rzecz.

– I co zrobiłaś?

– Odpokutowałam. To jedyne, co można w takiej sytuacji zrobić.

Wreszcie mnie oświeciło, do czego ona zmierza.

– Myślisz, że udusiłem kiedyś jakąś dziewczynę, a potem opisałem to w książce. Jezu.

– Zrobiłeś to?

– Nie. Serio uważasz, że jestem porąbanym psychopata?

– Nie mówię o byciu psychopata. Mówię... o czymś w rodzaju tragicznego wypadku. Może o zabawie, która skreśliła w złą stronę. Sam przecież powiedziałeś, że po alkoholu często urywa ci się film.

– Ale przecież nie do tego stopnia! Na litość boską... – Z wrażenia plątał mi się język. Owszem, kiedy za dużo wypiję, urywa mi się film, jednak nawet wtedy nikt nigdy się na mnie nie skarżył. Najczęściej po alkoholu mówię zbyt głośno i zbyt głupio, macham rękami jak wariat i wpadam na krzesła, a potem zasypiam gdzieś w kącie. I tyle. Najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem po pijaku, było nasikanie do wanny na studenckiej imprezie.

– Gdyby coś takiego się zdarzyło – głos Julii Drugiej brzmiał cicho, kojąco – myślę, że ludzie by zrozumieli. To nie było zabójstwo z premedytacją, tylko wypadek, a ty byłeś bardzo młody. Dzieci ocenia się inaczej niż dorośli, dzieci robią głupstwa i czasem te głupstwa kończą się tragedią. Jeśli teraz się przyznasz...

– Co ty pierdolisz?! – Zerwałem się z leżaka, mrok wokół mnie pulsował złością czerwoną jak ogień. Zatoczyłem się, przez moment wyglądało na to, że przewrócę się w otaczające taras krzaki jak za dawnych czasów, gdy dopiero uczyłem się poruszać w ciemności, a moje obolałe ciało co chwila odmawiało posłuszeństwa. Jakimś cudem zdołałem jednak utrzymać równowagę. – Próbujesz odgrywać przede mną dobrego gliniarza? Te wszystkie sentymentalne bzdety mają mnie skłonić do przyznania? A myślałem, że nie czytasz kryminałów.

– Twoje kryminały znam prawie na pamięć.

– Kim ty, kurwa, naprawdę jesteś? – Rzadko używam brzydkich słów. Jak już mówiłem, jestem miłym facetem, ale nawet mili faceci czasem się irydują. – Jak się nazywasz?

– Julianna Potocka.

Sapnąłem. A tak dobrze nam szło. Naprawdę wydawało mi się, że zaczynamy dochodzić do czegoś w rodzaju porozumienia.

– Idę spać – oznajmiłem.

Udało mi się opuścić taras z godnością, co w mojej sytuacji oznacza, że nie potknąłem się ani nie walnąłem nosem w zamknięte drzwi.

## NAGRANIE 28

Dzisiaj jest dzień pogrzebu Ali. Pójdę na niego w jedynym garniturze, jaki mam, tym samym, który włożyłem na nasz ślub. Z Julią Pierwszą nie zawracaliśmy sobie głowy takimi głupstwami jak garnitury czy białe sukienki. Gdy żeniłem się po raz drugi, miałem na sobie džinsy i tiszert z Baby Yodą. Pamiętam pełne dezaprobaty spojrzenia prowadzącej ceremonię urzędniczki. Jej nieme oburzenie bardzo nas wtedy rozbawiło. Zresztą tamtego wieczoru wszystko wydawało nam się zabawne: para starszawych Włochów kłócących się w restauracji z teatralną emfazą ludzi, którzy od tak dawna odgrywają swoje role, że sami już nie biorą ich na poważnie, zakonnica ukradkiem paląca papierosa w cieniu bramy, nawet chudy, na oko dziesięcioletni dzieciak wyprowadzający psa wielkości małego cielaka. Może to nie chłopak wyprowadza psa, tylko pies wyprowadza chłopaka, powiedziała Julia, a ja nie mogłem przestać się śmiać. Tamten wieczór miał w sobie magię, czułem ją wibrującą wokół, gdy szliśmy ulicami Mediolanu, trzymając się za ręce niczym para zakochanych nastolatków.

– Pamiętasz tego chłopca z psem, którego widzieliśmy po drodze z konsulatu do hotelu? – zagadnąłem Julię Drugą przy wczesnym śniadaniu. – Co wtedy powiedziałaś?

– Leon, proszę.

– Pamiętasz? Pies był bardzo duży, a chłopiec mały i chudziutki.

– Co to da, jeśli odpowiem prawidłowo? Przecież i tak nie uwierzysz, że jestem twoją żoną.

Oczywiście miała rację.

Dochodzi ósma rano – dla pisarza przyzwyczajonego do wstawiania o późniejszych porach barbarzyńska godzina. Za chwilę Julia Druga przyjdzie i pomoże mi włożyć garnitur, a potem zawiąże krawat. Zwyczajny szary krawat, stosowny dla poważnego mężczyzny po trzydziestce. Czy kiedykolwiek miałem inny? Na przykład krawat w różowe słonie? Coś takiego chłopak mógłby dostać na osiemnastkę, bardziej w ramach żartu niż prawdziwego prezentu. Gdyby któryś z moich kolegów wykazał się tak kiepskim gustem, prawdopodobnie upchnąłbym krawat głęboko w szafie i zupełnie o nim zapomniał.

Na schodach słyszę kroki, muszę więc kończyć. Boję się tego dnia, taka jest prawda.

## NAGRANIE 29

We Wrocławiu jak zwykle był korek i nim dotarliśmy do przy Cementarnej kaplicy na Sępólnie, spływałem już potem. Pogrzeby powinny odbywać się jesienią, w zacinającym deszczu, przed którym żałobnicy chronią się pod stosownie czarnymi parasolami. Nie w czerwcu, gdy z nieba leje się żar. Ala wybrała sobie fatalny miesiąc na bycie zamordowaną. Zupełny brak wycucia, pomyślałem, wysiadając z naszego forda focusa, i ledwo powstrzymałem histeryczny chichot.

– Załóż to. – Julia Druga podała mi maseczkę.

Ceremonia zdawała się ciągnąć w nieskończoność, ktoś po mojej lewej stronie zanosił się kaszlem, jakieś dziecko płakało i płakało, aż rozboleła mnie głowa. Ksiądz mówił o zmarłej w samych superlatywach, pomijając jednocześnie okoliczności jej śmierci, jakbym trafił na nabożeństwo żałobne po jakiejś zupełnie innej Alinie, która miała anielski charakter i zginęła tragicznie w zwyczajnym wypadku. Moja Ala należała do tych energicznych, zawsze pełnych pomysłów osób, które potrafią pociągnąć za sobą ludzi, ale nie lubią, gdy coś idzie nie po ich myśli. Upraszczać, była miłutka, jeśli jej na tym zależało, czasem jednak wychodziła z niej prawdziwa zoła. I moja Ala nie zginęła w wypadku, tylko została brutalnie zamordowana. Być może przez kogoś, kto siedział teraz niedaleko. Julia Druga szepem opisała mi obecnych w kościele żałobników. Matka Ali, jej ojczym i przyrodnia siostra, dwie kuzynki, jedna samotna, druga z mężem i dzieckiem – prawdopodobnie to właśnie ono przyprawiło mnie o ból głowy – starszawa ciotka, kilka koleżanek, których na podstawie skąpego opisu nie mogłem zidentyfikować: pewnie z pracy albo jeszcze z czasów studiów. I przyjaciele, do niedawna moi i Ali, a teraz już tylko Ali. Nie musiałem nawet pytać, czy od czasu do czasu na mnie patrzają: czułem na sobie ich wzrok, słyszałem szepty za plecami: „To Leon, wygląda fatalnie”. „Miał wypadek, jakoś tak wiosną, nie wiedziałaś? Stracił wzrok”. „Biedaczek. A ta blondynka to kto?” „Nie wiem, chyba jego żona. Ala wspominała, że ożenił się drugi raz”.

Miałem ochotę wstać i zacząć wrzeszczeć. Na dawnych znajomych, żeby się zamknęli, i na księdza, żeby przestał pierdolić głupoty i po prostu pochował Alę. Chciałem mieć to wszystko za sobą i wracać do domu.

Gdy wyszliśmy z kaplicy – ja jak zwykle oparty o Julię Drugą – ktoś złapał mnie pod wolne ramię. Zamierzałem zaprotestować, w porę jednak się zorientowałem, że to moja matka.

– Dobrze się czujesz? – mruknęła.

– Nie, mam, nie czuję się dobrze.

– Wiem. – Współczująco ścisnęła mój łokieć. – Ja i tato też nie możemy przestać myśleć o Ali. O tym, co ją spotkało. Ale podobno policja ma już pomysł, kto mógł jej to zrobić.

– Naprawdę?

– Tak. Wczoraj przyszedł do nas taki jeden miły człowiek w mundurze, bardzo młody, zadał trochę pytań, a potem powiedział, że bym się nie martwiła, bo wszystko jest na dobrej drodze. To znaczy, że niedługo złapią mordercę, prawda?

Nieprawda, pomyślałem, ale moja matka tak desperacko potrzebowała pocieszenia, że odruchowo skinąłem głową. Uścisnęła mnie raz jeszcze i zniknęła.

Przetrawiałem ten dzień tylko dzięki Julii Drugiej. To ona poprowadziła mnie na cmentarz, a potem podtrzymała, gdy staliśmy nad świeżo wykopany grobem. Duszący zapach kwiatów uświadomił mi, że zapomniałem kupić wiązankę pogrzebową. Inna rzecz, że nawet gdybym o niej pamiętał, nie wiedziałbym, jaki napis zamieścić na wstędze. „Kochanej ekszonce od eksmęża”? Jakie zasady savoir-vivre’u obowiązują podczas pogrzebu byłego małżonka? Podobnie niezręcznie musieli czuć się członkowie mojej rodziny. Nie wiem, ilu ich się zjawilo; oprócz głosów rodziców wychwyciłem w tle głosy Anety, jej mamy – która przyjaźniła się z mamą Ali, a nawet Piotrka. Być może ktoś jeszcze z moich krewnych wpadł, żeby złożyć kondolencje. Przyszli nie dlatego, że Ala do niedawna była moją żoną, ale dlatego, że znali ją przez dwadzieścia lat, a takich więzów nie zrywa się łatwo.

W gardle narastała dławiąca kula żalu, frustracji i niejasnejłości na Alę za to, że mnie porzuciła, jakby ta jedna jedyna decyzja doprowadziła nas do punktu, w którym się znaleźliśmy: ona w grobie, ja niewidomy, z obcą kobietą u boku. I nadal nie znałem odpowiedzi na pytanie: dlaczego?

Gdy ucichły słowa ostatniej modlitwy, poprosiłem Julię Drugą, by zaprowadziła mnie do rodziców Ali. Nie wiem, czy moje kondolencje zabrzmiały pokrzepiająco. Wątpię, czy w tej sytuacji jakiegokolwiek słowa mogłyby tak zabrzmieć. Dlatego tak bardzo nie znoszę pogrzebów: udajemy, że znajdujemy pociechę w rytuałach, kiedy tak naprawdę żadnej pociechy nie ma i nie może być.

Moja ręka zawisła w powietrzu. Czekałem, niepewny, i kiedy chciałem już się cofnąć, ktoś ją chwycił i przyciągnął mnie do siebie. Ojczym Ali czy jej matka? Oboje byli wysocy i postawni. Zapach wody po goleniu sugerował męźczyzną.

– Nie powinieneś być jej zostawiać – syknął mi w ucho męski głos. A więc zdecydowanie ojczym. – Przez ciebie umarła.

Gdzieś z boku dobiegł rozzdzierający szloch. „Wyglądała w trumnie jak panna młoda”, powiedziała matka Ali. „Włożyliśmy jej sukienkę, w której szła do ślubu...”

Nie miałem pojęcia, kto tak płacze, czy matka Ali rozmawia ze mną czy może z kimś zupełnie innym, ani czy jej ojczym wciąż jest gdzieś w pobliżu i czeka na moją odpowiedź. Pociłem się tylko coraz bardziej, aż wreszcie jakaś litościwa dusza odciągnęła mnie na bok.

– Cześć, Leon.

Napięcie w jednej chwili zelżało, zdobyłem się nawet na coś w rodzaju smutnego uśmiechu. Zawsze lubiłem młodszą siostrę Ali. Marysia dorastała na moich oczach, zmieniając się z puciołowatego malucha w dziewczynkę z kucykami, potem w przyklejoną do komórki nastolatkę, a wreszcie w eksperymentującą ze stylem studentkę. Gdy ostatni raz ją widziałem, miała wygolone pół głowy, a włosy na drugiej połowie zafarbowała na intensywnie niebieski kolor. Od tej pory mogła kilka razy zmienić wygląd, ale – uświadomiłem to sobie z lekkim ukłuciem w sercu – dla mnie zawsze, niezależnie od upływu czasu, będzie tamtą dziewiętnastolatką z włosami w kolorze chabrów.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy zarzuciła mnie pytaniami.

– Co ci powiedział mój tata? Że to przez ciebie Ala zginęła?

– Że nie powinienem być jej zostawiać. Ale to ona zostawiła mnie.

– Wiem.

Powiedziała to tak, jakby naprawdę wiedziała. Zastanowiłem się. Pomiedzy Alą a Marysią była spora różnica wieku, miały zupełnie innych znajomych i czasem nie widywały się przez kilka miesięcy z rzędu, a jednak łączyła je silna siostrzana więź – gdy już się spotkały, rozmawiały ze sobą tak, że ja, który znałem je obie od lat, czułem się wykluczony z tego kręgu wzajemnej bliskości. Czy Ala zwierzała się siostrze z małżeńskich problemów? Rok temu powiedziałbym, że to mało prawdopodobne: Marysia wydawała się zbyt młoda na rolę powierniczki. A jeśli tak? Ostatecznie studentce można już powiedzieć, że zdradza się męża i chce się z nim rozwieść.

Wyciągnąłem rękę, trafiłem na ramię i zacisnąłem palce. Staram się tego nie robić, wiem, że takie gwałtowne ruchy straszą ludzi. Bałem się jednak, że Marysia zniknie gdzieś między żałobnikami, że za chwilę rozdzieli nas wychodzący z cmentarza tłum.

– Musimy porozmawiać – wysapałem. – Proszę.

– O Ali?

– O Ali, tak.

– No to na stypie możemy, nie? Będziesz tam?

– Nie. – To już wydawało mi się przesadą. Były mąż z nową żoną nie pasował do towarzystwa pograżonych w rozpacz członków rodziny i przyjaciół. – Wiem, że to nie jest dobry moment, ale może później... – Urwałem zakłopotany.

Marysia milczała.

– Teraz. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to teraz. Wcale nie mam ochoty iść na tę stypę. Nie chcę łać łez na kołteta i słuchać, jak mówią o Ali... Cały ten pogrzeb to jakiś koszmar. – W jej głosie zdrzżała złość niepokojąco podobna do rozpacz tak czystej i ostrej, że cięła ciało aż do kości. – Zabierz mnie stąd, proszę. Mogę cię potem odwieźć do Samotni, a twoja żona wróci sama.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – mruknąłem. – Twój rodzice...

– Będą wściekli, wiem. Mam to gdzieś.

Cała Marysia, pomyślałem. Przyrodnia siostra Ali była inteligentną, sympatyczną dziewczyną, ale była też rozpuszczonym dzieciakiem bogatych rodziców, od małego przyzwyczajonym, że zawsze stawia na swoim. Wiedziałem, że teraz, kiedy już wpadła na ten pomysł, urwie się ze stypy z moją pomocą czy bez. Rodzice prawdopodobnie porządnie ją potem obsztorcują, ale co mnie to właściwie obchodziło?

Skinąłem głową. Marysia poszła pogadać z Julią, ja czekałem. Podeszło do mnie kilka osób z dawnych czasów: Krzysiek z Justyną – gdy uścisnęliśmy się na powitanie, wyczułem u niej ciężowy brzuch – Sławek, Anka z Kornelią. Wszyscy mówili to samo, jakby odgrywali role, czytając z tego samego, zużytego już skryptu. To straszne, co stało się z Alą, i czy to prawda, że ja znalazłem ciało. Pytali, co u mnie, opowiadali, co u nich, wszystko w pośpiechu, skrótowo, z poczuciem lekkiego skrępowania, jakie cechuje ludzi spotykających się po latach. Trudno było uwierzyć,



że jeszcze rok temu tworzyliśmy paczkę zgranych przyjaciół. Próbowałem przypomnieć sobie coś z atmosfery, jaka nas łączyła: wspólne moknięcie w deszczu na tatrzańskich szlakach i wypadki na piwo, wygłupy Anki i Kornelii, które pozwalały podrywać się przypadkowym facetom, a potem całowały się demonstracyjnie, Sławek oszukujący w Osadników z Catanu i my, nieco bardziej niż trochę pijani, protestujący ze śmiechem. Widziałem każdą z tych scen tak wyraźnie, jakbym miał przed oczami zdjęcie, ale ciepło nadające sens naszej znajomości gdzieś uleciało.

Marysia wróciła, wzięła mnie pod rękę i poprowadziła do samochodu. Pojechaliśmy do parku Wschodniego, gdzie wreszcie mogłem zdjąć garnitur. Musieliśmy wyglądać dziwnie: dwie osoby w żałobnych strojach, siedzące na trawie pośród goniących za frisbee psów, wrzeszczących dzieciaków i piknikujących dorosłych, ale nawet jeśli ktoś patrzył na nas z dezaprobata, ja tego nie widziałem. Bycie niewidomym ma jednak pewne zalety.

– Pójdę po lody, chcesz też? – Marysia podniosła się, ledwo zdążyła usiąść. Wyczuwałem w niej skondensowaną mroczną energię, która w każdej chwili groziła wybuchem.

– Jeśli nie trzeba ich jeść łyżeczką, to tak. – Grzebanie plastikowym sztućcem w papierowym pucharku najprawdopodobniej skończyłoby się katastrofą dla mojej eleganckiej białej koszuli.

– Jakiś konkretny smak?

– Wszystko jedno.

Wróciła po chwili i włożyła mi w dłoń zimny wafelek. Lody były bardzo słodkie i bardzo czekoladowe – ze wszystkich smaków akurat za tym nie przepadam, ale nie wypadało marudzić.

– Jak twoi rodzice sobie radzą? – zapytałem.

Marysia wzruszyła ramionami – a przynajmniej to właśnie sobie wyobraziłem.

– Kiepsko. Przeprowadziłam się do nich z powrotem, wiesz? Pomyślałam, że będzie łatwiej, jeśli pomieszkamy razem przez wakacje. Ale wcale nie jest. Komunikujemy się teraz pojedynczymi zdaniem: Idę do sklepu po mleko. Zjedz resztę zupy, do jutra się zepsuje. Czuję się, jakbym chodziła po polu minowym, bo cokolwiek powiem, jest źle. Mój ojciec nie chce rozmawiać o niczym, a mama najchętniej gadałaby tylko o Ali. Jak została przewodniczącą i zorganizowała w szkole coś tam, jak wygrała zawody w szóstej klasie, jak nie potrafiła nauczyć się gotować i wszystko przypalała, ale zawzięła się i w końcu nauczyła, bo przecież była taka ambitna, i jak pięknie wyglądała, kiedy szła na studniówkę. Mam tego dość. Ja też ją kochałam. Wszystko jest teraz takie... popieprzone. Popierdolone – poprawiła się, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że sytuacja wymaga mocniejszego określenia. – To, co było wcześniej, straciło sens, a z nowego, kurwa, jest tylko rozpacz. Rozumiesz?

– Chyba tak. – Podobnie czułem się po rozwodzie. Jakby ktoś wykopał mnie brutalnie z kolein starego życia i zostawił dryfującego w pustce, gdzie jedynym stałym punktem był ból.

Rozpląkała się wreszcie. Odruchowo chciałem ją przytulić, tak jak robiłem dawno temu, gdy odwiedzałem Alę, a Marysia z radosnym piskiem rzucała mi się w ramiona. Od tego czasu jednak mnóstwo wody upłynęło w Odrze, moja szwagierka dorosła, a ja przypadkiem mógłbym położyć rękę na jej piersi albo tyłku. Coś jeszcze mnie powstrzymało – niebezpieczeństwo, którego przez cały czas byłem świadomy. Marysia dzieliła ze starszą siostrą spory procent genów, fizycznie bardzo się różniły, ale może właśnie dlatego, że nie widziałem już jej twarzy, łatwiej wychwytywałem podobieństwa w tonie głosu, doborze słów czy zapachu. Nie była drugą Alą, oczywiście, że nie – najwyższej jej bladym echem, rozedrganym odbiciem w niespokojnej wodzie, czasem jednak, kiedy człowiek tęskni, to wystarczy. Dlatego gdy zaczęła płakać, nie zrobiłem nic. Siedziałem, trzymając w ręku rozmiękający wafelek, aż wydarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Cuchnący mięsem oddech owionął moją twarz, o policzek otarło się rozgrzane słońcem futro i nagle dłoń z wafelkiem została wchłonięta w ciepłą i wilgotną miękkość zębatego pyska. Nie zdążyłem nawet się wystraszyć, gdy pies uwolnił moją rękę, oblizawszy ją uprzednio starannie z resztek lodów.

– Cezar, co ty wyprawiasz? – Krzyk kobiety zabrzmiał nieprzyjemnie w moim uchu. Zwierzak trzepnął mnie jeszcze ogonem grubym i długim jak pejcz, po czym został odciągnięty przez panią. – Przepraszam najmocniej, on zazwyczaj nie robi takich rzeczy. Nie wiem, co mu strzeliło do głowy. Odkupię panu te lody...

– Nie trzeba.

– Jest pan pewny?

– Tak. – Z trudem zdobywałem się na uprzejmy ton. Chciałem, żeby zabrała psa, który wciąż zionął mi w kark ciepłym oddechem. Nigdy nie czułem się swobodnie w towarzystwie dużych zwierząt.

– Jeszcze raz przepraszam. – W głosie kobiety pojawił się chłód. Wyobraziłem sobie, jak musimy wyglądać w jej oczach. Niewidomy trzydziestolatek w spodniach od garnituru i białej koszuli, siedzący na trawniku w towarzystwie znacznie młodszej zapłakanej dziewczyny.

– W porządku.

Poszła sobie wreszcie, a Marysia zachichotała.

– Ala lubiła psy.

– Wiem. Namawiała mnie kiedyś, żebyśmy kupili sobie husky, którego mogłaby zaprząć do sanek. – Mój uśmiech wpadł w pustkę, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Marysia milczała. Słońce grzało mnie w kark, pokrzykiwały grające w piłkę dzieciaki, szumiała płynąca woda. Od strony ścieżki dobiegł chrzęst żwiru i strzęp rozmowy: „I wtedy jej powiedziałam, że dłużej tego nie zniosę, albo mnie przeprosi, albo...”. Dźwięki dryfujące wokół mnie samotnie w powietrzu, słowa pozbawione ciała, do których mógłbym je dopasować.

Wiedziałem, że za chwilę padnie pytanie, którego wcale nie chcę usłyszeć.

– Słuchaj, skoro już rozmawiamy... Co się tak naprawdę stało? Czemu się rozwiedliście?

– Myślałem, że ty mi to powiesz. Ja wiem tyle, że podobno nasze małżeństwo się wypaliło. I że Ala miała chanka.

– Nie miała. To znaczy... nie sądzę, żeby miała. Mnie powiedziała, że nie możecie już ze sobą być, tak po prostu. Sama się zorientowałam, że to była jej decyzja, a nie twoja czy wasza wspólna. Naprawdę mnie to trzępnęło. Zawsze uważałam was, no wiesz, za parę prawie idealną. Byliście dla mnie jak Anna Faris i Chris Pratt.

– Oni też się rozwiedli.

– Wiem. Nikomu już nie można ufać, co?

Uśmiechnąłem się, choć nie miałem pewności, czy to naprawdę żart. Zaczynałem czuć coraz większe zmęczenie – zbyt wcześnie dziś wstałem, a to był naprawdę trudny dzień. Ból głowy, który przycichł, gdy znaleźliśmy się w parku, odezwał się z nową siłą. I byłem głodny, co odkryłem z niejakim zdumieniem. Głodny i rozczarowany, bo ta rozmowa do niczego nie prowadziła.

– Wracajmy już. – Chciałem wstać, ale Marysia chwyciła mnie za rękę. Była niższa od Ali i drobniejsza, jednak dłonie miały podobne, wąskie, z długimi, silnymi palcami.

– Czekaj. Nie wiem, czy to ma coś wspólnego z rozwodem, ale chyba powinieneś się dowiedzieć.

– O czym?

– Ala była w ciąży. Powiedziała mi mniej więcej miesiąc przed tym, jak się rozstaliście.

Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie tego. Mniej by mnie chyba zaskoczyło, gdyby Marysia przyznała, że Ala faktycznie spotykała się z jakimś gangsterem.

Moja żona. W ciąży. Przez moment, kompletnie ogłupiony, wyobraziłem sobie, że Ala urodziła – w marcu albo kwietniu, kiedy leżałem w szpitalu – i nikt mi o tym nie powiedział. To jednak nie miało sensu, dowiedziałbym się przecież o czymś tak ważnym.

– I co się stało? – Brnąłem przez tę rozmowę niczym Indiana Jones idący na czworakach przez rozpadający się most: jeden nieostrożny ruch i runę w ciemność. – Poroniła?

– Przerwała ciążę. Poprosiła, żebym jej załatwiła tabletki. Mam swoje kontakty, przecież wiesz.

Wiedziałem. Marysia już w liceum angażowała się w ruchy pomagające kobietom, podpisywała petycje i chodziła na marsze protestacyjne. Jej Facebook, odkąd pamiętam, pełen był dramatycznych wiadomości o ofiarach prawa antyaborcyjnego, które sąsiadowały z wielkookimi, zbierającymi na operacje dziećmi i nieszczęśliwymi starymi psami.

Skronie mi pulsowały, jakby ktoś ścisnął je rozgrzanymi obcęgami. Nie miewam migren, w całym moim trzydziestokilkuletnim życiu głowa bolała mnie mocno tak naprawdę tylko raz, tuż po wypadku, kiedy obudziłem się w szpitalu i miałem wrażenie, że żadna część ciała nie funkcjonuje prawidłowo. Teraz wróciło tamto poczucie bezradności i przerażenia.

– Nie rozumiem. – Ostrożnie, krok za krokiem. Gdzieś w tym wszystkim musiał być jakiś sens. – Ala nie chciała tego dziecka?

– Nie wiem. Na początku wyglądało na to, że chce, ale potem się rozmyśliła. Nie pytałam. To jej sprawa. Tylko... no wiesz, to było tak cholernie dziwne.

– Kiedy ci powiedziała o ciąży?

– Nie powiedziała, tylko napisała. Piętnastego sierpnia. Mogę ci pokazać... A nie, sorry.

– Nieważne. Wierzę na słowo.

– W każdym razie dostałam od niej wiadomość, cytuję: „Zdradzę ci tajemnicę, chcesz? Chyba jestem w ciąży. Ale na razie nikomu nie mów, bo to jeszcze nic pewnego, OK?”. Na końcu emotka z uśmiechniętą buźką.

Na razie nic nie mów. Uśmiechnięta buźka. Odpadało więc wyjaśnienie, że moja żona została zgwałcona i dlatego przerwała ciążę. Chciała tego dziecka, przynajmniej na początku. A potem się rozmyśliła.

– Zadzwoniła do mnie jakieś dwa tygodnie później i poprosiła, żebym załatwiła jej tabletki. Sama nie wiem, co sobie wtedy pomyślałam. Że w pierwszych badaniach wyszła jakaś paskudna wada i dlatego Ala postanowiła usunąć?

Chyba coś w tym rodzaju. W każdym razie nie chciała o tym rozmawiać. O rozwodzie dowiedziałam się we wrześniu, mniej więcej wtedy też się połapałam, że ty najwyraźniej nie masz pojęcia o ciąży, i to już mnie zdziwiło.

Potarłem czoło.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś? Kto jeszcze wiedział? Twoi rodzice?

– Tylko ja, a z tobą po rozwodzie już się nie widziałam. Zresztą nawet gdybyśmy się spotkali i tak bym ci nie powiedziała. To sprawa Ali – powtórzyła.

– Ale teraz mówisz.

– No. – Zaokrąglona samogłoska wybrzmiała poczuciem winy. – Na wszelki wypadek, gdyby tamta aborcja miała coś wspólnego z jej śmiercią. Nie wydaje mi się, żeby miała, ale to wszystko jest takie...

– Cholernie dziwne – użyłem jej własnego sformułowania.

– *Yup*. – Wyczułem, że Marysia uśmiecha się lekko. Możliwe jednak, że tylko mi się zdawało, w końcu od dawna żyłem w świecie złudzeń.

Dlaczego Ala zdecydowała się przerwać ciążę? Bo wiedziała, że nie zamierza ze mną zostać, a nie chciała wychowywać dziecka samotnie? Bzdura, co jak co, ale bycie samotną matką z pewnością by jej nie odstraszyło. Zresztą na pewno zdołalibyśmy się jakoś porozumieć. Jestem ugodowym człowiekiem. Może nawet zbyt ugodowym. Moja była żona często wypominała mi tę właśnie cechę. „Powinieneś walczyć o swoje. Na litość boską, czemu nie negocjowałeś tej umowy? Nie podpisuj wszystkiego, co ci podsuwają pod nos”. Gdybyśmy mieli dziecko, zgodziłbym się na każde postawione przez nią warunki, byleby tylko nie tracić z nim kontaktu. Ala doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Oczywiście istniała możliwość, że dziecko nie było moje. A jeśli tak, to czyje? Tajemniczego kochanka Schrödingera, którego nikt nigdy nie widział? I co to właściwie by zmieniło? Ala starała się zająć w ciążę, odkąd skończyła trzydzieści lat. Nie opowiadała banałów o tykającym zegarze biologicznym, widziałem jednak wyraźnie, jak bardzo rozczarowuje ją każda nieudana próba. Chciała być matką, a skoro i tak zdecydowała się na rozstanie ze mną, dlaczego nie miałyby urodzić dziecka innego faceta?

– Wszystko w porządku? – Głos Marysi, ciepły i miękki jak trawa, na której siedzieliśmy. Dotyk jej palców na mojej dłoni, tak przelotny, że równie dobrze mogło to być muśnięcie motyli skrzydeł.

– Nie wiem. Podrzucisz mnie do Samotni?

– Jasne.

Zawiozła mnie do Samborowiczek, wygłaszała koty – każdy facet prędzej czy później przegra z futrzakiem, pomyślałem – po czym zapytała, czy sobie poradzę, skoro Julia najwyraźniej jeszcze nie wróciła.

Zapewniłem ją, że nie ma problemu. Kiedy znalazłem się w domu, odzyskałem odrobinę energii, a gdy Marysia odjechała i mogłem wreszcie zdjąć buty, spodnie oraz przepoconą koszulę, poczułem się jeszcze lepiej. Wziąłem tabletkę na ból głowy i zjadłem resztkę wczorajszego gulaszu, który znalazłem w lodówce – na zimno, bo odpalania kuchenki wolałem nie ryzykować – po czym zadowolony z mojej samodzielności, usiadłem na tarasie.

Wszystko to musiało się zdarzyć jakieś cztery, pięć godzin temu. Na ramionach czuję chłód naciągającego wieczoru, świerszcze w trawie grają tak głośno, że prawie zagłuszają szum samochodów przejeżdżających od czasu do czasu obok Samotni. Żaden z nich nie zwolnił, nie skręcił i nie przejechał przez bramę.

Julia Druga wciąż nie wróciła do domu.

## NAGRANIE 30

Poranek dnia następnego. Nadal jestem sam. Z pralki wysypują się ubrania, ale nie mam odwagi jej włączyć. Na śniadanie zjadłem chleb z musztardą, bo tylko ją udało mi się zidentyfikować po zapachu. Znalazłem też słoje z kocimi chrupkami i nakarmiłem zwierzaki, które ocierały się niespokojnie o moje nogi. Obok słoja stoją ułożone w schludny stosik puszki, niewielkie i okrągłe.

– Zatrzymamy je na czarną godzinę – powiedziałem. – Kiedy zaczniemy umierać z głodu, otworzymy jedną z nich. Jeśli okaże się kocią karmą, będzie dla was, a jak pasztetem, to dla mnie.

Od strony podłogi dobiegło natarczywe miauknięcie.

– No dobrze, pasztetem też się podzielę.

Fantazuję, że Julia Druga nie wraca, a ja idę w stronę wsi, wymacując przed sobą drogę długim kijem, chudy i w łachmanach niczym ślepy wędrowiec z dawnych opowieści. To oczywiście bzdura – w Samotni jest wystarczająco dużo czystych ubrań i jedzenia, którego nie trzeba gotować, żebym mógł we względnym komforcie wytrzymać dwa czy trzy dni, a w tym czasie ktoś z pewnością zadzwoni: moja matka, Aneta, Piotrek. Ktokolwiek. Zresztą sam mogę skontaktować się ze światem. Poza tym jakaś część mnie, prawdopodobnie ta sama, która bawi się wymyśleniem opowieści, czerpie przyjemność z całej tej sytuacji. Jestem jak dziecko, które pierwszy raz zostało w domu bez rodziców – opuszczona przez Julię Drugą Samotnia nabrała rysu niepokojącej i jednocześnie fascynującej obcości. Pod bosymi stopami wyczuwam chłód paneli i miękkość dywanów, tam, gdzie na podłodze kładą się plamy światła, słońce łaskocze mnie w łydki długimi ciepłymi palcami. Nasłuchuję kapania wody z niedokręconego kranu, buczenia lodówki i chrobotu kocich pazurków, gdy Puszek oraz Puszkin wchodzą i wychodzą przez otwarte na taras drzwi. Pachnie leniwym letnim dniem, drobinkami unoszącego się w powietrzu kurzu, świeżością niedawno szorowanych blatów i przyjaznym lądem. Część mnie, która lubi historie, pławi się w możliwościach: to przygoda, punkt zwrotny dla bohatera. Druga część, ta bardziej rozsądna, zastanawia się, gdzie zniknęła Julia Druga. Czy się o nią martwię? Jeszcze nie, to dorosła kobieta i zawsze sprawiała na mnie wrażenie osoby, która umie dbać o siebie.

Mimo to chciałbym wiedzieć.

## NAGRANIE 31

Nadal ani śladu Julii. Pogoda się popsowała – gdy nagrywam te słowa, o szyby dzwonią krople deszczu, jakby gromada urwisów rzucała w moje okno miedziakami. Czy to dobre porównanie? Kiedy ostatni raz widziałem jakieś miedziaki? Nieważne. Nadal nie odważyłem się włączyć pralki, za to otworzyłem puszkę, jedną z tych małych i okrągłych. Cokolwiek w niej było, pachniało dobrze, podzieliłem się więc pół na pół z kotami. Smakowało jak zwyczajna mielonka, ale na wszelki wypadek, gdy ktoś wreszcie wpadnie w odwiedziny, poproszę mojego gościa, by sprawdził nazwę tego specjału na etykiecie.

Humor mam gorszy niż wczoraj, może z powodu deszczu i wilgotnych podmuchów, które przesączają się przez szpary w oknach. A może dlatego, że Julii wciąż nie ma. Czy na pewno? Wyobrażam sobie, że Julia Druga jest w Samotni, tylko martwa, a nie żywa. Że krążąc po pokojach, potykam się o jej zwłoki tak jak wtedy, gdy potknąłem się o Alę. Całym ciężarem ciała spadam na to drugie ciało, zimne i stężałe. Twarz, którą zawsze odwracała ze śmiechem, jest nareszcie dostępna, mogę jej dotykać, ale teraz, teraz już nie chcę, zaczynam więc krzyczeć, wrzeszczę w panice, zdzierając sobie gardło. I nikt nie odpowiada, bo jestem przecież sam.

Czy wspominałem, że wyobraźnia to przekleństwo? Rozsądek jednak podpowiada, że to mało prawdopodobny scenariusz. Gdy wróciłem z Marysią, moja szwagierka sprawdziła dokładnie cały dom. Poza tym po wczorajszym upalnym dniu zwłoki wydzielałyby już nieprzyjemną woń rozkładu, a ja nie czuję nic oprócz dolatującego z kuwety smrodku. Puszek i Puszkina zazwyczaj załatwiają się na zewnątrz, ale w czasie deszczu żadna siła nie wyrzuciłaby ich do ogrodu. Jeśli do jutra nie przestanie padać, będę miał problem.

Uśmiecham się na myśl, że ostatecznie do wezwania pomocy może skłonić mnie nie głód, nie zwłoki w domu, tylko przepełniona kuweta.

Czy martwię się o Julię Drugą?

Teraz już tak.

## NAGRANIE 32

Telefon zadzwonił kilka minut temu, gdy próbowałem posprzątać rozsypane na kuchennym blacie płatki śniadaniowe. Chciałem przyrządzić je z resztką mleka. Jest pora kolacji, nie śniadania, w mojej sytuacji jednak człowiek nie może wybrzydzać.

Wytarłem rękę o spodnie i wyjąłem z kieszeni komórkę. Moja matka, pomyślałem, zgadując, kto może dzwonić. Z pytaniem, jak sobie radzę.

Pomyliłem się. To była Marysia.

– Cześć, trochę się o ciebie martwiłam. Julia wróciła?

– Nie. Jestem w domu sam.

– O kurwa. Mam przyjechać?

Tak, chciałem odpowiedzieć. Ktoś musi tu trochę ogarnąć i zrobić mi zakupy.

Nie, powinienem odpowiedzieć. Marysia miała dwadzieścia lat i lepsze zajęcia niż czyszczenie brudnego blatu czy kuwety u szwagra.

Milczałem.

– Przyjadę za godzinę, może półtorej. Jadłeś coś dzisiaj?

– Płatki śniadaniowe. I jakąś puszkę. Może kocią, nie jestem pewny. – Wiedziałem doskonale, że właśnie biorę ją na litość. Że to paskudne zagranie, bo jeśli ktoś już musi zająć się mną i moim domem, powinna to być osoba z rodziny, a nie studentka, z którą oprócz zmarłej Ali nic tak naprawdę mnie nie łączy. Zdecydowanie jednak wolę towarzystwo Marysi niż matki czy Anety. A dziewczyna sama przecież twierdziła, że źle się czuje w domu z pogrążonymi w żałobie rodzicami.

Teraz czekam cierpliwie, głaszcząc kota. Deszcz przestał padać, uchyliłem więc drzwi na taras. Powietrze na zewnątrz pachnie mgłą. Chciałbym wyjść boso, poczuć pod stopami mokrą trawę i wypełzające spod ziemi zimne, śliszkie robale. Może to zrobię – w mitycznym kiedyś, gdy przestrzeń ogrodu stanie się równie bezpieczna jak wnętrze domu.

Na razie czekam.

### NAGRANIE 33

Marysia przywiozła gotowe lazanie, chleb tostowy, mleko, kawę, paczkę wędliny i słoik nutelli. O masle zapomniała. Rozbawiły mnie te studenckie zakupy, niemniej doceniłem szczerą chęć. Chciałem zwrócić jej pieniądze – o ile wejdzie na moje konto i sama sobie przeleje odpowiednią kwotę – ona jednak roześmiała się i powiedziała, że pomyślimy o tym później.

Odgrzane w mikrofalówce lazanie było tak gorące, że pierwszy kęs oparzył mnie w język.

– Może powinieneś zgłosić zaginięcie Julii? – zapytała Marysia, gdy odważyłem się włożyć do ust drugi. Przełknąłem.

– Może.

– Nie martwisz się?

– Trochę.

– Tylko trochę? Przecież to twoja żona. – W jej głosie zabrzmiała prowokująca nuta.

Ona wie, pomyślałem. Prawdopodobnie na pogrzebie – albo później – ktoś z mojej rodziny zdążył już ją uświadomić.

– Naprawdę?

– Aneta coś wspominała – bąknęła. – Serio uważasz, że jakaś zupełnie obca kobieta udawała twoją żonę?

– Tak.

– W takim razie gdzie jest prawdziwa Julia?

– Sam chciałbym wiedzieć. – Przegnałem z głowy obraz martwego ciała z zaciśniętym na szyi krawatem w różowe słonie. To nie mogło się zdarzyć, w każdym razie nie w marcu tego roku, skoro opisałem tę scenę dziesięć lat temu.

– Myślisz, że ta kobieta, kimkolwiek jest, zabiła Alę? – Marysia ożywiła się.

– Nie. Ala zmarła koło siódmej, może ósmej, tak twierdzi policja, a ja słyszałem Julię kręcącą się po domu już od szóstej. Wiedziałem, która jest godzina, bo obudziła mnie, włączając radio. Zazwyczaj o tej porze starałbym się jeszcze zasnąć, ale byłem umówiony, dlatego wstałem i zszedłem na dół. A ona wyszła dopiero przed dziesiątą.

– W takim razie po co... To nie ma żadnego sensu.

– Wiem.

Westchnęła, po czym zmieniła temat.

– Posprzątam tu, bo narobiłeś syfu.

– Dzięki. I przepraszam.

– Przecież to nie twoja wina.

Gdy skończyła, usiadła obok mnie na kanapie. Koty leżały między nami, pomrukując sennie, my milczeliśmy. To był jeden z tych momentów, kiedy bardzo brakuje mi sprawnych oczu. Z miny Marysi mógłbym wywnioskować, czy dziewczyna czuje się zdezorientowana, zaciekawiona czy może zaniepokojona. Albo cokolwiek innego. Z cizsy nie mogłem wnioskować nic.

– Ala wiedziała, że kobieta, z którą mieszkam, nie jest moją żoną – oznajmiłem wreszcie. – Nie uważała mnie za wariata.

– Ja też nie uważam cię za wariata.

Powiedziała to szczerze czy z uprzejmości? Nie mam pojęcia. Z głosu potrafię wyczytać znacznie mniej niż z twarzy. Czuję się czasem jak dorosły człowiek, którego siłą posadzono z powrotem w szkolnej ławce i kazano od nowa uczyć się podstaw.

– Pomożesz mi znaleźć Julię?

– Którą Julię? – Cień uśmiechu w jej głosie.

– Zacznijmy od tej drugiej. – Wyjąłem z kieszeni szortów komórkę. – Wybierzesz numer mojej matki? Może ona coś wie.

Mama odebrała błyskawicznie.

– Leon? Właśnie się zastanawiałam, czy nie zadzwonić. Wszystko u was w porządku?

Potwierdził, prosił ton jej głosu. Nie zniosę więcej złych wieści.

Tym razem nie mogłem zaoferować matce pocieszenia.

– Po pogrzebie Ali Julia nie wróciła do domu. Wiesz może, co się z nią stało?

– Jak to: nie wróciła?

– Zwyczajnie. Przyjechałem z Marysią, a jej nie było.

– Ale...

– Mamo, proszę. Odpowiedz na pytanie. Czy Julia na cmentarzu mówiła, że wybiera się gdzieś po pogrzebie?

– Nie. Zaproponowała, że odwiezie nas do domu, ale odmówiliśmy. W taką ładną pogodę chcieliśmy przejść się pieszo. – Wychwyciłem nutę poczucia winy. Bo poszła na spacer, kiedy Ala gniła już w ziemi? Ja w tym czasie jadłem lody, ale nie zamierzałem z tego powodu się zadręczać. W gruncie rzeczy to, co robiliśmy z Marysią w parku, nie było tak odległe od stypy, jak mogłoby się wydawać.

– Nic więcej nie wiesz?

– Nie. Leon, co się dzieje? Przyjechać do ciebie?

– Nie trzeba. Jest u mnie Marysia.

– Leon...

– Odezwę się, jak tylko będę coś wiedział. Pa.

Rozłączyłem się.

– Może po prostu zadzwonimy do Julii? – zaproponowała Marysia. – Musisz mieć przecież jej numer.

– Mam. Dała mi go jeszcze we Włoszech.

– No to zadzwońmy. – Zniecierpliwiona wyjęła mi komórkę z ręki. – Czemu sam na to nie wpadłeś?

– Bałem się, że druga Julia może używać telefonu tej pierwszej...

– Teraz to już chyba nie ma znaczenia, nie? Ktokolwiek odbierze, będzie to przynajmniej jakiś krok naprzód. Julianna P. To ona?

– Tak. – Uświadomiłem sobie, że chyba nigdy nie wybrałem tego numeru. Zapisałem go na liście kontaktów, ale we Włoszech niemal cały czas spędzaliśmy razem, nie miałem więc powodu, żeby do niej dzwonić. A potem, po wypadku, nie mogłem już tego zrobić, przynajmniej nie samodzielnie.

– Ma wyłączoną komórkę – oznajmiła Marysia. – Spróbuj jeszcze za chwilę. Na razie mogę pogadać z ludźmi, którzy też byli na pogrzebie Ali.

Skinąłem głową, bo był to równie dobry pomysł jak każdy inny. Gdy Marysia dzwoniła, napiłem się wody z kranu. Przez moment rozważałem, czy nie zaparzyć herbaty – z czajnikiem elektrycznym może dałbym sobie radę. A może nie. Marysia już raz dziś po mnie sprzątała.

Skończyła rozmawiać z członkami swojej rodziny i zaczęła wybierać numery przyjaciół moich i Ali. Teraz mówiłem ja. Wszystkim zadawałem te same dwa pytania: czy Julia wspominała, że gdzieś się wybiera, i czy widzieli, dokąd poszła po pogrzebie. Odpowiedzi też okazały się podobne: nikomu nie zwierzała się ze swoich planów, nikt jej już później nie widział. Pocziwe wrocławskie Sępólno połknęło ją niczym biblijny wieloryb Jonasza.

– Możemy sprawdzić, czy nasz ford wciąż stoi przy cmentarzu – zaproponowałem. – Julia zaparkowała w jednej z bocznych uliczek. Nie wiem dokładnie w której, ale zakładam, że niedaleko, bo nie szliśmy długo. Jeśli samochód zniknął, przynajmniej będziemy wiedzieli, że gdzieś nim pojechała.

– Nie lepiej najpierw zawiadomić policję?

Zawahałem się.

– To nie jest dobry pomysł.

– Czemu?

– Jak to będzie wyglądało? Facet najpierw znajduje ciało pierwszej żony, twierdzi, że druga też nie żyje, a zamiast niej w jego domu mieszka obca kobieta, po czym zgłasza jej zaginięcie. W dodatku nie mam nawet porządnego zdjęcia Julii, ani tej fałszywej, ani prawdziwej.

– Jak to nie masz jej zdjęcia? Ze ślubu też nie? Nie wynajęliście fotografa?

– Nie. Nie chcieliśmy żadnych fajerwerków, eleganckich strojów ani zamieszania. Naszymi świadkami była para Polaków od kilku lat mieszkających w Mediolanie. Spotkaliśmy ich przypadkiem w pubie. On miał na imię Jacek, ona Danuta. Poprosiliśmy go, żeby strzelił nam parę fotek, i tyle.

– I gdzie są teraz te fotki?

– Prawdopodobnie wciąż na komórce Julii, tak samo jak zdjęcia, które robiła w czasie naszej podróży.

– Tej samej komórce, która się nie odzywa?

– Aha.

– A zdjęcie tej drugiej Julii? Też żadnego nie masz?

– Nie. Po co miałbym robić jej zdjęcia, skoro i tak nie widzę? I jak?



Marysia westchnęła.

– To co teraz?

– Nie mam pojęcia – przyznałem.

– Co z danymi na akcie ślubu?

– Tam nie ma nic, co pozwoliłoby ją znaleźć. Ale jak chcesz, możesz sama sprawdzić. Jest w biurku, w dolnej szufladzie. Chyba.

– Chyba?

Nie chciało mi się tłumaczyć, że włoski konsulat wysłał protokół zawarcia związku małżeńskiego do Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, skąd polski odpis powędrował do Samborowiczek. Pamiętałem dzień, gdy Julia Druga odebrała kopertę od listonosza, jej pytanie, gdzie ją dać, i moją odpowiedź. Ale oczywiście mogła kłamać – nie miałem pojęcia, co tak naprawdę przyszło wtedy pocztą ani czy w ogóle coś.

Marysia wróciła po chwili.

– Mogę otworzyć? – Nie czekając na odpowiedź, rozerwała papier. – Julianna Ewa Potocka, urodzona 21 maja 2000 roku w Zgierzu. Ojciec Ksawery Potocki, matka Ewa Siudak. Faktycznie niewiele tu danych.

– Mówiłem.

– Nawiasem mówiąc, kobieta, którą widziałam na cmentarzu, ni chuja nie wyglądała na mój rocznik. Dałabym jej dwadzieścia sześć, może nawet dwadzieścia siedem lat. Tak na oko.

– Serio?

– *Yup*.

Poczułem absurdalną radość, choć to nie był żaden twardy dowód.

– A jak byś opisała tę kobietę? Jakie wrażenie na tobie zrobiła?

– Bo ja wiem? Rozmawialiśmy tylko przez chwilę. Wydawała się miła, taka... ogarnięta i konkretna. Trochę jak moja dentystka.

– Dentystka?

– Jak osoba, która potrafi sprawić, że inni czują się przy niej bezpiecznie. Może to głupie porównanie, nie wiem. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Ze wszystkich tych określeń do mojej Julii pasował jedynie przymiotnik „miła”. Czy dwoje ludzi może tak krańcowo różnie oceniać trzecią osobę? Owszem, ja patrzyłem na Julię oczami zakochanego mężczyzny, Marysia – oczami kogoś, kto miał z nią tylko przelotny kontakt. Moja żona mogła się zmienić w ciągu ostatnich miesięcy albo wydawała się starsza i poważniejsza, bo nosiła czarną żałobną sukienkę. Mimo to wciąż buzowała we mnie głupia dziecięca radość – nigdy wcześniej nie byłem tak bliski przekonania drugiego człowieka, że mam rację.

– Założę się, że ta twoja Julia ma konto na TikToku, Instagramie albo Facebooku – niecierpliwiła się tymczasem Marysia. – Nawet jeśli nie użyła swojego nazwiska, mogła...

– Czekaj. Zanim przejdziemy do Facebooka, chciałbym, żebyś zrobiła jedną rzecz. – Zawahałem się. – Idź na górę i zerknij do szafy, w której Julia trzyma ubrania. Proszę.

– Myślisz, że wróciła z pogrzebu wcześniej, zabrała swoje rzeczy i się wyprowadziła?

– Nawet jeśli, to nie wzięła wszystkich, bo jakieś tam zostały. – Wzdrygnąłem się na wspomnienie miękkości bawełny pod moimi palcami. Niezależnie od tego, czy obmacywałem bieliznę mojej własnej żony czy zupełnie obcej kobiety, było w tym coś niewłaściwego. Podobnie zresztą jak w pokazywaniu tej bielizny przypadkowej dziewczynie. – Tylko ja nie mam pojęcia jakiej. Ty możesz zerknąć, czy jest tam sukienka, w której była na pogrzebie. Albo czy nie brakuje na przykład letnich ubrań.

– Niech będzie. – Marysia westchnęła. Grzebanie w cudzych rzeczach najwyraźniej też nie przypadło jej do gustu.

– Kiecki z pogrzebu nie ma – zakomunikowała mi chwilę później. Ja siedziałem na dużym, podwójnym łóżku, ona przetrząsała zawartość szafy. – Nie widzę też, żeby brakowało letnich ubrań. Jest tu wszystkiego po trochu. Sweter, bluza, kurtka przeciwdeszczowa, dwie pary dżinsów, spodnie dresowe, szorty, dwie lekkie sukienki, kilka tiszertów... Plus bielizna, a na dole w pudle tenisówki i botki z futerkiem. Mało tego, szczerze mówiąc. Może faktycznie wpadła tutaj po pogrzebie, spakowała parę najpotrzebniejszych ciuchów i wybyła. Albo po prostu jest minimalistką.

Jest jeszcze trzecia możliwość, pomyślałem. Julia miała niewiele rzeczy, bo Samotnia nigdy nie stała się jej prawdziwym domem. Przyjechała tutaj w konkretnym celu i gotowa była w każdej chwili wyjechać, gdy tylko ten cel osiągnie. Może nie spodziewała się na początku, że potrwa to tak długo, że zostanie do lata?

– Czy któraś z tych sukienek nie wygląda przypadkiem na nową? – zapytałem.

– Obie są nowe, w sensie takim, że mają nie więcej niż dwa miesiące. Wiem, bo oglądałam takie w Croppie, jak tylko otworzyli znowu sklepy odzieżowe. Zresztą szorty chyba też są z letniej kolekcji tego roku.

Skinąłem głową, bo wszystko pasowało. Julia Druga przyjechała do Samotni w marcu, przywożąc ze sobą dzinsy, sweter i bluzę stosowne na kapryśną wczesnowiosenną pogodę. A gdy zrobiło się cieplej, wybrała się do Wrocławia po lżejsze, letnie ubrania. Prawdopodobnie też kilka dni temu kupiła sukienkę na pogrzeb i dopasowane do niej buty. Wielbicielki luźnego stylu marki Cropp nie posądzałem jakoś szczególnie o wozenie ze sobą eleganckiego czarnego stroju.

I założyłbym się, że za żadną z tych rzeczy nie zapłaciła moimi pieniędzmi.

## NAGRANIE 34

– Od czasu pogrzebu nikt nie używał twojej karty – oznajmiła Marysia, gdy, podobnie jak wcześniej Piotrkowi, podałem jej login i hasło do konta. W głosie dziewczyny brzmiał lekki zawód.

Ja właściwie się tego spodziewałem – Julia Druga miała swoje zasady.

– Zerknij na transakcje wstecz, od początku marca, i zobacz, czy płaciła z tego konta za jakieś ubrania, kosmetyki czy jakiegokolwiek inne rzeczy osobiste.

– Na przykład sukienki w Croppie? Nie widzę tu nigdzie tego sklepu. Same spożywczyki, stacje benzynowe, opłacone rachunki... Chociaż na uparte go kosmetyki można kupić też w Biedronce albo jakimkolwiek innym markecie. O co chodzi?

– Musiała nosić ze sobą dwie karty. Z własnej płaciła za rzeczy osobiste, a z mojej za wszystko, co wiązało się z naszym wspólnym życiem w Samotni. Była... uczciwa. – Pomyślałem, że to dziwne określenie kobiety, która oszukiwała mnie przez cztery miesiące. – Albo przynajmniej starała się być.

– Gdyby serio była taka uczciwa, za benzynę też płaciłaby z własnych pieniędzy. W końcu to ona jeździła moim samochodem, nie?

– Może płaciła z własnych, kiedy wyprawiała się gdzieś dalej. Potem spróbujemy to policzyć, a na razie...

– Tak?

– Wydaje mi się, że przynajmniej raz się pomyliła i użyła niewłaściwej karty. W pizzerii w Przewornie wydała sześć złotych, a to prawdopodobnie znaczy, że nie siedziała tam długo. Wypiła małą kawę albo szklanekę soku, i tyle. Ale jeśli zatrzymywała się w tej pizzerii częściej, może ktoś ją rozpozna. Jutro... Słuchaj, która jest właściwie godzina? Nie powinnaś przypadkiem jechać do domu?

– Dochodzi północ. – W głosie Marysi zabrzmiała lekka uraza. – I dałam już rodzicom znać, że wrócę rano. Mogę się przespać na kanapie, tam gdzie sypiała Julia. A jutro ogarnę nam jakieś śniadanie i pojedziemy do Przeworna.

To nie powinno tak wyglądać, pomyślałem, ale nie zaprotestowałem. Potrzebuję jej pomocy, jeśli mam do czegoś dojść. I nie chcę być sam. Z trudem potrafię uwierzyć, że jeszcze wczoraj Samotnia wydawała mi się bezpiecznym miejscem. Jeszcze wczoraj cieszyłem się, że mam ją całą dla siebie... Od tego czasu zmieniło się tylko jedno. Wcześniej zakładałem, że Julia Druga lada moment wróci do domu z jakąś mniej lub bardziej przekonującą historyjką. Teraz jestem pewny, że moja fałszywa żona przepadła na dobre, a ponieważ zostawiła w Samotni większość swoich rzeczy, musiało się stać coś niespodziewanego.

Coś złego.

Dopiero teraz, gdy zniknęła z mojego życia, zaczynam ją poznawać, widzieć w niej nie oszustkę, nieudaną kopię Julii Pierwszej, tylko prawdziwego człowieka. Kobietę aktywną fizycznie, lubiącą sportowy styl, a przy tym sprawiającą wrażenie osoby kompetentnej i pewnej siebie. Wyobrażam ją sobie jako blondynkę o chłodnym skandynawskim typie urody, jak z filmów Bergmana. Nie wiem, czy mam rację. Oczywiście mógłbym zapytać Marysię, ale tego nie zrobię. Pewne rzeczy warto pozostawić wyobraźni.

Przed pójściem do łóżek przeszukaliśmy jeszcze Samotnię. To znaczy Marysia szukała, a ja chodziłem za nią z pokoju do pokoju. Mieliśmy dwa cele. Po pierwsze, znaleźć rzeczy Julii Pierwszej, te, z którymi wróciła z Włoch. Nie było tego dużo, ledwo jedna walizka. Reszta, z tego, co wiem, została w Łodzi. Tam właśnie mieszka koleżanka, u której Julia waletowała na tapczanie, gdy straciła pracę, a razem z nią wynajmowany pokój. Nie znam jej nazwiska ani adresu, nie wiem nawet, czy Ida, która tak niefortunnie złapała grype żołądkową, naprawdę istnieje. Moim jedynym punktem zaczepienia jest granatowa walizka z naklejonym z boku wytartym serduszkim Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, a w niej ubrania, które dobrze pamiętam. Fioletowa sukienka z falbaną, w której Julia wzięła ślub. Bluza z doszytymi do kaptura kocimi uszami. Polarowe spodnie w błękitne chmurki, wyglądające wypisz wymaluj jak część piżamy. Różowe tenisówki i dżinsy z plamą po rozlanym w kieszeni długopisie.

Jeśli wierzyć Marysi, żadnej z tych rzeczy nie ma w Samotni.

Staram się przypomnieć sobie tamten wieczór tuż po przyjeździe, jazdę taksówką z lotniska, nas zmęczonych po podróży, rzucających bagaże w kąć i walących się ze śmiechem na kanapę w salonie. Czy zdążyliśmy się rozpakować? Mało prawdopodobne, nie mieliśmy wtedy do tego głowy. Julia wyjęła kosmetyczkę, by wziąć prysznic, i przebrała się w coś wygodniejszego, ale reszta jej rzeczy została w walizce. Moja młodziutka żona ledwo zdążyła zaznaczyć swoją obecność w Samotni i jeśli ktoś chciał usunąć po niej wszystkie ślady, mógł to zrobić bez wielkiego trudu. Jakby Julia, dziewczyna w spodniach w chmurki i bluzie z kocimi uszami, nigdy nie istniała.

Po jej następczyni zostały przynajmniej ubrania i trochę kosmetyków w łazience. Szkoda, miałem nadzieję, że Marysia znajdzie coś więcej. To był nasz drugi cel. Julia Druga mieszkała w Samotni tak długo i zniknęła tak niespodziewanie, że mogła przeoczyć coś, co zdradziłoby nam jej prawdziwą tożsamość. List, rachunek, książkę pożyczoną z biblioteki, cokolwiek. Jednak i w tym przypadku ponieśliśmy klęskę.

Obudził mnie dolatujący z dołu zapach świeżo zaparzonej kawy. Julia wróciła, pomyślałem wciąż jeszcze w półśnie, nie wiedząc właściwie, którą Julię mam na myśli. Zdążyłem się nawet ucieszyć, zanim uświadomiłem sobie, że w kuchni urzęduje Marysia. Leżałem jeszcze przez moment, walcząc z nagłym, przytłaczającym uczuciem rozpacz. Nie miałem pojęcia, czy żałuję martwej Ali, czy może najprawdopodobniej równie martwej Julii Pierwszej lub zaginionej Julii Drugiej. Czy może zwyczajnie samego siebie, człowieka, którego życie rozsypywało się niczym pożerany przypływem zamek z piasku.

Zmusiłem się, żeby wstać. Wiedziałem, że po śniadaniu i kawie poczuję się lepiej. Zresztą nie mogłem przecież leżeć w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. Ubrałem się, żeby nie stresować młodzieży widokiem mojego chudego tyłka w gaciach do spania, i pokuśtykałem po schodach na dół.

– Szukam tej twojej Julii – poinformowała mnie Marysia. Głos dobiegał z okolic kanapy, domyśliłem się więc, że siedzi tam z moim laptopem na kolanach. – Jest kawa i kanapki z nutellą. Pasuje czy zrobić ci jajecznicę? W lodówce są jeszcze dwa jajka.

– Kanapki wystarczą – wymamrotałem, kierując się w stronę aneksu kuchennego. Kawa w dzbanku wciąż była ciepła, ale nie gorąca. Znakomicie. Wyjąłem kubek z szafki, włożyłem do niego koniec palca lewej ręki, a prawą podniosłem i przechyliłem dzbanek. Lałem, aż poziom płynu połaskotał mnie w opuszek. Nie była to może metoda zbyt elegancka, ale za to skuteczna.

Jadłem śniadanie, słuchając dobiegającego z kanapy monologu Marysi.

– Znalazłam parę kobiet nazywających się Julianna Potocka. Jedna to brunetka, na oko trzydzieści lat, pracuje w kancelarii prawnej. Nie ożeniłeś się z przefarbowaną prawniczką, udającą dwudziestkę, co? Jest też parę Julii Potockich i dwie Julki, ale one chyba też nie pasują. Są szczupłe i żadna nie pochodzi ze Zgierza ani nie pracowała nigdy w knajpie. Ta twoja Julia chodziła do technikum czy liceum? Może będzie wśród absolwentów...

– Julia nie miała matury.

– Serio? – Zdziwienie Marysi było prawie zabawne.

– Serio. Zrezygnowała z nauki w trzeciej klasie. Zdarza się.

– Uhm, jasne.

Zirytował mnie jej sztucznie neutralny ton. Co dziewczyna, która w nagrodę za doskonale zdaną maturę dostała od rodziców nowy samochód, mogła wiedzieć o dzieciach takich jak Julia? O dorastaniu z matką pijaczką, o zajadaniu stresów w kolejnych rodzinach zastępczych, spaniu na lekcjach i paleniu papierosów w krzakach za szkołą, bo kiedy nikt nie wierzy, że cokolwiek możesz osiągnąć, masz w nosie naukę. Żaden z zastępczych rodziców nie wysłał jej na terapię ani nie załatwił korepetycji, a ostatni, ci, u których wylądowała jako siedemnastolatka, nie zaprotestowali, gdy rok później pełnoletnia już Julia oznajmiła, że zamierza rzucić szkołę i znaleźć sobie pracę. „Dla nich był to jeden problem mniej”, powiedziała moja młoda żona tamtego dnia, gdy wypowiadała się przede mną z całego swojego życia. „Mieli pod opieką jeszcze trójkę dzieciaków, jedno tak autystyczne, że właściwie nie było z nim kontaktu, dziewczynę, która cięła się wszystkim, co jej wpadło w ręce, i młodocianego z kartoteką. Ja z nich wszystkich radziłam sobie najlepiej, uznali więc, że właściwie mogą sobie mnie odpuścić”.

Zamierzałem powiedzieć to wszystko Marysi, ale ostatecznie ugryzłem się w język. Ja też nie byłem bez winy. Przez dwa miesiące we Włoszech zgrywałem wobec Julii profesora Higginsa, namawiałem na czytanie Philipa Rotha, poprawiałem jej szkolny angielski i tłumaczyłem, dlaczego *Fight Club* nie jest głupi i nudny, tylko genialny. Czy to było klasistowskie? Gdyby Ala wciąż żyła, mógłbym jej zadać to pytanie, a ona zmrzyłaby oczy i uśmiechnęła się kpiąco. Nie pytaj „czy”, tylko „jak”. Jak bardzo to było klasistowskie, w skali od jednego do dziesięciu? Naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź?

– Mam – oznajmiła Marysia podekscytowanym tonem, a ja przełknąłem pośpiesznie ostatni kęs chleba z nutellą. – Siudak to nazwisko panińskie jej matki, nie? Znalazłam profil na Facebooku. Julianna Siudak, urodzona 21 maja 2000 roku, miejsce pracy: Tęczowy, bar przyjazny osobom LGBT. Wszystko się zgadza.

– Jak wygląda?

– Pulchna blondyneczka z kręconymi włosami. Trochę podobna do kobiety, która była z tobą na cmentarzu, ale tylko trochę. W podobnym typie w każdym razie. Na podstawie niewyraźnego zdjęcia można by je pewnie pomylić, ale na podstawie fotki w dowodzie już moim zdaniem nie. Nie wiem, jakim cudem ta druga może się posługiwać dokumentami tej pierwszej, chyba że trafia na samych ślepych... O kurwa, przepraszam.

– Nieważne. Są tam jeszcze jakieś zdjęcia oprócz profilowego? Bo ta blondynka to zgaduję, że na profilowym?

– Niewiele. Pokój z podpisem: „Nareszcie na swoim. Żegnaj rodzinie zastępczej mam nadzieję że już nigdy się nie zobaczymy”. Wszystko pisane bez przecinków. Selfie na Piotrkowskiej w Łodzi. Zdjęcie z imprezy, na którym widać głównie resztki czipsów w misce i puszki z piwem. 21 maja 2018 roku ludzie składali jej życzenia, a tydzień później wrzuciła cytat motywacyjny z Mariusza Pudzianowskiego.

– Z Pudzianowskiego? – zapytałem lekko oszołomiony.

– *Yup*. Przeczytać?

– Niekoniecznie. Rozumiem, że nie ma tam nigdzie moich zdjęć?

– *Nope*. Wygląda na to, że założyła ten profil dwa lata temu i porzuciła po paru miesiącach. Może przeniosła się gdzie indziej.

Skinąłem głową. Bez problemu mogłem uwierzyć, że obecność na Facebooku była dla Julii chwilowym kaprysem. Zdecydowanie bardziej pasował do niej TikTok czy gdzie tam teraz siedziała większość młodych ludzi.

– Tylko na fejsie występuje pod nazwiskiem, które można z nią skojarzyć – kontynuowała tymczasem moja szwagierka. – Jeśli ma gdzieś inne konto, założyła je pod pseudonimem. Sprawdziałam te, które przyszły mi do głowy na szybko, ale szczerze mówiąc, jeżeli wymyśliła coś trochę bardziej oryginalnego niż „Laska ze Zgierza”, to w życiu jej nie znajdziemy.

– Zostaw to na razie.

Liczyłem co prawda na wspólne zdjęcia moje i Julii, bo dla policji byłyby to już jakiś tam argument, uznałem jednak, że chwilowo wystarczy mi sam dowód, że moja druga żona w ogóle istniała. I co więcej, szczegóły z życia, które mi opowiedziała, zgadzały się z rzeczywistością. Julia faktycznie wychowywała się w rodzinach zastępczych – albo przynajmniej jednej takiej rodzinie – wyprowadziła się w wieku osiemnastu lat i pracowała w barze. Poczulem ulgę, od której zakręciło mi się w głowie. Nie byłem wariatem wymyślającym sobie pulchne jasnowłose piękności ani jeleniem, który padł ofiarą sprytnej oszustki. Do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo przeraża mnie każda z tych możliwości.

Kawa i ulga dodały mi energii, przegoniły poranne przygnębienie.

– Czy wśród znajomych Julii na Facebooku nie ma przypadkiem kobiety, która przyszła ze mną na pogrzeb Ali?

– *Nope*.

– Jesteś pewna?

– No. Tam jest zresztą tylko parę osób. Michał P., Gniewko Doroszak, Alicja z Drugiej Strony Lustra, Koralina Ładys, Mia Sternberg. Napiszę do nich i zapytam, czy nie miały ostatnio kontaktu z Julią, co?

– Dzięki. I sprawdź historię przeglądarki.

– Sprawdziłam, kiedy jeszcze spałeś. W laptopie i na komputerze stacjonarnym w gabinecie też. Nie znalazłam nic ciekawego. Ta kobieta, która z tobą mieszkała... Jak ją nazywasz? Julia Druga? No więc Julia Druga zaglądała tylko na wiadomości Onetu, serwis z prognozą pogody i parę stron ogrodniczych. A, i na twojego Netfliksa. Nie była więc aż tak uczciwa, jak ci się wydaje. – Marysia zachichotała.

Może i nie, pomyślałem, ale niewątpliwie była ostrożna, a także inteligentna. Ogarnięta babka z jajami, dokładnie taka, jaką mógłbym polubić. I którą prawdopodobnie polubiłaby Ala.

– I od czasu do czasu dzwonię na komórkę Julii Pierwszej – poinformowała mnie Marysia. – O tym też pamiętam.

– Ciągle jest wyłączona?

– Albo zniszczona. W takim przypadku chyba nawet policja jej nie namierzy.

– Dzięki. Naprawdę nie wiesz, jak bardzo... Że mi pomagasz. – Zaczynałem się rozklejać. Lewa noga podrygiwała nerwowo, cukier i kawa krążyły w moich żyłach. Przypominałem przebodźcowanego dzieciaka po całym dniu spędzonym w wesołym miasteczku: moje uczucia zmieniały się, zanim zdążyłem je rozpoznać i oswoić. Byłem wdzięczny, byłem wystraszony, martwiłem się o Julię, o obie Julie, a jednocześnie cieszyłem się, że wreszcie trafił się na coś, co przynajmniej z grubsza przypominało przydatny trop.

– Żaden problem. Czekaj, masz czekoladę na podbródku.

Dotknęła mnie, zanim zdążyłem zaprotestować. Smukły dziewczęcy palec pocierający skórę na moim podbródku, muskający wargę. Pachniała żelem pod przysnicę o zapachu migdałów, którego używała Julia Druga.

– Już. Wszystko w porządku?

– Tak – wymruczałem, pilnując, żeby nie odskoczyć zbyt gwałtownie. Odsunąłem się dopiero po chwili. – Poczekał na tarasie. Napisz do znajomych Julii z Facebooka. Może któryś z nich będzie wiedział, gdzie ona jest.

## NAGRANIE 36

W nocy znowu musiało padać. Wyczuwam wilgoć betonu pod bosymi stopami i ciepło słońca na odsłoniętych ramionach. Puszek (a może Puszkin) ociera się o moją łydkę. Schylam się, żeby go pogłaskać, ale jestem zbyt wolny – zwierzak odbiegł już gdzieś, zainteresowany wszystkimi tymi fascynującymi dla kotów rzeczami, które dzieją się na zewnątrz w taki piękny czerwcowy dzień jak ten. Schodzę na ścieżkę i powoli ruszam dalej, w stronę, gdzie rosną róże. Chwytam jedną z nich, szczęśliwie unikając kolców, i przyciągam do siebie, a krople deszczu, które nie zdążyły zamienić się w parę, spadają na moją dłoń. Pamiętam, jak martwiłem się o ogród, jak wyobrażałem sobie, że Julia Druga pozwoliła, by wszystko uschło i zdziczało. Oczywiście wiem już, że to nieprawda. Gdy rodzice wpadli w odwiedziny, matka została ze mną, a ojciec poszedł oglądać róże, te same, obok których stoję. Z nich dwójga to on zawsze bardziej doceniał piękno, niezależnie od tego, czy chodzi o kobiety, dzieła sztuki czy kwiaty. Wrócił zachwycony. Widać, że Julia ma rękę do roślin, powiedział, a ja zarejestrowałem jego słowa, ale nie myślałem o nich wiele. Teraz łączę je z rachunkiem ze sklepu ogrodniczego i oglądanymi w internecie stronami, po czym zaczynam fantazjować o szalonej wielbicielce natury, która knuje skomplikowaną intrygę, by móc zajmować się ogrodem pewnego popularnego pisarza. Uśmiecham się do tej wizji. Znam gorsze pomysły na intrygę kryminalną, a takie fantazje pozwalają przynajmniej odciągnąć myśli od tego, co wydarzyło się przed chwilą. W skali od jednego do dziesięciu, jak bardzo creepy jest pożądanie o kilkanaście lat młodszej szwagierki?

Marysia jest w wieku Julii, z którą się ożeniłem, nie powinienem więc czuć się winny, a jednak niewątpliwie tak właśnie się czuję. Znamy się, odkąd była małą dziewczynką. Nosilem ją na barana, a raz, nie pamiętam już z jakiego powodu, zostałem z nią na całe popołudnie sam. Pokazałem jej wtedy Scooby Doo, moją ulubioną kreskówkę z dzieciństwa, czego zresztą pożałowałem jakiś czas później, gdy podrośnięta już Marysia zapytała mnie, czy to prawda, że Velma jest lesbijką.

Wyobrażam sobie Alę pochylającą się w moją stronę z uśmiechem. Ożeniłeś się z małolatą, która woli filmy Patryka Vegi od Fight Clubu, i przez dwa miesiące myliłeś ją z zupełnie inną kobietą, a teraz lecisz na szwagierkę, którą znasz, odkąd sikała w pieluchy. A, i nie zapominajmy, że od czasu do czasu miewasz też przywidzenia. Jesteś pewien, że nie pośpieszyłeś się z tą ulgą? Że z twoją głową wszystko jest w porządku?

## NAGRANIE 37

– Co jest w porządku? – zapytała Marysia, podchodząc do mnie od tyłu.

– Nic. Nagrywam nową książkę.

– A. – Nie wydawała się zainteresowana. – Napisałam do znajomych Julii na Facebooku, ale nie wiem, czy w ogóle to przeczytają. I spróbowałam policzyć zużycie benzyny. Na początku pandemii za sto złotych można było przejechać do czterystu kilometrów. W marcu i na początku kwietnia Julia, ta druga, tankowała mniej więcej raz w tygodniu, a potem już znacznie rzadziej, tak raz na miesiąc.

– W marcu i na początku kwietnia leżałam w szpitalu. Odwiedzała mnie tam.

– Którym szpitalu? We Wrocławiu?

– Tak, na Borowskiej. Po wypadku zawiozła mnie do Strzelina, a stamtąd zabrali mnie śmigłowcem do Wrocławia.

– To by się zgadzało, jeśli odwiedzała cię, powiedzmy, co drugi dzień. Tak było?

– Nie wiem, niewiele pamiętam z tamtego okresu. Chyba tak.

– A kiedy wróciłeś do domu, zużycie paliwa gwałtownie spadło. To znaczy, że potem robiła jedną dłuższą trasę raz na jakiś czas albo częściej krótszą. Mówiłeś, że wychodziła prawie codziennie, czyli prawdopodobnie to drugie. Pamiętasz, ile w marcu miał na liczniku twój samochód?

– Nie bardzo. Ostatni raz jeździłem nim jeszcze w grudniu, przed wylotem do Włoch. Potem przez całą zimę stał w garażu. Zresztą, dopóki nie znajdziemy mojego forda, te wyliczenia i tak nie mają większego sensu.

– Fakt. – W głosie Marysi zabrzmiało rozczarowanie. Zaraz jednak się ożywiła. – To co, jedziemy do Przeworna? Szukaniem samochodu możemy zająć się później.



## NAGRANIE 38

Przeworno to jedna z okolicznych wsi. Jest tam stary kościół i niewielki zameczek, co prawda renesansowy, ale przebudowany w zeszłym stuleciu, tak że niewiele pozostało z oryginalnej budowli. Na Dolnym Śląsku takie zabytki to nic niezwykłego, tu niemal każda wieś i miasteczko mają historię sięgającą XII czy XIII wieku, a w co drugiej można znaleźć poniemiecki dworek lub pałacyk – jedne lepiej, inne gorzej zachowane. Pod względem atrakcyjności turystycznej Przeworno wypada tak sobie, to po prostu wioska, w której można się zatrzymać na chwilę, napić czegoś zimnego albo zjeść pizzę. Raczej nie miejsce, do którego ktoś chciałby wracać. Nie spodziewałem się więc wiele po naszym małym śledztwie. Jeśli czegoś się dowiemy, to prędzej od znajomych z Facebooka niż od tutejszych mieszkańców, pomyślałem, siadając ze szklanką coli przy wystawionym na zewnątrz stoliku. Z głębi pizzerii dobiegał głos Marysi. „Jest pan pewny, że nie widywał tutaj takiej ładnej blondynki? Dwadzieścia parę lat, średniego wzrostu, wysportowana... Nie, niestety nie mam zdjęcia, ale może... Nie jest stąd, więc ktoś mógł zwrócić na nią uwagę”.

Nie usłyszałem odpowiedzi, bo właśnie zadzwonił telefon. Odstawiłem szklankę.

– Leon?

– Tak. Kto mówi? – Niektórzy ludzie obrażają się, słysząc to pytanie, jakbym miał obowiązek rozpoznawać każdego po głosie. Przestałem się tym przejmować już jakiś czas temu.

– Zuzanna Stasiaczek.

– Ach. – Moja teściowa, matka Ali i Marysi. Kiedyś mówiłem do niej „mamo”. Teraz wydawało się to nie do myślenia, choć jednocześnie powrót do formy „pani” też nie wchodził w rachubę. Rozwód powoduje osobliwe komplikacje towarzyskie, pomyślałem. A jeśli po nim następuje jeszcze podejrzana śmierć byłego małżonka...

– Jest z tobą Marysia?

– Tak, niedaleko. Mam ją zawołać?

– Nie trzeba. Powiedz jej tylko, żeby odbierała moje telefony. Martwię się o nią. Leonie, co się dzieje?

Kolejna osoba zadawała mi to pytanie, a ja wciąż nie znałem odpowiedzi.

– Julia musiała wyjechać na kilka dni – skłamałem, bo słowa „moja żona zniknęła” nie chciały mi przejść przez gardło. – Marysia była na tyle miła, że trochę pomogła, z zakupami i tak dalej. Nic się nie dzieje.

W milczeniu kobiety wyczuwałem niedowierzanie, może nawet coś więcej.

– Ala chciała się z tobą spotkać. Wtedy, kiedy została zamordowana.

Ścisnąłem mocniej telefon.

– Tak.

Czekałem na dalszy ciąg. *Nie ufam ci, gdzie jest tak naprawdę twoja żona? Co jej zrobiłeś? Straciłam już jedną córkę i nie chcę stracić drugiej.* Ale moja teściowa tylko sapnęła.

– Powiedz Marysi, żeby wracała do domu – rzuciła, po czym się rozłączyła.

– Nikt niczego nie wie. – Dziewczyna wróciła do stolika niemal w tej samej chwili. – Kto dzwonił?

Siedziała przed komputerem od rana, przeczesując sieć, a mimo to w jej głosie nie słyszałem zmęczenia. Rozczarowanie tak, ale nie zmęczenie. Wiedziałem, że ta młodzieńcza energia nie ma nic wspólnego z chęcią zabawienia się w prywatnego detektywa. Marysię, pomijając dziecięcą przygodę z serialem *Scooby Doo*, nigdy nie interesowały śledztwa czy tajemnice. Pomagała mi, żeby nie wracać do domu, to była jej forma ucieczki. Tropiła obie Julie, tak jak niektórzy piją, żeby zagłuszyć ból.

– Nikt. Jakiś spam z banku.

– Aha. W każdym razie moglibyśmy teraz...

– Pani Ida? Idusia? – Starczy kobiecy głos zabrzmiał niedaleko.

Marysia urwała. Ja też milczałem, niepewny, co się właściwie dzieje. Nieznajoma musiała mówić do nas, bo przecież nikogo innego w pobliżu nie było. A może jednak? Tymczasem starsza pani zorientowała się już, że popełniła błąd.

– Mój Boże, przepraszam, z tyłu wyglądasz zupełnie jak pani Idusia. I ta sukienka. Ona taką samą miała. Przepraszam.

– Z kim mnie pani pomyliła?

– Z panią Idą. Przyjeżdżała do mnie co dwa tygodnie na ćwiczenia rehabilitacyjne. Wiadomo, lata już nie te. Z panią Idą byłyśmy umówione wczoraj na jedenastą, ale się nie pokazała. I nie zadzwoniła, że odwołuje wizytę. To zupełnie do niej niepodobne.

Nareszcie mój zdezorientowany mózg połączył fakty.

– Usiądzie pani z nami na chwilę? Proszę. Bo mam wrażenie, że my właśnie pani Idy szukamy.

## NAGRANIE 39

Leokadia Smolarz, jak wiele starszych pań, chętnie dzieliła się szczegółami ze swojego życia, zwłaszcza tymi dotyczącymi zdrowia. Miała osiemdziesiąt dwa lata i od pewnego czasu cierpiała z powodu reumatoidalnego zapalenia stawów. Głupi lekarze przepisywali tylko pigułki, ale tak naprawdę nie potrafili pomóc – ten fragment opowieści zabrzmiał szczególnie dramatycznie – aż wreszcie jakieś dwa miesiące temu mieszkający z nią syn znalazł w internecie ogłoszenie „pani Idy” fizjoterapeutki, przyjeżdżającej na życzenie do domu klienta. Wówczas stał się cud, pomniejszy co prawda, bo pani Leokadii wciąż dokuczało to i owo – w tym momencie i ja, i Marysia zmuszeni byliśmy wysłuchać litanii skarg – jednak stawy bolały zdecydowanie mniej, a przykurczone mięśnie odzyskały ruchomość.

– Jak pani Ida ma na nazwisko? – zagadnąłem. – Bo wolałbym się upewnić, że szukamy tej samej osoby.

– A tego to ja nie wiem. Ja mówiłam do niej „pani Ido” albo nawet „Idusiu”, tak familiarnie sobie pozwalałam, bo wnuzczę mam w tym wieku. Ale mogę zapytać syna.

– Gdyby pani była tak uprzejma.

– Dam pani mój numer telefonu, żeby syn mógł zadzwonić – wtrąciła się Marysia.

Wykorzystałem chwilę ciszy, by napić się coli. Była już ciepła, ale nadal zaskakująco dobra. Słodki, łaskoczący w podniebienie smak dzieciństwa. Kojarzyła mi się z wakacjami, z czasami beztrudki, gdy miałem trzynaście, czternaście lat i całowałem się z Alą na ławce.

– Panem też się zajmowała, prawda? Pani Ida? – Głos starszej kobiety wyrwał mnie z zamyślenia.

– Tak, kilka miesięcy temu miałem wypadek – przyznałem z ociąganiem. Byłem przekonany, że siedząc przy kawiarzonym stoliku, wyglądam jak każdy trzydziestolatek, co prawda niewidomy, ale poza tym niczym nieróżniący się od innych. Co mnie zdradziło? Wychudzona twarz? Coś jeszcze? Odsunąłem od siebie ponurą pretensję, że nie mogę nawet przejrzeć się w lustrze. – Pani Ida bardzo troskliwie się mną opiekowała, ale zniknęła parę dni temu i bardzo się o nią martwimy. Nie zostawiła żadnej wiadomości ani nie odbiera telefonu. Może musiała nagle wyjechać do rodziny? Nie wie pani, skąd ona pochodziła?

– Przykro mi. Pani Ida niewiele o sobie mówiła. Tyle tylko, że chwilowo nie ma swojego gabinetu, dlatego jeździ do klientów. Tak jakoś mi się wydaje – starsza pani zniżyła głos – że chodziło o jakiegoś mężczyznę. Trudny rozwód albo coś w tym rodzaju. Dlatego wolałam nie dopytywać.

Trudny rozwód, jasne, pomyślałem. Choć do pewnego stopnia faktycznie chodziło o mężczyznę, pewnego pisarza, który wpadł pod samochód. A ja od początku miałem rację. W tym, jak Julia Druga dbała o mnie po wypadku, było coś zdecydowanie zbyt profesjonalnego jak na troskliwość zwyczajnej osoby. Musiała być pielęgniarką, rehabilitantką albo fizjoterapeutką. Nie lekarką – lekarze mają teoretyczną wiedzę, ale brakuje im tej instynktownej, intymnej więzi z chorym. Jak Marysia określiła Julię Drugą? Ktoś, kto potrafi sprawić, że inni czują się przy niej bezpiecznie? Pasowało.

Z wyjątkiem faktu, że kobieta, która ze mną mieszkała, miała na imię Ida, nie Julia. Tym też nie poczułem się zaskoczony.

– To ta przyjaciółka od grypy żołądkowej? – zapytała Marysia, gdy pani Leokadia pożegnała się i odeszła. – Ta, która też miała lecieć do Włoch?

– Tak. Julia cały czas musiała mieć z nią kontakt. Opowiadała jej, co razem robimy, może nawet wysyłała zdjęcia, dlatego Ida tyle wiedziała na temat naszego związku.

– Myślisz, że to było od początku ukartowane? Żeby mogła ją zastąpić?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że nie. Za dużo rzeczy mogło pójść nie tak. Wystarczyło przecież, że wyślę komuś jedno wyraźne zdjęcie Julii. Poza tym skąd Ida by wiedziała, że stracę wzrok i nie będę w stanie jej rozpoznać? Nawet jeśli to ona mnie potrafiła i nawet jeśli jest genialną fizjoterapeutką znającą ludzkie ciało jak nikt inny, nie mogła mieć pewności, że taki będzie skutek. A ja naprawdę wpadłem pod samochód, potwierdzili to zarówno lekarze, jak i policja. Gdyby to była książka... – Zawahałem się, ale uznałem, że co tam. – Gdyby to była książka, Ida zakochałaby się we mnie na odległość, zabiła Julię z zazdrości, zakopała ją w ogródku i zasadziła na grobie róże. A potem zajęła jej miejsce.

Spodziewałem się żartobliwego przytyku do mojego wysokiego mniemania o sobie, zamiast tego jednak usłyszałem ponurą ciszę, w której nauczyłem się już rozpoznawać rezultat towarzyskiej gąfy.

– To nie jest, kurwa, śmieszne. – Marysia, gdy wreszcie się odezwała, sprawiała wrażenie niebezpiecznie bliskiej płaczu. – Moja siostra nie żyje, a ty... ty...

– Przepraszam. To było głupie. Naprawdę mi przykro. – Modliłem się w duchu, żeby jednak się nie rozpląkała. Nie miałem ochoty na powtórkę sceny z parku Wschodniego.

Przez dłuższą chwilę słyszałem jej nerwowy oddech, ale kiedy znowu zaczęła mówić, jej głos brzmiał prawie normalnie.

– To ja przepraszam. Trochę mi odbija od tego wszystkiego. Wiesz, dzisiaj rano na chwilę zapomniałam o Ali. Skupiłam się na szukaniu tej twojej Julii i zapomniałam... o własnej siostrze. – Kolejne wahnięcie w stronę płaczu. Tym razem opanowała się szybciej.

– Powinnaś wrócić do domu. Rodzice się o ciebie martwią.

– Wróć, choćby po to, żeby się przebrać. Ale potem znowu przyjadę. Chcę ci pomóc.

– W porządku. – Odniosłem wrażenie, że jeśli zaprotestuję, kruche opanowanie dziewczyny zamieni się w histerię. Przemknęło mi przez głowę, czy to był dobry pomysł, żeby prosić ją o pomoc. Chociaż gdyby nie ona, to kto? Nikt inny tak szybko i bezproblemowo by mi nie uwierzył. Tylko Marysia z całą naiwnością młodości była gotowa od pierwszej chwili założyć, że nie kłamię i jestem zdrowy na umyśle.

– I przepraszam, że wzięłam sukienkę Julii. To znaczy Idy, czy jak jej tam. Nienawidzę nosić wczorajszych ciuchów i pomyślałam, że skoro wyjechała, to nie potrzebuje już tych wszystkich rzeczy, a ty...

– I tak niczego nie zobaczę.

Zachichotała nerwowo.

– Chyba tak. Głupio wyszło w każdym razie. Chociaż dzięki tej kiecce pani Leokadia pomyliła mnie z Idą.

– To znaczy, że masz teraz jasne włosy? – Nie potrafiłem sobie wyobrazić Marysi jako blondynki.

– Bładoróżowe, dla ścisłości. Pani Leokadia ma najwyraźniej słaby wzrok. A co do tego, co mówiłaś... No wiesz, że Ida mogła się w tobie zakochać... W tym może coś być. Jesteś popularnym pisarzem, pewnie mnóstwo kobiet zrobiłoby dużo, żeby ci wskoczyć do łóżka...

– Włącznie z zamordowaniem współlokatorki? Daj spokój.

– Czekaj, to ma sens. Sam mówiłaś, że Julia kontaktowała się cały czas z Idą. Może ta zamiana nastąpiła później, parę dni po wypadku? Wpadłeś pod samochód i straciłeś wzrok, Julia napisała o tym Idzie, a ta dostrzegła swoją szansę? Jesteś pewny, że kobieta, która zawiozła cię na pogotowie w Strzelinie, to ta sama, która siedziała przy twoim łóżku we Wrocławiu, kiedy się obudziłeś?

Uśmiechnąłem się lekko. Jak na osobę, która nie lubi kryminałów, Marysia kombinowała całkiem nieźle. Musiałem jednak ją rozczarować.

– Ja niczego nie jestem pewien, ale pracownicy szpitala owszem. Julia, to znaczy Ida, przyleciała ze mną ze Strzelina śmigłowcem. To był dość poważny wypadek, więc wszyscy dobrze zapamiętali i mnie, i ją. Całą tę historię opowiedziała mi jedna z pielęgniarek. Była pod wrażeniem troskliwości mojej żony, tego, jak dzielnie przesiadywała przy moim łóżku, kiedy byłem nieprzytomny. Podobno przez pierwsze dziesięć godzin po wypadku nie chciała odejść nawet na siku. Dopiero potem lekarze ją przekonali, żeby wróciła do domu, zjadła coś i się przespała. Myślę, że ta pielęgniarka by zauważyła, gdyby nagle jedna Julia zamieniła się w drugą.

– No to dupa.

– Dupa – zgodziłem się grzecznie.

– A jeśli to ona była tym tajemniczym gościem, na którego czekaliście tamtego wieczoru? Wtedy mogłyby się zamienić od razu.

– I akurat tamtego wieczoru szczęśliwie dla Idy przytrafił mi się wypadek? A ona szóstym zmysłem wyczuła, że straciłem wzrok, chociaż lekarze stwierdzili to dopiero po serii badań? Zresztą Ida z całą pewnością nie była mną zainteresowana.

– W sensie erotycznym?

– W towarzyskim też nie. Opiekowała się mną, ale poza tym większość czasu spędzaliśmy osobno. Szalona fanka w typie Annie Wilkes nie tak powinna się zachowywać.

– Annie Wilkes?

– Na pewno znasz tę książkę. Albo przynajmniej widziałas film. – Przez krótki moment miałem ochotę pośpieszyć z wyjaśnieniem, kim była Annie Wilkes, ale szczęśliwie ugryzłem się w język. Pora odesłać profesora Higginsa na emeryturę.

– Nie namawiała cię, żebyś spisał testament albo coś w tym rodzaju? Nigdy nie rozmawialiście o czymś, co wydałoby ci się, no nie wiem, podejrzanym? Rozmawialiście, prawda? Widzę po twojej minie.

– To nic takiego. – Opowiedziałem Marysi niemal wszystko, pominąłem tylko tamtą rozmowę na tarasie, gdy Ida niemal wprost oskarżyła mnie, że zabiłem kiedyś dziewczynę, a potem opisałem jej śmierć w książce. Taka informa-

cja zachwiałaoby ufnością nawet tak przychylnie nastawionej osoby jak Marysia.

– W kryminałach bohaterowie zawsze tak mówią i zawsze okazuje się, że to coś ważnego.

– Myślałem, że nie czytasz kryminałów.

– Przeczytałam kilka dawno temu, jeszcze w podstawówce. To jak? Powiesz mi, o czym rozmawialiście?

Uratował mnie sygnał przychodzącej wiadomości. Z telefonu Marysi, nie mego, oczywiście. Do mnie nikt przecież nie pisze.

Wypiłem resztkę coli, która – już nie tylko ciepła, ale i zwietrzała – wreszcie straciła swój urok. Smakowała teraz jak lekarstwo na kaszel. Obok przy stoliku usiadła grupa młodych ludzi. Musieli być młodzi, rozpoznawałem to po ich pełnych entuzjazmu głosach, po tym, jak w niemal zabawnie kryptyczny sposób mówili o jakimś sporcie. Przyknałem oczy, słuchając.

– ...wchodzisz najpierw w podchwyt i z tego przechwyt do krawadki po lewej, musisz się dobrze ustawić, żeby z tego wstać, ale wstajesz do dobrego...

– Klama?

– Jeszcze nie, ale zagina się, wybadasz tam, w którym miejscu najbardziej. Nogami przechodzisz w prawo i sięgasz do dobrej dwójki; na lewą masz przytrzymkę, no chyba że będziesz robił od razu banieczkę do klamy.

– A to faktycznie jest klama?

– No locha po łokieć, jak ją złapiesz, to jesteś po pierwszym kruksie i możesz wyrestować do zera...

Nie rozumiałem połowy słów, których używali, zgadywałem jednak, że chodzi o wspinaczkę skałkową. W dawnych czasach (tak, naprawdę zacząłem ostatnio używać tego określenia) mógłbym się do nich dosiąść, powiedzieć, że zbieram materiał do nowej książki, i wypytać o szczegóły. Nawet jeśli okazałbym się o kilkanaście lat starszy, nie czułbym jakoś szczególnie tej różnicy. Dziś miałem wrażenie, że ja i ci ludzie należymy do dwóch odmiennych gatunków, jak orzeł i pełzająca po ziemi jaszczurka.

– Odpisała mi Mia Sternberg. – Marysia najwyraźniej nie zwróciła uwagi na ten przypływ złego nastroju. – Swoją drogą ciekawe, czy ona naprawdę tak się nazywa. Może ma ojca Szweda? Ale to pewnie nie ma znaczenia. Przeczytać?

– Czytaj.

– *Znałam Julke z ogólniaka ale straciłam z nią potem kontakt. Wiem że pracowała w barze dla gejów tenczowy czy coś a potem w jeszcze innym którego nie znam nazwy. Jest sierotą, bo jej mama zmarła jak była mała. Nie ma nikogo z rodziny ani bliskich przyjaciół chyba że Gniewko. Przez jakiś czas był jej chłopakiem ale to debil. Nic więcej nie wiem.* Wszystko pisane bez przecinków, tak jak w poście Julii. W słowie „Tęczowy” jest błąd ortograficzny, gramatyka też trochę szwankuje. Jeśli Mia nie jest Szwedką, to chyba słabo uważała na polskim w szkole. – Marysia urwała. – Nie powinnam tak mówić, prawda? Pewnie to dziewczyna z kiepskiego środowiska, jak twoja Julia, a ze mnie wyłazi paskudna suka.

– Nie mów tak o sobie.

– Alą mogłaby coś takiego powiedzieć. Z niej też była niezła suka. Nie chciałam taka być, a jednocześnie w jakiś sposób ją podziwiałam. Nie wiem, czy to ma sens. – Jej głos znów niebezpiecznie zadrżał, wyciągnąłem więc na oślep dłoń i dotknąłem jej ramienia. Marysia chwyciła moją rękę. Przygotowałem się na kolejny przypływ pożądania, ale tym razem nie poczułem nic oprócz zwykłej litości.

## NAGRANIE 40

– Przed domem stoją trzy samochody – ostrzegła mnie Marysia, gdy podjeżdżaliśmy pod Samotnię. – Skoda twoich rodziców, a poza tym zielony opel astra i nowa toyota.

Opel należał do Anety, ale z tego, co wiedziałem, nikt z moich krewnych nie jeździł toyotą. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że Piotrek jesienią narzekał na coraz częściej psujące się auto, możliwe więc, że wreszcie zdecydował się je zmienić.

– Idziesz ze mną?

Podejrzewałem, że członkowie mojej rodziny siedzą albo na tarasie, albo nawet w domu. Nie pamiętałem, czy wychodząc, zamknąłem za sobą drzwi. Odkąd mam koty, zdarza mi się zostawiać je otwarte.

– Nie, dzięki. Będę tylko przeszkadzała. Dasz sobie radę? Jesteśmy dokładnie przed wejściem.

– Jasne.

– Przyjadę jutro i przywiozę coś do jedzenia – obiecała, kiedy wygramoliłem się z samochodu.

Lewą ręką dotknąłem nagrzaną słońcem maski innego auta, prawa trafiła na furtkę. Za plecami usłyszałem odgłos zapalającego silnika, a potem zgrzyt opon na wiejskiej drodze.

Kuśtykając w stronę domu, zastanawiałem się, skąd ten najazd krewnych. Matka przekazała już wszystkim informację, że Julia Druga gdzieś się zapodziała? Innego wyjaśnienia nie znajdowałem.

Narada rodzinna. To określenie przyszło mi do głowy wraz ze wspomnieniem zakopanym dotąd tak głęboko, że sam nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia. Ojciec pochylający się z marsową miną, palec przed moimi oczami poruszający się miarowo niczym wskazówka metronomu. „Leon był niegrzeczny, trzeba zwołać rodzinną naradę”. Co wtedy zmalowałem? Zabrałem koledze piłkę, użyłem brzydkiego słowa? Cokolwiek przeskrobałem, moje drobne dziecięce przestępstwo nie zasługiwało na wytaczanie takich dział. Jestem zresztą pewny, że ojciec zwyczajnie żartował. Tyle że ja tego żartu nie rozumiałem i naprawdę się wystraszyłem. Narada rodzinna w moim kilkuletnim umyśle kojarzyła się z wielogłowym potworem, hydrą siedzącą za stołem zastawionym jak na imieninach cioci, zgarniającą ciasteczka z talerzyków siedmioma parami pazurzystych łap i pakującą je do siedmiu zębatach paszcz. Dziś jestem dorosłym człowiekiem, ale i tak te dwa słowa wciąż sprawiają, że po plecach przebiega mi lekki, nieprzyjemny dreszcz.

– Leonie! – Matka już była przy mnie, już chwyciła mój łokieć, choć doskonale poradziłbym sobie sam. – Nie masz nic przeciwko temu, że wpadliśmy, prawda? Aneta mówiła, że powinniśmy najpierw zadzwonić, ale ja uznałam, że ucieszysz się z małej niespodzianki.

Nie uznałaś, że ucieszę się z niespodzianki, tylko pomyślałaś, że jeśli zadzwonisz, to znowu będę próbował się wykręcić od waszej wizyty. Nie powiedziałem tego głośno, musiałem jednak mieć niezbyt szczęśliwą minę, bo ojciec poklepał mnie po plecach w geście oznajmującym: „Wybacz, synu, takie życie”.

– Cześć – przywitał się Piotrek. – Ja też byłem za tym, żeby najpierw zadzwonić, ale jak ciotka się na coś uprze, to nie ma zmiłuj. Sam wiesz. Zadzwoniła z informacją, że jadą do ciebie z wujkiem i potrzebują wsparcia. Dopiero tutaj się dowiedziałem, że do Anety też dzwoniła.

– Miałam zabrać chłopców do aquaparku, a zamiast tego musiałam zostawić ich z ojcem i jechać do ciebie – skarżyła się moja kuzynka i zaraz zmieniła temat. – Chce mi się siku, wpuść nas do środka.

Wpuściłem. Aneta pobiegła do toalety, matka zajęła się parzeniem herbaty, na którą było zdecydowanie zbyt gorąco, a ojciec i Piotrek usiedli na kanapie, zostawiając mi fotel pod oknem. Nie odzywałem się, rozsądnie uznawszy, że do nich należy rozpoczęcie rozmowy. Zresztą mogłem się spodziewać, jakie pytania padną.

Aneta wróciła i przysunęła sobie ostatni fotel. Usiadła tak blisko, że poczułem woń nieświeżego potu. Zdeprymowało mnie to odrobinę. Moja kuzynka zawsze bardzo o siebie dbała, nawet w czasach, gdy chłopcy byli mali, nigdy nie wychodziła z domu bez starannego makijażu. Co się stało? Przypomniałem sobie tę nie do końca dobrze ukrytą niechęć w słowach: „Musiałam zostawić ich z ojcem” i fakt, że mąż Anety już od dawna się nie pojawiał na rodzinnych imprezach. Oficjalnie dlatego, że pracował, nieoficjalnie – diabli wiedzą. Może nie tylko ja w tej rodzinie miałem problemy.

Nikt nie chciał świeżo zaparzonej herbaty, matka zostawiła więc dzbanek w aneksie kuchennym i podreptała w naszą stronę. Cichy protest sprężyn, gdy na dwuosobowej kanapie usiadła trzecia osoba. Czekalem, w myślach zgadując, które z nich odezwie się pierwsze. Postawiłbym niewielkie pieniądze na matkę. I przegrałbym – najbardziej niecierpliwa okazała się Aneta.

– Leon, do cholery, możesz nam wyjaśnić, co się dzieje? Gdzie jest Julia?

Rozważałem przez moment okłamanie ich. Julia musiała pilnie wyjechać i dlatego zniknęła tak nagle, ale wszystko jest w porządku, odezwała się do mnie, przeprosiła i powiedziała, że wróci za kilka dni, jak już ogarnie ważne sprawy. Nie ma powodów do paniki. Małe, niewinne kłamstewko, które pozwoliłoby mi zająć się w spokoju szukaniem Julii oraz Idy, a mojej rodzinie oszczędziłoby niepotrzebnego zmartwienia. Konflikty i dramatyczne sytuacje uwielbiam w książkach, ale nie znoszę ich w realnym życiu, dlatego pewnie mam słabość do takich kłamstw. Ostatecznie jednak powstrzymało mnie nie poczucie przyzwoitości, tylko świadomość, jak źle to będzie wyglądać, gdy policja odnajdzie ciało Idy. Bo przecież liczyłem się z taką ewentualnością, prawda?

– Jeśli macie na myśli kobietę, z którą wziąłem ślub, to nie mam pojęcia. Jeśli kobietę, która mieszkała ze mną od czasu wypadku, to też nie mam pojęcia.

Od strony kanapy dobiegł gwałtowny szloch. Moja matka.

– Już, spokojnie. – Domyśliłem się, że ojciec wstał i ją przytulił. W jego głosie zabrzmiała czułość, którą rzadko słyszałem. – Aneto, może weźmiesz ciocię na spacer po ogrodzie? My porozmawiamy chwilę.

Wyszły przez drzwi prowadzące na taras, wpuszczając przy okazji jednego z kotów, który wskoczył mi na kolana i miauknął. Poglaskałem go odruchowo, a on wsadził zimny nos w zgięcie mojego łokcia.

– Po co to robisz? – zapytał ojciec, o dziwo nawet bez pretensji, raczej z ciekawością. – Tylko ją denerwujesz.

– Dalej się upierasz, że ta ładna blondynka, którą poznałem w szpitalu, nie jest twoją żoną? – wtrącił się Piotrek. – Widziałem jej dowód osobisty...

– Przez ułamek sekundy, kiedy poszła po piwo. Nie miałeś czasu, żeby się przyjrzeć zdjęciu.

– Nawet jeśli, to przecież nie ma żadnego sensu. Ona naprawdę o ciebie dbała. Była...

– Miła, wiem. I zainteresowana graniem w Twilight Struggle. Nawiasem mówiąc, umówiliście się w końcu na tę planszówkę?

– Nie, skąd. To było tylko takie gadanie. Nie spotykałbym się z twoją żoną za twoimi plecami.

– Ona nie jest moją żoną – powtórzyłem ze znużeniem. – Nazywa się Ida Jakaśtam. Z zawodu jest chyba fizjoterapeutką. Moja żona to Julianna Potocka. Na Facebooku ma konto jako Julianna Siudak; to panięskie nazwisko jej matki. Możecie ją sobie obejrzeć i porównać z Idą.

– Jakim cudem masz pewność, że ta z Facebooka to twoja żona, skoro nie możesz jej zobaczyć? – Piotrek jak zwykle nie bawił się w subtelności.

Wyjaśniłem, że zgadzają się szczegóły z jej życiorysu, a potem, podpytywany przez ojca, wspomniałem jeszcze, jak trafiłem na ślad Idy. Matka i Aneta wróciły chwilę później. Piotrek musiał już mieć otwarte laptopa, bo kiedy streścił mniej więcej moje słowa, nagle wszyscy zaczęli wydziwiać nad młodym wiekiem Julii.

– Miła buzia, ale ja bym tam poczekał, aż dziewczyna skończy szkołę...

– Co ci strzeliło do głowy, żeby się ożenić z nastolatką?

– Kiedy braliśmy ślub, miała prawie dwadzieścia lat – próbowałem się bronić.

– Ta druga podobala mi się znacznie bardziej – oznajmiła moja matka.

Miałem ochotę wrzasnąć, przytłoczony absurdem całej tej sytuacji. Odetchnąłem, w myślach licząc do trzech. Nie pomogło.

– Jasne, że Ida bardziej by wam pasowała. Dlatego właśnie wysłałem tylko jedno zdjęcie Julii. Dlatego, kurwa, nic o niej nie mówiłem, dopóki nie wzięliśmy ślubu. Od początku wiedziałem, że będziecie kręcić na nią nosem jak jakieś cholerne snoby. Że za młoda, że bez matury, że to albo tamto.

– Spokojnie. – Ojciec ścisnął mnie za ramię. – Nie denerwuj się. I nie ma potrzeby używać takich słów. Ta Ida, czy jak jej tam, zostawiła tu swoje rzeczy?

– Tak.

– To chodźmy je obejrzeć. Tylko ty i ja. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy pchali się na piętro.

## NAGRANIE 41

– Chciałem pogadać z tobą chwilę sam na sam – powiedział, gdy znaleźliśmy się w sypialni.

– Domyśliłem się. Ubrania Idy możesz zostawić w spokoju. Marysia już je oglądała i niczego ciekawego nie znalazła.

– Siostra Ali? Naprawdę masz słabość do małaolat. – Cień uśmiechu w jego zmęczonym głosie. Śmierć mojej byłej żony musiała wstrząsnąć nim znacznie bardziej, niż chciał przyznać. – W porządku, nie oceniam. W życiu trzeba wszystkiego spróbować, taka jest moja dewiza.

– Tato, proszę.

Zgrzyt otwieranej szafy świadczył o tym, że nie posłuchał i jednak zaczął przetrząsać pozostawione przez Idę ubrania. Zirytowało mnie to, ale nie zaprotestowałem. Niezależnie od tego, co myślałem o własnym ojcu – a w zależności od sytuacji myślałem mnóstwo różnych, czasem sprzecznych ze sobą rzeczy – jedno nigdy nie ulegało dla mnie wątpliwości. Marek Cichy był bardzo spostrzegawczym człowiekiem i mógł zauważyć coś, co przegapiła Marysia.

– Powiadomiłeś policję? – zapytał parę minut później, zamykając drzwi szafy.

– O zniknięciu Idy? Nie. A powinienem?

– O tym właśnie chciałem z tobą pogadać. Matka będzie nalegać, żebyś to zrobił. Piotrek i Aneta też. Ale ja bym się trochę wstrzymał. To nie będzie wyglądało dobrze, rozumiesz? Skoro Ida nie jest twoją żoną, nie musisz się o nią martwić. Poszła sobie, to poszła, nie twoja sprawa. A Julia... Julia zniknęła cztery miesiące temu. Cokolwiek się z nią stało, parę dodatkowych dni jej nie pomoże.

Skinąłem głową. Kiedy ostatnio o tym myślałem, moje argumenty były dokładnie takie same.

– A teraz opowiedz, co pamiętasz z tamtego wieczoru, kiedy miałeś wypadek. Tylko uczciwie. Niczego nie pomijaj, nawet jeśli wydaje ci się pozbawione znaczenia.

Nie wiem, czy z powodu zmęczenia, czy jakiegoś głęboko zakorzenionego, jeszcze dziecięcego posłuszeństwa powiedziałem mu wszystko. Nie pominąłem nawet wspomnienia Julii leżącej na dywanie z zaciśniętym na szyi krawatem.

Wysłuchał mnie uważnie, a potem raz jeszcze ścisnął mnie za ramię.

– W porządku, przynajmniej wiemy, na czym stoimy. Uruchomię swoje kontakty i postaram się znaleźć tę całą Idę. Mamy jej imię, zawód i miasto, z którego pochodziła, a to już coś.



## NAGRANIE 42

Gdy nagrywam te słowa, jest późny wieczór. Goście już sobie poszli i zostałem sam. Jeśli nie liczyć kotów oczywiście, które w ogrodzie zajmują się kocimi sprawami. Zjadłem na kolację kanapkę z wędliną, bez masła, i popiłem zimną już herbatą – tą samą, którą Bóg wie po co zaparzyła moja matka. Przez otwarte drzwi wpada pachnące trawą i ziołami powietrze, grają świerszcze, a ja myślę o człowieku nadchodzącym zwirowaną ścieżką, o krokach tak ostrożnych i cichych, że nie jestem w stanie ich usłyszeć. Gdyby tego wieczoru ktoś postanowił mnie zabić, zrobiłby to bez trudu, zwłaszcza że siedzę w jasno oświetlonym salonie, widoczny z ogrodu jak na dłoni. To głupie, wiem, ale ta odrobina docierającego do mojego lewego oka światła daje mi otuchę, dzięki niej przetrwam tę noc.

Myślę o Ali, o tym, że na dobrą sprawę jej śmierć może się w ogóle nie łączyć z Idą czy Julią. Moja była żona nie miała łatwego charakteru i z pewnością co najmniej kilka osób z pracy nie oparłoby się pokusie, żeby ją skrzywdzić. Zresztą ruiny kościoła w Krzywiniu to dość odludne miejsce. Może spotkała tam odsypiającego libację pijaczka, któremu nie spodobało się, że ktoś zakłóca mu spokój? To mogła być jedna z tych bezsensownych, pozbawionych motywu zbrodni, o których czyta się przy porannej kawie. Czemu nie?

Czasem nawet w to wierzę.

Kiedy przestaję myśleć o Ali, zaczynam rozważać kwestię dziewczyny uduszonej krawatem w różowe słońce. To kolejny problem, prawda? Moje wspomnienie z nocy przed wypadkiem może znaczyć wszystko albo nic. Może w pijanym widzie coś mi się pomieszało i nagle wyobraziłem sobie Julię w roli ofiary z mojej własnej książki. Może Julia naprawdę zginęła. A może – i ta perspektywa przeraża najbardziej – była jeszcze inna dziewczyna, wcześniej, zanim zacząłem pisać *Uciekaj albo gin*.

Co takiego powiedziała Ida tamtego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy – prawie szczerze – na tarasie?

„To nie było zabójstwo z premedytacją, tylko wypadek. A ty byłeś bardzo młody. Dzieci ocenia się inaczej niż dorośli, dzieci robią głupstwa i czasem te głupstwa kończą się tragedią”.

Mógłbym poprosić Marysię, żeby wrzuciła w Google’a hasło „uduszona krawatem w różowe słońce”, wątpię jednak, czy otrzymałbym jakieś sensowne wyniki. Gdyby ten szczegół był znany, Ida uznałaby po prostu, że dowiedziałem się o nim z internetu, a potem, świadomie bądź nie, użyłem w książce. Nie męczyłaby mnie pytaniami o najgorszą rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

A gdybym poszukał hasła „uduszona krawatem”, nie wspominając nic o wzorze w różowe słońce? To znaczy, gdybym poprosił Marysię, żeby poszukała za mnie? Ile kobiet ginie w ten sposób w Polsce? Ile takich zbrodni zdarzyło się na przełomie wieków, gdy miałem czternaście czy piętnaście lat? Wystarczająco dorosły, by zabić, i jednocześnie na tyle młody, by wciąż uchodzić za dziecko.

Jest to jakiś pomysł. Pytanie, czy wystarczy mi odwagi.

### NAGRANIE 43

Obudziłem się cały, zdrowy i zdecydowanie głodny. Jeśli w nocy zjawili się jacyś goście, nic o tym nie wiem. Spałem na piętrze, zamknięty na klucz w sypialni, z kołdrą naciągniętą na głowę jak wystraszony pięciolatek. Godzina musi być dość późna, bo powietrze na zewnątrz jest już duszne i nagrzane, bez śladu porannej świeżości. Nakarmiłem koty, włączyłem radio i siedzę teraz na tarasie, jedząc kanapki z nutellą i popijając kawą, którą udało mi się zaparzyć w dzbanku już za pierwszym podejściem. Ten sukces w połączeniu z ciepłem słonecznej pogody nastraja mnie optymistycznie, nocne lęki zostały daleko za mną, jak koszmar, który ledwo pamięta się po przebudzeniu.

Słucham dobiegającej z radia listy wakacyjnych przebojów i kiwam stopą do rytmu, gotów na przyjęcie wszystkiego, co przyniesie ten dzień.

#### NAGRANIE 44

Godzina czwarta po południu. Marysia zadzwoniła i powiedziała, że dziś niestety nie da rady przyjechać. Jej matka źle się czuje i chce, żeby córka posiedziała z nią trochę w domu. Czy poradzę sobie sam? Jasne, zapewniłem, zastanawiając się, czy nagły przypływ złego samopoczucia nie jest przypadkiem próbą powstrzymania Marysi przed wizytą u mnie. Nawet jeśli tak, nie mogę mieć do byłej teściowej pretensji. Przez moment wyobrażam sobie, jak muszę wyglądać w oczach rodziców Ali: niewidomy mężczyzna, który wciąż nie doszedł do siebie po ciężkim wypadku, potrzebujący pomocy w najprostszycy sprawach, takich jak nastawienie prania czy zakupy. Być może nie zrównoważony umysłowo. Jego była żona została zamordowana w bardzo niejasnych okolicznościach, a obecna gdzieś zniknęła. Gdybym miał dwudziestoletnią córkę, czy chciałbym, żeby zadawała się z takim typem? Oto jest pytanie.

Te rozważania sprawiają, że psuje mi się dobry humor. Wolę wierzyć, że matka Marysi czuje się źle, bo wciąż przeżywa śmierć Ali. Od morderstwa upłynęło przecież zaledwie... ile dni? Znowu zaczynam tracić poczucie czasu. Tak czy inaczej niewiele. Może ktoś wsadził brudne paluchy w świeżą ranę, jakiś niedelikatny policjant, podobny do komisarza Wolczaka z moich książek...

Dzwoni telefon, muszę kończyć.

Spodziewałem się wiadomości od ojca albo zaniepokojonej Marysi, a tymczasem, jakby przywołany myślami o Wolczaku, zadzwonił mój wydawca. Ostatni raz kontaktowaliśmy się w kwietniu, gdy wciąż leżałem w szpitalu. Niewiele pamiętam z tamtej rozmowy. Umówiliśmy się, że premiera najnowszej książki odbędzie się bez mojego udziału, a wydawca poinformuje fanów, że Leon Cichy uległ poważnemu wypadkowi i w najbliższym czasie nie ma co liczyć na spotkania autorskie. Zresztą spotkań i tak przecież by nie było z uwagi na pandemię. Odmówiłem, gdy dopytywał, czy dam radę udzielić kilku wywiadów przez telefon; mam też wrażenie, że ktoś z działu promocji zobowiązał się od czasu do czasu wrzucić na mojego Instagrama jakieś zdjęcie, żeby podtrzymać zainteresowanie czytelników. Nieważne. Media społecznościowe to coś, o czym nie myślałem od bardzo dawna. Tak czy inaczej gdzieś w maju Ida (którą z przyzwyczajenia wciąż czasem nazywam Julią Drugą) odczytała mi esemesa z wiadomością, że pomimo wydania w samym środku pandemii książka radzi sobie świetnie, zbiera dobre recenzje i od tygodnia znajduje się na pierwszym miejscu bestsellerów Empiku. Nie pamiętam nawet, żebym się jakoś szczególnie ucieszył. Tamtego majowego ranka byłem pewien, że moja kariera pisarza dobiegła końca.

– I jak tam nowa książka? – zapytał mój wydawca. – Zbliżasz się do końca?

– Jaka książka?

– Ta, którą piszesz, to znaczy nagrywasz. Powiedziałeś, że nie będziesz mógł pisać, ale zawsze zostaje ci dyktafon. Twierdziłeś, że mnóstwo słynnych pisarzy tworzy w ten sposób.

Potałem czoło. Naprawdę coś takiego mówiłem? To brzmiało jak moje słowa, kiedyś chyba faktycznie opowiadałem komuś (komu?) o autorach, którzy nagrywali treść książek na dyktafon, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć ani jednego nazwiska. Na szczęście nie podpisałem żadnej umowy, tego jestem pewien. Albo przynajmniej prawie pewien. Jeśli wspomniałem coś o nowej powieści, musiała to być luźno rzucona myśl, którą mój wydawca potraktował z przesadną powagą. Możliwe zresztą, że tamtego dnia w szpitalu mówiłem cokolwiek, byle tylko pozbyć się natrzącywego głosu w słuchawce.

– Pracuję teraz nad czymś, z czego może powstać książka – powiedziałem ostrożnie. – Ale na razie to nic konkretnego. Prowadzę coś w rodzaju dziennika.

– Droga do samoakceptacji? Poradnik, jak odzyskać zdrowie i szczęście po wypadku? To się może sprzedać.

– Niezupełnie. Ja... mam teraz trudną sytuację rodzinną. Moja była żona nie żyje. – Celowo nie użyłem sformułowania „została zamordowana”. Nie chciałem, żeby w prywatnej historii węszył materiał na nowy kryminał. Na szczęście ja i Ala mieliśmy różne nazwiska, na razie więc nikt nie skojarzył jej tragicznej śmierci ze mną.

– Przykro mi. Tak czy inaczej chętnie wydamy, cokolwiek napiszesz. Pamiętaj o tym. Na pewno nie chcesz podpisać umowy? Podniesiemy ci zaliczkę.

– Może jesienią. Teraz potrzebuję czasu, żeby dojść do siebie.

– Jasne. – W głosie wydawcy zabrzmiał sceptycyzm. Mam wrażenie, że podobnych słów użyłem podczas naszej poprzedniej rozmowy. – Dostaniesz tyle czasu, ile potrzebujesz. Zdrowie jest najważniejsze. Pamiętaj tylko, że sytuacja na rynku jest kiepska.

– Z powodu pandemii?

– To też, chociaż nie aż tak bardzo, jak się obawialiśmy. Sprzedaż papieru nam co prawda spadła, ale za to ludzie zaczęli kupować więcej e-booków. Przekonasz się, jak dostaniesz rozliczenie. Ważne, że wciąż nad czymś pracujesz. Odezwe się za miesiąc, co? Z pytaniem, jak ci idzie.

Za miesiąc, pomyślałem, kiedy wreszcie się rozłączył, moja prywatna kryminalna historia prawdopodobnie dobiegnie końca. Na dobrą sprawę wszystko może się wyjaśnić za dwa-trzy dni, gdy ojciec zgodnie z obietnicą „uruchomi kontakty”, pochodzące jeszcze z czasów, kiedy w latach dziewięćdziesiątych działał na lokalnym szczeblu jako polityk. Poznał wtedy sporo dziennikarzy i kilku policjantów. Czy ci ludzie faktycznie po tych wszystkich latach wciąż są skłonni mu pomóc? Cholera wie, tato lubi koloryzować i wyolbrzymiać, chociaż, uczciwie mówiąc, bywało już wcześniej, że jego znajomości wyciągały za tarapatów nie tylko mnie, ale też innych członków naszej rodziny.

Czy chcę, żeby mu się udało, to zupełnie inne pytanie. Z jednej strony niewątpliwie tak, bo dzięki temu mógłbym wreszcie wrócić do normalnego życia czy przynajmniej życia, które w tej chwili uważam za normalne. Z drugiej niekoniecznie, bo to postawiłoby mnie w sytuacji chłopca ratowanego przez wpływowego tatusia. Wyobraziłem sobie lekko rozbawiony głos w słuchawce. *Tak, rozmawiałem z tą twoją Idą. To jedno wielkie nieporozumienie. A Julia uciekła w marcu, bo po pijaku zaczęłaś wygadywać bzdury o dziewczynie uduszonej krawatem w różowe słonie. Powinieneś uważać z alkoholem.*

Ostatni raz paliłem na studiach, ale teraz naprawdę mam ochotę na papierosa. I piwo do tego, czemu nie. Albo kieliszek wódki. Jestem sam, nawet jeśli znów zacznę wyobrażać sobie uduszone dziewczyny, nikomu to nie zaszkodzi.

## NAGRANIE 46

Piotrek wpadł w porze, gdy upał nieco już zelżał, ale wciąż było dość ciepło, zgadywałem więc, że dochodzi siódma, może ósma wieczorem.

– Twoja matka prosiła, żebym ci przywiózł coś do jedzenia. I sprawdził, czy czegoś nie potrzebujesz. Potrzebujesz?

– Tak, żeby ktoś wyprał moje brudne gacie.

– Serio? – Wyobraziłem sobie minę kuzyna i zlitowałem się.

– Nie. Mam mnóstwo czystych gaci.

– A obiad jadłeś? Bo jeśli nie, to przyniosłem skrzydełka z KFC i frytki. Wszystko jeszcze ciepłe. Do tego dwie butelki piwa. Masz ochotę?

Miałem. Zjedliśmy na tarasie, trzymając kartonowe kubeczki na kolanach. Frytki zdążyły zmięknąć, ale skrzydełka wciąż były smaczne, z chrupiącą skórką na wierzchu.

– Jak na wakacjach, co? Pamiętasz wyjazd pod namioty do Dziewiszewa? Tak się chyba nazywa ta miejscowość na Mazurach. Niedaleko pola kempingowego była budka z fast foodem. Kupowaliśmy w niej prawie codziennie trzy kurczaki dla całej rodziny. Właściciel budki żartował, że przez nas cały drób jego matki pójdzie pod nóż. Pamiętasz?

– Jasne – mruknąłem, choć tak naprawdę nie przypominałem sobie nic oprócz śmierdzącej toalety na kempingu i przeciekającej łódki, z której garnkiem wybierałem wodę. Po chwili jednak wróciło wspomnienie nas wszystkich siedzących kręgiem na drewnianych ławach wokół wygasłego ogniska, ciepło mięsa rozrywanego palcami, ściekający po brodzie tłuszcz i dolatujący od strony jeziora mulisty zapach stojącej wody. Czy to było wtedy, w Dziewiszewie, czy podczas innego z naszych licznych rodzinnych wyjazdów? Nie mam pojęcia.

– Twój ojciec bzykał właścicielkę ośrodka – poinformował mnie radośnie Piotrek. – Taką tlenioną blondynę z dużymi cyckami. Nosiła pas do pończoch, serio. Wiem, bo podglądałem ich z Anetą. A może z Kubą? Nie pamiętam. W każdym razie nie z tobą, ty zawsze się wkurwiałeś, kiedy dawaliśmy ci do zrozumienia, że twój tato zalicza na boku panienki. A ciocia popłakiwała po kątach. Żal mi jej było.

Skrzywiłem się.

– Musimy rozmawiać o takich rzeczach?

– Możemy pogadać o czymś innym – zgodził się od razu. – Z ciekawości sprawdziłem wczoraj, czy Google wyrzuci mi jakąś fizjoterapeutkę Idę w Łodzi, ale nic nie znalazłem. To zbyt krótkie imię, wyszukiwarka traktuje je jak część dłuższego wyrazu. Gdyby ta twoja fałszywa żona nazywała się Beata czy Magdalena, byłoby znacznie łatwiej.

– Jest szansa, że odezwie się syn pani Leokadii. W ogłoszeniu mogło być podane nazwisko.

– Nie wzięliście numeru telefonu od tej staruszki z Przeworna? Ani jej adresu?

– Nie.

– Trochę słabo jak na pisarza kryminałów.

– Może uda nam się znaleźć innych klientów Idy. Musiała przecież mieć ich więcej.

Spróbowałem odstawić kubeczek z resztkami skrzydełek na stoliczek, jeden z tych małych, ażurowych i chwiejnych, na których z trudem mieszczą się dwie szklanki z kolorowymi drinkami. Nie trafiłem; kości rozsypały się po tarasie, a ja pochylałem się, żeby je pozbierać. Usłyszałem skrzypnięcie leżaka – Piotrek najwyraźniej zrobił to samo.

Właśnie wtedy, macając po betonie w poszukiwaniu tłustych, uwalanych ziemią kurzych szczątków, zdecydowałem, że jednak poproszę go o pomoc.

## NAGRANIE 47

– Morderstwo, kobieta uduszona krawatem, tak? – Od strony mojego kuzyna dobiegło pracowite stukanie w klawisze laptopa. – Coś jeszcze?

– Rok 1999, 2000 albo 2001. Tak myślę.

– Dobra, zaczekaj.

Koty zjawiły się, zainteresowane zapachem tłuszczu, który wciąż unosił się nad tarasem. Tego bardziej nachalnego odsunąłem delikatnie stopą.

– Sio. Idźcie zapolować na nornice.

– Jest mnóstwo wyników dotyczących różnych filmów – poinformował mnie Piotrek. – Z Tamizy zostaje wyłowiona kobieta uduszona krawatem. To *Szał Hitchcocka. Morderstwa w Midsomer*, odcinek siódmy zatytułowany *Las dusiciela*. Jakiś serwis o Batmanie. Czy ja przegapiłem w dzieciństwie zbrodnię Batmana? Malanowski i partnerzy, cokolwiek to jest...

– Chodzi mi o prawdziwe morderstwa.

– Wiem, zaraz do nich dojdę. Kobieta udusiła dziecko krawatem. Coś takiego? Chłopczyk miał siedem lat.

– To nie to.

– Starsza pani zabita przez sąsiada. Też nie pasuje?

– Nie bardzo. – Zawahałem się. Czy moja wyobraźnia mogła zmienić staruszkę w młodą dziewczynę? Albo małego chłopca?

– Obawiam się, że piękne kobiety giną uduszone krawatem tylko w filmach albo w książkach.

– Nieważne.

– Jest jeszcze... O kurwa.

– Co takiego? – Moje serce gwałtownie uderzyło o żebra. W dzień, zwłaszcza gdy mam towarzystwo, mogę sprawić wrażenie rozluźnionego, ale tak naprawdę to pozorny spokój. Wystarczy byle drobiazg, żeby wytrącić mnie z równowagi.

– Pod domem właśnie zaparkował wóz policyjny. Umawiałeś się z nimi na dzisiaj?

– Z policją? Nie.

Zgrzyt otwieranej furtki, a potem chrzęst żwiru pod stopami. Jeden człowiek, uznałem. Prawdopodobnie mężczyzna. To ostatnie, przyznaję, po prostu zgadywałem. W policji pracuje coraz więcej kobiet, ale moja płęć wciąż ma liczącą przewagę.

– Dzień dobry. Ma pan chwilę? Chciałbym z panem porozmawiać.

Rozpoznałem głos Marka Gościniaka. Powinienem w tym momencie pomyśleć o Ali, Julii albo Idzie. Wizyta policjanta mogła wiązać się z każdą z tych kobiet, jednak ja z jakiegoś niepojętego powodu wyobraziłem sobie, że przyszedł mnie aresztować pod zarzutem uduszenia zupełnie mi nieznannej dziewczyny. Oczywiście krawatem w różowe słonie.

– Mogę zostać? – zapytał Piotrek, zanim zdążyłem się odezwać. – Jestem jego kuzynem.

Chwila milczenia. Podejrzewam, że gdybym był zwyczajnym, świetnie widzącym facetem, usłyszałyby w tym momencie mniej lub bardziej grzeczne „nie”.

– W porządku, niech pan zostanie. Znaleźliśmy samochód zarejestrowany na nazwisko Aliny Stasiaczek. Wie pan coś o tym?

– Samochód Ali? To znaczy... ma pan na myśli mojego forda focusa? On faktycznie jest zarejestrowany na Alę, bo to ona jeździła nim do pracy, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem i mieszkaliśmy razem we Wrocławiu, ale po rozwodzie ja go wzięłem, bo miałem się wyprowadzić do Samotni... to znaczy tutaj, a tu nie da się żyć bez samochodu. Alą powiedziała, że kupi sobie nowy i... – Zaczynałem bełkotać. Odetchnąłem, starając się uspokoić. – W każdym razie moja była żona od dawna już nie miała z tym samochodem nic wspólnego. Gdzie go znaleźliście? Na Sępólnie przy cmentarzu?

– Na leśnej drodze w pobliżu Gromnika. Rodzina spacerująca z dzieckiem zauważyła, że stał tam przedwczoraj i dzisiaj też, dokładnie w tym samym miejscu. Był już trochę zakurzony, jakby nikt go nie ruszał od paru dni, dlatego zadzwonili na numer alarmowy. Porzucone w lesie pojazdy to nie moja działka, ale wiadomość, że samochód należy do zamordowanej niedawno Aliny Stasiaczek, już mnie zainteresowała. Wie pan, kto ostatni raz korzystał z tego auta? Bo zakładam, że nie pan?

– Nie, oczywiście, że nie. Fordem jeździła moja żona.

– Pana druga żona? Julianna Potocka?

Nie zgłaszaj jej zaginięcia, powiedział mój ojciec. Wiesz, jak to będzie wyglądało. Ale policja sama do mnie przyszła i nagle znalazłem się w pułapce. Jeśli powiem prawdę, znów wyjdę na wariata. Jeśli potwierdzę, że blondynka, która po morderstwie Ali przyjechała odebrać mnie z komendy, to Julia, w żaden wiarygodny sposób nie zdołam wyjść, dlaczego zniknęła, porzucając w lesie auto. Tak źle i tak niedobrze.

Było mi gorąco, jakbym miał za chwilę zemdleć. Nie widziałem oskarżycielskiego spojrzenia Marka Gościńskiego, ale doskonale potrafiłem je sobie wyobrazić. I podejrzewam, że wyglądałem na winnego jak cholera. Przyłapuję się czasem na tym, że odkąd straciłem wzrok, trudniej mi kontrolować wyraz twarzy.

Powiniem powiedzieć prawdę, pomyślałem. Teraz, zaraz, dopóki nie będzie za późno. Każda minuta przedłużającego się milczenia sprawiała, że historia, którą miałem zamiar opowiedzieć, zabrzmiała jeszcze bardziej niewiarygodnie.

Otworzyłem usta.

– Tak, moja żona, Julianna Potocka – wymknęły się z nich zdradzieckie słowa. O dziwo, poczułem niespodziewaną ulgę. Skłamałem i nie było już odwrotu. Przywołałem na pomoc całą swoją pomysłowość. – Od kilku dni nie mamy ze sobą kontaktu.

Od strony Piotra wyczuwałem pełne dezaprobaty milczenie.

– Nie macie ze sobą kontaktu? Czy to znaczy, że nie wie pan, gdzie przebywa pana żona?

– Nie.

– I nie przyszło panu do głowy, żeby zgłosić jej zaginięcie?

– Nie. Zdarzało jej się zniknąć już wcześniej. – To przynajmniej było prawdą. – Poza tym, uczciwie mówiąc, nasze małżeństwo od początku nie było zbyt udane. Wzięliśmy za granicą szybki ślub, bo oboje znaleźliśmy się w kiepskim momencie życia: ja świeżo po rozwodzie, Julia bez pracy... Wie pan, jak to jest. – Rozkręcałem się coraz bardziej. Teraz już prawie wierzyłem w tego drugiego Leona, sympatycznego, zwyczajnego faceta, który popełnił zwyczajny, ludzki błąd. – Romantyczna sceneria, wakacyjne zauroczenia. Dopiero w Polsce zrozumieliśmy, że kompletnie do siebie nie pasujemy. Mój wypadek pewnie też się do tego przyczynił... Właściwie nie mogę mieć pretensji do Julii, że nie uśmiecha jej się życie z kaleką. – Subtelna próba wzbudzenia współczucia. Byłem miłym facetem, pogodzonym ze swoją niepełnosprawnością i gotowym dać wolność zdrowej żonie. Jak można podejrzewać kogoś takiego?

– A samochód? Nie obeszło pana, że żona zniknęła razem z pana autem?

– Nie bardzo. To stary samochód, a ja przecież i tak nie mogę prowadzić.

– Aha. Utrata karty bankowej też pana nie zmartwiła?

– Słucham? – Tym razem udało mi się mnie zaskoczyć.

– W schowku znaleźliśmy kartę z banku Millennium, wydaną na pana nazwisko.

Chwila paniki, jakbym idąc po schodach, nagle trafił na wyrwę w miejscu, gdzie powinien być stopień. Na szczęście szybko udało mi się opanować. Mimo wszystko wciąż mam refleks, wciąż, gdy chcę, potrafię ściemniać, zręcznie łącząc prawdę z kłamstwem.

– Julia posługiwała się moją kartą, bo mnie trudno robić zakupy, ale nie, nie martwiłem się. Niezależnie od tego, czy nasze małżeństwo jest udane czy nie, wiem, że to uczciwa osoba. Byłem pewien, że prędzej czy później tę kartę zwróci. Jak widać, to właśnie zrobiła, prawda? Założy się, że zostawiła samochód w takim miejscu, żeby ktoś zwrócił na niego uwagę.

– Znam parę miejsc, które lepiej by się do tego nadawały, ale mniejsza z tym. Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, upierał się pan, że kobieta, z którą pan mieszka, nie jest pana żoną. Rozumiem, że od tego czasu zmienił pan zdanie?

Teraz, pomyślałem. Jeśli Piotrek zamierza się wtrącić i zaprzeczyć wszystkiemu, co mówię, teraz jest właściwy moment.

Ale mój kuzyn milczał.

– Tak. Po wypadku byłem w nie najlepszym stanie psychicznym i wszystko mi się mieszało. Prawdopodobnie dlatego też Julia w końcu zdecydowała się odejść. Nikt nie lubi, kiedy oskarża się go o bycie oszustem. – Mój śmiech zabrzmiał prawie naturalnie.

– Ale dzisiaj czuje się pan dobrze?

– Owszem, czuję się zdecydowanie lepiej. Dziękuję.

– W takim razie będę musiał prosić pana o parę szczegółów, które pozwolą nam znaleźć panią Potocką. Chcielibyśmy z nią porozmawiać.



## NAGRANIE 48

– Co ty wyprawiasz? – wściekł się Piotrek, gdy policjant wyszedł. – Dlaczego go okłamałeś? Leon, ty naprawdę masz coś nie tak z głową. Teraz będziesz twierdził, że Ida jednak jest twoją żoną?

– To ty się upierałeś, że jest, pamiętasz? Jeszcze całkiem niedawno. Dlatego nie mogłem mu powiedzieć prawdy. Przecież by mi nie uwierzył.

– A tak myślisz, że uwierzył? – Głos mojego kuzyna zmienił się, był teraz wyższy, zdecydowanie mniej naturalny. Takiego tonu ludzie używają, gdy nieudolnie parodiują inną osobę. – Nie, nie mam żadnych zdjęć mojej żony, przykro mi. Wszystkie zostały na jej smartfonie. I niewiele tak naprawdę wiem o Julii. Nie mam pojęcia, gdzie była zameldowana przed wyjazdem do Włoch, nie znam żadnych jej przyjaciół ani kolegów z pracy...

– To akurat prawda.

– Gdybyście mieszkali w Samotni przez kilka miesięcy jak zwyczajne małżeństwo, musiałbyś wiedzieć więcej.

Temu nie mogłem zaprzeczyć. Zaczynałem powoli żałować, że nie powiedziałem prawdy. Kosztowałoby mnie co prawda trochę starań, żeby przekonać Gościniaka, ale Piotrek przecież by mi pomógł. Wiem oczywiście, dlaczego zachowałem się tak głupio. Jestem z natury oportunistą, wybieram odruchowo nie lepsze wyjście, tylko to łatwiejsze, wymagające mniej wysiłku. Nawet jeśli ta decyzja miałaby później ugryźć mnie w tyłek. Zawsze taki byłem i w wieku trzydziestu czterech lat nie zamierzam się ludzić, że coś mogłoby się zmienić.

Westchnąłem.

– Teraz już i tak tego nie odkręcę, a jeśli znajdą Julię, sami się przekonają, że to nie ta sama osoba, którą przesłuchiwali jako moją żonę.

– Moim zdaniem robisz głupio, ale to twój problem. – Byłem pewny, że Piotrek wzruszył w tym momencie ramionami. W jego głosie wyczuwałem zmęczenie, może też odrobinę irytacji.

– Poproś moich rodziców i Anetę, żeby nie wspominali nic o Idzie, jeśli policja będzie z nimi rozmawiać. Zrobisz to dla mnie?

– Jezu, Leon. Teraz jeszcze ich zamierzasz w to wciągnąć? Chcesz, żeby skłamali?

– Tato nie będzie miał z tym problemu. Mama i Aneta... nie wiem. – Sam już czułem się zmęczony. – Niczego im przecież nie zabronię, ale dopóki nie zostaną oficjalnie przesłuchane, za okłamywanie policji nic im nie grozi.

– Z ciebie to jednak jest kawał chuja. – O dziwo, teraz w głosie kuzyna usłyszałem nutę rozbawienia, jakby ostatecznie mój oportunizm obrócił się na moją korzyść.

Kryzys został zażegnany, wypiliśmy piwo, na które wciąż miałem ochotę, i koło dziewiątej mój gość zaczął się żegnać.

– Na pewno niczego nie potrzebujesz?

– Nie.

– Aneta twierdzi, że w przyszłym tygodniu ogarnie dla ciebie instruktora czynności codziennych.

– Dzięki. – Nie jestem pewny, czy podoba mi się myśl o obcej osobie kręcącej się po Samotni, wiem jednak, że jeśli się nie zgodzę, moja matka będzie wpaść co drugi dzień, żeby przywieźć mi jedzenie, wyprać skarpetki i sprawdzić, czy się nie zabiłem, schodząc z piętra. Z dwójga złego wolę już chyba instruktora.

Stałem na tarasie, nasłuchując odgłosu oddalających się kroków. Było już dość chłodno, na ramionach miałem gęsią skórkę. Koty nie skorzystały z dobrej rady i nie złapały nornicy, bo ocierały się o moje nogi, najwyraźniej głodne.

– Zaraz dam wam jeść – mruknąłem w roztargnieniu, myślami błędząc po rejonach tak odległych od kocich chrupek, jak to tylko możliwe. O coś jeszcze miałem zapytać, ale zupełnie mi to umknęło. Co to było?

Zgrzyt zamykanej furtki. Za chwilę usłyszę warkot uruchamianego silnika i zostanę sam. Powiniennem nauczyć się na pamięć numerów członków najbliższej rodziny. W ten sposób nie byłbym zależny od losowych wizyt i telefonów. Czy o to chodziło? O tym zapomniałem?

Dźwięk otwieranych drzwi do samochodu.

– Hej! – wrzasnąłem, gdy mój lekko oszołomiony alkoholem mózg wreszcie wypluł z siebie właściwą odpowiedź. – Czekaj!

– Co się stało?

– Zanim przyszedł Gościniak, znalazłem w internecie coś na temat kobiety uduszonej krawatem.

– A, tamto. – Piotrek nie pofatygował się, żeby podejść bliżej, ale na szczęście mówił na tyle głośno, że słyszałem go doskonale. – Jakaś dziewczyna zabita podczas zabawy dożynkowej.

– Gdzie i kiedy?

– Nie zdążyłem doczytać. To był ogólny artykuł o przemocy wobec kobiet, nie konkretnie o tym zabójstwie. Poproś Marysię, żeby ci to wygoogłała, jak wpadnie następnym razem. Ja muszę zniknąć, jutro wstaję o szóstej.

Trzask zamykanych drzwi i szum opon toczących się po wiejskiej drodze. Teraz już naprawdę zostałem sam. Przede mną krótka letnia noc i mnóstwo godzin, które mogę spędzić na rozmyślaniach o bezimiennej dziewczynie zabitej ileś – ile? – lat temu. O tym, czy Ida, wspominając o kończących się tragedią zabawach, mogła mieć na myśli właśnie tamtą śmierć.

## NAGRANIE 49

Po południu wpadła Marysia, ale nie mogła zostać – jej matka wciąż nie czuje się zbyt dobrze. Zostawiła mi w lodówce parę rzeczy, obiecała, że przyjedzie na dłużej, jak tylko „sytuacja wróci do normy”, i zniknęła, ledwo jej przekazałem, żeby nie wspominała policji o Idzie. Nawet gdybym chciał, nie zdążyłbym poprosić, żeby znalazła w internecie artykuł, o którym mówił Piotrek. A może wciąż szukam wymówek? Tak czy inaczej nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo wkrótce zjawił się Gościński. Przywiózł mi kartę bankową i wręczając ją, poinformował, że samochodowi na razie nie odzyskam.

– Musimy zrobić parę badań – powiedział, a mnie znowu skoczyło ciśnienie. Jakich badań? Podejrzewają, że Ida została zabita w moim fordzie?

Nie zapytałem o nic, choć odniosłem wrażenie, że policjant na takie pytanie czeka. Nie zaproponowałem też czegoś do picia, nie zaprosiłem nawet mojego gościa do środka. Rozmawialiśmy w ogrodzie, tuż przy ceglany murze pozostałym po dawnych zabudowaniach. Jeśli ślepotą ma jakieś zalety, jest nią niewątpliwie to, że nikt się po człowieku nie spodziewa bycia dobrym gospodarzem.

– Proszę mi przypomnieć, kiedy ostatni raz widział pan Julię Potocką.

Na początku marca, jeszcze przed wypadkiem, miałem ochotę oznajmić, podejrzewałem jednak, że mojego gościa nie rozbawiłaby taka odpowiedź.

– Na pogrzebie Aliny Stasiaczek. – Zawahałem się, a potem uznałem, że mogę zaryzykować. – Cała moja rodzina widziała ją tam po raz ostatni.

– Rzeczywiście, pana rodzice potwierdzili tę wersję. Rozumiem, że pojechał pan do domu z przyrodnią siostrą Aliny Stasiaczek? A pana żona miała wrócić sama?

– Tak się umówiliśmy. – Znowu się zawahałem, wiedziałem jednak, że żeby kłamać przekonująco, warto trzymać się tak blisko prawdy, jak to tylko możliwe. – Zadzwoiłem do paru przyjaciół i krewnych, którzy też byli na pogrzebie, z pytaniem, czy nie wiedzą przypadkiem, dokąd poszła. Ale po wyjściu z cmentarza nikt już jej nie widział.

– Czyli jednak pan się o nią martwił.

– Może trochę, na początku. Widzi pan, po wypadku jestem zależny od pomocy innych osób... – Uśmiechnąłem się nieśmiało, jak przystało na miłego faceta, który z zakłopotaniem przyznaje, że szukał swojej żony nie z troski, a dlatego, że nie radził sobie z przygotowaniem kolacji. – Potem uznałem, że Julia po prostu odeszła. Jak mówiłem, nie dogadywaliśmy się najlepiej. Właściwie zanosilo się na to od dawna.

– I przez cały czas, kiedy mieszkaliście razem, do pana żony nigdy nie wpadła żadna koleżanka, żeby zobaczyć, jak się Julii mieszka w nowym domu?

– Nie. – Wiedziałem, że stąпам teraz po grząskim gruncie. – Był lockdown, a ja długo leżałem w szpitalu.

– Wrócił pan do domu w połowie kwietnia, a od początku maja obostrzenia zaczęto wycofywać. Zresztą pana żona musiała się przecież z kimś kontaktować, choćby ze swoją dawną współlokatorką. Jak ona ma na imię? Ida, tak? Nazwiska pan nie zna?

– Nie. Ale wiem, że jest fizjoterapeutką. – Kolejny ryzykowny krok, uznałem jednak, że w moim interesie leży, żeby policja znalazła tajemniczą Idę, najlepiej całą i zdrową.

– Fizjoterapeutka Ida, mieszkająca prawdopodobnie w okolicy Łodzi. Nie zna pan choćby przybliżonego adresu? Julia nigdy nie wspomniała, że jedzie na ulicę jakąś tam, żeby zabrać swoje rzeczy?

Spociałem się i nie miało to wiele wspólnego z pogodą, bo dziś akurat dzień był co prawda ciepły, ale też dość wietrzny. Podmuchy nadciągały od strony pól, niosąc ze sobą zapach roztartych w dłoni kłosów zboża i kurzu. Nad moją głową grzechotały poruszane wiatrem liście, na odsłoniętych łydkach czułem muśnięcia długich źdźbeł trawy. Strzepnąłem łączącego po karku robaka, ścierając jednocześnie warstewkę potu.

– Nie pamiętam. Może pojechała tam, kiedy jeszcze leżałem w szpitalu. Nie interesowały mnie jej rzeczy.

– Jasne. Nie interesowały pana rzeczy pana żony, jej dawna praca, znajomi ani krewni. Proszę się nie obrazić, ale wygląda na to, że jesteście naprawdę dziwnym małżeństwem.

Żebyś tylko wiedział... – pomyślałem. Wcześniej wyobrażałem sobie Marka Gościńskiego jako młodego, pełnego zapachu, ale nieszczególnie bystrego gliniarza. Postać, która w filmie czy książce (na przykład mojej książce) mogłaby grać najwyżej drugoplanową rolę. Teraz zacząłem w nim widzieć kogoś w stylu porucznika Columbo, pozornie nieszkodliwego starszego pana, który zadając wciąż i wciąż te same nudne pytania, wreszcie dociera do prawdy. To irytujące, gdy człowiek nie wie, czy rozmawia z trzydziesto- czy pięćdziesięciolatkiem. Nie miałem nawet pojęcia, jaki

jest stopień służbowy mojego gościa. Jeśli policjant kiedykolwiek się nim przedstawił – na przykład w szpitalu, gdy przyszedł wypytać o wypadek – zdążyłem wyrzucić tę informację z pamięci.

– Julia nie miała żadnych krewnych – powiedziałem tylko po to, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Każdy ma jakichś krewnych, nawet jeśli to bardzo dalecy krewni. Albo tacy, o których człowiek nie wie, że ich ma. I co z dziećmi z rodzin zastępczych, w których wychowywała się pana żona? Z nikim nie związała się bliżej?

– Nie. Julia nie czuła się dobrze w tych rodzinach. – Odetchnąłem jak przed skokiem na głęboką wodę. – Nie rozumiem, po co pan zadaje te wszystkie pytania. Przecież już na nie odpowiedziałem. Uważa pan, że skrzywdziłem w jakiś sposób Julię?

– A skrzywdził pan?

– Oczywiście, że nie. Nie miałem ani powodu, ani możliwości, żeby to zrobić.

– Jasne, jest pan przecież niewidomy. Chociaż lekarz, z którym rozmawiałem, twierdzi, że do pana lewego oka jednak dociera odrobina światła.

Zamarłem na kilka dobrych sekund, a kiedy wreszcie udało mi się wydobyć z siebie głos, brzmiał on skrzekliwie, jakby ktoś przed chwilą ścisnął mi gardło.

– Co pan sugeruje?

– Nic. Taka ciekawostka medyczna. Czy pana pierwsza żona, Alina Stasiaczek, miała nóż?

– Co takiego? – Zmienił temat tak błyskawicznie, że mój wciąż otumaniony nagłym przerażeniem mózg zarejestrował to dopiero po chwili. – Jaki nóż? Taki zwyczajny, kuchenny? Myślę, że miała ich kilka, jak większość...

– Mam na myśli nóż, który może służyć do obrony.

Każdy może służyć do obrony, jeśli jest wystarczająco ostry, pomyślałem. A potem zrozumiałem, o co chodzi Gościńiakowi. Wreszcie sobie przypomniałem.

– Miała, ale... To był żart.

– Żart? W jaki sposób posiadanie noża może być żartem?

– Spotkaliśmy się kiedyś z przyjaciółmi przy piwie i rozmowa zeszała na różne gadżety. Mamy koleżkę, który nosi ze sobą mnóstwo multitooli, szczyryków i diabli wiedzą czego. Ala... Ala śmiała się, że to typowo męskie, że facet chodzący z czymś takim uważany jest za zupełnie normalnego, ale gdyby to ona włożyła do torebki nóż, ludzie uznaliby ją za wariatkę. A potem dodała: „Chyba że to byłby różowy nóż, taki specjalny dla kobiet. Szkoda, że takich nie ma...”. Nie mówiła serio, zresztą wszyscy byliśmy wtedy mniej lub bardziej pijani, ale parę tygodni później, tuż przed urodzinami Ali, jedna z koleżanek, które z nami były, zobaczyła na wystawie sklepu składany nóż z różową rękojeścią i pomyślała, że moglibyśmy go dorzucić do prezentu. To miał być tylko taki żartobliwy dodatek. – O mało nie powiedziałem: „Jak krawat w różowe słonie”, słowa już, już miały się ześlizgnąć z mojego języka, ale połknąłem je w ostatniej chwili. Przeraziło mnie to niemal tak, jak pytanie o wzrok. Jeśli mój mózg jest zdolny do takich fuck-upów, to co jeszcze mogę palnąć?

Gościńiak milczał, najwyraźniej nieprzekonany. Nic dziwnego, mnie teraz też ten pomysł nie wydawał się w żaden sposób zabawny.

– Kiedy to było? – zapytał po chwili. – Te urodziny pana żony, na które kupiliście jej nóż?

– Chyba... dwa lata temu. W 2018. W lutym. Ala ma... miała urodziny w lutym.

– I pana żona nosiła ten nóż przy sobie?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie był jej do niczego potrzebny. Pośmialiśmy się trochę z tego niby-prezentu, a potem wrzuciła go do szuflady, i tyle.

– Kiedy ostatni raz pan go widział?

– Nie wiem... Nie pamiętam. Chyba właśnie wtedy, na urodzinach. Ale dlaczego pan o to pyta?

„Czy Ala została zabita tym nożem?”, chciałem dodać, ale zabrakło mi odwagi.

Nie wiem, jak długo rozmawialiśmy w ogrodzie. Mięśnie mojej prawej łydki zaczęły już protestować bólem. Wiedziałem, że nie wytrzymam długo, za chwilę będę musiał albo zaprosić Gościńiaka do środka, albo powiedzieć mu grzecznie, żeby spieprzał. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem wystającego z bujnych krzewów muru. Ciepło i solidność starych cegieł sprawiły, że poczułem się odrobinę lepiej. Przynajmniej nie miałem już wrazenia, że lada moment osunę się w trawę.

Dopiero po kilku sekundach zorientowałem się, że policjant, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, zadał kolejne.

– Słucham?

– Zastanawiałem się, czy Alina Stasiaczek była ostrożną osobą. Mam na myśli kogoś, kto zmienia zamki w drzwiach bez wyraźnego powodu, na przykład dlatego, że na osiedlu zdarzyło się włamanie, a wychodząc wieczorem, wkłada gaz pieprzowy do torebki.

– Nie, Ala nigdy nie robiła takich rzeczy. Była raczej odważna, a poza tym... Tak naprawdę nie miała się czego bać. Pracowała w banku praktycznie w centrum Wrocławia, do pracy jeździła samochodem, a kiedy wychodziliśmy gdzieś wieczorem, to zazwyczaj razem. Wiem, że napady zdarzają się nawet w środku dnia w miejscach, gdzie jest pełno ludzi, ale statystycznie szansa na coś takiego jest zdecydowanie mniejsza. Ala i ja prowadziliśmy bardzo spokojne, bezpieczne życie.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak prawdziwe jest to, co właśnie powiedziałem. I jak bardzo tego spokojnego, bezpiecznego życia nie doceniałem.

– I tak było też w ostatnich miesiącach przed jej śmiercią?

– Nie wiem. Od rozwodu miałem z Alą bardzo ograniczony kontakt.

– A kto znał ją dobrze w tym czasie?

– Mieliśmy krąg przyjaciół, z którymi lubiliśmy się trzymać. – Podalem parę nazwisk. – A z mojej rodziny chyba Aneta Ochocka. I jeszcze ten tajemniczy facet, dla którego Ala mnie rzuciła.

– Tajemniczy?

– Twierdziła, że kogoś ma, ale nigdy nie widziałem tego mężczyzny na oczy.

– Nie szukał go pan? Nie próbował naciskać na żonę, żeby zdradziła jego tożsamość? Tak po prostu zgodził się pan na rozwód?

– Nasze małżeństwo nie było zbyt udane.

Uświadomiłem sobie, jak musiały zabrzmieć moje słowa, ale było już za późno. Wiedziałem, co zaraz usłyszę. Zdążyłem nawet pomyśleć, że właściwie na to zasłużyłem.

– Wygląda na to, że ma pan niesamowitego pecha. Już dwie żony odeszły od pana po nieudanych związkach. A pan żadnej z nich nawet nie próbował zatrzymać.

## NAGRANIE 50

Nie mogę przestać myśleć o wizycie Gościniaka, o tym, co próbował zasugerować. Wiem, że najprawdopodobniej nic szczególnego – ot, podpuszczał mnie, bo wyczuł, że nie do końca mówię prawdę, a ja zareagowałem niczym znerwicowany nastolatek. Gdybym zachował spokój, poprowadziłbym tę rozmowę zupełnie inaczej. Ale trudno, stało się. I tak nie mam powodów do niepokoju. Nikt przecież nie może serio podejrzewać, że zabiłem Alę czy kogokolwiek innego. I że tylko udaję ślepotę. To absurd.

A jednak mały, maleńki ślad przerażenia wciąż we mnie pozostał jak osad brudu na wannie, z której spuściło się już wodę. Nie potrafię się go pozbyć, niezależnie od tego, jak dużo wyimaginowanych rozmów przeprowadzam w głowie z Gościniakiem.

To, co powiedział o moich nieudanych związkach, też mnie dręczy. Julia to zupełnie inna kwestia, ale Ala... Ali naprawdę pozwoliłem tak po prostu odejść. Bo byłem zbyt dumny, żeby o nią walczyć? Bo w gruncie rzeczy jakaś część mnie – ta najbardziej paskudna – tego rozvodu chciała? Jesienią zeszłego roku zastanawiałem się, co jeszcze mogę zrobić, i za każdym razem dochodziłem do wniosku, że nic. Nie mogę przecież położyć się na jej progu i oznajmić, że będę tam leżał, aż wreszcie raczy mi wyjaśnić, o co, do cholery, chodzi, kim jest ten tajemniczy facet i czy w ogóle istnieje. Tak to sobie tłumaczyłem. Cywilizowani mężczyźni nie robią takich rzeczy, a jeśli robią, cywilizowane kobiety wzywają policję. Teraz żałuję, że mimo wszystko nie zdecydowałem się na taki krok. Może Ala postarałaby się dla mnie o zakaz zbliżania. A może czegoś bym się dowiedział.

Dochodzi dziewiąta, w RMF-ie właśnie rozpoczyna się wieczorna audycja. Powinienem nauczyć się chodzić spać i wstawać wcześniej, tak żeby jak najpełniej wykorzystywać każdy dzień. Jestem teraz trochę jak jaszczurka: lubię wygrzewać się w słońcu, lubię, jak do mojego lewego oka dociera przynajmniej odrobina naturalnego światła. Gdy temperatura spada, mój nastrój się obniża i powracają lęki. Każdy dźwięk sprawia, że...

## NAGRANIE 51

Zgrzyt żwiru zgniatanego ciężką stopą – właśnie to usłyszałem. Czekałem z mocno bijącym sercem, niemal pewny, że to tylko jeden z kotów zeskoczył z drzewa na ścieżkę. Ale nie, zgrzyt powtórzył się chwilę później. I znowu. Ktoś nadchodził od strony furtki.

Zgasilem światło. Pierwsza rozsądna myśl, która przyszła mi do głowy. W ciemności to ja miałem przewagę, a nie mój niespodziewany gość. Zakładając oczywiście, że nie zabrał ze sobą latarki.

Koty kręciły się wokół moich nóg, jakby i one wyczuwały niebezpieczeństwo. Dotknąłem grzbietu jednego z nich.  
– Kto tam jest, co? – szepnąłem. – Przyjacieli czy wróg?

Czując się jak bohater kiego filmu, chwyciłem duży i ciężki kamionkowy kubek, który dostałem w prezencie, nie pamiętam już nawet od kogo. Do tej pory służył głównie jako ozdoba salonu, bo nie znoszę picia kawy czy herbaty z porcelanowych naczyń. Teraz mógł się przydać jako broń.

Zgrzytanie żwiru przeszło w równomierne szuranie. Mój tajemniczy gość wszedł na taras.

I nagle cisza, kroki ucichły.

– Leon? Jesteś tu?

Znałem ten głos, oczywiście, że tak. Jeśli wcześniej czułem się głupio, to teraz poczułem się jeszcze gorzej. Odstawiłem kubek i zapaliłem światło.

– Dzięki. – Janek, mąż Anety, wszedł do salonu i z pełnym ulgi sapnięciem opadł na kanapę. Sprężyny zajęczały pod jego ciężarem. Od czasu gdy widzieliśmy się po raz ostatni, musiał sporo utyć. Dziesięć lat temu przypominał typowego yuppie: wysportowany, w garniturze, robiący szybką karierę w zagranicznym korpo. W miarę jednak jak pojawiały się kolejne dzieci, zaniedbywał się coraz bardziej. Z tego, co wiedziałem, zwłaszcza najmłodszy, autystyczny Maciek, mocno dał rodzicom w kość, bo Janek i Aneta długo nie wiedzieli, co właściwie małemu dolega. Nie zmienia to w niczym faktu, że jeszcze jesienią określiłbym ich małżeństwo jako zwyczajne i dość szczęśliwe. Dzisiaj już niczego nie byłem pewien.

– Aneta cię przysłała, żebyś zobaczył, czy wszystko ze mną w porządku? Jeśli tak, to nie musicie się martwić... – Chciałem dodać, że wystraszyłem się, bo nieczęsto miewam gości o tak późnej porze, a poza tym tych, którzy wpadają najczęściej, czyli Marysię, rodziców i Piotrka, rozpoznawałem już po krokach, ale Janek nie dał mi dokończyć.

– Sam postanowiłem przyjechać. Musimy pogadać.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że chce porozmawiać o swoich małżeńskich problemach, co było o tyle mało prawdopodobne, że nigdy nawet się nie lubiliśmy. Ta wzajemna antypatia nie ma jakichś szczególnych przyczyn, po prostu niewiele nas ze sobą łączy. Korporacyjna kariera Janka to dla mnie kwintesencja nudy, on z kolei uważa, że pisanie jest zajęciem dobrym dla wrażliwych licealistek, a nie dla poważnych facetów, którzy powinni zarabiać poważne pieniądze. Kiedyś wytknąłem mu, że przecież ja moimi książkami dokładnie takie pieniądze zarabiam, na co poczęstował mnie długą i mętłą wypowiedzią. Wynikało z niej, że każdy artysta prędzej czy później zacznie pić albo zdradzać żonę.

– O czym?

– O tobie. Powiem to brutalnie, bo inaczej się nie da, ale ktoś musi to wreszcie zrobić. Dorośnij i zacznij sam się sobą zajmować, jasne? Nie możesz ciągle wykorzystywać innych. Tak, wiem, miałeś ostatnio ciężko. Tyle że, kurwa, wszyscy mamy ciężko. – Janek zaczął spokojnie, ale z każdym słowem nakręcał się coraz bardziej. – Nie jesteś jakimś pieprzonym wyjątkiem. Nie możesz wiecznie liczyć na to, że kuzynka przybiegnie na każde zawołanie, żeby ugotować ci obiad czy uprać brudne gacie.

Milczałem, kompletnie oszołomiony. Aneta odwiedziła mnie dwa razy i zdecydowanie niczego nie prała ani nie gotowała. Trudno było przypuszczać, że Janek robi mi awanturę o dwie zwykłe towarzyskie wizyty. Musiało się w tym kryć coś więcej i bez większego trudu zgadłem, co takiego. Aneta wymykała się z domu, używając jako wymówki mojej niezaradności. Miałem ochotę ją wsypać za coś takiego, ale ostatecznie wygrała rodzinna lojalność.

– W porządku, żadnego więcej prania gaci i gotowania – zgodziłem się pokornie.

W drugim sapnięciu mojego gościa wyczułem zdziwienie, może też odrobinę rozczarowania.

– Dobra, to przynajmniej mamy z głowy. – Jego głos złagodniał. – Wiem, że przyjaźniliście się z Anetą w dzieciństwie i ona zawsze wyciągała cię z kłopotów...

– To ja zawsze wyciągałem ją z kłopotów. – Tym razem zdecydowałem się zaprotestować. To ja byłem tym bardziej wygadany, obrotny i lubiany przez dorosłych dzieckiem. Nie wspominając już o tym, że kiedy byliśmy mali, przewyższałem Anetę o głowę. Dziś mam metr siedemdziesiąt, czyli niezbyt dużo, ale nim przestałem rosnąć

w wieku piętnastu lat, zapowiadałem się na naprawę wysokiego gościa. Myśl, że to Aneta miałaby wyciągać z kłopotów mnie, wydawała się absurdalna.

– Leon...

– Co? – Zirykowało mnie to krótkie słowo. Moje imię.

– Nic. Dajmy temu spokój. Cieszę się, że się zrozumieliśmy.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to.

– Wszyscy wiedzą, że rodzina cię chroni, odkąd byłeś dzieckiem. Bo jesteś taki wrażliwy i masz dużą wyobraźnię, i cholera wie, co jeszcze.

– Moja wyobraźnia nie ma nic do tego. Nikt mnie nigdy nie chronił. Nie wiem, co twoja żona ci nagadała, ale to nieprawda. Aneta zawsze miała skłonności do konfabulowania. – Nie mogłem sobie odmówić tej małej szpileczki.

Nad kanapą zapadło pełne urazy milczenie. Zgadywałem, że Janek rozważa, czy się ze mną kłócić, czy może, skoro odniósł już dziś jedno zwycięstwo, okazać łaskawość i odpuścić.

– Nieważne, pójdę już – zdecydował. Drzwi na taras skrzypnęły.

– Czekaj.

– Potrzebujesz czegoś? Muszę dzisiaj jeszcze przygotować parę rzeczy na jutro do pracy.

– To nie potrwa długo. Możesz coś dla mnie wygugłać?



## NAGRANIE 52

– „Kobiety giną z rąk mężczyzn dziesięć razy częściej niż mężczyźni z rąk kobiet” – zacytował Janek. – „Taki los spotkał Stanisławę Z. z Katowic, zadżganą przez partnera nożem, Urszulę S. z Legionowa, pobitą na śmierć przez kolegę, z którym nie chciała pójść na randkę, czy wreszcie dwudziestodwuletnią Dorotę G. z Bielska-Białej, uduszoną krawatem na zabawie dożynkowej w 1998 roku”. Potem jest jeszcze więcej statystyk. Też mam czytać?

– Nie, dzięki. Czy imię którejkolwiek z tych kobiet pojawia się dalej w artykule?

– Nie.

– W porządku, to wszystko. Dziękuję.

Myślałam, że Janek jeszcze o coś zapyta, że będzie drążył, po co mi ten artykuł, ale po prostu wstał i wyszedł. Dopiero kiedy zamknęły się za nim drzwi, pozwoliłam sobie odetchnąć z ulgą. Teraz przynajmniej mam pewność, że nic mnie nie łączy z Dorotą G. Nigdy w życiu nie byłem w Bielsku-Białej, a w 1998 roku miałem dwanaście lat. Zdecydowanie za mało, żeby się upijać i dusić dziewczyny.

## NAGRANIE 53

– Przepraszam, że cię tak zostawiłam – powiedziała Marysia. – Naprawdę bym przyjechała, gdybym tylko mogła...

– Wiem. Nie przejmuj się, przecież nie przymierałam tu głodem. – Uśmiechnąłem się uspokajająco w stronę aneksu kuchennego. – Jak się czuje twoja mama?

– Lepiej. – Szum odkręcanego kranu, brzęk wkładanych do zlewu talerzy. Myłem je wczoraj, najwyraźniej jednak uznała, że to nie wystarczy. – Przez jakiś czas martwiliśmy się z tatą, że będzie musiała iść do szpitala, ale ostatecznie lekarz uznał, że to tylko nerwowa reakcja na śmierć Ali...

– Jasne. – Miałem nadzieję, że nie zdradza mnie wyraz twarzy.

Marysia jeszcze raz przeprosiła, ja jeszcze raz zapewniłem, że wszystko jest w porządku. Gdy skończyła myć naczynia, nasypała kotom suchej karmy i wyczyściła im kuwetę. Z tych wszystkich czynności tylko z czyszczeniem kuwety wciąż słabo sobie radzę, ale nie zamierzałem protestować. Może naprawdę jestem człowiekiem, który wykorzystuje innych, pomyślałem.

Usiadła wreszcie obok mnie na kanapie. Pachniała dziś inaczej niż zwykle, czymś bardziej korzennym, może czekoladowym.

– Udało mi się skontaktować z Gniewkiem, byłem chłopakiem Julii. Tym, który podobno wiedział o niej najwięcej. Przeczytać ci naszą rozmowę?

– Jasne.

– Dobra, to czytam. Trochę ją poprawiłam, żeby brzmiała bardziej sensownie, bo niektóre zdania naprawdę ciężko było zrozumieć. Nieważne. Słuchaj.

*Ja: Szukam Julianny Potockiej. Podobno ją znałeś.*

*Gniewko: No. Chodziliśmy nawet ze sobą. A co?*

*Ja: Nie wiesz, gdzie teraz jest?*

*Gniewko: Nie mam zielonego pojęcia. Rzuciła mnie.*

*Ja: Czemu?*

*Gniewko: Podobno dlatego, że za dużo piłem. Jakby, kurwa, inni nie pili. I nazywałem ją moją Mućką, bo miała cycki jak dojna krowa. Raz chciałem je pokazać kumplom i zadarłem jej bluzkę. Nieźle się wtedy na mnie wkurwiła, ale wszyscy mieli polew. Iksde.*

*Ja: Kiedy cię rzuciła?*

*Gniewko: No jakoś w połowie trzeciej klasy LO, nie? Wyprowadziła się wtedy z domu i poszła pracować do knajpy dla pedałów.*

*Ja: Widywaliście się wtedy jeszcze?*

*Gniewko: Trochę gadaliśmy przez WhatsAppa. Ale potem kontakt nam się urwał. Nie żałuję, teraz mam lepszą laskę. Chcesz fotkę?*

*Ja: Nie chcę.*

*Gniewko: Ona też sobie kogoś znalazła. Tak napisała.*

*Ja: W sensie – jakiegoś faceta?*

*Gniewko: No a kogo? Byka, żeby pasował do krowy? Iksde.*

*Ja: Możesz poszukać tej rozmowy i zacytować?*

*Gniewko: Serio, kurwa?*

*Ja: Tak, serio. Ładnie proszę. Naprawdę mi na tym zależy.*

*Gniewko: A pogadamy przez kamerkę?*

*Ja: Zobaczymy.*

*Gniewko: Dobra, czekaj. Mam. „Znalazłam kogoś bliskiego, wiesz? Teraz możesz się ode mnie odwalić”. No to się odwaliłem, nie? Jak nie chce, to nie. Potem kontakt nam się urwał.*

*Ja: Nie podała żadnych szczegółów na temat tej osoby?*

*Gniewko: No przecież mówię, że nie. Jesteś głupia czy jak? Potem już do siebie nie pisaliśmy.*

*Ja: Dzięki. Muszę spadać.*

– Odzywał się do mnie jeszcze, ale nie odpowiadałam. I przepraszam za to, co czytałam, o krowie i tak dalej. Nie moje słowa.

– Wiem. – Przełknąłem gorzkie uczucie gniewu i frustracji. Jak bardzo samotna i zdesperowana musiała czuć się Julia, skoro zgodziła się na związek z takim typem? I jak bardzo miałem ochotę mu przywalić?

Marysia pochyliła się i dotknęła mojego policzka dwoma palcami prawej ręki, wskazującym i środkowym. To był zwykły gest pocieszenia, nic szczególnego, a jednak wstrząsnął mną bardziej, niż chciałbym przyznać. Bo Ala robiła tak samo, też zdarzało się, że dotykała mnie nie całą dłonią, a jedynie dwoma palcami, jakby układała je w jakiś tajemny, rozumiały tylko dla nas dwojga znak.

– Wszystko w porządku? – Musiałem mieć dziwną minę, bo w głosie Marysi zabrzmiał niepokój.

– Jasne. Co z synem pani Leokadii? Nie odzywał się? – Zmieniłem temat.

– O kurwa.

– Co się stało?

– Zjebałam – przyznała z rozbijającą szczerością. – Wczoraj ktoś do mnie dzwonił, ale nie odebrałam, bo akurat zajmowałam się mamą. A potem totalnie wypadło mi z głowy, żeby oddzwonić. Zrobię to teraz, co?

Zerwała się z kanapy. W tym, jak się poruszała, też przypominała Alę, która potrafiła godzinami siedzieć zupełnie rozluźniona, a potem, zupełnie nagle, jak prostująca się sprężyna, podnosiła się i dokądś biegła. Był to zresztą jeden z powodów, dla których nie mieliśmy w domu zwierząt: koty i psy źle reagują na tak gwałtowne ruchy.

Marysia krążyła po salonie, próbując się dodzwonić, a po chwili, pchana najwyraźniej wciąż tą samą potrzebą działania, wyszła na taras. Usiadłem wygodniej na kanapie. Ja z całą pewnością nie zamierzałem nigdzie się ruszać. Z ogrodu dobiegały mnie urywki rozmowy: „To ogłoszenie... Pamięta pan może...”.

Myślałem o Julii, o tym, że nie powiedziała mi wszystkiego o swoim życiu. Przyznała się, że w liceum chodziła z chłopakiem, który „nie był jej wart”, ale nigdy nie wspomniała, że potem jeszcze kogoś poznała. Ale dlaczego miałyby o tym mówić? Ja też przecież nie zwierzałem jej się ze wszystkiego. Może znajomość ostatecznie nie wypaliła, może Julia znowu została skrzywdzona.

A może... może chodziło o coś zupełnie innego. Czułem, że znalazłem się blisko odpowiedzi na przynajmniej jedno ważne pytanie.

Co powiedział Gościniak? Każdy ma jakichś krewnych, czasem bliższych, a czasem dalszych. Nawet jeśli są to krewni, o których człowiek sam nie wie, że ich ma.

Marysia pochylając się nade mną i kładąc rękę na moim policzku gestem tak podobnym do gestu, jaki wykonywała Ala.

Skrzypnęły drzwi prowadzące na taras.

– Nie uwierzysz, co właśnie usłyszałam. Facet wziął ogłoszenie z Lento, ale nie to jest najważniejsze. Zgadnij, jak Ida ma na nazwisko.

Nie musiałem zgadywać, bo już wiedziałem. Gniewko zakładał, że Julia ma nowego chłopaka, bo wszystko kojażyło mu się z seksem, ale w zdaniu „Znalazłam kogoś bliskiego” nie ma mowy o żadnym mężczyźnie.

– Potocka. Nazywa się Potocka, tak samo jak Julia. To są przyrodnie siostry. Dwie różne matki, ten sam ojciec.

– Skąd wiesz? – Marysia wydawała się rozczarowana.

– Z powodu czegoś, co powiedział Gościniak, ten policjant. Poza tym one są do siebie pod pewnymi względami podobne. Mają prawie taki sam ton głosu. Julia mnóstwo razy mi powtarzała, że nie ma rodzeństwa, ale przecież nie mogła tego wiedzieć na pewno, nie w przypadku takiego ojca jak znikający pan Potocki. Pomyślałem, że skoro facet raz zapłodnił kobietę, a potem zwinął żagle, równie dobrze mógł to zrobić więcej razy.

– Julia cię okłamała.

– Nie do końca. Właśnie to mnie zmyliło. Kiedy opowiadała o swoim samotnym dzieciństwie, brzmiało to naprawdę szczerze. Ktoś, kto ma rodzeństwo, nie byłby aż tak przekonujący. Ale jeśli założymy, że Julia dowiedziała się o istnieniu Idy, dopiero kiedy skończyła osiemnaście lat, wszystko nabiera sensu.

– W takim razie czemu po prostu nie powiedziała, że mieszka z przyrodnią siostrą? Czemu udawała, że to jej współlokatorka?

– Nie mam pojęcia.

Idę mogłem podejrzewać o złe intencje, ale Julia... Julia była uczciwa. Naprawdę mnie kochała. Wracam do tej myśli wciąż i wciąż. Nie pomyliłem się. Nigdy nie zadawała mi dziwnych pytań jak Ida, nie wspominała o moich książkach i nie interesowała się dawnymi morderstwami popełnionymi za pomocą krawata. Była zwyczajną miłą dziewczyną. Albo genialną aktorką, jeśli tylko udawała.

Od strony kanapy dobiegało miarowe stukanie klawiszy laptopa.

– W Łodzi jest jedna Ida Potocka, która pracuje jako fizjoterapeutka. Ma gabinet przy Kilińskiego. Czeka, włącz street view. To zwykła kamienica, nie ma nazwy salonu. To znaczy...

– ...że prawdopodobnie mamy jej adres domowy.

– Taaa... – Marysia pomyślała chyba o tym samym co ja. – Chcesz tam pojechać? Dzisiaj?

– A która jest godzina?

– Dochodzi dziesiąta rano. Do Łodzi są jakieś trzy godziny drogi. Zdążymy obrócić tam i z powrotem do wieczora.

– Dasz radę prowadzić tak długo? – „Masz prawo jazdy dopiero od roku”, chciałem dodać, ale ugryzłem się w język. Nie należy być nieuprzejmym wobec osób, które dostarczają ci jedzenie. Zresztą Marysia jak na tak mało doświadczonego kierowcę radzi sobie całkiem niezle. Jestem niewidomy, ale potrafię docenić płynną jazdę.

– Jeśli zrobimy przerwę na kawę, to tak. I na obiad.

– Jasne – odparłem, myśląc jednocześnie, że na dobrą sprawę sam siebie powinienem zapytać, czy dam radę. Ten wyjazd byłby moim pierwszym tak długim pobytym poza bezpiecznym terenem Samotni. Obiad musielibyśmy zjeść w jakiejś przydrożnej knajpie, gdzie siedziałbym przy stole, próbując trafić widelcem w kotleta, podczas gdy inni goście usiłowałiby udawać, że na mnie nie patrzą – bo przecież nauczeni jesteśmy, że nie wypada gapić się na innych ludzi, zwłaszcza niepełnosprawnych – ale i tak by patrzyli. Nawet prosta wizyta w toalecie mogła być problemem, trudno przecież, żeby Marysia prowadziła mnie za rękę do kabiny.

Nie jestem na to gotowy, pomyślałem. Jutro, pojutrze, gdybym poczuł się choć trochę pewniej...

Odezwał się telefon. Sięgnąłem po komórkę z uczuciem ulgi, że podjęcie decyzji zostało odwleczone przynajmniej o minutę czy dwie. I z nadzieją, bo przecież mógł dzwonić tato z informacją, że wszystkie moje problemy zostały rozwiązane. Niechętnie się do tej nadziei przyznaję, ale obiecałem sobie uczciwość.

– Słucham.

– Cześć, tu Aneta. Chciałam ci podziękować za to, że... no wiesz.

Wyszedłem na taras, żeby Marysia mnie nie słyszała.

– Że trzymałem język za zębami, kiedy twój mąż przyszedł mnie zwyzwać?

– Taak, za to właśnie. – W jej głosie zabrzmiało wyraźne skrępowanie. – Sorry, nie chciałam cię stawiać w takiej sytuacji. Po prostu to było pierwsze kłamstwo, które przyszło mi do głowy.

– Co się dzieje? – spytałem, choć nie byłem do końca przekonany, czy naprawdę chcę usłyszeć odpowiedź. Mam dość własnych kłopotów, by jeszcze interesować się cudzymi.

– Nic.

Kusiło mnie, żeby udać, że biorę to „nic” za dobrą monetę, i się rozłączyć. Zrobiłbym to, gdyby Aneta użyła odrobinę bardziej przekonującego tonu, ale ponieważ jej „nic” było wręcz demonstracyjnie fałszywe, uznałem, że pora na spełnienie rodzinnego obowiązku.

– Masz osobliwą definicję słowa „nic”. Mniej więcej taką jak ja. Powiedz, o co chodzi. Zamierzasz się rozwieść z Jankiem?

– Jezu, nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – zaprzeczyła tak błyskawicznie, z autentycznym zaskoczeniem, że uwierzyłem jej bez zastrzeżeń. W porządku, a więc w rodzinie Ochockich nie będzie kolejnego rozwodu. Moja matka by się ucieszyła, przemknęło mi przez głowę.

– Bo wymykasz się gdzieś i okłamujesz męża? Bo masz tajemnice?

– Każdy ma tajemnice. Słuchaj, naprawdę chętnie bym z tobą pogadała, ale to tak jakby... nie moja sprawa. – Tym razem wyłapałem odrobinę żalu. – Może później.

– Czasem mam wrażenie, że za cholerę nie wiem, co się dzieje w naszej rodzinie – rzuciłem żartem, spodziewając się równie żartobliwej odpowiedzi. Taka tam malutka próba wskrzeszenia kuzynowskiej więzi, jaka nas kiedyś łączyła. Jednak kiedy Aneta się odezwała, była całkowicie poważna.

– Tak, obawiam się, że nie masz o tym pojęcia.

Rozłączyła się, a ja stałem przez moment na tarasie, niewątpliwie z głupią miną. Usłyszałem ciche, lekkie kroki. Marysia zatrzymała się tuż przede mną, ale nic nie powiedziała. Może była już zmęczona zadawaniem wciąż i wciąż tego samego pytania: Czy wszystko w porządku? Na które, jak zdążyłem się zorientować dawno temu, większość osób odpowiadała fałszywie.

Nagle poczułem złość. Moje życie się rozpadło, wszyscy wokół mieli jakieś tajemnice, a ja tkwiłem pośrodku, nie mając pojęcia, co się właściwie dzieje, zdany na łaskę innych. Twoja rodzina zawsze próbowała cię chronić, powiedział Janek. To nie była prawda, wiedziałem o tym. Kiedyś nie.

Ale teraz już tak.

– Jeśli mamy wrócić z Łodzi do wieczora, musimy wyjechać teraz – oznajmiłem.

## NAGRANIE 54

Nasypałem do misek suchej karmy, a potem opuściliśmy dom, zostawiając drzwi na taras uchylone, żeby koty mogły wyjść do ogrodu.

– Nie boisz się, że ktoś cię okradnie? – zapytała Marysia, kiedy zmierzaliśmy w stronę furtki.

– Nie mam żadnych cennych rzeczy. Z wyjątkiem komputera i laptopa, ale jeśli ktoś chce, może je sobie zabrać. I tak z nich nie korzystam. To, co najważniejsze, noszę ze sobą.

– Twój portfel?

– Moja nowa książka. Nagrywam ją na dyktafon w telefonie. To znaczy myślę, że może być z tego książka. Jeszcze nie jestem pewny.

– Aha. – Marysia pchnęła furtkę, wsiedliśmy do zaparkowanego na poboczu samochodu i pojechaliśmy.

## NAGRANIE 55

Zbliża się powoli pierwsza po południu, a my zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej tuż za Sieradzem. Ja stoję na zewnątrz, oparty o samochód, Marysia czeka na swoje zamówienie w środku. Hamburger wegetariański. Są też zwykcyjne, z mięsem, powiedziała, gdy z powątpiewaniem uniosłem brew. Albo hot dogi. Mogę ci kupić hot doga, jeśli chcesz.

Nie chciałem. Na razie wystarczy mi kawa. Zjem coś później – coś, mam nadzieję, mniej niebezpiecznego dla koshuli i spodni niż ociekający keczupem hot dog ze stacji benzynowej.

Do Łodzi zostało jakieś czterdzieści kilometrów; słyszę pomruk nadciągającej burzy, która goni nas od dobrej półgodziny. Nie wiem, czy damy radę przed nią uciec. Nie wiem, czy ta wyprawa w ogóle ma jakikolwiek sens, ale przynajmniej zyskałem poczucie, że coś – cokolwiek – robię.

## NAGRANIE 56

Chwilę trwało, nim udało nam się znaleźć miejsce do parkowania. Wysiedliśmy prosto na rozgrzany słońcem chodnik, w tłum ludzi. Ktoś trącił mnie łokciem, odsunąłem się, moja stopa zsunęła się z krawężnika i mało brakowało, a straciłbym równowagę. Marysia wzięła mnie pod ramię.

– Idziemy w prawo – zakomenderowała. – Jakies dziesięć metrów, potem skręcamy w lewo.

Po chwili zrobiło się odrobinę luźniej, jakbyśmy weszli w boczną uliczkę. Miałem ochotę poprosić Marysię, żeby opisała okolicę, ale zabrakło mi odwagi. Zresztą jaki to miałoby sens? Nigdy wcześniej nie widziałem Łodzi i nigdy już jej nie zobaczę. Czy to taka wielka strata? Niewątpliwie są na świecie miejsca bardziej warte obejrzenia, choć teraz żałuję właśnie tego jednego doświadczenia, które jak tyle innych wymknęło mi się z rąk tamtego marcowego wieczoru, gdy uderzył mnie rozpadziony samochód.

– Tutaj. Musimy zadzwonić.

Długi, stłumiony przez grube drzwi brzęczyk domofonu. Czekaliśmy. Wokół pachniało upalnym dniem w mieście: mieszanką spalin, rozgrzanego asfaltu, ludzkiego potu i czegoś słodkiego, co najwyraźniej sprzedawano niedaleko. Pączki albo gofry, uznałem, czując napływającą do ust ślinę. Żałowałem, że odmówiłem hot doga.

– Nikt się nie odzywa – powiedziała Marysia z tak głębokim rozczarowaniem, że zrobiło mi się jej żal.

Ja w gruncie rzeczy nigdy nie wierzyłem, że znajdziemy Idę w jej mieszkaniu. To byłoby zdecydowanie zbyt proste. Przemknęło mi przez myśl, że powinniśmy dać sobie spokój, zjeść pączka albo gofra i wracać, ale skoro już przebyliśmy całą tę drogę...

– Zadzwoni do sąsiada. Wszystko jedno którego.

Znów przeciągły brzęk domofonu, potem szczęk podnoszonej słuchawki.

– Mam paczkę pod szóstkę – powiedziałem. – Otworzy pani?

– Nie wiedziałam, że to naprawdę działa – mruknęła Marysia, kiedy weszliśmy do środka.

– Ja też nie. Ale jak to mówią, nie przekonasz się, dopóki nie spróbujesz.

Uśmiech, który sobie wyobraziłem, musnął mnie niczym zagubiony promyk słońca, gdy szliśmy w górę trzeszczącymi ze starości drewnianymi schodami. Wiedziałem, że to przedwojenna kamienica, rozpoznawałem ten charakterystyczny zapach nagrzanym murów, kurzu i historii. Ciotka Lilka mieszka w podobnej kamienicy na Traugutta we Wrocławiu. Kiedy wpadałem do niej z rodzicami jako ledwo dorosły od ziemi dzieciak, moim ulubionym zajęciem, oprócz głaskania kotów, było bieganie tam i z powrotem po stromych schodach z plastikowym pistoletem w rękę. Myślę, że jakaś część mnie naprawdę wierzyła wtedy, że z półpiętra zbiegnie nagle oddział esesmanów, ubranych w mundury, w czapkach z trupa czaszką i krzyczących Hände hoch!

Marysia dla pewności zadzwoniła pod szóstkę, ale tak jak się spodziewaliśmy, nikt nie otworzył. Przyłożyłem ucho do drzwi – ślepotą wciąż nie zrobiła ze mnie Daredevila, mógłbym jednak założyć się o niewielką sumę, że mieszkanie jest puste. Nikt nie czaił się w środku, wstrzymując oddech i czekając, aż sobie pójdziemy.

Zapukaliśmy do najbliższego sąsiada, pod piątkę. Nim otworzył, szeptem zdążyłem jeszcze spytać Marysię, czy to ten sam, któremu przedstawiłem się jako kurier, i usłyszeć jej ciche pośpieszne „nie”.

– Słucham? – Męski głos, burkliwy i niechętny.

– Szukamy kobiety spod szóstki, Idy Potockiej. Wie pan może, gdzie ją można znaleźć?

– Nie mam pojęcia.

– A kiedy pan ją widział po raz ostatni?

– Dawno. Wy co, policja?

Wiedziałem, że więcej tu nie wskóramy, pożegnałem się więc grzecznie i spróbowałem pod następnym numerem, gdzie odpowiedziało nam jazgotanie psa i nic ponad to. Piętro wyżej trafiliśmy na nastolatkę równie chętną do pomocy jak sąsiad z dołu – czyli wcale. Dopiero kolejne mieszkanie okazało się strzałem w dziesiątkę. Otworzyła nam kobieta, sądząc po głosie, lata młodości mająca dawno za sobą. Przywołałem na twarz najmilszy uśmiech, na jaki potrafiłem się w tej chwili zdobyć. Nie ma to jak starsza pani, jeśli chodzi o plotki.

– Wejdźcie. Boże, ja też się strasznie martwię o Idę. Wyjechała tak nagle, wiosną. Spotkałam ją wtedy, jak szła na pociąg, bardzo się spieszyła i w biegu mi rzuciła, że przez jakiś czas jej nie będzie. Gdyby nie to, już dawno zawiadomiłabym policję. – Lekki, leciutki cień dumy z własnej odwagi. – Pan mówi, że ona opiekowała się panem przez te wszystkie miesiące? I potem nagle zniknęła?

– Tak, kilka dni temu. Myślałem, że wróciła tutaj...

– Nie wróciła. Zauważyłabym, gdyby przyjechała. Mnie też zdrowie nie dopisuje, przez tę pandemię boję się wyjść z domu, dobrze, że zięć czasem wpadnie z zakupami. Boże, co to się na świecie porobiło...

– Mogłaby nam pani opowiedzieć trochę o Idzie? – Miałem wrażenie, że jeśli teraz nie skieruję rozmowy na właściwe tory, wysłuchamy długiej tyrady na temat covidu i Chińczyków.

– Przecież pan ją zna? – Nuta podejrzliwości. Sąsiadka Idy nie była głupia.

– Tak, ale Ida nie lubiła opowiadać zbyt wiele o sobie. Nie byłem jej przyjacielem, tylko pacjentem. Chociaż nie ukrywam, że miałem nadzieję z czasem zostać kimś więcej. – Posłałem mojej rozmówczyni smętny uśmiech zakochanego młodego człowieka. – Wie pani, jak to jest. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym przynajmniej nie spróbował jej znaleźć. Może to zniknięcie to nic poważnego, nie chcę niepotrzebnie wszczynać alarmu... Może wyjechała do rodziny albo coś w tym rodzaju. Czy ona w ogóle miała jakąś rodzinę?

Musiałem wypaść przekonująco, bo podejrzliwość zniknęła.

– Nie miała. Jej matka zmarła bardzo młodo, a ojciec... Z ojca to nigdy nic dobrego nie było. Idę wychowywała babcia. Sprowadziły się tutaj, zaraz, niech pomyślę... chyba w 2000? Jakoś tak. Z jej babcią nawet się trochę zaprzyjaźniłam. Tylko trochę, bo one obie były takie same, bardzo zamknięte w sobie, tak jak pan powiedział. Chociaż Mariolka, czyli babcia Idy, czasem mi się żaliła, zwłaszcza na swojego pożał się Boże zięcia. Nazywa się Ksawery Potocki, imię ma jak księżę, a to zwykły lump. Mariolka próbowała go zachęcić, żeby zajął się córką albo chociaż pieniądze dał. Najpierw po dobroci, potem do sądu poszła, po alimenty, ale gdzie tam na takiego znajdziesz sposób. Tak kręcił, że Ida ani złotówki nie zobaczyła. Ojca też nie. Przyszedł tu parę razy, a potem całkiem zniknął. Mariolka, świec Panie nad jej duszą, odeszła trzy lata temu i tak Ida została sama na świecie. To znaczy prawie sama, bo miała przyrodną siostrę, o której wcześniej nic nie wiedziała. – Kobieta zawahała się, ale kiedy już zaczęła mówić, najwyraźniej trudno jej było przestać. Pomyślałem, że lockdown szczególnie musiał dać się we znaki takim właśnie starszym paniom, przyzwyczajonym do sąsiedzkich pogawędek na ławeczce czy w kolejce do lekarza. – Prawdę mówiąc, nie podobała mi się ta dziewczyna. Julia, tak miała na imię. Jakaś taka nieprzyjemna była, wulgarna. Zupełnie nie jak Ida. Nie wiem nawet, czy one naprawdę były siostrami. No ale ta młodsza mieszkała tu przez jakiś czas, a potem wyjechała. Nie wiem, gdzie teraz jest. Idy nie widziałam od marca.

– A jej przyjaciele? Czy ktoś ją tutaj odwiedzał?

– Tak, parę osób przychodziło od czasu do czasu. Dziewczyna, bardzo chuda, z włosami do pasa. Wyglądała, jakby na coś chorowała, i miała na imię Marta albo Magda. Wiem, bo słyszałam raz, jak Ida rozmawia z nią na klatce schodowej. I druga, grubsza i niższa blondynka. I jeszcze chłopak, młodszy od nich obu. Tyle wiem.

– Zostawimy pani numer telefonu, dobrze? – Marysia odezwała się po raz pierwszy od początku rozmowy. – Gdyby któraś z tych osób przyszła szukać Idy, proszę jej powiedzieć, żeby się z nami skontaktowała.

Pożegnaliśmy się i kiedy drzwi zatrzasnęły się za naszymi plecami, usłyszałem cichy chichot Marysi.

– Nie wiedziałam, że potrafisz tak kłamać.

– Nie kłamałem. Jeśli ta kobieta uwierzyła, że szukam Idy, ponieważ szaleję z miłości, to nie mój problem.

– I wyglądałeś tak uroczko. Jak smutny, zagubiony szczeniaczek.

Dałem tej kobiecie to, co chciała zobaczyć, pomyślałem. Tak jak mój ojciec, który błyskawicznie potrafi ocenić człowieka i dostosować się do jego oczekiwań. Albo jej, bo jego urok częściej działa na kobiety, niekoniecznie tylko te, które podrywa. Wiele razy byłem świadkiem, jak czarował starsze panie, w zależności od potrzeb odgrywając przed nimi szarmanckiego dżentelmena, niegrzecznego chłopczyka albo – no właśnie – zagubionego szczeniaczka.

Byliśmy prawie na parterze, gdy nad naszymi głowami szczęknęły otwierane drzwi.

– Proszę pana! Coś mi się przypomniało!

– Zapytam, o co jej chodzi, a ty zaczekaj – rzuciła Marysia.

Nie posłuchałem. Chciałem poczuć, jak to jest radzić sobie samemu w nieznanym terenie, nawet jeśli miałyby to być tylko zwyczajna kamienica w centrum Łodzi. Schodziłem, podczas gdy z drugiego piętra dobiegały strzępy rozmowy. Potem tupot stóp. Marysia pędziła w dół, przeskakując po kilka stopni naraz.

– Coś ważnego? – zapytałem.

– Tak i nie. Nie, nie tędy. W lewo.

– Wyjście na ulicę jest na prawo. To akurat pamiętam.

– Tak, ale pomyślałam, że moglibyśmy wyjść od tyłu, na podwórko.

– Czemu?

Nie odpowiedziała, tylko pociągnęła mnie za sobą. Wyczuwałem niepokój, nie tyle nawet w jej głosie, ile w całym ciele, w spiętych mięśniach ramienia pod moimi palcami.

„Tak i nie” – co to właściwie miało znaczyć?



Chłód starej kamienicy przeszedł w gorąco otwartej przestrzeni, cisza wybuchła łopotem gołębic skrzydeł. Za plecami słyszałem stłumiony szum ruchu ulicznego.

– Kurwa – powiedziała Marysia głosem jak nóż, przecinającym na pół ten spokojny słoneczny dzień.

– Co „kurwa”? Starszej pani się przypomniało, że na podwórku leżą zwłoki Idy?

Nie powinienem żartować, Marysia najpewniej wciąż nie jest gotowa na żarty ze śmierci. Może nigdy nie będzie, bo poczucie humoru autorów kryminałów bywa dziwaczne. Ona jednak chyba mnie nawet nie usłyszała.

– Ta kobieta... powiedziała, że to pewnie nie ma znaczenia, ale Ida miała stłuczka na wiosnę, zanim wyjechała. Dlatego poszła na pociąg, a samochód zostawiła na podwórku. Sąsiedzi skarżą się od tamtego czasu, bo jakiś wrak blokuje im miejsce do parkowania.

Stłuczka? Wrak? Poczulem wzbierające we mnie zrozumienie, tłuste i ciężkie niczym olej wylany na fale przyływu.

– Jakiego koloru jest ten samochód? – Mój głos brzmiał obco, jakby ktoś go sobie ode mnie tylko pożyczył.

– Niebieski seat.

Człowiek, który pozbawił mnie wzroku, jeździł niebieskim autem. To popularny kolor, wiem. I wiem również, że to nie przypadek.

– Ida mnie potrafiła – powiedziałem nadal tym dziwnym nie swoim głosem.

– To możliwe, ale... tak naprawdę to nie jest żaden wrak. Seat ma stłuczone lewe światło i wgniecioną maskę, też po lewej stronie. Jak dla mnie równie dobrze mogła przywalić gdzieś w słupek. Czy auto po poważnym wypadku nie powinno wyglądać gorzej?

To zależy od wielu czynników, pomyślałem. Jak szybko samochód jechał, gdzie stał potrącony pieszy. W moim przypadku bezpośrednio od uderzenia maską ucierpiały tylko noga i biodro. Czaszkę rozbiłem, waląc nią o niewysoki murek, na którym wznosi się otaczające Samotnię ogrodzenie. Gdybym tamtej nocy upadł na drugą stronę drogi, pomiędzy bruzdy przygotowanej do obsiania ziemi, możliwe, że skończyłoby się na kilku tygodniach w gipsie i wypadek wcale nie byłby kwalifikowany jako „poważny”.

Wyciągnąłem przed siebie rękę. Marysia zrozumiała, o co chodzi, bo bez słowa poprowadziła mnie do samochodu. Dotknąłem ciepłego od słońca metalu, który kilka miesięcy temu rozdarł moją skórę, mięśnie i naczynia krwionośne, a potem połamał kości. Moje ciało wciąż pamiętało. Uderzenie, pisk hamulców wypełniający cały świat. Żołądek skręcił się nagle w supeł i wywinął fikołka. Pochyliłem się, ale nie miałem czym zwymiotować. Dobrze, że jednak nie zjadłem tego hot doga, pomyślałem, gdy Marysia położyła mi dłoń na karku.

– Chcesz usiąść? Czekaj, mam w plecaku butelkę mineralnej.

Woda była chłodna, tak samo jak dłoń Marysi. Uczepiłem się tego chłodu jak deski ratunkowej i wypłynąłem na niej na powierzchnię, ponad chaos kłębiący się w mojej głowie.

– Ida próbowała mnie zabić.

– Wątpię. Zawiozła cię na pogotowie, pamiętasz? Po co miałyby to robić, gdyby chciała twojej śmierci?

– Nie wiem. Była w Samotni. To ona przyjechała w odwiedziny tamtego wieczoru. I myślę... myślę, że zrobiła coś Julii. Uduśnienie to męska zbrodnia, ale ona mogłaby... Kiedy leżałem na ziemi, podniosła mnie i wsadziła na tylny siedzenie auta. Musi być silna. I posługuje się teraz dokumentami Julii, a to znaczy, że Julia nie żyje. – Wzbierał we mnie płacz, jak wcześniej mdłości. – Nie oddałyby przecież nikomu swojego dowodu. I Ala...

– Myślisz, że mogła też zabić Alę? Mówiłeś, że byliście wtedy razem.

– Minęła chwila, zanim zszedłem do salonu. Wcześniej po prostu leżałem w łóżku i nasłuchiwałem jej krztałania. Dźwięku włączonego odkurzacza i ekspresu do kawy, kroków w salonie. Ale trochę przysypiałem i może to wszystko mi się śniło, może była jakaś przerwa, dziesięć minut, kiedy słyszałem tylko pracującą pralkę, a żadnych odgłosów żywej osoby. Do ruin kościoła jest blisko, a założę się, że Ida biega bardzo szybko...

– Leon...

– Bardzo szybko – powtórzyłem i wreszcie zacząłem płakać.

## NAGRANIE 57

– W takim razie gdzie jest Ida? – zapytałem, gdy siedzieliśmy już w samochodzie, zmierzając w stronę Wrocławia. – Jeśli jej celem było zabicie obu moich żon, to czy nie powinna zniknąć zaraz po śmierci Ali? Czemu czekała do pogrzebu? To wszystko jest takie... pozbawione sensu. Poza tym, że były moimi żonami, Ala i Julia nie miały ze sobą nic wspólnego. Za to Ida i Julia już tak, obie to bardzo samotne dziewczyny, zauważyłaś?

– Leon.

– Takie, które mogłyby zniknąć w każdej chwili i nikt by ich nie szukał. Dziewczyny, które są łatwym celem. To znaczy ja szukałbym Julii, ale...

– Leon, kurwa, zamknij się na moment, proszę!

– Przepraszam – mruknąłem, odrobinę nadąsany. Nie musiała krzyczeć.

– Powiem ci, co się teraz stanie. Zatrzymamy się po drodze na obiad, zjemy coś dobrego, ty napijesz się piwa, a ja coli. A potem pojedziemy dalej i nie wspomnimy już dzisiaj ani słowem o żadnych morderstwach. Jasne?

## NAGRANIE 58

Zaparkowaliśmy przy karczmie noszącej prawdopodobnie nazwę „Górska” albo coś w tym rodzaju – wnioskuje po menu, w którym dominowały takie specjały jak pierogi, kwaśnica i naleśniki z bryndzą. Gdy Marysia przeczytała mi wszystkie pozycje, nie zastanawiałem się zbyt długo. W grę nie wchodziło nic twardego, co musiałbym kroić na talerzu, ani zupa, którą łatwo się oblać. A więc gulasz – *voilà*, mamy zwycięzcę.

Po obiedzie szeptem poprosiłem kelnera, żeby zaprowadził mnie do toalety. Był na tyle miły, że poczekał na zewnątrz, a potem odprowadził mnie z powrotem do stolika. Szczerze mówiąc, poszło lepiej, niż się spodziewałem. Bez zamieszania i głupich pytań, a jeśli ktoś się na mnie gapił, to ja – jakżeby inaczej – niczego nie zauważyłem.

## NAGRANIE 59

Nie wiem, która jest godzina, ale musi być późno. Jedenasta wieczorem, może nawet północ. Powinienem się położyć i przynajmniej spróbować zasnąć. Zamiast tego siedzę na tarasie i myślę o telefonie od ojca, który przed chwilą odebrałem.

– Jeszcze nie śpisz? – zapytał. Miałem ochotę powiedzieć coś złośliwego, ale nie dał mi szansy. – Przepraszam, że dzwonię tak późno, czekałem, aż mama zaśnie. Kiepsko ostatnio sypia, a nie chcę, żeby słyszała naszą rozmowę. Każda wzmianka o Julii ją denerwuje. Albo o tej drugiej, Idzie. Bardzo się o nią martwię, mam nadzieję, że o tym wiesz.

Powinieneś pomyśleć o mamie wcześniej, kiedy wskakiwałeś tym wszystkim kobietom do łóżka, mógłbym powiedzieć, ale ugryzłem się w język. W głosie mojego ojca brzmiała autentyczna troska.

– Tato, po co właściwie dzwonisz?

– Bo chyba trafiłem na jej ślad. Julii albo Idy, nie jestem pewny, ale mam przecucie, że jak znajdę jedną, to druga też.

– Wiesz, że one są przyrodnimi siostrami, prawda? Ida i Julia Potockie. Dwie różne matki, ten sam ojciec. Ida pracuje jako fizjoterapeutka i mieszka w Łodzi, ale nikt jej tam nie widział od marca. – Nie wiem, po co to wszystko powiedziałem. Może po prostu chciałem się pochwalić, że też potrafię się czegoś dowiedzieć.

Ojciec milczał dłuższą chwilę.

– Posłuchaj mnie uważnie – odezwał się wreszcie. – Nigdy o nic cię nie prosiłem, nie w poważnych kwestiach. To twoja matka zawsze była specjalistką od tych wszystkich rzeczy, które powtarzają rodzice. Nie pij z kolegami, pamiętaj, żeby założyć czapkę. Wiesz, o czym mówię. Ale dzisiaj cię proszę: zostaw tę sprawę. Sporo ostatnio przeszedłeś, zasługujesz, żeby wypocząć i się zabawić. Jest lato, może zabierzesz gdzieś Marysię? Albo posiedźcie razem w domu i posłuchajcie muzyki czy co tam...

Czy co tam niewidomi robią. Miałem wrażenie, że to zamierzał powiedzieć. I czy mój ojciec przed chwilą zasugerował, że zamiast zajmować się poszukiwaniami Idy, powinienem zaciągnąć moją młodą szwagierkę do łóżka?

– ...co tam przyjdzie wam do głowy – dokończył gładko. – Idę i Julię zostaw mnie.

– Jestem niewidomy, tato. Nie upośledzony czy sparaliżowany.

– Niedawno wyszedłeś ze szpitala...

– To było kilka miesięcy temu.

– ...i wciąż nie czujesz się dobrze. Po prostu to zostaw.

Stałem z telefonem w ręku pośrodku ciemnego salonu – wiedziałem, że jest ciemny, bo przecież nie zapaliłem światła – podczas gdy koty ocierały się o moje nogi. Przed oczami miałem wspomnienie, wyraźne jak oglądany na ekranie film. Lato, słońce, ja i ojciec idziemy brzegiem morza w jakimś zagranicznym kurorcie. Grecja? Egipt? Nie ważne. Mam dziesięć, może dwanaście lat, chłopięce ciało wciąż nieopalone, bo to przecież początek wakacji. Na tle błękitnego nieba frunie ciągnięta przez motorówkę kolorowa paralotnia, a my przechodzimy akurat obok punktu, w którym można taki lot wynająć. Chcesz? – pyta tato. Kręcę nerwowo głową. Nie mam lęku wysokości ani nie jestem tchórzem, ale na samą myśl, że miałbym wisieć w powietrzu nad gotowym połączyć mnie w każdej chwili morzem, robi mi się słabo. Tato śmieje się pobłaźliwie. No dobrze, może w przyszłym roku, teraz jesteś jeszcze trochę za mały. Ale nie rób takiej miny. W życiu trzeba wszystkiego spróbować.

To matka zawsze rozkładała nad moją głową parasol ochronny, ojciec nie tylko niczego mi nie zabraniał, ale często wręcz zachęcał do robienia rzeczy, na widok których innym rodzicom włosy stawały dęba. Dlatego jego prośba z trudem mieściła mi się w głowie.

– Boisz się, że coś mi się stanie? Że zostanę zamordowany jak Ala? Albo Julia? Bo ona też nie żyje, prawda?

– Dlaczego nie możesz tego po prostu zostawić?

– To jest moje życie! Moja była żona została zabita, a druga zniknęła. Mam prawo wiedzieć, o co w tym chodzi! – Umilkłem, zasapany. Nie wydierałem się tak na ojca od czasów jakiejś nastoletniej awantury.

– I dowiesz się, obiecuję. Będziesz pierwszą osobą, do której zadzwonię. Daj mi parę dni, co? Powiedzmy do niedzieli. Obiecuj, że do tego czasu nie będziesz próbował nic robić. Umowa stoi?

– Nie, nie stoi. Mogę tylko obiecać, że będę na siebie uważał. Nie zamierzam skończyć jak Ala.

– Jej śmierć to przypadek. Tak myślę. A Ida i Julia żyją i mają się dobrze. Udowodnię to. Dobra, idź spać. Jutro impreza u Tereski. Wpadniemy po ciebie z mamą koło czwartej.

„Jaka impreza?”, chciałem zapytać, ale szybko sobie przypomniałem. Ciotka Tereska i wujek Władek obchodzili czterdziestą rocznicę ślubu. Ktoś – moja matka? Aneta? – wspomniał nawet o planowanym z tej okazji przyjęciu, jednak zupełnie wypadło mi to z głowy. Nie sądziłem, że ktokolwiek serio mógłby się spodziewać mojej obecności w takim miejscu.

– Nie idę na żadną imprezę.

– Oczywiście, że idziesz. Głowa do góry, dasz sobie radę. – Przez moment usłyszałem w słuchawce mojego ojca, tego dawnego, który zachęcał mnie okrzykami, gdy wspinałem się na skałkach w Jurze: „No dalej, jeszcze tylko kawałek. Wiem, że potrafisz”. Nagle tato zachichotał. – Możesz zabrać Marysię, jeśli chcesz.

Rozłączyłem się, urażony, i teraz zastanawiam się, co u licha, zrobić. Oczywiście mogę oznajmić, że nigdzie się nie wybieram. Argument „bo cioci będzie przykro” nie działa na mnie od dwudziestu lat. Jeszcze wczoraj uznałbym, że to najlepsza decyzja. Dzisiaj jednak przekonałem się, że radzę sobie jako tako w świecie poza Samotnią, a prędkiej czy później i tak będę musiał się zobaczyć (czy to słowo pasuje w moim przypadku?) z całą rodziną. Rocznicą ślubu ciotki i wujka to równie dobra okazja jak każda inna. Może faktycznie takie wyjście dobrze mi zrobi. Nie będę siedział cały dzień na tarasie, myśląc o tym, jakim cudem śmierć Ali mogła być przypadkiem i dlaczego mój tato wie-rzy, że obie siostry Potockie żyją i mają się dobrze.

## NAGRANIE 60

Nie poprosiłem Marysi, żeby pojechała ze mną, choć taka myśl przemknęła mi przez głowę. Nie byłoby to aż tak dziwne, jak mogłoby się wydawać. Moja rodzina ma kilka irytujących wad, ale jednego nie można jej odmówić: zawsze przyjmuje wszystkich z otwartymi ramionami. Ala została uznana za „naszą”, jeszcze zanim na dobre zaczęliśmy ze sobą chodzić, z kolei najbliższy przyjaciel Kuby z dzieciństwa, chłopak z bardzo biednego domu, pięć razy w tygodniu przychodził do moich dziadków na obiad, a oni traktowali go jak drugiego syna. Familia Ochockich jest nie tylko grupą ludzi połączonych więzami krwi – to także liczni powinowaci, a nawet krewni powinowatych, ciociotki i przyjaciele. Dlatego gdybym pojawił się z Marysią, prawdopodobnie nikt nie dopatrzyłby się w tym niczego... niestosownego.

Mimo to wolałem nie ryzykować.

Umówiłem się z rodzicami, że zabiorą mnie o czwartej, a o siódmej odwiozą z powrotem do domu. Trzy godziny, uznałem, tyle wytrzymam.

Ciotka i wujek szarpnęli się, wynajmując na tę okazję salę restauracyjną w hotelu Maria w Strzelinie. Pamiętam to miejsce jeszcze z czasów rowerowych wypraw po okolicy. Ładny, sporej wielkości dworek położony na wzgórzu w samym środku parku. Po obiedzie można posiedzieć na tarasie albo przejść się ścieżką pośród drzew. Ja wybrałem to drugie. Człapałem ostrożnie, prowadzony przez Anetę, która jakimś cudem na dziesięć minut wyrwała się rodzinie.

– Chcesz zawrócić? – zapytała.

– Za chwilę. – Moja prawa noga z każdym dniem staje się silniejsza. Potrafię teraz przejść czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów bez przystawania. – Powiesz mi, kim jest Marcin? Ten, który opowiadał o urbeksie.

– Chłopak Staszka. – Zaśmiała się. – Swoją drogą, twoja matka zniosła to zaskakująco dobrze.

– Parę gejów? Czemu miałyby ich znieść źle?

– Oj, no wiesz. Ona jest taka religijna. Nie lubi rozwodów i w ogóle.

– Moja matka nie lubi rozwodów nie ze względu na religijność, tylko dlatego, że psują jej obraz świata. Tak mi się wydaje. W jej przekonaniu wszyscy powinni być jedną wielką kochającą się rodziną i jak coś odstaje od tego ideału, to się irytuje.

– Może. Ale religijna jest tak czy inaczej. Pamiętasz te msze, które zamawiała na nasze osiemnastki?

– Jezu, pamiętam. – Roześmialiśmy się oboje i przez moment miałem wrażenie, że przeszłość wróciła, że znów mamy po kilkanaście lat. Te msze... Za każdego członka naszej rodziny, który osiągał pełnoletniość, moja matka zamawiała nabożeństwo. I nie było zmiłuj, należało pojawić się w kościele, elegancko ubranym, i odsiedzieć swoje.

– Chyba nawet kolega Kuby taką dostał. Jak on się nazywał? Ten wiecznie głodny.

– Szymon. Byli z Kubą nierozłączni aż do ostatniej klasy liceum. Ala też miała swoją mszę. Pamiętam, przybiegła do mnie spanikowana i zapytała, czy to będzie bardzo źle widziane, jeśli przyjdzie do kościoła w spodniach, bo jest za zimno na sukienkę i rajstopy. Był luty, spadło wtedy sporo śniegu...

– Ala bardzo lubiła naszą rodzinę.

– Wiem – mruknąłem. Zdarzają się chwile, gdy całkiem serio się zastanawiam, czy familia Ochockich nie była przypadkiem jednym z powodów, dla których Ala zdecydowała się za mnie wyjść. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Mój ojciec wszedł do rodziny jako sierota, na dobrą sprawę pozbawiony krewnych, którzy by się nim interesowali. Czy to zbieg okoliczności, że Ala zakochała się we mnie akurat wtedy, gdy jej rodzice się rozwodzili, matka znalazła sobie nowego faceta, a na świecie pojawiła się malutka Marysia? Nie wiem, nigdy nie odważyłem się zapytać.

Ida i Julia by do nas pasowały, nagle uderzyła mnie ta myśl. Dwie samotne, zagubione dusze, dokładnie takie, jakie od lat przyciągali Ochoccy. Wciąż myślę o mojej rodzinie jako o Ochockich, choć oczywiście nie wszyscy noszą nazwisko mojego dziadka, który tuż po wojnie przyjechał do Wrocławia z jakiejś zapadłej wsi pod Kielcami.

Zawróciliśmy, Aneta podprowadziła mnie pod ławkę. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy, słuchając głosów goniących się po parku dzieciaków. Na tarasie wujek Władek kłócił się z wujkiem Jerzym, obaj już chyba lekko podchmieni. Gdzieś niedaleko ciocia Lonia obsztorcowywała Piotrką za to, że znów ubrał się jak idiota. Niektóre rzeczy, pomyślałem z lekkim uśmiechem, nigdy się nie zmieniają.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedziałem do Anety. – Ale tak serio.

– Jeśli chcesz pytać, gdzie znikalam, kiedy mówiłam, że jadę do ciebie, to nadal nie mogę powiedzieć. Sorry.

– Nie o to. Jaka jest najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłaś?

– Jezu, poważnie? To jakaś gra, jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi?

– Nie, nie gra. Po prostu ostatnio ktoś mi zadał takie pytanie, dlatego zastanawiam się, jak mogliby odpowiedzieć inni. Jeśli nie chcesz, to nie mów.

Westchnęła, trochę zirytowana, a trochę rozbawiona.

– Nie mam żadnych mrocznych i strasznych tajemnic, jeśli tego się spodziewasz. Ale owszem, jest taka jedna historia... Czekaj, wyjmę papierosa. Chcesz też?

– Nie. Kiedy zaczęłaś palić?

– Nieważne. W każdym razie – trzask zapalniczki, potem zapach dymu leniwie snującego się w ciepłym powietrzu – kiedy byłam w liceum, był taki jeden chłopak, w sumie zwyczajny, całkiem nawet przystojny i w porządku. Ale miał pecha, bo podkochał się we mnie, a ja i moje koleżanki zaczęłyśmy sobie robić z niego jaja. Nie wiem nawet czemu, nie chodziło o to, że jakoś szczególnie go nie lubiłyśmy czy że czymś nam podpadł. Po prostu... tak wyszło. W wieku kilkunastu lat człowiek ma siano w głowie. W każdym razie Franek, bo tak miał na imię, pisał do mnie wiadomości, jeszcze na Gadu-Gadu, a my odpisywałyśmy całą grupą, że on też mi się podoba, chciałyśmy robić z nim różne świńskie rzeczy i tak dalej. Potem w szkole, kiedy do mnie podchodził, udawałam, że niczego takiego nie napisałam, to nie moje słowa i w ogóle czego ode mnie chce. Nie był natarczywy, nie ten typ, więc po prostu odchodził z miną zbitego psa, a ja i koleżanki miałyśmy ubaw. Mogłabym przynajmniej część winy zwalić na nie, ale to ja wymyśliłam całą tę zabawę, ja pisałam najbardziej pikantne teksty i zawsze najgłośniej się potem śmiałam. Trwało to parę miesięcy, aż do końca drugiej klasy ogólniaka. Po wakacjach Franek poprosił o przeniesienie i maturę zdał już w innej szkole.

– Co się z nim stało?

– Nic bardzo dramatycznego. Nie popełnił samobójstwa ani nie zaczął się okaleczać. Chociaż przez jakiś czas chodził na terapię, z tego, co wiem. I tyle, taka jest najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

– A tak serio?

– Co serio?

– Bez zmyślenia.

Zachichotała.

– Skąd wiesz, że zmyślałam?

– Bo cię znam od trzydziestu lat. I chyba czytałam podobną historię w jakiejś książce. To jak?

Westchnęła.

– Uderzyłam Łukasza – przyznała. – Nie pytaj czemu, to bez znaczenia. Byłam wtedy podminowana, bo z Maćkiem ciągle mieliśmy problemy, ale to mnie nie usprawiedliwia. Do dzisiaj mam poczucie winy. Teraz przyznaj się, co ty zrobiłeś.

Powtórzyłam historię o anonimowym liście, który wysłałam do nauczycielki angielskiego. Myślałam, że Aneta będzie rozbawiona, ale kiedy się odezwała, w jej głosie usłyszałam odrobinę niesmaku.

– Tylko tyle? Daj spokój, jesteś dorosłym facetem, taka dziecinada nie może być najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłeś. Mam uwierzyć, że taki z ciebie anioł?

– Co ja na to poradzę? To ja, twój kuzyn, naprawdę miły facet. Pamiętasz?

W wyobraźni zobaczyłam, jak potrząsa głową. Może nawet wreszcie się uśmiechnęła, nie wiem. Chyba nie, bo chwilę później chwyciła mnie za rękę i ścisnęła.

– Leon.

– Co takiego?

– Coś mi się przypomniało, kiedy powiedziałeś o tym anonimowym liście. Nie wiem, czy to ważne, ale kurczę, tyle się ostatnio dzieje dziwnych rzeczy, że może i jest.

– Wyduś to z siebie wreszcie.

– Ala dostała właśnie taki anonim.

– Anonim? W sensie... z groźbami?

– Chyba nie. W każdym razie nie wspominała nic o groźbach. Powiedziała tylko: „Jakaś kobieta napisała do mnie anonim i teraz czuję się jak bohaterka powieści”. Nie bała się, raczej sprawiała wrażenie rozbawionej i trochę zaintrygowanej. Nie dopytywałam, bo nie wydawało mi się to wtedy ważne. Uznałam, że to jeden z tych spamowych mejli, wiesz, sfilmowaliśmy cię, jak masturbujesz się do kamery, zapłać nam górę bitcoinów, albo pokażemy to nagranie wszystkim twoim znajomym. Generalnie żadne halo, zdziwiło mnie jedynie, że autor pisał w rodzaju żeńskim. Teraz się zastanawiam, czy jednak nie było w tym czegoś więcej.

– Kiedy Ala dostała ten list?

– Latem zeszłego roku, jakoś tak niedługo po urodzinach Piotrka.

Czyli po dwudziestym drugim sierpnia, pomyślałem. Tydzień po tym, jak napisała Marysi, że chyba jest w ciąży. Niedługo przed tym, jak mi oznajmiła, że chce się rozwieść. Kolejny przypadek?

Nie miałem czasu, żeby o tym myśleć, bo zawołano nas na ciasto. Wróciliśmy do środka. Wujek Władek i wujek Jerzy, teraz już w najlepszej komitywie, dzielili się doświadczeniami wędkarskimi.



## NAGRANIE 61

Marysia czekała na mnie pod Samotnią. Gdy wysiadłem z auta, ojciec klepnął mnie na pożegnanie w plecy w geście, którego znaczenia wolałem nie zgłębiać, a matka upewniła się, że w domu mam wszystko, czego mogę potrzebować. Odjechali, Marysia wzięła mnie pod ramię.

– Musimy pogadać – powiedziała.

– Zaczynam się bać. – Spróbowałem się uśmiechnąć, ale nieszczególnie mi to wyszło. Potknąłem się na ścieżce.

– Jesteś pijany?

– Tak. Nie. Może trochę.

Westchnęła.

– Zrobię ci kawę.

Chwilę później siedzieliśmy już w salonie. Trochę kręciło mi się w głowie, ale poza tym czułem się całkiem nieźle. Kubek z kawą odstawiłem na stolik. Na razie nie miałem na nią ochoty.

– Myślałam o samochodzie Idy i wydaje mi się, że naprawdę powinniśmy zawiadomić policję. Na masce wciąż mogą być ślady twojej krwi.

– Zawiadomimy ich, ale jeszcze nie teraz. Ten samochód stoi tam od wiosny, może jeszcze parę dni postać.

– I co się stanie w ciągu tych paru dni?

Wzruszyłem ramionami.

– Może mój ojciec czegoś się dowie. Albo my. – Potarłem czoło. Byłem zmęczony i przejezdony, alkohol krążył w moich żyłach. – Nakłamałem im i teraz nie mogę tak po prostu przyjść na komendę z nową, jeszcze dziwniejszą historią. Muszę mieć coś... konkretnego.

– Gdybyś nie nakłamał, wszystko byłoby prostsze, wiesz o tym?

– Taaa...

– Czemu to zrobiłeś?

– Bo jestem kretyńcem? – Skrzywiłem się. – Albo przynajmniej czasem bywam kretyńcem. Czasem całkiem inteligentny ze mnie facet.

– Twoje kłamstwa kiedyś ugryzą cię w dupę.

Ku swojej uldze w głosie Marysi wyczułem cień uśmiechu. Znowu mi się upiekło, pomyślałem. Jak w szkole, kiedy coś zbroiłem i wykręcałem się urokiem osobistym, jak w latach nastoletnich, gdy na sucho uchodziły mi głupie żarty, jak przez całe życie. Niespodziewanie poczułem przypływ niechęci do samego siebie.

– Wiem. – Zawahałem się, ale uznałem, że w końcu muszę to zrobić. Alkohol dodał mi odwagi. – Jest coś, co może być tym konkretem, którego szukamy. Zaraz po morderstwie Ali Ida pytała mnie o scenę z mojej książki, z tej pierwszej, *Uciekaj albo giń*, w której ginie dziewczyna uduszona krawatem w różowe słonie. Wydaje mi się, że Ida w jakiś sposób sugerowała, że opisałem prawdziwe morderstwo.

– W sensie, że przeczytałeś o tym morderstwie gdzieś w internecie, a potem umieściłeś je w książce? Tak robi chyba większość pisarzy?

– Nie, w sensie takim, że w jakiś sposób... byłem w to zamieszany. Nie wiem. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miał coś wspólnego z jakąkolwiek gwałtowną śmiercią. Nieważne. W każdym razie poprosiłem Piotra, żeby wygugłał takie sprawy, to znaczy kobiety uduszone krawatami. Wbrew pozorom nie ma tego wcale tak dużo. Krawaty chyba wyszły ostatnio z mody. – Umilkłem. Najwyraźniej byłem bardziej pijany, niż mi się wydawało. – Ale jest jedno morderstwo, które mogłoby pasować. Tak mi się wydaje. Sprawa jeszcze z lat dziewięćdziesiątych. Kobieta, a właściwie dziewczyna z Bielska uduszona krawatem. Nigdy w życiu nie byłem w Bielsku, a w 1998 roku miałem dwanaście lat, więc nie mógłbym... Nawet gdybym...

– Ida podejrzewała, że jako dwunastolatek dusiłeś kobiety krawatami? Popierdoliło ją czy co?

Uśmiechnąłem się. Niezłomna lojalność Marysi była jak łyk grzanego wina w zimowy dzień na świątecznym jarmarku albo kominek, przy którym można usiąść, kiedy na zewnątrz szaleje burza.

– Tylko jedną kobietę. Ale owszem, mam wrażenie, że coś w tym stylu podejrzewała. I tak się zastanawiam... Gdybym dał radę dowiedzieć się czegoś więcej o tamtym morderstwie... Ktoś musiał pisać o nim w gazetach.

– Spróbuję poszukać. Jak ta kobieta się nazywała?

– Dorota G. z Bielska-Białej, uduszona krawatem w 1998 roku. Miała dwadzieścia dwa lata. Tyle wiem.

– Dobra, coś pewnie da się znaleźć. Jesteś pewny, że w internecie nic więcej nie ma?

– Możesz sprawdzić.

Sprawdziła, ale tak jak się spodziewałem, niczego nie znalazła. Słucham – czy raczej słuchałem – tylu podcastów kryminalnych, że gdyby to była sprawa choć trochę znana, musiałbym słyszeć o niej już wcześniej. Z rozgłosem podobnych zbrodni bywa różnie: zazwyczaj morderstwa młodych kobiet odbijają się najszerszym echem, ale liczą się też inne elementy. Tajemnicze czy drastyczne okoliczności śmierci albo pikantne szczegóły dotyczące ofiary. Zgadzałem, że w tym przypadku nic takiego nie miało miejsca, a ponieważ pod koniec lat dziewięćdziesiątych internet dopiero raczkował, sprawa nie wyszła poza lokalną prasę.

Marysia zamknęła laptopa i odpaliła na komórce audiobooka. Resztę wieczoru spędziliśmy, słuchając go i pijąc kawę. Byłem szczęśliwy, przynajmniej przez tę jedną godzinę. A może to było półtorej godziny albo nawet dwie? Nie wiem. Zasnąłem w pewnym momencie, a kiedy się obudziłem, Marysia otulała mnie kocem. Chciałem jej powiedzieć, że nie potrzebuję okrycia, jest przecież ciepło, ale zdrętwiałe wargi nie chciały mnie słuchać. W tle wciąż słyszałem kobiecy głos czytający książkę o młodej dziewczynie, która przyjeżdża do rodzinnego miasteczka, by spędzić ostatnie dni z umierającym ojcem. Skrywa przed wszystkimi tajemnicę: ojciec molestował ją w dzieciństwie, a ona zaszła z nim w ciążę, ale straciła dziecko. Nie zapamiętałem tytułu. Marysia lubi takie opowieści, pełne traum i nieszczęśliwych kobiet, napisane poetyckim językiem i właściwie pozbawione fabuły. O aborcji, gwałtach i przemoc w rodzinie. To znaczy mnie się wydaje, że to historie o aborcji, gwałtach i przemoc – ona twierdzi, że „o życiu”. Nie są to powieści w moim stylu, ale ta akurat mi się spodobała. Mimo ciężkiego tematu była łagodna i nastrojowa. Mówiła o tym, że można przetrwać, poskładać samego siebie na nowo i żyć dalej. A kiedy główna bohaterka szła plażą, zbierając kolorowe kamyki, niemal słyszałem długi, spokojny oddech morza.

## NAGRANIE 62

Gdy zbudziłem się ponownie, był jasny dzień. W ustach czułem charakterystyczną suchość towarzyszącą kacowi, pod czaszką címił lekki ból głowy. Zrzuciłem koc, pod którym zdążyłem się już spocić.

– Marysia? – zawołałem niepewnie w przestrzeń przede mną.

Nikt nie odpowiedział. Minusem bycia niewidomym jest to, że o poranku człowiek nigdy nie wie, czy kobieta, u której boku zasnął, wciąż jest w domu czy nie. Rozbawiony odrobinę tą myślą, poczłapałem do łazienki, wziąłem prysznic i umyłem zęby. Gdy wyszedłem, wciąż nie słyszałem Marysi, założyłem więc, że wróciła do domu albo śpi na pięttrze w sypialni. Wsypałem do kubka dwie łyżeczki rozpuszczalnej nescafé i zalałem ją gorącą wodą. Nie chciało mi się parzyć kawy w dzbanku, a obsłużenie ekspresu wciąż przekracza moje skromne możliwości. Raz spróbowałem, ale udało mi się jedynie włączyć funkcję spieniania mleka i oparzyć sobie palec. Trudno. Nescafé to i tak postęp, biorąc pod uwagę, że jeszcze niedawno piłem wodę z kranu.

Gdy zjadłem śniadanie i nakarmiłem koty, odezwał się telefon.

– Cześć – powiedziała Marysia wesołym tonem. – Wiesz, że chrapiesz?

– Sorry. Gdzie jesteś?

– Już u rodziców. Pojechałam, jak skończyła się książka. Pewnie nawet nie słyszałeś zakończenia, co?

– Nie bardzo.

– Opowiem ci przy okazji. A teraz najważniejsze: udało mi się dostać numer telefonu autorki artykułu o przemocy wobec kobiet. Tego, w którym była wymieniona sprawa Doroty G. Wiem, miałam siedzieć w Ossolineum, ale mi się nie chciało, zresztą nawet nie jestem pewna, czy mają tam starą prasę z okolic Łodzi. – Ziewnęła. – Dlatego pomyślałam, że można spróbować inaczej. Zadzwońłam na numer podany na stronie „Gazety Policyjnej”.

– „Gazety Policyjnej”?

– Tak, tam był ten artykuł. Nie wiedziałaś?

– Nie. – To nie miało znaczenia, nie tak naprawdę, a mimo to poczułem przyływ irytacji. Gdybym widział, oczywiście bym o tym wiedział, bo sam bym ten artykuł przeczytał, a tak byłem uzależniony od tego, co mówili mi ludzie, i ciągle zaskakiwały mnie drobiazgi, o których zapominali wspomnieć.

– W każdym razie zadzwoniłam i poprosiłam o kontakt do Katarzyny Wojtas. Tak się nazywa autorka artykułu. Na początku nie chcieli mi dać jej numeru, ale powiedziałam, że jestem sekretarką słynnego pisarza Leona Cichego – zachichotała. – Wtedy się złamali.

– Dzwoniłaś?

– Nie. Moim zdaniem ty powinienes zadzwonić. Mogę ci ten numer podyktować. Zapamiętasz?

– Tak.

Powtórzyłem kilka razy ciąg cyfr.

– Dzisiaj nie przyjadę – oznajmiła, gdy upewniliśmy się, że nie zapomnę. – Kumpela z Gdańska wpada z wizytą. Dasz sobie radę?

– Jasne. – Wiedziałem, że Marysia poza odwiedzinami u mnie ma jeszcze jakieś życie towarzyskie, wiedziałem, że nie może całymi dniami przesiadywać w Samotni, a jednak zrobiło mi się przykro, jakbym został zdradzony.

Co teraz? – pomyślałem, gdy się rozłączyła. Powinienem zadzwonić, prawda?

To byłoby zupełnie naturalne. Dostałem do ręki nitkę, która może doprowadzić do rozwiązania przynajmniej jednej z zagadek. Gdybym był postacią z mojej własnej powieści, już dawno chwyciłbym za telefon. Moi bohaterowie bywają złośliwymi mendami, ale nie dzielą godzinami włosa na czworo i nie odwołują w nieskończoność tego, co trzeba zrobić.

Ja najwyraźniej odwołuję. Umyłem kocie miski, nasypałem Puszkowi i Puszkiniowi świeżej karmy, posiedziłem chwilę na tarasie, słuchając radia, a teraz zdecydowałem, że podleję ogródek – jeśli nie cały, to przynajmniej najważniejsze na suszę rośliny. Te, o których pamiętam mniej więcej, gdzie rosną. Nie padało od kilku dni, ziemia musi być spragniona wody. Powinienem sobie poradzić, jeśli tylko uda mi się znaleźć konewkę w schowku na narzędzia.

## NAGRANIE 63

Udało się. Zadyszałem się, chodząc po ogrodzie, mam mokre stopy, na karku i odsłoniętych ramionach czuję charakterystyczne pieczenie. Następnym razem, gdy zdecyduję się opuścić na dłużej zacieniony taras, będę musiał pamiętać o użyciu kremu z filtrem przeciwsłonecznym. Czy mam w domu krem z filtrem? Czy potrafiłbym odróżnić go od, na przykład, kremu do rąk? Oto jest pytanie.

Moje myśli wciąż biegną w stronę nieistotnych kwestii. Powinienem zadzwonić, prawda? Nie ukrywam, liczyłem, że podany przez Marysię numer wypadnie mi z pamięci i będę miał pretekst, żeby poczekać z telefonem do jutra. Nigdy nie miałem głowy do liczb. Ale jak na złość wciąż go pamiętam, dziewięć cyfr tkwi pod moją czaszką, wypisane w ciemności płomienistymi literami, jak napis na bramie prowadzącej w rejony, do których lepiej się nie zapuszczać.

Marudzę, wiem. I odwlekam to, co nieuniknione. Dzwonię.

## NAGRANIE 64

Gdy się przedstawiłem, temperatura głosu Katarzyny Wojtas momentalnie skoczyła w górę o parę stopni.

– Koleżanka z redakcji powiedziała, że będzie pan dzwonić. Co tam, nowa książka się tworzy? Czytałam jedną...

– Którą? – Jeśli to było *Uciekaj albo gin*, pomyślałem, mam przerwane.

– *Pięć martwych dziewczyn*. To pana najlepsza chyba. W każdym razie dostał pan za nią Nagrodę Wielkiego Kalibru. Podobała mi się. Resztę też przeczytałem, jak tylko znajdę trochę czasu.

Niekiedy się zastanawiam, czy ludzie, którzy tak mówią, kiedykolwiek te książki potem czytają. Nie sądzę, ale tym razem akurat jest mi to na rękę.

– Interesuje mnie pewna sprawa, o której pisała pani kiedyś w „Gazecie Policyjnej”. Pamięta pani artykuł o przemyśle wobec kobiet?

– Taa... Chyba pamiętam. Podałam tam parę interesujących statystyk. Proszę się nie obrazić, ale przedstawiciele pana płci to w przeważającej większości banda skurwysynów. – Roześmiała się chrapliwym, choć niepozobawionym uroku śmiechem, który mógłby należeć do feministki w starym stylu, kobiety o pobrużdżonej wiekiem twarzy, sfotografowanej w czerni i bieli, jak na tle zawalonego papierami biurka pali papierosa.

– Nie obraziłem się. Interesuje mnie morderstwo Doroty G. z Bielska-Białej. Wymienia pani w tym artykule kilka przypadków, większość z nich znam z różnych podcastów czy innych omówień, ale o Dorocie G. nigdy nie słyszałem. Jak ona właściwie miała na nazwisko?

– Gąska. Miała na nazwisko Gąska. Znam tę sprawę, bo Węgierska Górka to moje rodzinne strony. Gdyby nie to, pewnie też bym o niej nie słyszała.

– Węgierska Górka? Przecież Dorota pochodziła z Bielska...

– Tam mieszkała na stałe, owszem, ale została zamordowana w Węgierskiej Górcie. To taka turystyczna wieś niedaleko Żywca. Dorota miała tam wakacyjną pracę w lodziarni.

Poczułem lekkie drapanie niepokoju. Mogłem przysiąc, że nigdy w życiu nie byłem w Bielsku, ale czy mogłem też założyć, że nie byłem w Węgierskiej Górcie? Nazwa nic mi nie mówiła, w przypadku małych miejscowości trudno jednak o pewność.

– Opowie mi pani trochę o Dorocie i o tym, jak zginęła?

– A co, chciałby pan o niej napisać?

– Właśnie się nad tym zastanawiam. Młode kobiety uduszone przy pomocy krawata to taki... literacki motyw. Zaintrygowało mnie, że coś takiego wydarzyło się w realnym życiu. Swoją drogą, wie pani może, jaki ten krawat miał wzór?

– Nie mam pojęcia. To ma znaczenie?

– Nie, to taki... pisarski szczegół, który mógłbym wykorzystać. Dałaby pani radę się dowiedzieć?

– Pewnie tak, jeśli panu na tym zależy. Znam policjanta, który prowadził śledztwo w tej sprawie. Teraz już jest na emeryturze, to starszy człowiek, ma prawie siedemdziesiątkę na karku, ale jeśli nie dostał alzheimera, powinien mnie pamiętać. – Znowu ten śmiech.

– Dziękuję. A teraz gdyby mogła pani powiedzieć parę słów o Dorocie...

– To była latawica. – Użycie tak staroświeckiego słowa świadczyło o tym, że Katarzyna Wojtas najprawdopodobniej sama zbliża się już do emerytury. – Chociaż dzisiaj pewnie byśmy powiedzieli, że miała wielu partnerów seksualnych. Albo po prostu, że lubiła się zabawić. Nic dziwnego, biedaczka nadrabiała stracony czas. Gdyby była miejscowa, pewnie plotkowałaby o niej cała wieś, ale przyjechała tylko na lato, a w Węgierskiej Górcie jest wtedy sporo obcych, więc powiedzmy, że nie rzucała się jakoś szczególnie w oczy. Zwłaszcza że Dorota, z tego, co wiem, zadawała się głównie z turystami. Przez lodziarnię codziennie przewijały się dziesiątki chłopaków, a ona była dobra w wyławianiu tych, którzy mogliby być zainteresowani czymś więcej. Flirtowała z nimi, a potem umawiała się na spotkanie nad rzeką w krzakach. Nie mogła ich zabierać do pokoju, bo mieszkała w wynajętej klitce, którą dzieliła z koleżanką. Starszym może i przeszkadzały taki, hmm, brak warunków, ale ona lubiła dzieciaków po dwadzieścia lat albo i mniej. Nie żeby od razu nielegalnych, prokurator by się do niej nie przyczepił, po prostu bardzo młodych. Dla takich nie ma znaczenia, gdzie zamoczą, pod warunkiem że mogą to zrobić. Pan pewnie był taki sam w ich wieku? – Roześmiała się rubasznie.

– Ja, hmm... – Nie miałem pojęcia, czy Katarzyna Wojtas serio oczekuje ode mnie odpowiedzi.

– Nieważne. W każdym razie znaleźli ją martwą dwudziestego trzeciego sierpnia, w dzień zabawy dożynkowej. Do Węgierskiej Górki zważyło się jeszcze więcej ludzi niż zwykle, nie tylko turystów, ale też osób z sąsiednich wsi. Był występ miejscowego zespołu muzycznego, pokaz tańców, ksiądz święcący plony i mnóstwo piwa. Wie pan, jak wyglądają takie wiejskie zabawy, a jak pan nie wie, to łatwo może sobie wyobrazić. Pod wieczór sporo imprezowiczów było już pijanych. Nie bardzo, piwem dorosły facet nie upije się tak szybko jak wódką; ludzie mieli w czubie, ale nikt nie leżał pod stołem. Wszyscy sądzili, że impreza jest raczej spokojna, policja zażegnała parę drobnych bójek i przez dwie godziny szukała zaginionego dzieciaka, który w końcu znalazł się przy straganie z zabawkami. Nic więc się nie wydarzyło.

– Aż do odnalezienia Doroty.

– Taaa... Aż do odnalezienia Doroty. Koło szóstej rano następnego dnia znalazł ją nad rzeką turysta, który wyszedł leczyć spacerem lekkiego kaca. Dziewczyna leżała w krzakach z zadartą sukienką, ale bieliznę miała na sobie; lekarz nie znalazł zresztą śladów gwałtu. Może gość nie zdążył dokończyć, bo ktoś go spłoszył, a może ta sukienka się podwinęła, jak Dorota upadła na ziemię.

– Czemu miałyby upaść? Ktoś ją zaatakował i przewrócił?

– Niekoniecznie. Była pijana, we krwi miała ponad półtora promila. Dla takiej chudziny wystarczą i trzy albo cztery duże piwa, zwłaszcza w ciepły dzień. Do dzisiaj nie wiadomo, czy poszła w te krzaki z chłopakiem, czy po to, żeby odespać. Oczywiście ludzie założyli od razu to pierwsze. Tak czy inaczej lekarz ustalił godzinę śmierci plus minus na ósmą wieczorem.

– Wie pani, co mnie zastanawia? Czemu ta sprawa nie stała się bardziej znana? Zazwyczaj kiedy ginie ładna młoda dziewczyna, mówi się o tym więcej.

– Ona nie była ładna. To znaczy na żywo podobno miała sporo uroku, ale na zdjęciach wychodziła fatalnie. Widziałam parę; na każdym wyglądała jak oklapły, mokry królik, a ludzie lubią, gdy ofiara jest seksowna. Poza tym panowało przekonanie, że Dorota dostała to, na co sobie zasłużyła, że jeden z jej chłopaków wreszcie się wkurzył i ją wykończył. Co prawda sprawcy nigdy nie znaleźli, ale nikt tak naprawdę nie widział w tym żadnej zagadki. Jedynym dziwnym elementem był ten krawat...

– Czemu krawat?

– Niech pan pomyśli chwilę. Impreza na świeżym powietrzu, upał i wakacje. Kto w takich warunkach nosi krawat? Faceci chodzili w szortach i koszulkach, a niektórzy nawet bez koszul. Tylko wójt przyszedł elegancko ubrany, żeby na początek zabawy wygłosić parę słów.

– Wójt jej nie zabił?

Roześmiała się.

– Nie sądzę. Tak jak mówiłam, starsi panowie nie byli w typie Doroty. Czasem z nimi flirtowała, ale do łóżka zdecydowanie wolała młodszych.

– Policja nie miała podejrzanych?

– No właśnie nie. Znaleźli paru chłopaków, z którymi się zadawała, ale żaden nie wybijał się jakoś szczególnie jako potencjalny sprawca. A było pewnie jeszcze więcej takich, których nie znaleźli.

– Wie pani może, w jakiej pozycji dokładnie leżała? Miała na nogach buty?

– Nie znam aż takich szczegółów. Wiem tylko o tej zadartej spódnicy, bo ludzie gadali.

Właśnie ta spódnica mnie martwi, pomyślałem. O niej także wspomniałem w mojej książce, ale to nie musi niczego znaczyć. Wielu autorów odruchowo opisuje zamordowane kobiety z zadartymi spódnicami. Jak powiedziała moja rozmówczyni, ludzie lubią, gdy ofiary są seksowne.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że Katarzyna Wojtas o coś pyta.

– Słucham?

– Tak sobie pomyślałam, że moglibyśmy się spotkać i pogadać, przy kawie albo coś w tym rodzaju. Pan mieszka we Wrocławiu?

– Teraz już w Samborowiczkach, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Wrocławia – przyznałem z ociąganiem.

– Ja siedzę w Legnicy, a tak się składa, że akurat nie mam nic pilnego na warsztacie. Mogę podskoczyć do pana na przykład jutro. Co pan na to? Może przypomnę sobie jeszcze jakieś szczegóły na temat Doroty.

Nie przypomnisz sobie, pomyślałem. Założyłbym się o niewielkie pieniądze, że Katarzyna Wojtas ostatnimi czasy nigdy nie ma niczego na warsztacie, jest na emeryturze i trochę się nudzi. Spotkanie ze znanym pisarzem Leonem Cichym pomogłoby jej się rozerwać, nie mówiąc już o tym, że zaimponowałyby dzięki niemu koleżankom. Jeszcze rok temu zgodziłbym się bez większego wahania, kobieta sprawiała sympatyczne wrażenie. Zresztą za te wszystkie informacje, których mi udzieliła, należała jej się przynajmniej godzina mojego czasu.

Tak byłoby rok temu. Dzisiaj musiałbym zacząć nasze spotkanie od wyjaśnienia, dlaczego nie wyglądam już jak na zdjęciach w moich książkach. Czemu jestem niewidomy.

– Przykro mi, mam teraz sporo pracy.

– Nie ma sprawy. – Głos mojej rozmówczyni momentalnie ochłodził. – Odezwę się, jak tylko zdobędę kontakt do Piotra Wiesiołka. To ten policjant, który prowadził sprawę Doroty.

– Dziękuję.

Rozłączyła się, a ja schowałem komórkę do kieszeni szortów. A przynajmniej próbowałem schować, bo w tym momencie zorientowałem się, że ktoś stoi przede mną na tarasie. Nie wiem, co mnie zaalarmowało: czy był to ledwo słyszalny oddech, obcy zapach, czy może po prostu wrażenie, że przestrzeń nagle się zagaęściła, że nie jestem już sam.

Zacisnąłem palce na aparacie i wsunąłem go głębiej w kieszeń.

– Halo? Jest tu ktoś? – zapytałem drżącym głosem.

– Tak, to ja, Marek Gościniak. Przepraszam, nie chciałem pana wystraszyć.

– Co panu strzeliło do głowy, żeby tak się zakradać?

– Nie zakradałem się. Furtka była otwarta, a pan rozmawiał, więc stanąłem z boku, żeby nie przeszkadzać. Jeszcze raz przepraszam.

– Następnym razem niech pan uważa – mruknąłem wciąż odrobinę nadąsanym tonem. – Parę dni temu mało nie rozbiłem głowy mojemu szwagrowi, który wszedł bez ostrzeżenia do domu.

– Nie wiedziałem, że ma pan szwagra.

– To mąż mojej kuzynki, Anety Ochockiej. Dla uproszczenia nazywam go szwagrem.

– Ach, pani Aneta. Odbyliśmy ostatnio ciekawą rozmowę. Możemy wejść do środka? Tym razem wołałbym nie zadawać panu pytań w ogrodzie. – Czy mnie się wydawało, czy w głosie policjanta zabrzmiała delikatna nuta ironii?

Nie wydawało mi się, uznałem, prowadząc mojego nieproszonego gościa do salonu. I co on miał na myśli, mówiąc, że odbył z Anetą interesującą rozmowę?

– Przeprowadziłem panu samochód – powiedział. – Jeśli da mi pan klucze, wjadę nim do garażu.

– Wiszą przy drzwiach. Takie z niebieskim breloczkiem. – Przynajmniej kiedy ostatni raz je widziałem, był do nich dowieszony niebieski breloczek, pomyślałem.

– Dobrze, za chwilę się tym zajmę.

Ja siedziałem na kanapie, Gościniak, sądząc po tym, skąd dobiegał jego głos, stał przy oknie. A może usiadł w fotelu? Nie miało to znaczenia, podobnie jak nie miało znaczenia, jak facet wygląda, w jakim jest wieku, czy przyszedł w mundurze, czy może po cywilnemu. Czy przypominał porucznika Columbo, czy może zupełnie nie. A jednak ta pustka w miejscu, w którym powinien być wyraźny obraz, irytowała.

– O co chciałby pan zapytać? Jeśli oddajecie moje auto, to zgaduję, że w środku niczego ciekawego nie znaleźliście. Żadnych śladów krwi ani dziur po kulach w siedzeniu. – Miało to zabrzmieć kpiąco, a zabrzmiało, ku mojemu własnemu niezadowoleniu, zdecydowanie nerwowo. Wciąż nie odzyskałem równowagi po tym, jak Gościniak wystraszył mnie w ogrodzie.

– Nie, nie znaleźliśmy żadnych podejrzanych śladów. Nie znaleźliśmy także zwłok pana żony w wąwozach otaczających Gromnik. Kojarzy pan te wąwozy? Są dosyć głębokie, porośnięte lasem, a na ziemi leży sporo zeszłorocznych liści, dlatego trudno dokładnie przeczesać teren.

Znowu zacząłem się zastanawiać, o co mu, do cholery, chodzi. Mówi, że niczego nie znaleźli, po to, żeby mnie uspokoić, pokazać, że nie zamierzają przede mną niczego ukrywać, a jednocześnie dyskretnie sugeruje, że mogli coś przegapić i ciało Idy jednak leży w jednym z wąwozów? W co ten człowiek pogrywa?

Odetchnąłem głęboko, licząc w myślach do trzech. Prawdopodobnie o nic mu nie chodziło. Niepotrzebnie dopatrywałem się podwójnego znaczenia w każdym słowie.

– Rozumiem więc, że nie jestem podejrzany?

– Nigdy nie mówiłem, że pan jest. – Znów cień uśmiechu w głosie. Tym razem zamiast Columbo w złachmanionym płaszczu zobaczyłem eleganckiego Anglika jak z *Morderstw w Midsomer*. Osaczanie zabójcy, scena druga. Kurwa, czemu o tym pomyślałem?

– Ale?

– Ale, widzi pan, jakoś mnie to wszystko męczy. Niech pan się postawi w mojej sytuacji. Mam faceta, którego była żona ginie zamordowana. Gość znajduje jej zwłoki, a na komendzie, zdezorientowany, opowiada przedziwną historię o tym, że jego obecna żona zniknęła kilka miesięcy wcześniej i na jej miejscu pojawiła się zupełnie obca kobieta. Z początku myślę, że facet ma problemy po wypadku i dlatego coś mu się pomieszało. Że są tylko dwie żony, jedna

martwa, a druga żywa, opiekująca się swoim niepełnosprawnym i prawdopodobnie niezbyt stabilnym psychicznie mężem. Współczuję nawet tej kobiecie i podziwiam ją. Potem następuje kolejna odsłona. Policja znajduje samochód, którym podobno jeździła najpierw pierwsza, a potem druga żona. Auto wygląda na porzucone, a żona, ta druga, znika. Na tym etapie nasz bohater nie twierdzi już, że mieszka z obcą kobietą. Dobra nasza, myślę sobie, gość wreszcie się ogarnął. Ostrożnie jestem w stanie nawet uwierzyć, że to jeden wielki przypadek, że pierwsza żona została zabita przez jakiegoś oprycha, a druga odeszła. Zdarza się. Facet sam przyznaje, że nie ma talentu do związków. Nadają pan za mną?

– Tak, oczywiście, ale przecież...

– Teraz będzie najciekawsze. Bo widzi pan, zacząłem szukać Julianny Potockiej, czyli zaginionej żony naszego bohatera. Zestawienie imienia i nazwiska jest dość nietypowe, więc uznałem, że to nie będzie takie trudne. Miałem zresztą dwa punkty zaczepienia: wiedziałem, że dziewczyna pochodzi z okolic Łodzi i przez jakiś czas mieszkała z przyjaciółką fizjoterapeutką. Wreszcie znalazłem w spisie uczniów liceum imienia Adama Asnyka kogoś, kto mógłby pasować. Zgadzało się nazwisko i mniej więcej wiek. Nie zgadzał się wygląd, bo blondynka, którą zobaczyłem na zdjęciu klasowym z 2017 roku, z pewnością nie była tą samą, którą widziałem na komendzie. Pomyślałem sobie: w porządku, pewnie się pomyliłem. Problem w tym, że zgadzał się też drugi szczegół. Otóż dziewczyna przez jakiś czas była zameldowana pod adresem, pod którym znajduje się gabinet fizjoterapeutyczny. Zaintrygowało mnie to na tyle, że sprawdziłem, kto jest właścicielem tego mieszkania, i tak znalazłem Idę Potocką. Z ciekawości wygooglałem jej zdjęcie i co się okazało? To dokładnie ta kobieta, która przyjechała odebrać z komendy swojego zdezorientowanego męża i przy okazji dała mu alibi na czas śmierci jego pierwszej żony. To teraz proszę mi powiedzieć, panie Cichy, z kim pan się właściwie ożenił. Z Julianną czy z Idą Potocką? Kelnerką czy fizjoterapeutką? Która zniknęła w marcu, a która niedawno? I którą widział pan uduszoną na dywanie w salonie?

Czekałem na ten moment. Czekałem, aż Gościński pojawi się w moim domu, przeprosi i powie, że wierzy w moją historię. Wyobrażałem sobie jego pokorny głos i pośpieszne zapewnienia, że tak, nadadzą sprawie najwyższy priorytet, postarają się znaleźć zarówno Juliannę, jak i Idę, nie muszę się niczym martwić. Teraz do mnie dotarło, jak bardzo naiwna była ta wizja. Gościński nie zamierzał za nic przeproszać. A ja zdecydowanie powinienem się martwić.

Przełknąłem nerwowo ślinę.

– Z Julianną Potocką. Może pan obejrzeć odpis aktu ślubu, jest w dolnej szufladzie w gabinecie. W pokoju po prawej, tam gdzie stoi komputer – dodałem.

Nie sądziłem, że naprawdę zdecyduje się to zrobić, on jednak wyszedł, wrócił po chwili i zajął miejsce w fotelu – tym razem usłyszałem ciche skrzypnięcie sprężyn.

– Z Julianną Potocką, barmanką? – upewnił się.

– Tak.

– A co z Idą Potocką?

– Mieszkała ze mną przez kilka miesięcy. Od czasu wypadku. Mówiłem... próbowałem wytłumaczyć, wtedy na komendzie, ale nikt nie chciał mi uwierzyć.

– Dlatego następnym razem powiedział pan, że to jedna i ta sama kobieta?

– Tak.

– Panie Cichy – fotel znów skrzypnął; Gościński wstał albo, co bardziej prawdopodobne, pochylił się w moją stronę – straciłem przez pana niepotrzebnie czas. Gdybym od początku wiedział, że to dwie różne osoby, byłoby mi znacznie łatwiej.

– Gdybym dalej twierdził, że to dwie różne osoby, wciąż uważałby mnie pan za wariata.

– Może. A może nie. Tak czy inaczej policji nie należy opowiadać wygodnych kłamstw. Policji należy mówić prawdę, niezależnie od tego, jak ta prawda wygląda.

Twarz Gościńskiego zmieniła się w mojej wyobraźni w kreskówkowe oblicze wygrażającego palcem policjanta, a ja poczułem się jak skarcony dzieciak.

– Przepraszam. – Zmusiłem się, żeby to powiedzieć. – Faktycznie powinienem...

– A wie pan, co jest w tym wszystkim najgorsze? – wpadł mi w słowo. – Że teraz już kompletnie nie wiem, w co wierzyć. Na komendzie mówił pan, że ta druga kobieta, Ida, mieszkała tutaj i udawała pana żonę...

– Tak było.

– Wtedy wydawało mi się, że to jakaś bzdura – kontynuował, jakby zupełnie mnie nie usłyszał. – Teraz może i dałbym się przekonać, ale kiedy do pana jechałem, wpadło mi do głowy znacznie prostsze rozwiązanie. Może Ida Potocka od początku była pana współniczką. Razem uknułiście plan, żeby pozbyć się Julianny. Ida bez problemu mogła zająć jej miejsce, biorąc pod uwagę, że nikt z pana rodziny nowej żony nie znał. A kiedy Alina Stasiaczek zaczęła coś podejrzewać, ją także zabiliscie i bardzo zgrabnie daliście sobie nawzajem alibi.



Siedziałem na tapczanie zmartwiały ze zgrozy. To wyświechtane określenie, wiem, ale nie znajduję innego. Byłem zmartwiały ze zgrozy, od żołądka w stronę gardła podpełzał obrzydliwy kłęb szoku. Miałem wrażenie, że za moment zwymiotuję, odetchnąłem jednak kilka razy głębiej i młodości przeszły. Szok pozostał. Dopiero po chwili udało mi się wykrztusić parę słów.

– Pan... tak poważnie?

– Czemu nie? Wiem, to brzmi jak fabuła jednego z filmów Hitchcocka. – W głosie Gościniaka zabrzmiał przepraszający i zarazem lekko rozbawiony ton. – Ale i tak lepiej niż bajka, którą pan mi opowiedział.

– Dlaczego miałbym się pozbywać Julii?

– Fakt, na pierwszy rzut oka trudno znaleźć motyw. To była miła, zupełnie zwyczajna dziewczyna, przynajmniej tak wynika z tego, co mówią ludzie, którzy ją znali. Chociaż wygląda na to, że miała kiepski gust, jeśli chodzi o face-tów. Poznał pan jej chłopaka z liceum?

– Jej chłopaka? – powtórzyłem bezmyślnie. W końcu mózg podsunął mi odpowiedź. Gniewko Jakiśtam. „Miała cycki jak krowa”. Omal nie potwierdziłem, że owszem, poznałem, ale po pierwsze, to nie byłaby prawda, a po drugie, cholera wie, czy w ogóle powinienem się przyznawać do jakiegokolwiek kontaktu z tym człowiekiem.

Na szczęście Gościniak nie oczekiwał odpowiedzi.

– Nieważne. W każdym razie dziewczyna nie miała łatwego życia. Wiedział pan, że wychowywała się w rodzinach zastępczych?

– Tak, oczywiście. Ale dlaczego... dlaczego pan mówi o niej w czasie przeszłym?

– A jak mam mówić? To pan mi powiedział, że Julianna nie żyje. Znalazł ją pan na dywanie uduszoną krawatem.

– Ja nie... Pomyliłem się.

– Naprawdę? Często pan się myli w takich kwestiach jak to, czy na dywanie leży martwa dziewczyna czy nie?

Zacisnąłem usta.

– Wtedy, w marcu, za dużo wypilem, w porządku? Dlatego coś mogło mi się przywidzieć. A na komendzie byłem zdezorientowany, nie bardzo wiedziałem, co mówię. Zresztą – olśniło mnie – gdybym spiskował z Idą, czy powiedziałbym panu, że to dwie różne kobiety? Wtedy przecież udawałbym, że Ida to Julia, moja żona, skoro na tym miała polegać cała intryga...

– Też się nad tym zastanawiałem – przyznał, znowu zmieniając się w porucznika Columbo. – Ale doszedłem do wniosku, że może po śmierci Aliny Stasiacek doznał pan szoku i pod jego wpływem wygadał prawdę.

– Powiedziałem, że w moim domu mieszka kobieta udająca moją żonę, a nie, że mam współniczkę, na litość boską. – Mój głos brzmiał piskliwie. Jakbym był winny, pomyślałem. Oczywiście nie byłem, ale trudno zachowywać się naturalnie, gdy człowiek wie, że musi zachowywać się naturalnie, prawda? Najlepszy sposób do skłonienia kogoś, żeby o czymś pomyślał, to zabronić mu myślenia o tej konkretnej rzeczy. Za dużo analizowałem, wciąż miałem świadomość, jakim tonem mówię, a jakim powinienem mówić, i w rezultacie wypadałem jak kiepski aktor.

– Problem w tym, że ja właściwie nie wiem, co pan dokładnie powiedział. Pierwszą i najbardziej obszerną wersję tej historii słyszeli policjanci, którzy przywieźli pana na komendę. Nikt wtedy nie spisał pana słów ani ich nie nagrał, a ja je znam tylko z drugiej ręki. Oznajmił pan, że w pana domu mieszka kobieta, która udaje pana żonę, ale przed kim udaje? Przed panem czy może przed innymi? To znacząca różnica, nie sądzi pan?

Milczałem. Jeden z kotów wskoczył mi na kolana, pokręcił się przez chwilę, po czym, urażony brakiem reakcji, zeskoczył z powrotem na podłogę.

– Ta rozmowa jest absurdalna – oznajmiłem wreszcie. – Naprawdę bardzo mi się nie podoba to, o co pan mnie oskarża. Jeżeli... jeżeli naprawdę wierzy pan w te wszystkie bzdury, a nie tylko pogrywa sobie ze mną z jakiegoś dziwnego powodu, może mnie pan wezwać na oficjalne przesłuchanie. Przyjdę z prawnikiem. – W ostatniej chwili przypomniałem sobie rozmowę z Kubą.

– Nie powiedziałem, że o cokolwiek pana oskarżam. To tylko takie luźne myśli, które przyszły mi do głowy. Teoria, która moim zdaniem jest bardziej prawdopodobna niż to, co pan opowiada. I nie upieram się, że pan koniecznie musiał być... powiedzmy, stroną bardziej aktywną w tym spisku. Jeżeli którekolwiek z was zabiło Alinę Stasiacek, zrobiła to raczej Ida, nie pan. Pan bardzo słabo widzi...

– Nie widzę w ogóle.

– Niech będzie, jest pan niewidomy. A jeśli Ida wpakowała nóż w brzuch innej kobiecie, to równie dobrze mogła zabić Juliannę. Uduszenie wymaga siły, bo ofiara odruchowo się broni, ale jeśli założymy, że Julianna tamtego wieczoru też sporo wypila, byłoby to już zdecydowanie łatwiejsze. Zresztą nie zdziwiłbym się, gdyby Ida poradziła sobie i z całkiem przytomną osobą. Fizjoterapeuci mają sporo krzepy. Dlatego, panie Cichy, gdyby chciał mi pan opowie-

dzień historię, w której wszystko od początku było pomysłem Idy Potockiej, a pan tylko jej pomagał, być może nawet bym panu uwierzył.

– Poważnie wydaje się panu, że dam się nabrać na taki stary numer? Sam używałem tego chwytu w swoich książkach.

Ku mojemu zdziwieniu Gościński zachichotał radośnie.

– I co, działało?

– Różnie – burknąłem. – Zależy, co mi było potrzebne fabularnie. Poza tym gdy o zbrodnię podejrzani są kobieta i mężczyzna, kobiecie zdecydowanie łatwiej się wykręcić twierdzeniem, że była tylko niewinną, zmanipulowaną ofiarą. W przypadku facetów to prawie nigdy nie działa.

– Fakt. – W tonie Gościńskiego wciąż wyczuwało się ślad niedawnego śmiechu. – Feministki krzyczą, że kobiety zawsze mają gorzej niż mężczyźni, ale są takie dziedziny życia, w których mają akurat lepiej. Nieważne. W każdym razie gdyby zdecydował się pan opowiedzieć mi jakąś bardziej wiarygodną historyjkę niż to, co usłyszałem do tej pory, proszę do mnie zadzwonić. Wyślę panu mój numer. Obsługuje pan tę komórkę, którą ma pan w kieszeni, prawda?

– Tak. – Nie dodałem, że na dobrą sprawę potrafię tylko odbierać połączenia. Co swoją drogą przypomniało mi, że powinienem poprosić kogoś o zakodowanie pod pojedynczymi klawiszami kilku najważniejszych numerów: do moich rodziców, do Marysi, Piotrka czy Anety.

– Znakomicie. To ja się będę zbierał. Kolega podjedzie po mnie za parę minut.

– Kolega?

– Przyjechałem pana samochodem, pamięta pan? Wprowadzę go do garażu i zmykam.

Wrócił po chwili, odwiesił klucze na miejsce, pożegnał się i wyszedł. Telefon zadzwonił niemal dokładnie w chwili, gdy za Gościńskim zamknęły się drzwi.

– I jak tam? – zapytała Marysia. – Dzwoniłeś do tej kobiety od artykułu?

– Tak.

– Powiedziała coś ciekawego?

– Parę rzeczy. – Starąłem się opanować drżący głos. Gościński nie miał żadnych dowodów, nie byłem nawet pewny, czy rzeczywiście choć trochę wierzy w to, co mówi. Może bawił się jak kot myszą w nadziei, że jeśli mnie zdenerwuje, trafi na coś ciekawego.

– Na przykład?

– Dorota lubiła się zabawiać z młodymi chłopakami i wszyscy sądzili, że to jeden z nich ją zabił. Katarzyna Wojtas nie wie, jaki wzór miał krawat, ale obiecała skontaktować mnie w tej sprawie z człowiekiem, który prowadził śledztwo – streściłem. Po raz pierwszy nie miałem ochoty rozmawiać z Marysią. Chciałem zwinąć się na tapczanie i nie odzywać do nikogo przez najbliższych parę godzin.

– Leon?

– Mhm. – Wiedziałem, co zaraz usłyszę.

– Coś się stało? Mówisz jakoś tak dziwnie.

A więc jednak nie panowałem nad głosem tak dobrze, jak mi się wydawało.

– Gościński, ten policjant, odprowadził mój samochód i przy okazji chwilę pogadaliśmy. Wiedzą już, że Julia i Ida to dwie różne osoby. Facet trochę się na mnie wkurzył, że go okłamałem.

– Mówiłam, że to kiepski pomysł – westchnęła. – Powiedziałeś im o seacie Idy?

– Zapomniałem.

– Kurwa, Leon, co jest z tobą nie tak?

Potałem czoło. Marysia miała rację, zdecydowanie nie myślałem dziś jasno.

– Chyba nie czuję się najlepiej – powiedziałem szczerze. Bolały mnie mięśnie i czułem lekkie, ale uporczywe mdłości. Miałem ochotę wpełznąć pod koc i zostać tam aż do wyjaśnienia całego tego bałaganu.

– Przyjadę wieczorem.

– Nie musisz...

– Przyjadę, a wtedy powiesz Gościńskowi o samochodzie Idy. Masz jego numer telefonu?

– Mam – burknąłem. – Ale sam nie mogę zadzwonić.

– Jesteś beznadziejny. – Marysia westchnęła.

Nie byłem pewien, czy w jej głosie słyszę rozbawienie czy może tylko irytację.

## NAGRANIE 65

Od tamtej rozmowy minęło kilka godzin, musi być już piąta czy szósta po południu. Upał na zewnątrz wciąż nie zelżał, a może to ja mam gorączkę? W każdym razie zdecydowanie nie czuję się lepiej. Do bólu mięśni dołączył ćmiący ból głowy, jest mi trochę słabo, a trochę mdło. Na samą myśl o jedzeniu żołądek zaciska się w supeł. Gdyby to była deszczowa jesień, uznałbym, że złapałem grypę, ale jest lato, więc pewnie to covid, paskudztwo krążące w powietrzu od wczesnej wiosny. Kto mnie zaraził i gdzie? Podejrzewam wczorajszą imprezę z okazji czterdziestej rocznicy ślubu ciotki Tereski i wujka Władka. W sali było ze trzydzieści osób, może nawet więcej. I założyłem się, że nikt nie nosił maseczki. Staliśmy się zbyt pewni siebie, przekonani, że to, co najgorsze, zostało za nami. Słyszałem nawet, jak wujek Włodek peroruje, że jesienią nie będzie kolejnej fali, ciepło lata wybije zarazki, a poza tym ludzie zdążyli się już uodpornić.

Zaraz jednak pojawia się wątpliwość, bo czy okres inkubacji nie powinien być dłuższy niż jeden dzień? W takim razie zaraziłem się wcześniej, na przykład podczas podróży do Łodzi. Może złapałem wirusa od sąsiadki Idy albo od miłego kelnera, który zaprowadził mnie do ubikacji. A to oznacza... To oznacza, że wczoraj nieświadomie mogłem zarażać innych. Na samą myśl robi mi się jeszcze bardziej słabo i niedobrze. Mam w rodzinie sporo starszych krewnych, w grupie ryzyka. Tak się mówi: w grupie ryzyka, a mnie od razu stają przed oczami szpital i respirator, zapadnięta twarz wiekowej ciotki czy równie wiekowego wujka, której oczywiście nie zobaczę – po prostu któregoś dnia otrzymam telefon ze smutną wiadomością, a potem pójdę na pogrzeb.

Muszę ich ostrzec, myślę, ale nie mogę tego zrobić, ponieważ wciąż nie jestem w stanie przywołać z pamięci ani jednego numeru telefonu należącego do członka mojej rodziny. Przez chwilę rozważam zadzwonienie pod 112. Halo, prawdopodobnie cała moja rodzina zaraziła się ode mnie wczoraj covidem, proszę, zróbcie coś z tym. Uśmiecham się do tej wizji nerwowo. Wątpię, żeby ktokolwiek potraktował taki telefon poważnie. Muszę czekać. Marysia będzie tu niedługo i wtedy ustalimy, co dalej, nawet gdybyśmy dla bezpieczeństwa mieli do siebie krzyczeć przez cały ogród. Nie powinienem narażać ani jej, ani nikogo innego, ale myśl o samotnym chorowaniu przeraża mnie bardziej niż myśl o mordercy skradającym się do mnie w mroku. Tak długo walczyłem o to, żeby oswoić przestrzeń wokół siebie, zdobyć jakąkolwiek, choćby marną namiastkę kontroli nad swoim życiem, a teraz miałbym to stracić? Z wysoką gorączką nie zrobię herbaty ani nie posmaruję kromki masłem, a jeśli oszołomiony spróbuję wstać z łóżka, mogę się zgubić we własnym domu i zemdleć gdzieś na schodach. Może też się zdarzyć, że narzygam na podłogę i nie będę potrafił tego posprzątać, nie wspominając już o ewentualnym zabrudzeniu pościeli. Kurwa mać. Tyle mam do powiedzenia.

Kurwa mać.

Skrzypnęła furтка. Zakładam, że to Marysia, na tyle optymizmu mnie jeszcze stać.

## NAGRANIE 66

Nie nagrywałem niczego przez kilka ostatnich dni, bo też i niewiele zapamiętałem. Ja krzyczący do Marysi: „Nie podchodź, jeśli nie chcesz się zarazić, chyba złapałem covid!” Jej odpowiedź: „Przechodziłam to dwa miesiące temu, nie przejmuj się!”. Nie byłem pewny, czy odporność faktycznie trwa tak długo, ale chciałem wierzyć, że Marysia wie, co mówi – potrzebowałem jej troski, dotyku ręki na czole, wszystkich tych telefonów, które wykonała, gdy tylko się upewniła, że faktycznie jestem chory. Do moich rodziców, którzy obiecali powiadomić pozostałe osoby obecne na rocznicy ślubu, do lekarza, który polecił mi zostać w łóżku, pić dużo płynów i kupić sobie paracetamol, a jeśli zacznę mieć problemy z oddychaniem, zgłosić się do szpitala, i wreszcie do Gościniaka, który z tego, co wiem, nie powiedział nic.

Rodzice zjawili się jakiś czas później – pół godziny, godzinę, a może dwie? Moje poczucie czasu, zazwyczaj i tak kiepskie, w czasie choroby najwyraźniej zmienia się w absolutnie fatalne. Pamiętam ojca rozmawiającego z Marysią, wpytującego o moje samopoczucie, o to, z kim ostatnio się kontaktowałem. Szybkie, nerwowe odpowiedzi Marysi, spowiadającej się z naszego małego śledztwa: wyprawy najpierw do Przeworna, a potem do Łodzi, nawet z mojego telefonu do Katarzyny Wojtas. Pamiętam matkę, której fakt, że wreszcie może się zmierzyć z czymś tak zwyczajnym jak choroba, najwyraźniej dodał energii. W jednej chwili zmieniła mnie z powrotem w pięciolatka, przebrała w piżamę i położyła do łóżka. Marysia na szczęście wyszła wcześniej, przynajmniej taką mam nadzieję. Chciałem zaprotestować, powiedzieć, że jeśli już ktoś musi się mną zajmować, nie powinna to być kobieta, której niewiele brakuje do sześćdziesiątki. Może niekoniecznie „w grupie ryzyka”, ale niebezpiecznie blisko. Nawet nie pozwoliła mi dokończyć. Z matkami, pomyślałem odkrywco, wstrząsany dreszczem, o pewnych rzeczach się nie dyskutuje.

## NAGRANIE 67

Jak się później okazało, miałem podwójne szczęście, bo po pierwsze, chyba nikogo z rodziny nie zaraziłem, a po drugie, przeszedłem koronawirusa dość łagodnie. Przez większość czasu dokuczały mi tylko niezbyt wysoka gorączka, dreszcze, osłabienie i paskudne bóle mięśni. To ostatnie było zdecydowanie najgorsze. Budziłem się każdego ranka, czując się jak ofiara, którą znaleziono na ulicy pobitą do nieprzytomności. Wiosną, po wypadku, cierpiałem co prawda bardziej, ale wtedy ból koncentrował się w kilku partiach mojego ciała, a teraz zdawał się być wszędzie, nawet w małych mięśniach palców u stóp. Gdy człapałem do łazienki – przez dwa dni męczyła mnie też biegunka – obijałem się o ściany. Matka, która zdecydowała się nocować w Samotni, poila mnie rosółem oraz ciepłymi herbatkami, jakby za oknem dął listopadowy wicher, a nie panowała piękna letnia pogoda, ojciec wpadał od czasu do czasu, przywożąc zakupy i wieści ze świata. Po każdej jego wizycie mama wydawała się smutniejsza, zacząłem się więc zastanawiać, czy tato znowu ma kochankę, czy może z Samotni wyganiało go tylko pragnienie towarzystwa. Nigdy nie należał do domatorów, nie znosi wsi, lubi za to ruch i gwar miasta. W czasach, gdy bawił się w politykę i miał firmę sprzedającą sprzęt medyczny, zdarzało się, że zniknął z domu na całe dni. Teraz, gdy przeszedł na emeryturę, spędza z żoną zdecydowanie więcej czasu, ale nadal ma mnóstwo znajomych, o których niewiele wiem. Są wśród nich prokurator, ze dwóch policjantów, ordynator oddziału dziecięcego, aktor znany z tego, że zagrał drugoplanową rolę w jakimś serialu, i aktorka występująca w jednym z wrocławskich teatrów – elegancka, żywiołowa blondynka w wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką. Jeśli miałbym szukać kandydatek na nową kochankę taty, stawiałbym właśnie na nią.

Jednak myśl o kochance wywietrzała mi z głowy pewnego popołudnia, gdy natknąłem się na rodziców w salonie. Czułem się już wtedy na tyle dobrze, że zamiast leżeć w łóżku i słuchać audiobooków, wędrowałem po Samotni, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. W pewnym momencie zachciało mi się odetchnąć świeżym powietrzem, skierowałem się więc w stronę prowadzących na taras drzwi i wtedy właśnie ich usłyszałem. Dobiegające z kanapy szepty w tak intymnej tonacji, że natychmiast zawróciłem na piętro. Ostatni raz czułem się tak nieswojo, kiedy w szóstej klasie podstawówki przyłapałem mamę i tatę migdalących się na tapczanie w naszym starym mieszkaniu. To wydarzenie skłoniło mnie do krótkiej refleksji na temat związków. Zawsze uważałem małżeństwo moich rodziców za bardzo staroświeckie: ona zajmuje się domem i wybacza mu skoki w bok, on dba finansowo o rodzinę i korzysta z życia. Czasem w chwilach złości myślałem, że nie rozwiedli się, ponieważ tata potrzebuje darmowej kucharki i sprzątaczkę, a mama nie wyobraża sobie życia bez mężczyzny. Teraz zaczynam się zastanawiać, czy w ich relacji nie ma czegoś głębszego, co przegapiłem przez te wszystkie lata. Bo co my właściwie wiemy o związkach innych osób, nawet tak bliskich jak nasi rodzice? Każda para ma swoją dynamikę, która z zewnątrz może wyglądać zupełnie inaczej niż od wewnątrz. Kiedy byłem chłopakiem, a potem mężem Ali, wiele osób postrzegало mnie jako tę słabszą stronę, może niekoniecznie pantoflarza, ale z pewnością faceta, który zbyt często ustępuje. Zdarzało się nawet, że ludzie mi współczuli, choć ja w żaden sposób nie czułem się poszkodowany. Taki mieliśmy z Alą układ i obojgu nam było w nim dobrze. O tym, jak w oczach ludzi mogłoby wyglądać moje drugie małżeństwo, wolę nawet nie myśleć.

To tylko takie luźne rozważania, temat związków nie zaprzęta jakoś szczególnie mojej głowy. Mam kilka ważniejszych problemów. Jeden z nich udało mi się już rozwiązać, bo ojciec, zanim wyjechał z matką, zakodował mi na komórce parę najważniejszych numerów. Wykorzystałem to i zadzwoniłem do Marysi, a potem, trochę z nudów, a trochę z ciekawości, do Anety.

– I jak tam mój instruktor? – zapytałem złośliwie. – Nie miałaś przypadkiem go ogarnąć?

– Ogarnęłam, ale jak zachorowałeś, to wypadłeś z kolejki. Teraz muszę cię umówić jeszcze raz. A jak ty się w ogóle czujesz?

– Dobrze. To znaczy jak na takie okoliczności dobrze. Musiałem schudnąć parę kilo, bo kiedy dzisiaj włożyłem spodnie, zsunęły mi się z tyłka, ale poza tym radzę sobie nieźle. Moi rodzice wyjechali przed chwilą i zostałem sam, tylko z kupą audiobooków, które moja matka pożyczyła z biblioteki.

– Niech zgadnę, większość z nich to romanse?

– Owszem, głównie klasyczne. Mam *Wichrowe Wzgórza* i tę, jak jej tam, z początku dziewiętnastego wieku, *Duma* i coś tam...

– Jane Austen?

– No. Możesz spać i posłuchać w wolnej chwili. Podobno już nie zarazam.

– Marysia nie jest zainteresowana wizytą?

– Z Marysią umówiłem się na jutro. A z tym instruktorem nie musisz się spieszyć. Większość rzeczy nauczyłem się ogarniać sam, z pozostałymi pomagają mi rodzice. Albo Marysia. Tak naprawdę bardziej przydałby mi się telefon dla

niewidomych, wiesz, taki, który reaguje na głos. Oddam ci za niego kasę.

– W porządku. Rozejrzę się, jak tylko będę we Wrocławiu. Instruktorą też załatwię, obiecuję.

W jej głosie brzmiała zabarwiona poczuciem winy gorliwość, co kazało mi podejrzewać, że nie było żadnej kolejki, z której wypadłem. Po prostu Aneta olała sprawę, ponieważ zajmowała się swoim tajemniczym problemem. A może tajemniczym problemem innej osoby, wszystko jedno. Dzisiaj nie umiem mieć do niej pretensji. Przejście z salonu do sypialni wciąż zajmuje mi nieprzyzwoicie dużo czasu, myślę, jakbym przedzierał się przez tonę kisielu, i wszystko ma dziwny zapach, ale nawet jeśli nie jestem jeszcze całkiem zdrowy, to przynajmniej znalazłem się na dobrej drodze do wyzdrowienia i zamierzam się tym cieszyć.

## NAGRANIE 68

Śniło mi się, że zabiłem Julię. Siedzieliśmy objęci na tapczanie i szeptaaliśmy do siebie słowa, których nie rozumiałem, czułem tylko ich rytm wibrujący w kościach, melodię, zmieniającą się od czułej, poprzez nerwową, aż po pełną gniewu. A potem klęczałem obok ciała pięknej blondynki, leżącej z włosami rozsypanymi na dywanie, patrząc na wykrzywioną, siną twarz i zaciśnięty na szyi krawat w różowe słonie. Wiedziałem, że to ja ją zabiłem, choć nie pamiętałem dlaczego. Pokłóciliśmy się o coś? Powiedziała coś absolutnie niedopuszczalnego, na przykład że nie chce mieszkać w Samotni? Tak czy inaczej stało się i musiałem zrobić coś z ciałem. Wziąłem je na ręce i wyszedłem na drogę, a wtedy w ciemności rozbłysły reflektory jak płonące oczy drapieżnika i usłyszałem warkot ruszającego samochodu.

Ocknąłem się złany potem i dopiero po chwili zrozumiałem, że obudził mnie nie odgłos pracującego silnika, lecz dzwonek telefonu. Odebrałem.

– Halo? – Mój głos brzmiał chropowato, jakbym każde słowo przeciskał przez zwoje ciemnego drutu. Odchrząknąłem.

– Mówi Piotr Wiesiołek. Podobno chciał pan ze mną rozmawiać?

– Tak. – Z trudem przypomniałem sobie, kim jest Wiesiołek. Zamiast mózgu miałem watę, język przypominał drewniany kołek. – Przepraszam, niedawno chorowałem i nie do końca jeszcze doszedłem do siebie. To znaczy... – Zapomniałem, co chciałem powiedzieć.

– Covid? – zapytał Wiesiołek współczującym tonem. – Złapałem to kurewstwo w maju. Dwa tygodnie mnie trzymało i mało w szpitalu nie wyładowałem. Ale jakoś się wylizałem. W mojej rodzinie wszyscy mają dobre geny – rozześmiał się. – To niech pan gada. Chodzi o Dorotę Gąskę, tak?

– Tak. Chciałem dopytać o parę szczegółów. Wie pan, do książki.

– Będzie pan o nas pisał? A o zgodę zapytać nie łaska?

– Ja... nie...

– Spokojnie, żartuję. Niech pan pisze, co pan chce, przynajmniej o mnie. Nawet gdyby ktoś się miał przypierdolić o taką starą sprawę, to mam to w dupie. Jestem na emeryturze, a wtedy zrobiłem, co mogłem.

– Nie mieliście podejrzanego?

– Mieliśmy aż za dużo podejrzanych. – Znowu się zaśmiał. – Ale żadnego, do którego można by się naprawdę przyczepić.

– A Dorota Gąska... Może mi pan powiedzieć, jak wyglądała, kiedy ją znaleźli? To znaczy, w jakiej pozycji leżała?

– Na plecach, z sukienką podciągniętą na wysokość bioder.

– Miała na nogach buty?

– Owszem, czemu miałyby nie mieć?

– Jest pan pewny?

– Jasne, że jestem. Jak pan sądzi, ile takich morderstw ogląda codziennie przeciętny gliniarz?

– Nie mam pojęcia. A... – zawahałem się. Nie chciałem zadawać tego pytania, ale było za późno, żeby się wycofać – ...ten krawat, którym została uduszona, jaki miał wzór?

– Krawat jak krawat. Coś szarego i w paseczki chyba. Dokładnie nie pamiętam.

– To nie był krawat w różowe słonie?

– W różowe słonie? Jezu, nie, kto normalny nosi coś takiego?

Może ktoś, kto jest nienormalny, pomyślałem. Potarłem czoło. Słyszałem szum, ale dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że za oknem pada deszcz. Wcześniej mógłbym przysiąc, że to mnie szumi pod czaszką.

– Różowe słonie pewnie by pan zapamiętał?

– Jasne. Każdy zwróciłby uwagę na coś takiego. Czemu pan zadaje te wszystkie pytania?

„Bo to ja ją zabiłem”, mój mózg wypluł z siebie idiotyczny żart. Widziałem we śnie. Na szczęście nie powiedziałem tego na głos. Chyba. I pięć sekund później nie rozumiałem już, co właściwie miałyby być w tym śmiesznego.

– Panie Cichy, jest pan tam?

– Jestem. Przepraszam.

– Chce pan coś jeszcze wiedzieć?

– Nie, to już wszystko. Dziękuję.

Rozłączyłem się. O szybę bębniły drobne krople deszczu, jakby ktoś rzucał w okno miedziakami. Tego porównania już użyłem, prawda? Powinienem wymyślić coś oryginalnego. Problem w tym, że myślenie dzisiaj zdecydowanie nie jest moją mocną stroną. Zastanawiam się – na tyle, na ile w ogóle jestem w stanie się zastanawiać – nad tym, co przed chwilą usłyszałem. A więc Dorota Gąska to fałszywy trop, ślepy zaułek, jak zwał, tak zwał. Czuję ulgę zmieszaną z lekkim drażniącym niepokojem, jakbym zdał egzamin, ale nie do końca uczciwie. Jakby Piotr Wiesiołek lada moment miał zadzwonić ponownie i poinformować, że się pomylił, krawat jednak był w różowe słonie. Nie mam pojęcia, skąd mi się wzięło to wrażenie. Może i jestem zaspany i nie myślę zbyt jasno, ale wiem, co słyszałem. Szary krawat, w paseczki. Żadnych słoni czy różowości. Kropka. To rozwiązuje sprawę. Powinienem skupić się na innych rzeczach.

Chwilowo rzeczą, na której zamierzam się skupić, jest śniadanie.



## NAGRANIE 69

W przeciwieństwie do mnie Marysia nie przejęła się informacją, jaki wzór miał krawat.

– To i tak był strzał w ciemno – mruknęła, siadając obok mnie na kanapie. Zbliżał się wieczór, ale krople deszczu wciąż bębniły o szybę. – Mało prawdopodobne, że Ida wjechała w ciebie samochodem z powodu dziewczyny zabitej dwadzieścia lat temu. Ale warto było zapytać. Teraz nie musisz się już przejmować, że mogłeś mieć coś wspólnego z tamtą zbrodnią.

Skinąłem głową, choć nie pozbyłem się do końca niepokoju.

Słuchaliśmy przez jakiś czas audiobooka Wichrowych Wzgórz, jednak żadne z nas nie było jakoś szczególnie zainteresowane losami Heathcliffa i Cathy, wyłączyłem go więc i zaczęliśmy rozmawiać. Marysia wydawała się roztrągnięta, jakby myślała przebywała w zupełnie innym miejscu. Próbowaliśmy zagadywać o jej studia czy koleżanki, ale za każdym razem odpowiadała półsłówkami. Może myślała o Ali albo o pograżonych w żałobie rodzicach, a może – zdałem sobie z tego sprawę z ukłuciem bólu – zaczynałem ją tracić. Wiem, że to się stanie prędzej czy później. Cokolwiek do mnie czuje – litość, współczucie, chęć opieki nad kimś tak nieporadnym jak ja czy może zwyczajną ciekawość, co się, u licha, dzieje w moim życiu – to nie może trwać wiecznie. Dwudziestolatka nie będzie przesiadywała godzinami w domu kilkanaście lat starszego niewidomego faceta i słuchała z nim audiobooków. Po prostu nie. Nawet gdybym poczuł się na tyle dobrze, by wyjść z domu i zaprosić ją na randkę do pubu, na koncert czy wycieczkę w jakieś ładne miejsce, gdzie potrafiłbym sobie jako tako poradzić, to by nie zadziało. W filmie albo w romantycznej powieści może tak, ale nie w życiu. Wiem o tym, nie jestem idiotą, a jednak bolało. Może dlatego zadałem w pewnym momencie pytanie, którego nie zamierzałem zadawać. Nie Marysi.

– Jaka jest najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłaś?

Siedzieliśmy blisko siebie, wyczułem więc, jak jej mięśnie spinają się lekko.

– Czemu o to pytasz?

– Tak mi przyszło do głowy. To nic ważnego. Jeśli nie chcesz, nie mów.

Anecie powiedziałem to samo, ale w przypadku mojej kuzynki miałem nadzieję na odpowiedź, a w przypadku Marysi wręcz przeciwnie.

– W porządku, możemy porozmawiać o czymś innym... – rzuciłem pośpiesznie, gdy milczenie się przedłużało, ona jednak chwyciła mnie za rękę.

– Czekaj. Powiem ci. Właściwie już dawno miałam ochotę o tym komuś opowiedzieć.

Nie chcę, pomyślałem. Wiedziałem, że zaraz usłyszę jakąś paskudną historię związaną ze zdrażonym chłopakiem albo inny mały brudny sekrecik, w żaden sposób niepasujący do obrazu Marysi, który miałem w głowie. Ale milczałem, bo siedząca obok mnie dziewczyna zaczęła już mówić.

– To było w gimnazjum, w trzeciej klasie. W połowie roku przyszła do nas dziewczyna, której rodzice właśnie przeprowadzili się do Wrocławia. Miała na imię Ewita i coś było z nią nie tak. Nie mam pojęcia, o co chodziło, bo oficjalnie nie miała postawionej żadnej diagnozy. Teraz mi się wydaje, że mogła to być lekka postać FAS, ale cholera wie. W każdym razie Ewita była... trochę inna. Nie na tyle, żeby nazwać ją upośledzoną, po prostu wolniej łapała różne rzeczy, a pod względem emocjonalnym wydawała się młodsza o kilka lat. Ciągle zmyślała jakieś dziwne historie i bawiły ją rzeczy, które my już uważaliśmy za totalnie dziecinne. Nie dręczyliśmy jej ani nic w tym rodzaju, nikt jej nie zrobił fizycznej krzywdy, nie przezywał ani nawet nie wyśmiewał, kiedy gadała głupoty przy tablicy. No dobrze, trochę się śmialiśmy, ale to nie było nic takiego, jak pokazują na filmach. Żadnych, no wiesz, drastycznych scen. My ją... odsunęliśmy, wykluczyliśmy z grupy. Nikt nie chciał z nią siedzieć w ławce ani być w parze, kiedy dzieliliśmy się podczas różnych projektów, czy zapraszać do domu na urodziny. Przez większość czasu udawaliśmy, że nie istnieje. Ewita oczywiście ciężko to znosiła, wiem o tym i rozumiem, że... – Wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby za chwilę miała się rozplakać. Ścisnąłem jej rękę.

– Spokojnie. Byliście dziećmi, każdy bywa czasem wredny w tym wieku.

– Nie o to chodzi, że byłem wredna. Chodzi o to, że ja się z nią zaprzyjaźniłam. Jakoś tak w styczniu, tuż po Nowym Roku nauczycielka wzięła na bok pozostałe dziewczyny z klasy i pojechała nam po sumieniach. Kazała nam sobie wyobrazić, jak biedna Ewita może się czuć, kiedy ją odtrącamy i takie tam. I ja się, kurwa, naprawdę przejęłam, na tyle, że następnego dnia podeszłam do Ewity, przeprosiłam ją grzecznie za moje zachowanie i zaproponowałam pomoc z matematyką, z którą zawsze miała problem. Myślałam, że odmówi z powodu tego, co było wcześniej. Szczerze mówiąc, ja bym chyba odmówiła. Powiedziałabym coś w stylu, że teraz to swoją pomoc mogę sobie włożyć, gdzie słońce nie dochodzi, i w ogóle powinnam się odwalić. Ale ona się ucieszyła, wyściskała mnie i zapytała,

czy pójdę z nią do sklepiku po drożdżówkę. Poszłam, bo głupio było odmówić, i zanim się obejrzałam, siedziałam już z Ewitą w ławce, a nauczycielka mnie chwaliła, że jestem taka dojrzała i empatyczna. W książce to byłby prawdziwy happy end, prawda? Wykluczona społecznie dziewczynka znajduje przyjaciółkę i okazuje się oczywiście, że tak naprawdę wcale nie jest głupia ani nudna, tylko wrażliwa i pełna zalet, które wystarczy dostrzec. Problem w tym... – głos jej zadrżał od czegoś, co równie dobrze mogło być złością jak i goryczą – że Ewita naprawdę była głupia i nudna. Nie dostrzegałam tego na początku, wmówiłam sobie nawet, że ją lubię, bo chciałam być tą dojrzałą dziewczyną, którą widziała we mnie nauczycielka. A kiedy się zorientowałam, że tak naprawdę wcale nie chcę się kumpłować z Ewitą, było za późno. W szkole łąziła za mną jak pies, a po lekcjach pisała wiadomości, pytała, czy może wpaść na moment, i siedziała potem cały dzień. Musiałam zmyślać, że jadę do babci do szpitala, żeby chociaż na chwilę się od niej uwolnić.

– Chyba parę razy ją u was widziałem. Taka przysadzista szatynka z włosami do ramion?

– *Yup*, to ona. Potem obcięła włosy krócej, jak ja. We wszystkim mnie naśladowała, nosiła identyczne ciuchy, miała taki sam plecak, a nawet zestaw kredek. Uważała, że jesteśmy najlepszymi psiapsiółami, ciągle mnie dotykała, zachwycała się mną w takim dziecinnyim stylu, od którego cierpły mi zęby. Mówiła na przykład: „Moja Marysiunia ma śliczne włoski” albo „Przytulę się do mojej Marysiuni”. Prosiłam ją, żeby mnie tak nie nazywała, tłumaczyłam, że mnie to irytuje, a ona kiwała z entuzjazmem głową i obiecywała więcej tego nie robić, po czym następnego dnia oczywiście robiła. Wiem, że tak się objawiała jej dysfunkcja czy co tam miała, ale to niczego nie zmieniało. Na początku tylko mnie wkurzała, potem zaczęłam jej nienawidzić. Naprawdę nienawidzić, nie tak, jak nienawidzą dzieciaki. Nie wiedziałam, że można czuć coś takiego do kogoś, kto nigdy nie zrobił mi żadnej krzywdy. Nienawidziłam jej piskliwego śmiechu, dotyku i tego, że w jej towarzystwie bezustannie czułam się wkurwiona albo zażenowana. Albo jedno i drugie. Nie dało się z nią pogadać o niczym, co mnie interesowało, bo Ewita lubiła tylko jedno: turecką telenowelę *Wspaniałe stulecie*, którą oglądała z babcią. Poważnie. Po każdym odcinku zdawała mi sprawozdanie, kto kogo pocałował i kto przeciwko komu knuje, aż razem z nią znałam na pamięć wszystkich bohaterów. Przepraszam, czasem też zadawała mi pytania o książki, które ostatnio czytałam, albo coś w tym rodzaju, tylko tak jakby... jakby odpowiedź w ogóle jej nie obchodziła. Ja zaczynałam mówić, a ona wyłączała się po kilku sekundach i kiedy kończyłam, potrafiła zadać mi to samo pytanie jeszcze raz, zupełnie jakby moje słowa nie zostawiły żadnego śladu w jej mózgu. I oczywiście dawne kumple zaczęły mnie olewać, bo były przekonane, że teraz chcę się trzymać tylko z Ewitą.

– Próbowałaś z kimś o tym rozmawiać?

– Trochę, z mamą i Alą, ale nie powiedziałam im wszystkiego, bo się wstydziłam. One tylko patrzyły na mnie zdziwione i mówiły, że to przecież nic złego, jeśli od czasu do czasu zaproszę Ewitę do domu i posłucham o tej cholerniej tureckiej telenoweli, wręcz przeciwnie, to bardzo szlachetne i tak w ogóle są bardzo dumne ze mnie i tego, co robię. No więc tym bardziej dochodziłam do wniosku, że teraz już nie mam wyjścia. Jeśli powiem Ewicie, żeby dała mi spokój, to będzie tak, jakbym kopnęła małego szczeniaczka: wyjdę na wredną sukę i wszyscy zobaczą, jaka w głębi duszy jestem paskudna. Jest taka bajka o gościu, który chciał być miły i zgodził się przenieść na własnych plecach staruszka przez rzekę, a ten staruszek okazał się jakimś demonem czy coś i nie chciał potem z tych pleców zejść. Siedział gościowi na karku, ujeżdżał go jak konia, śmiał się i na niego sikał. Momentami tak właśnie się czułam, może z wyjątkiem tego sikania. Jakby na plecach wyrósł mi wielki garb, od którego nie potrafiłam się uwolnić. I przez cały czas jeszcze męczyły mnie wyrzuty sumienia, bo przecież wiedziałam, że to nie wina Ewity, że jest jaka jest, powinnam się starać ją polubić i znaleźć w niej jakieś zalety...

– Nie da się nikogo zmusić do przyjaźni. Jeśli Ewita ci nie pasowała, to nie pasowała, niezależnie od jej dysfunkcji.

– Teraz o tym wiem i pewnie umiałabym się zachować inaczej. No wiesz, grzecznie wyjaśnić, że chcę też mieć inne koleżanki i dlatego nie mogę się z nią spotykać codziennie. Albo poprosić kogoś starszego, żeby z nią pogadał. Cokolwiek. Może to by poskutkowało. A może nie. Ewita była... no, bardzo zaborcza. Ale ja nawet nie próbowałam, tylko męczyłam się przez kilka miesięcy, zaciskając zęby, aż wreszcie wybuchłam z powodu jakiegoś drobiazgu. Nie pamiętam już, o co poszło, czy znowu nazwała mnie Marysiunią, kupiła sobie taką samą bluzkę czy jeszcze coś innego. Nieważne. W każdym razie zaczęłam na nią wrzeszczeć, że powinna znaleźć sobie własne życie i odpuścić mi się od mojego, że mam jej dość i tak w ogóle to nigdy naprawdę jej nie lubiłam. Pamiętam, jak jej oczy robiły się coraz większe i większe, a ona sama bledsza i bledsza. I pamiętam, że nie było mi jej żal. Ani trochę. Czułam tylko ulgę, że już po wszystkim, teraz wreszcie będę wolna. Jakbym zdrapała strupa. Następnego dnia nie przyszła do szkoły, a że był sam koniec roku szkolnego, to jakoś... powiedzmy, że mi się upiekło. Rodzice i Ala uznali, że nie przyjaźnię się już z Ewitą, bo poszłam do liceum, a nauczycielka chyba niczego się nie domyśliła. A może się domyśliła, ale wolała nie mówić. Nie wiem. Przez jakiś czas po tamtym wybuchu bałam się zupełnie serio, że któregoś dnia przyjdzie do naszego domu zapłakana babcia Ewity z informacją, że jej wnuczka popełniła samobójstwo. Albo że przeczytam o tym gdzieś w necie. Ale ona jakby zapadła się pod ziemię. Jej konto na TikToku przez długi czas

było martwe, dopiero jak zajrzałam tam rok czy dwa lata temu, z czystej ciekawości, okazało się, że Ewita znowu zaczęła coś wrzucać.

– Czyli żyje.

– *Yup*, żyje i chyba nawet znalazła nową przyjaciółkę. Mam nadzieję, że lepszą ode mnie. Ale nie zmienia to faktu, że ją skrzywdziłam. Teraz już wiesz, jaka ze mnie wredna cholera.

– Nie przesadzaj. Po pierwsze, byłeś dzieckiem i sytuacja cię przerosła. A po drugie, czasem trzeba być trochę wrednym, bo inaczej ludzie wejdą nam na głowę. Ja nigdy tak naprawdę tego nie potrafiłem.

– Dlatego potrzebowałeś Ali.

– Coś w tym rodzaju. Tak. Chyba tak.

Sądziłem, że powie coś więcej, na przykład: „Musiałeś bardzo ją kochać”. Nie wiem, co bym na to odpowiedział. Marysia jednak pewnie wyczuła, że zbliżamy się do niebezpiecznego terenu, bo milczała. Wydawała się teraz bliższa, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, bardziej miękka, otwarta i przystępna. Mógłbym wyciągnąć rękę, objąć ją, a potem pocałować. To było takie proste, takie kuszące. Wyczuwałem, że to odpowiedni moment i nie miałyby nic przeciwko. A jednak tego nie zrobiłem, nie tylko dlatego, że przywołany w rozmowie duch Ali krążył wokół nas. Po prostu jestem rozsądnym człowiekiem. A przynajmniej czasem bywam, kiedy więc Marysia powiedziała, że jest zbyt późno, aby wracać do domu, zaproponowałem jej miejsce na kanapie, a sam grzecznie poczłapałem na piętro.

## NAGRANIE 70

Przyszła w nocy, a przynajmniej w porze, którą mój umysł wciąż uznawał za noc. Wślizgnęła się pod kołdrę. Miała na sobie tylko majtki i odsłaniającą brzuch koszulkę. Czułem dotyk gładkiej, aksamitnej skóry, gdy się do mnie przytulila.

– Cześć – powiedziała. – Słyszałam, że podobno dla niewidzących seks jest przyjemniejszy, bo pozostałe zmysły pracują bardziej intensywnie, żeby zrekompensować utratę wzroku. Chcesz spróbować?

Wymamrotałem, że to chyba nie jest najlepszy pomysł. Marysia wzięła moją ręką i wsunęła pod tę nieprzyzwoicie króciutką koszulkę. Dotknąłem piersi, która leżała w dłoni jak małe słodkie jabłuszko.

– Chcesz? – szepnęła, owiewając moją twarz oddechem pachnącym miętową pastą do zębów. Giętki język rozsunął wargi i wcisnął się do ust. Próbowałem protestować, ale chyba bez większego przekonania. – Przecież wiem, że chcesz.

Miała rację, chciałem.

## NAGRANIE 71

– Czy ciebie, kurwa, ze szczętem pojechało?

– Co takiego? – Budziłem się z trudem. Marysia siedziała na brzegu łóżka, jej głos wibrował złością.

– Pierś, która leżała w dłoni jak małe słodkie jabłuszko? Ty tak serio?

– Nie powinnaś ruszać mojej komórki – mruknąłem, macając wokół w poszukiwaniu tiszerta, który mógłbym naciągnąć na grzbiet.

– Może i nie, ale zainteresowało mnie, co tak nagrywasz wieczorem, i posłuchałam dzisiaj rano kawałka.

– Tylko kawałka?

– A co, jest tam więcej fantazji erotycznych ze mną w roli głównej?

– Nie. Reszta to coś w rodzaju mojego pamiętnika. Albo książki.

– Chyba nie zamierzasz tego opublikować?

– Jasne, że nie. – Oczywiście zamierzałem. – Przynajmniej nie bez zgody osób zainteresowanych. A za ten kawałek naprawdę przepraszam. Poniosło mnie. Po prostu go wykasuję, w porządku?

– Czasem się zastanawiam, jak ona z tobą wytrzymała. – Mniej złości, więcej rozdrażnienia i zmęczenia.

– Ala?

– Tak, Ala.

Wzruszyłem ramionami.

– Jakoś się dogadywaliśmy.

Marysia milczała, co zaniepokoiło mnie chyba bardziej niż wcześniejsza wściekłość. Gdyby wciąż była zła, wiedziałbym przynajmniej, na czym stoję.

– Często myślisz o mnie w taki sposób?

Bąłem się tego pytania. Co powinienem odpowiedzieć? Czy w ogóle istniała jakakolwiek dobra odpowiedź?

– Nie rozmawiajmy o tym więcej, proszę – powiedziałem wreszcie. – Ostatnio...

Nie byłem sobą, chciałem dokończyć, ale to, cholera, też mogłoby zabrzmieć obraźliwie. Potarłem czoło dłonią. Nie słyszałem deszczu bębniącego o szybę, co oznaczało, że dziś będę mógł posiedzieć na tarasie. Dobre i to, pomyślałem. W mojej sytuacji trzeba się cieszyć drobiazgami.

Marysia pożegnała się i wyszła, obiecując, że odezwie się wkrótce. Gdybym miał się założyć, postawiłbym niewielkie pieniądze na to, że nigdy tego nie zrobi.

## NAGRANIE 72

Przegrałbym zakład, bo Marysia wpadła dzisiaj jak gdyby nigdy nic. W porządku, pasuje mi takie rozwiązanie. Po prostu udajemy, że nic się nie stało. Słuchamy radia albo gadamy o głupstwach, ona pomaga mi ogarnąć dom i koty, a ja w zamian opowiadam jej kiepskie dowcipy. Nie poruszamy tematu Idy ani Julianny, jakby żadna z nich nie istniała. Deszcz wciąż nie pada, ale czas upałów chyba się skończył i temperatura oscyluje teraz w granicach kilkunastu stopni. Podmuchy wiatru niosą ze sobą zapach świeżo skoszonej trawy. Po raz pierwszy myślę o tym, jak przetrwam w Samotni zimę. Krótkie, ciemne dni, gdy do mojego lewego oka nie będzie docierała ani odrobina naturalnego światła. Jak sobie poradzę z odśnieżaniem podjazdu? Z uruchomieniem ogrzewania i pilnowaniem, żeby ciśnienie w kotle nie przekroczyło normy? Z napaleniem w kominku, jeśli grzejniki przestaną wyrabiać? Z zakupami, kiedy się okaże, że z powodu śniegu nikt nie jest w stanie do mnie dojechać? A jeśli zachoruję ja albo któryś z kotów?

Odsuwam od siebie te myśli, ale one wciąż wracają niczym krążący wokół mojej twarzy uparty owad.

## NAGRANIE 73

Udało mi się dzisiaj zgubić komórkę. Nie wiem, jakim cudem, tak bardzo przecież staram się uważać. Po prostu jej nie było, gdy się obudziłem. Zniknęła razem z Marysią, która znów nocowała w Samotni. Przez kilkanaście godzin żyłem w strachu, że moja szwagierka siedzi we Wrocławiu i słucha, jak śniło mi się, że zabijam Julię. Jak mój umysł podsuwa mi przyznanie się do winy w ramach osobliwego dowcipu, którego nikt, włącznie ze mną, nie potrafiłby zrozumieć. Na szczęście komórka znalazła się wieczorem, gdy Marysia wpadła na chwilę, żeby podrzucić mi parę rzeczy na kolację i jutrzejsze śniadanie.

– Była za łóżkiem – oznajmiła, zbiegając z piętra. – Musiała się zsunąć, kiedy spałeś.

Jestem pewny, że zanim zasnąłem, położyłem telefon na stoliku, nie na łóżku. A może nie jestem? Odzyskałem już niemal całkowicie sprawność fizyczną, jaką miałem przed chorobą, ale wciąż zdarza się, że mój mózg się zacina. Od czasu do czasu zapominam słów albo nagle orientuję się, że stoję w aneksie kuchennym i nie mam pojęcia, po co tam przyszedłem. Nie wiem, czy to wpływ covidu, czy może stres ostatnich tygodni. Mniejsza z tym. Tak czy inaczej istnieje szansa, że faktycznie zapomniałem odłożyć komórkę na nocny stolik. W głosie Marysi nie wyczułem fałszu, zresztą gdyby naprawdę przesłuchiwała wszystkie moje nagrania, czy wciąż zachowywałaby się tak swobodnie?

– Dzięki – powiedziałem, odbierając od niej aparat.

– Gościniak się nie odzywał? – Po raz pierwszy od dłuższego czasu poruszyła temat toczącego się śledztwa.

– Nie.

– Może powinieneś do niego zadzwonić? No wiesz, zapytać, czy mają już wyniki badań samochodu Idy.

– Gdyby mieli, to sami by się do mnie odezwali.

Wyczułem, że Marysia na mnie patrzy, ale mogłem tylko zgadywać, jaki ma wyraz twarzy. Pełen dezaprobaty, zaciekawienia, współczucia?

– Jak chcesz. – Z tonu głosu też nie potrafiłem nic wyczytać. – Jeśli wygodniej ci o tym nie myśleć, to twoja sprawa.

Nie zaprotestowałem, choć wbrew temu, co jej się wydaje, sporo myślałem o Gościniaku i jego oskarżeniach. Spodziewałem się kolejnej wizyty policjanta i kolejnych wyssanych z palca teorii. Przez kilka pierwszych dni po chorobie podrywał mnie na nogi każdy dźwięk telefonu i odgłos kroków na ścieżce. Dopiero niedawno zacząłem się uspokajać. Jeśli Gościniak nie pojawił się do tej pory, to znaczy, że sobie odpuścił, uznałem. Albo, co bardziej prawdopodobne, nigdy nie byłem prawdziwym podejrzanym.

Gdy Marysia odjechała, zadzwoniła Aneta.

– Cześć, próbuję cię złapać od paru godzin, ale nie odbierasz. Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku. Zostawiłem komórkę na pięttrze i nie słyszałem, jak dzwoniisz. – Znów odezwała się nieufność wobec Marysi. Czy faktycznie nie dałbym rady usłyszeć dzwonka telefonu tkwiącego gdzieś za łóżkiem? Może tak, a może nie. Dźwięk przychodzącego połączenia miałem co prawda podkreślony do maksimum, ale gruby materac skutecznie mógłby go stłumić.

– Chciałam zapytać, czy wybrałbyś się z nami jutro do Wojsławic. Mieliśmy jechać całą rodziną, ale Jankowi wypadło coś w pracy i jedno miejsce w samochodzie jest wolne.

– Do Wojsławic? Przecież to...

– Arboretum, wiem. – W głosie mojej kuzynki zabrzmiała usprawiedliwiająca nuta. – Pomyślałam, że może przyda ci się, jeśli pospacerujesz trochę na świeżym powietrzu. To też jest jakaś rozrywka.

Jakaś rozrywka. Z goryczą uświadomiłem sobie, że teraz już zawsze będę skazany na jakąś rozrywkę, a nie po prostu rozrywkę. Bo zawsze część wrażeń będzie dla mnie niedostępna. Chyba że wybiorę się na koncert, uśmiechnąłem się do siebie krzywo. Problem w tym, że odkąd w wieku studenckim przestało mnie bawić przepychanie się w tłumie na płycie, muzyki wołę słuchać w domu, ewentualnie w pubie, gdzie można przy okazji porozmawiać. Ta ostatnia myśl sprawiła, że przełknąłem cisnące się na usta złośliwe słowa. Gdybym się nie zgodził, moja rodzina prawdopodobnie uznałaby, że należy mnie zapraszać tylko do filharmonii. Albo, co gorsza, do opery.

– Czemu nie, dzięki.

– No to jesteśmy umówieni. Podjadę po ciebie jutro koło południa. Pamiętaj, żeby mieć przy sobie telefon.

– Będę pamiętać.

## NAGRANIE 74

Ten dzień niezbyt dobrze się zaczął, a skończy się pewnie jeszcze gorzej. Właściwie powinienem się tego spodziewać, prawda? Powinienem wiedzieć, że panujący przez kilka ostatnich dni spokój nie oznacza końca moich problemów, że jest tylko chwilą ciszy przed burzą. I w pewien sposób rzeczywiście wiedziałem. Nie opuszczało mnie przecież tamto uporczywe wrażenie niepokoju, skrobiące od wewnątrz w czaszkę niczym szczur próbujący wydostać się z pułapki.

Wiedziałem, że jeszcze coś się wydarzy.

Zacznę od momentu, gdy odebrałem telefon od Anety.

– Jesteś gotowy? Mam nadzieję, że tak, bo czekamy przed bramą.

Byłem gotowy. Po kilku chłodniejszych dniach temperatura znowu skoczyła w górę, uznałem więc, że nie ma sensu brać ciepłego okrycia ani pełnych butów. Poszedłem w sandałach i szortach, z cichą nadzieją, że tym razem udało mi się włożyć tiszert na właściwą stronę.

– Cześć, wujek – powiedział jeden z siedzących na tylnym siedzeniu synów Anety.

Nie wiem który, po głosie trudno mi ich rozpoznać. Pozostali nie zwrócili na mnie uwagi. Wszyscy trzej zajęci byli grą na przekazywanym z rąk do rąk tablecie. Tak przynajmniej zrozumiałem z ich rozmowy.

– No to ruszamy – powiedziała Aneta. Głos miała zmęczony, jakby perspektywa dnia spędzonego z dziećmi wcale jej nie cieszyła. Z tyłu wciąż wybuchały kłótnie, aż od dziecięcych wysokich głosów lekko rozbolała mnie głowa. Otworzyłem okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza, ale Aneta kazała mi je zamknąć. Nie jestem pewien czemu, jechaliśmy przecież dość wolno. Trudno, nie zamierzałem się kłócić. Palcami wybijałem rytm leżącej w radiu piosenki i zastanawiałem się, jaka, u licha, jest data. W lipcu w Wojsławicach kwitną liliowce; Ala bardzo je lubiła. Ja wolę rododendrony, które z kolei zakwitają w maju. Kiedyś jeździliśmy do arboretum prawie co roku, najpierw z rodzicami – moimi albo Ali – a potem już sami. I każdy taki wypad poprzedzała dyskusja, kiedy tam pojechać. Czasem ja stawiałem na swoim, a czasem Ala. No dobrze, Ala częściej, jak w przypadku większości sporów w naszym małżeństwie. Jak w przypadku rozwodu, do którego wciąż wracam myślami.

W Wojsławicach odstaliśmy swoje w kolejce, na szczęście niezbyt długiej, i weszliśmy na teren arboretum. Chłopcy od razu pobiegli naprzód ścieżką, goniąc się z krzykiem. Żaden z nich nie wydawał się jakoś szczególnie zainteresowany roślinami. Ja byłem dokładnie taki sam w ich wieku, dopiero potem nauczyłem się doceniać nie tyle kwiaty jako takie – ogrodnicze ambicje zawsze zostawiałem moim żonom – ile bogactwo kolorów jak na obrazach impresjonistów, głęboki, krwisty róż sąsiadujący z subtelnym fioletem, czerwien płonącego domu kontrastująca z intensywną żółcią słońca, a tuż obok nieśmiała biel drobnych kwiatów, których nazwy nawet nie znam. Z tym właśnie kojarzą mi się Wojsławice, za takim widokiem tęsknię.

Aneta wzięła mnie pod ramię i skierowała we właściwą stronę. Czułem zapach jej perfum zmieszany z delikatną wonią otaczających mnie kwiatów. Ucieszyło mnie to, nie powiem, bo oznaczało, że pocovidowe problemy z węchem zostały za mną.

Jeden z chłopców przybiegł i poprosił o coś do picia, przystanęliśmy więc na moment. Nadal nie miałem pojęcia, który to z synów mojej kuzynki. Już wcześniej postrzegałem ich bardziej jako zbiorowość niż pojedyncze osoby, trochę jak kreskówkowych siostrzeńców Kaczora Donalda, a teraz, gdy straciłem wzrok, ten efekt jeszcze się wzmocnił. Powinienem nauczyć się rozróżniać chłopców po głosach, jestem w końcu ich wujkiem, ale powinienem zrobić mnóstwo rzeczy, o których ciągle zapominam. Jedną z nich jest ogarnięcie telefonu dla niewidomych. Aneta obiecała, że się za nim rozejrzy. Dlaczego jej o tym nie przypominałem? Bo przyzwyczaiłem się do mojej przedpotopowej komórki? A może dlatego, że zmiana starego aparatu na nowy, przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych, oznaczałaby ostateczne pogodzenie się z moją ułomnością?

– Leon... – odezwała się Aneta, wrywając mnie z zamyślenia. W jej głosie brzmiała nuta, którą nauczyłem się już rozpoznawać. Ta oznaczająca „Musimy porozmawiać na poważnie”.

– Tak? – Pomyślałem, że zamierza mi się zwierzyć z dręczącego ją tajemniczego problemu. Nie zamierzałem jej do tego zniechęcać. Zachęcać też nie.

– Pomyślałam sobie, że może... O kurczę, patrz! To znaczy przepraszam...

– Nieważne, po prostu powiedz mi, co widzisz.

Z trudem stłumiłem irytację. Nie znoszę momentów, gdy coś się dzieje – wszyscy błyskawicznie orientują się w sytuacji, a ja muszę czekać na wyjaśnienia. To upokarzające. Ale o tym już chyba wspominałem.

Ku mojemu zdziwieniu zaśmiała się głośno.



– Piotrka z jakąś dziewczyną. Nawet całkiem ładną. Brunetka w południowym typie, młodsza od niego o dobre dziesięć lat. I wyższa o pół głowy.

– Złośliwa jędba – rzuciłem pod adresem Anety.

Irytacja minęła, jakby nigdy jej nie było. Uśmiechnąłem się nawet lekko. Kto by pomyślał, że Piotrek znajdzie sobie dziewczynę – bo w spacerach po arboretum z koleżanką z pracy jakoś nie wierzyłem.

– Ma na sobie hawajską koszulę w żółwie. – Aneta dalej chichotała. – No cóż, kimkolwiek ta kobieta jest, będzie musiała się przyzwyczaić do jego nietypowego gustu, jeśli chodzi o ciuchy.

– Chcesz podejść i się przywitać?

– Nie, wyglądają na zajętych sobą. Nie przeszkadzajmy im. Możemy skrócić w drugą stronę.

Skrociliśmy. Dzień był przyjemnie ciepły, wokół pachniały kwiaty, a ja powinienem się cieszyć tym, że bez większego trudu dotrzymuję kroku prowadzącej mnie kuzynce – tylko dwa razy musieliśmy usiąść na ławce, żebym mógł chwilę odsapnąć. A jednak się nie cieszyłem. Niepokój przybrał na sile; jeśli wcześniej w moją czaszkę drapał jeden szczur, teraz była ich już cała armia.

Bez trudu mogłem sobie wyobrazić mojego kuzyna w hawajskiej koszuli w żółwie. Na co dzień wspomniany przez Anetę nietypowy gust nie rzucał się w oczy, ponieważ Piotrek nosił to, co wszyscy: zazwyczaj tiszert, dzinsy, a w chłodniejsze dni bluzę dresową. W pracy nigdy nie wymagano od niego elegancji. Problem zaczynał się, gdy próbował się ubrać „na specjalną okazję”, jakąś rodzinną uroczystość czy randkę. Wtedy zdarzało mu się pojawiać w przesadnie kolorowych koszulach i niedopasowanych marynarkach, spodniach za krótkich albo za długich...

Czy na tej liście były też dziwaczne krawaty?

Aneta coś mówiła, ale nie zwracałem na to uwagi. Przystanąłem i chwyciłem ją za łokieć.

– Chcę cię o coś zapytać. To ważne. Czy Piotrek miał kiedyś krawat w różowe słonie?

– Puść, to boli. I skąd ci w ogóle przyszło do głowy takie pytanie?

– Odpowiedz, proszę.

– Nie pamiętam nic takiego. – Sprawiała wrażenie odrobinę nadąsanej.

Uspokoilem się, ale tylko na chwilę. Moja kuzynka była właśnie w środku anegdotki o koleżance, która każdego dnia przynosiła do pracy ciasto marchewkowe, kiedy przystanąłem po raz drugi.

– A pamiętasz może, czy kiedykolwiek byliśmy w Węgierskiej Górcie? W sensie my jako rodzina, na jednym z wakacyjnych wyjazdów?

– Leon, co się z tobą dzieje?

– Byliśmy?

– Nie pamiętam. Nie mam nawet pojęcia, gdzie jest Węgierska Górka.

– Beskid Śląski albo Żywiecki. Nigdy za bardzo ich nie rozróżniałem.

– No to mogliśmy być, bo pamiętam, że mieliśmy kwatery w Zwardoniu. To chyba niedaleko.

– Kiedy to było? To znaczy w którym roku?

– Co cię ugryzło, tak w ogóle?

– W którym roku?

Ktoś wpadł na moje plecy, zaklął i poszedł dalej. Aneta odciągnęła mnie ze ścieżki.

– Pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Tak mi się wydaje.

– Jesteś w stanie to sprawdzić na jakichś starych zdjęciach? Który rok, w jakim składzie wtedy byliśmy i czy w czasie tamtych wakacji kiedykolwiek zahaczyliśmy o Węgierską Górkę?

– Martwię się o ciebie, wiesz?

– Zrobisz to dla mnie?

Westchnęła.

– Zrobię. Nie powiesz mi, o co chodzi, co?

– Ty masz swoje sekrety, ja mam swoje. – Drobną złośliwość, która nawet nie sprawiła mi satysfakcji.

Gdy wracaliśmy do samochodu, myślałem o Piotрку, o tym, że pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy ja dopiero wchodziłem w wiek nastoletni, on już był dorosły. Albo prawie dorosły. I nadal jeździł z rodziną na wakacje. Większość z nas próbowała się wymiksować z tych wyjazdów najpóźniej na etapie liceum, ale nie Piotrek. Zapytałem go o to dawno temu, a on wzruszył ramionami i oznajmił: „Jeśli starzy chcą płacić za dwa tygodnie nad jeziorem czy w górach, to czemu mam nie skorzystać?”. Pozostało mi z tamtych czasów wspomnienie Piotrka rozłożonego leniwie na leżaku, z piwem w jednej ręce i gazetą w drugiej. Nie był już dzieckiem, nikt go nie gonił wcześniej spać ani nie pilnował jego diety, ale nie traktowano go też do końca jak dorosłego, więc nie musiał się zajmować tak nudnymi

rzeczami jak zakupy, sprzątanie czy zmywanie po obiedzie. Niby wyjeżdżał z całą rodziną, tak naprawdę jednak większość czasu spędzał, kręcąc się po okolicy, a do nas wracał tylko w porze posiłków.

Dopiero po latach dotarło do mnie, że dla człowieka z naturą samotnika to był całkiem niezły układ.

„Kto nosi krawat latem, w czasie dożynkowej imprezy na świeżym powietrzu?“, zapytała retorycznie Katarzyna Wojtas.

Na przykład młody chłopak, który poszedł na zabawę prosto z mszy w jego intencji, zafundowanej mu przez odrobinę zdewociałą ciotkę. Piotrek miał przecież urodziny w sierpniu, a w 1998 roku skończył osiemnaście lat.

Młody chłopak, którym tamtego lata mogłaby się zainteresować Dorota Gąska.

Wsiedliśmy do auta. Chłopcy przepychali się na tylnym siedzeniu, Aneta odzywała się półsłówkami. Było mi niedobrze; kiedy jechaliśmy do Samborowiczek, musiałem mocno zblednąć, bo kuzynka zapytała, czy dobrze się czuję. Potrząsnąłem głową i otworzyłem okno. Tym razem nie zaprotestowała.

Wszystko pasuje, prawda? Piotrek spotykał się z Dorotą, a kiedy się dowiedział, że jest tylko jednym z wielu jej chłopaków, udusił ją krawatem. Zbrodnia bez premedytacji, ale jednak zbrodnia. Mogłem być jej świadkiem i opisałem potem całą scenę w mojej pierwszej książce...

Nie zgadza się tylko jeden jedyny szczegół: wzór krawata. Ja pisałem o różowych słoniach, Wiesiołek upierał się, że krawat był zwyczajnym krawatem, prawdopodobnie szarym i w prążki.

Czy to możliwe, że moja wyobraźnia z jakiegoś przedziwnego powodu zmieniła wzór, a jednocześnie pamięć zachowała wszystkie pozostałe szczegóły? Że Piotrek miał dwa krawaty, które nałożyły mi się we wspomnieniach? A jeśli to Wiesiołek się pomylił? Uświadomiłem sobie, że emerytowany policjant najprawdopodobniej nie pochodził z Węgierskiej Górki. Tak poważnego śledztwa nie prowadziłby lokalny gliniarz, tylko człowiek z komendy wojewódzkiej. Mogło to oznaczać, że Wiesiołek scenę zbrodni zobaczył dopiero na zdjęciach i nigdy nie zwrócił uwagi na różowe słonie. Odruchowo uznał, że krawat był zwyczajnym krawatem, takim, jakie widywał na co dzień. Mało prawdopodobne, pomyślałem, ale policja nie takie błędy już popełniała.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Aneta, wciskając hamulec. – Jesteś pewny, że dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zarzygać całe auto.

– Wszystko w porządku.

Moje nieudolne kłamstwo powinno wywołać jakąś reakcję, zaniepokojenie, próby dopytywania, co się właściwie dzieje. Gdyby poświęciła mi dwie minuty więcej, może nawet powiedziałbym jej prawdę, ale ona milczała, czekając, aż wysiądę. W porządku, prawdopodobnie na to zasługiwałem.

Już stojąc na zewnątrz, włożyłem głowę do auta.

– Możesz dla mnie coś jeszcze zrobić? To nie potrwa długo, obiecuję. – Wygrzebałem z kieszeni szortów komórkę. – Wybierz numer człowieka, który dzwonił do mnie jakiś czas temu. Nie wiem dokładnie kiedy, ale powinnaś ten numer poznać, bo wszystkie pozostałe należą do członków naszej rodziny.

Westchnęła i wzięła ode mnie telefon. Czekałem, czując, jak słońce pali mi odsłonięty kark. Znowu zapomniałem o kremie z filtrem. Drogą przejechał samochód, pozostawiając za sobą zapach spalin i unoszących się w ciepłym powietrzu drobinek kurzu. Kłosa zboża na polu za moimi plecami zaszeleściły pod wpływem wiatru. Przypominało to dźwięk, jaki mogłyby wydać ocierające się o siebie skrzydła wielkiego owada.

– Znalazłam połączenie od jakiegoś Gościńniaka. O to chodziło?

– Nie. – Pamiętałem, że Marysia wprowadziła do mojego telefonu dane policjanta. – To będzie sam numer, bez nazwiska.

– Niczego takiego nie widzę.

– Niemożliwe. Sprawdź jeszcze raz. – Stałem, trzymając się wciąż otwartych drzwi samochodu; krawędź opuszczonej szyby wrzynała się boleśnie w palce.

– Sprawdziłam całą historię aż do początku czerwca. Masz tylko dwa połączenia, które nie są podpisane, ale oba są wychodzące, a nie przychodzące. W sensie, to ty dzwoniłeś. Raz do firmy taksówkarskiej w Strzelinie, ten numer akurat kojarzę. Drugi raz pod 765 878 905.

Telefon Katarzyny Wojtas. Zabawne, że po tylu dniach wciąż doskonale go pamiętam.

– Powinno być jeszcze jedno połączenie. Mniej więcej sprzed tygodnia. Ktoś do mnie wtedy zadzwonił.

– Nie ma takiego numeru.

– Musi być. – Dyszałem nerwowo, mętnie zastanawiając się, dlaczego z zaciśniętych na szybie palców nie płynie jeszcze krew.

– Zaczekaj. – Aneta wysiadła, obeszła samochód i chwyciła mnie za łokieć. Głos zniżyła do natarczywego szeptu.

– Nie mam pojęcia, co się z tobą dzieje, ale masz natychmiast przestać, jasne? Zachowujesz się jak wariat i moje

dzieci zaczynają się ciebie bać. Nie ma w twojej komórce takiego numeru. Po prostu nie ma i chuj. Gdyby był, musiałabym go zauważyć. Może tamten telefon ci się przyśnił albo miałeś halucynacje pod wpływem choroby. Może, kurwa, powinieneś iść do lekarza.

Moja kuzynka, podobnie jak ja, bardzo rzadko używa brzydkich słów, musiała więc być naprawdę wściekła.

Puściłem wreszcie samochód i wyprostowałem się. Nie było nic, co mógłbym powiedzieć.

– Trafisz do domu sam czy mam ci pomóc?

– Trafię sam. Dzięki. – Słowo pozbawione w gruncie rzeczy znaczenia. Daleko odeszliśmy z Anetą od czasów, kiedy bawiliśmy się razem jako dzieci. I tamtych późniejszych, gdy na wakacjach, leżąc w ciemności we wspólnym pokoju, zwieraliśmy się sobie z drobnych nastoletnich tragedii. Miała wtedy crusha na pewnego chłopaka ze szkoły, rok od niej młodszego, i ta różnica wieku bardzo ją martwiła. Do dziś pamiętam jej nerwowy szept: Ja mam czternaście lat, a on trzynaście, gdybym zaczęła z nim chodzić, to byłoby naprawdę dziwaczne, nie? Zapewniałem ją, że nie, nie byłoby, bo wyraźnie tego ode mnie oczekiwała, ale w głębi duszy myślałem, że tak. Nie wiem, dlaczego przypomniałem sobie akurat tamten moment. Nieważne.

Doczłapałem do domu i z ulgą osunąłem się na tapczan. Palce dłoni przestały boleć, ale za to po przejściu całego arboretum odezwały się zmęczone mięśnie łydek. Siedziałem więc, odpoczywając i jednocześnie próbując uporządkować panujący w głowie chaos.

Czy to możliwe, że rozmowa z Wiesiołkiem faktycznie mi się przyśniła? Albo przywidziała? Owszem, tuż po chorobie byłem oszołomiony i zdecydowanie nie myślałem jasno, ale przecież nie wymyśliłbym czegoś takiego jak telefon od emerytowanego policjanta. Pamiętałem niemal każde wypowiedziane przez niego słowo, ton głosu, powiedzonko o dobrych genach, które Wiesiołek wziął chyba z jakiegoś serialu, bo niejasno mi się zdawało, że gdzieś je słyszałem. Jeśli mój umysł jest zdolny wyhalucynować takie szczegóły, to znaczy, że tkwię w znacznie głębszej i czarniejszej dupie, niż mi się wydawało.

Wstałem, nalałem sobie wody z kranu i usiadłem z powrotem.

A jeśli rozmowa naprawdę miała miejsce – co to oznacza? Że Marysia zabrała mi telefon i wykasowała ją z listy moich połączeń? Czy coś takiego w ogóle jest możliwe? Zakładam, że tak, chociaż sam nigdy tego nie próbowałem. Nawet kiedy widziałem, nigdy nie interesowałem się jakoś szczególnie funkcjami mojego telefonu. Ludzie młodszy ode mnie, zżyci z komórką od wczesnego dzieciństwa, pewnie znają te funkcje na wylot. Na przykład ktoś taki jak moja szwagierka. Albo Piotrek, który oczywiście jest starszy, ale za to pracuje w branży IT. Czy Marysia spiskuje z Piotrkim?

Zaczynasz popadać w paranoję, pomyślałem. Zresztą oprócz Marysi mogłem tak naprawdę podejrzewać kogokolwiek. Tuż po chorobie, gdy moi rodzice już wyjechali, a ja jeszcze nie do końca wydobrzałem, zdarzało mi się przysypiać w dzień na kanapie. Teoretycznie każdy mógł wejść, sięgnąć po leżącą na stoliku komórkę i skasować połączenie z historii. Z powodu kotów drzwi na taras często zostawiam otwarte. Nie usłyszałbym nieproszonego gościa ani nie zobaczyłbym śladów, gdyby jakieś po sobie zostawił.

Myśl, że ktoś może zakradać się do Samotni, majstrować przy moim telefonie, a może też przy innych rzeczach, sprawia, że jeżą mi się włosy na przedramionach i karku. Czuję przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz, jakby ktoś dotknął mnie zimną dłonią. Samotnia to azyl, moje bezpieczne miejsce, ale wiem, że może się stać pułapką. Nawet na moim własnym terenie dowolna osoba z parą sprawnych oczu będzie miała nade mną przewagę.

Wsluchuję się w ciszę, próbując wychwycić oddech intruza czającego się w kącie, dźwięk otwieranych drzwi na taras, odgłos skradających się kroków. Cokolwiek. Wygląda jednak na to, że jestem sam. Przynajmniej w salonie. Na razie.

Nie oddycham z ulgą.

Co teraz? Pierwsza myśl, jaka się narzuca, to telefon do Katarzyny Wojtas. Mogę wykorzystać fakt, że mój kapryśny umysł z jakiegoś osobliwego powodu zapamiętał akurat ten jeden numer. Napiję się herbaty, zjem coś, a potem zadzwonię i poproszę, żeby skontaktowała mnie jeszcze raz z Wiesiołkiem. Prawdopodobnie wyjdę na idiotę, ale trudno.

## NAGRANIE 75

W porządku. Dzwonię.

## NAGRANIE 76

Nie zadzwoniłem.

Zanim znalazłem właściwe klawisze, usłyszałem stukanie w okno. Drgnąłem i nauczony doświadczeniem, mocniej ścisnąłem w dłoni telefon.

– Kto tam? – rzuciłem nerwowo w stronę wyjścia na taras. Gdybym miał kilka sekund więcej, poprosiłbym wszystkie siły wyższe, w które jeszcze wierzyłem, żeby niespodziewanym przybyszem okazał się Gościniak. Nikomu z mojej rodziny już nie ufałem, a policjanta przynajmniej nie musiałem się bać. Zanim jednak zdążyłem chwilę pomyśleć, rozpoznałem kroki wchodzącego do salonu człowieka.

– Cześć – przywitał się Piotrek. – Aneta zadzwoniła do mnie i powiedziała, że znowu zaczyna ci odwalać. Podobno wypytywałeś ją o jakieś moje krawaty czy coś w tym rodzaju.

Raz, dwa, trzy, oddychaj.

– I przyjechałeś, żeby ze mną o tym porozmawiać? – O dziwo, mój głos brzmiał prawie normalnie.

– Przyjechałem, bo wszyscy się o ciebie martwimy, idioto. Co się dzieje, Leon? O co chodzi?

– Miałeś kiedyś krawat w różowe słonie?

– Miałem – odpowiedział swobodnie, bez cienia lęku. – Kupiłem go dawno temu na wakacjach w sklepie z pamiątkami. Co z tego?

– Pamiętasz, jakie to były wakacje? I co się potem z tym krawatem stało?

Westchnął ciężko, jakby ustępował dziecku.

– Koniec lat dziewięćdziesiątych. Musiałem być bardzo młody, bo to był chyba w ogóle pierwszy krawat, jaki kupiłem samodzielnie. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Najwyraźniej ktoś szybko mi wytłumaczył, że noszenie takich rzeczy jest w złym guście – zachichotał. – Pewnie go wyrzuciłem albo zaginął podczas jednej z przeprowadzek.

– Ale założyłeś ten krawat przynajmniej raz, prawda? Na mszę w twojej intencji, kiedy skończyłeś osiemnaście lat. To było na wakacjach w 1998 roku.

– Serio? Niczego takiego nie pamiętam. Kojarzę jakąś awanturę w kościele, ale to chyba było na ślubie Krawczyków. W każdym razie nie na wakacjach. Nie jestem pewny. Mnóstwo ludzi przy różnych okazjach miało do mnie pretensje, że ubrałem się niestosownie. – Znowu się roześmiał. – Moja matka w tym celowała, ale twojej też zdarzało się czepiać. Co z tego?

– Julia została uduszona krawatem w różowe słonie – wymknęło mi się, zanim zdążyłem pomyśleć.

Piotrek milczał, ja też. Słyszałem tylko niespokojny oddech siedzącego przede mną mężczyzny i dudnienie krwi w moich skroniach. O dziwo, nie bałem się, choć zawsze wyobrażałem sobie, że ludzie w takich sytuacjach umierają z przerażenia.

– I myślisz, że mam z tym coś wspólnego? – zapytał mój kuzyn po chwili.

– Nie wiem, a masz?

– Nie. Nigdy w życiu nie widziałem Julii. Tej prawdziwej. Teraz twierdzisz, że ktoś ją zabił?

– Nie ktoś, tylko ty. To ty tamtego wieczoru byłeś tym tajemniczym gościem. Na ciebie czekaliśmy. Umówiłem się z tobą, sam przeczytałeś mi esemesa. Powiedziałaś wtedy, że nie miałaś zamiaru wpadać do nowożeńców w pierwszy dzień po ich powrocie do domu, ale odkąd to jesteś taki subtelny? Takt nigdy nie był twoją mocną stroną. Poza tym ten człowiek przyniósł ze sobą alkohol. Ty zawsze przynosisz alkohol.

– Jezu, Leon, to są twoje dowody? Brakuje mi taktu i lubię czasem się napić? Poważnie? – Nie wydawał się zły, raczej wciąż rozbawiony. – Powinieneś posłuchać samego siebie.

– Nie dowody, tylko poszlaki. I mam jeszcze jedną. Ktokolwiek zabił Julię, działał w porozumieniu z Idą. Tak myślę. A ty i Ida doskonale nawzajem się dogadywaliście. Zupełnie jakbyście się znali dobrze już wcześniej. Jakbyście byli parą przyjaciół, może nawet kochanków.

– Ida to fałszywa Julia, tak?

– Tak.

– I Alę pewnie też ja zamordowałem?

– Ty albo Ida. Raczej ty, bo ją słyszałem w tym czasie w domu. Nie wiem, czemu zdecydowaliście się usunąć Alę. Prawdopodobnie dowiedziała się o was i próbowała mnie ostrzec...

Wstał i podszedł do mnie. Ciężka ręka na moim ramieniu, ciepły, pachnący papierosami oddech owiewający twarz. Piotrek rzucił palenie parę lat temu, ale w chwilach zdenerwowania czasem wraca do nałogu. Pomyślałem, że

mógłby mnie teraz zabić, gdyby tylko chciał. Że powinienem być sprytny jak bohater filmu i w trakcie rozmowy pod byle pretekstem podejść do aneksu kuchennego i wziąć nóż. Może by mi się udało, a może nie. Najprawdopodobniej nie. Czekałem więc nieruchomo, aż do głowy wpadła mi kolejna myśl, tym razem krzepiąca. Piotrek nie mógł mnie zabić, ponieważ Aneta wiedziała, że pojechał do Samotni. Mój kuzyn może i jest mordercą, ale z pewnością nie idiotą.

– Masz coś nie tak z głową – powiedział wreszcie, ściskając moje ramię mocno, aż zabolalo. – Może powinieneś pisać mniej kryminałów. Przerzuć się na romanse albo coś.

Gdy wychodził, słyszałem jeszcze jego śmiech.

## NAGRANIE 77

Spóźniony szok sprawił, że przez dobrych kilkanaście minut dygotałem na tapczanie i z trudem łapałem oddech. Dopiero gdy udało mi się uspokoić – i gdy starannie zamknąłem drzwi na taras – zrobiłem to, co zamierzałem zrobić wcześniej: zadzwoniłem do Katarzyny Wojtas. Wybrałem jej numer kilkakrotnie, ale nie odpowiadała. Może była zajęta. A może obraziła się i uznała, że nie chce już mieć ze mną do czynienia. Nie mam pojęcia.

Pora się zastanowić, co teraz.

Zadzwonić do ojca? Przez chwilę zupełnie serio rozważam tę opcję. Jakaś część mnie chce znów być małym chłopcem, który z płaczem ucieka do taty, by ten rozwiązał wszystkie problemy. Druga część stawia zdecydowane weto i ta okazuje się silniejsza, porzucam więc pomysł bez większego żalu. Z kim jeszcze mogę się skontaktować? Nie z Marysią, bo jej nie do końca ufam, nie z Anetą, bo z nią się właśnie posprzeczałem. Starsi członkowie rodziny odpadają z różnych powodów, młodszy też, choćby dlatego, że słabiej ich znam. Zostaje Kuba, osoba z mojego pokolenia, w dodatku prawnik. On powinien wiedzieć, co zrobić.

Dzwonię do Kuby.

## NAGRANIE 78

Kuba nie odpowiada. Jakby się, cholera, wszyscy zmówili, żeby nie odbierać dzisiaj ode mnie telefonów. Przez moment w panice zastanawiam się, czy może wydzwaniam do nich w środku nocy, ale nie, słońce albo jeszcze nie zaszło, albo zaszło bardzo niedawno, bo okno wciąż jest jasną plamą na tle czerni.

Co teraz?



## **NAGRANIE 79**

Włączyłem radio, żeby kontrolować upływ czasu. Jest godzina dziesiąta wieczorem.

## **NAGRANIE 80**

Pierwsza w nocy. Próbuję spać, ale nie potrafię. Każdy, nawet najdrobniejszy szelest natychmiast podrywa mnie na nogi. Koty krążą wokół, ocierając się o moje łydki, jakby wyczuwały niepokój właściciela.

## NAGRANIE 81

Trzecia. Chyba zasnąłem na moment i coś mi się śniło. Obudziłem się spocony, z mocno bijącym sercem i śladem niedawnego koszmaru pod powiekami. Wstałem i obszedłem cały pokój z wyciągniętymi rękami, obmacałem nawet wnętrze szafy, sprawdzając, czy ktoś nie czai się w ciemności. W takich chwilach najbardziej nienawidzę mojego kalectwa. Mojej bezradności.

## **NAGRANIE 82**

Szósta rano. Podjąłem decyzję.

## NAGRANIE 83

Zadzwońłem na numer firmy taksówkarskiej ze Strzelina. Tak jak poprzednio, wymagało to kilku prób, wreszcie jednak udało mi się znaleźć właściwą kombinację cyfr.

– Chciałbym zamówić taksówkę do Samborowiczek – powiedziałem. – Na nazwisko Leon Cichy.

Chwila milczenia. Wiedziałem już, że coś jest nie tak.

– Pan jest tym człowiekiem, którego mój kolega zabrał do ruin kościoła w Krzywiniu.

Chciałem skłamać, ale kobieta prawdopodobnie i tak nie dałaby się nabrać. Podałem zresztą moje nazwisko jak ostatni idiota.

– Tak.

Tym razem milczenie trwało dłużej, w tle słyszałem szum cichej rozmowy. Zapłacę więcej, zamierzałem powiedzieć, proszę. Zanim jednak zdążyłem się odezwać, kobieta oznajmiła profesjonalnym tonem:

– Taksówka podjedzie za piętnaście minut.

Czekam teraz przed furtką odrobinę zziębnięty, bo poranek jest chłodny, a ja zapomniałem wziąć bluzę. Nie chcę już po nią wracać. Jeden z kotów miauczy w pobliżu, przeganiam go więc cichym „A kysz!”. Niewiele samochodów jeździ tą drogą, ale i tak lepiej, żeby trzymał się z daleka. Myślę o tym, co mnie czeka, jakie mam perspektywy. Jak zareaguje moja rodzina, jeśli okaże się, że Piotrek rzeczywiście jest winny. Jak zareaguje, jeśli okaże się, że nie jest, że oskarżyłem go na podstawie wyssanych z palca poszlak. W pierwszym przypadku zapewne wybaczą mi zdradę, jakiej zamierzam właśnie dokonać – nawet tak zżyta familia jak Ochoccy nie ukrywałaby przecież mordercy. Chyba. W drugim na najbliższe kilkadziesiąt lat będę musiał się pogodzić z rolą czarnej owcy. Szepty za plecami, kose spojżenia na rodzinnych uroczystościach. O ile w ogóle zostanę zaproszony na jakiegokolwiek uroczystości. Jak większość ludzi w moim wieku narzekam na rodzinne spędy, na starych wujków, stare ciotki i rozwrzeszczane dzieciaki, ale tak naprawdę nie wyobrażam sobie życia bez mojej rodziny.

Jak długo dam radę tak funkcjonować? Kiedy uznam, że pora porzucić Samotnię i przeprowadzić się gdzieś daleko?

O tym, co będzie, jeśli się okaże, że naprawdę straciłem rozum, staram się nie myśleć w ogóle. Kusi mnie, żeby wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało. Ale nie mogę tego zrobić. Kiedy człowiek już wie, nie ma powrotu do tego, co było wcześniej.

Słyszę warkot silnika, wyciągam rękę i tym samym palę za sobą ostatni most.

## NAGRANIE 84

Odkąd ostatni raz coś nagrałem, minęła ponad doba.

Dwie godziny temu odzyskałem moją komórkę oraz resztę rzeczy i wróciłem do domu. Nakarmiłem koty i siedzę teraz na tarasie, próbując zebrać myśli.

Przyjechałem na komendę w Strzelinie koło siódmej. Nie wiem, dlaczego się spodziewałem, że Gościniak będzie już w pracy. Chyba jeszcze nie do końca wyleczyłem się z naiwnej wiary, że coś pójdzie jak po maśle. W książce po prostu wszedłbym i opowiedział swoją historię. Cięcie, kolejna scena. W prawdziwym życiu spędziłem półtorej godziny, siedząc na twardym krześle i słuchając głosów kręcących się wokół ludzi. Wychwytywałem strzępy ich rozmów: „Kim jest ten niewidomy facet? Co on tu robi? To Leon Cichy, chce koniecznie porozmawiać z Gościniakiem”. Jeśli cokolwiek miałoby mnie wyleczyć z poczucia własnej ważności, to właśnie tamte długie minuty, kiedy czułem się jak wepchnięty w kąt niepotrzebny mebel. Chciało mi się sikać, ale żeby ktoś mnie zaprowadził do ubikacji, musiałbym wstać i głośno poprosić o pomoc, a to byłoby zbyt upokarzające. Cierpiałem więc, licząc w myślach mijające minuty.

Gościniak zjawił się wreszcie, przywitał z kolegami i koleżankami, przygotował sobie kawę i dopiero wtedy do mnie podszedł.

– Zapraszam – powiedział.

Wybąkałem, że muszę do ubikacji, wezwał więc jednego z policjantów, żeby mnie tam zaprowadził. Gdy wróciłem, Gościniak siedział już za biurkiem. Słyszałem stukanie w klawiaturę komputera, od czasu do czasu też szelest odwracanych kartek.

– Podobno chce pan powiedzieć wreszcie prawdę?

– Tak.

Stuk, stuk. Siorbnięcie kawy.

– Słucham.

Miałem przygotowaną zgrabną, przekonującą historię – prawdopodobnie przekonującą, ale zdążyła mi już całkiem wylecieć z głowy.

– Zamierza pan się przyznać? – Wesoły głos, jakby cała moja wizyta na komendzie była żartem. Jakbym ja był żartem.

Zalała mnie nagła, gorąca wściekłość.

– Nie. Zamierzam panu powiedzieć, kto zabił Julię oraz Alę. Najpierw jednak chciałbym usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie. Co z samochodem Idy? Znaleźliście go? Czy to on mnie potracił?

– A, samochód. Faktycznie, miałem do pana zadzwonić w tej sprawie. Znaleźliśmy, owszem. Były na nim ślady krwi, na tyle niewielkie, że nie dało się jej dokładnie przebadać. Jest ludzka, tyle wiemy. To jeszcze nie znaczy, że Ida Potocka w kogoś wjechała. Równie dobrze mogła mieć stłuczkę, skaleczyć się, a potem dotknąć maski. Lakier co prawda pasuje do odprysków z miejsca wypadku, ale...

– To bardzo popularny kolor, wiem – mruknąłem.

– Zgadza się. Teraz pan. Chętnie posłucham, co pan ma do powiedzenia.

Opowiedziałem mu o wszystkim. O Dorocie Gąsce, krawacie w różowe słonie i scenie z mojej pierwszej książki. Pomiąłem tylko sen, w którym zabijam Julię; to nie miało znaczenia. Gościniak słuchał, od czasu do czasu siorbując kawę i sądząc po dźwięku, klikając długopisem. Nie odzywał się.

Skończyłem.

Nadal się nie odzywał.

Dopiero po nieskończonej długiej chwili, gdy umilkło klikanie, a zapach kawy wywietrzył, policjant pochylił się w moją stronę. Szurnięcie krzesłem, muśnięcie oddechu na mojej twarzy.

– Panie Cichy, czy pan ma mnie za idiotę? Przychodzi pan tu z kolejną historią, jeszcze bardziej bzdurną niż ta poprzednia, i uważa, że panu uwierzę? Jakie ma pan dowody, że pana kuzyn kogokolwiek skrzywdził?

– Dorota Gąska zginęła uduszona krawatem w różowe słonie. Może pan to sprawdzić.

– Policjant, który prowadził tamto śledztwo, twierdzi, że krawat miał zwyczajny wzór. Sam pan tak powiedział.

– Pomylił się. Jeśli zapyta pan kogoś, kto naprawdę widział ciało, okaże się, że to nie były szare prążki, tylko różowe słonie. Jestem tego pewien.

– Nawet zakładając, że tak będzie, co z tego? Piotr Ochocki kupił krawat w sklepie z pamiątkami na wakacyjnym wyjeździe. Jeśli nie miał na myśli wakacji innego roku, to tamtego dnia w Węgierskiej Górcie mogło być więcej ludzi, którzy kupili taki sam krawat w tym samym sklepie.

O tym nie pomyślałem, fakt. Gościński to niewątpliwie inteligentny facet, a ja zawałem, bo nie dopytałem Piotra, o które wakacje chodziło. Jeśli ktoś „szybko mu wytłumaczył, że noszenie takich rzeczy jest w złym guście”, to musiał być właśnie tamten wyjazd w Beskidy w 1998 roku. Byłem wściekły. Na siebie, ale przede wszystkim na siedzącego przede mną człowieka.

– I jaki właściwie pana kuzyn miałby powód, żeby zmać się z Idą Potocką przeciwko Julii Potockiej?

– Nie wiem.

– Czy on i Julia kiedykolwiek się spotkali?

– Nie wiem.

– A on i Ida? Przed pana powrotem do Polski?

– Nie wiem.

– Niewiele pan wie, prawda? Naprawdę uważa pan, że powinienem potraktować pana poważnie?

Huczka w skroniach krew sprawiała, że głos Gościńskiego docierał do mnie jak zza ściany. Zniekształcone złością, moją złością, słowa wrzynały się w mózg.

– Pan nie słucha. Mój kuzyn w 1998 roku nosił krawat w różowe słonie. Takim samym krawatem w tym samym roku w Węgierskiej Górcie została uduszona Dorota Gaska. Byliśmy wtedy w tamtej okolicy, to też da się sprawdzić, a ja opisałem całą scenę w mojej książce. I jeśli zamierza pan sugerować, że mogłem... mogłem zabić tę dziewczynę, to dla pana informacji miałem wtedy dwanaście lat.

– Zdarzały się przypadki dwunastoletnich morderców. Jest pan pewien, że to nie pan?

Wyciągnąłem rękę przed siebie. Chciałem chwycić Gościńskiego za łokieć, ścisnąć i zmusić, żeby mnie wysłuchał. Zamiast tego moje palce trafiły na coś twardego i krągłego. Kubek po kawie. Zamknąłem dłoń. Chłód porcelany powinien mnie uspokoić. Nie uspokoił.

Policjant kontynuował:

– Może cała pana rodzina od dawna o tym wie i próbuje chronić pana przed prawdą?

Podniosłem kubek i walnąłem nim w miejsce, gdzie, jak zgadywałem, znajdowała się twarz Gościńskiego. Mężczyzna wrzasnął: „Kurwa!” i szarpnął się do tyłu, przewracając krzesło. Przez moment czułem satysfakcję, jaką musiały czuć Marysia, gdy kazała Ewicie się odpiardolić. Gorzkie uczucie ulgi, za którym zaraz napłynął strach. Co ja narobiłem?

Z tego, co udało mi się potem dowiedzieć, nic szczególnego. Nie skaleczyłem Gościńskiego ani nawet nie nabiłem mu guza. Po prostu chlapnąłem na niego resztką kawy i zirytowałem go. Właśnie za to zirytowanie zarobiłem dwadzieścia cztery godziny na dołku. Pozwolono mi skontaktować się z adwokatem, zadzwoniłem więc do Kuby. Tym razem odebrał od razu.

– Będę za jakieś czterdzieści minut. Nic nie mów.

Zabrano mi telefon i resztę rzeczy osobistych – w tym sznurówki – zapoznano z regulaminem, po czym wsadzono do celi. Technicznie rzecz biorąc, jest to tak zwane Pomieszczenie dla Osób Zatrzymanych, jednak mi w wystarczającym stopniu przypomina więzienie, bym pozwolił sobie na użycie tego określenia. Prycza, przymocowany do podłogi stolik o zaokrąglonych kantach i taboret. Ciężkie metalowe drzwi. Okna i kaloryfer zabezpieczone metalową siatką, w ścianie przycisk, którego mogłem użyć, gdybym potrzebował kogoś wezwać. Policjant, który mnie tu przyprowadził, wziął moją rękę i naprowadził na ten przycisk, a potem obszedł ze mną całe bardzo niewielkie pomieszczenie, pozwalając mi wszystkiego dotknąć. Wydawał się odrobinę zakłopotany, jakby nie do końca był przekonany, że jestem właściwym człowiekiem we właściwym miejscu. Najwyraźniej rzadko trzymali tu niepełnosprawnych. Zażartowałem, że dla pisarza pobyt na dołku to zupełnie jak research, i obiecałem, że podeślę mu podpisaną książkę w zamian za kubek kawy. Powiedział, że nie ma sprawy, dostanie tyle kawy, ile tylko sobie zażyczy. Jego życzliwość sprawiła, że poczułem się odrobinę lepiej. Choć i tak kiepsko.

Gdy Kuba się zjawił, zaprowadzono nas do innego pokoju, gdzie mogliśmy swobodnie porozmawiać.

– Co ci strzeliło do głowy? – zapytał mój wujek. W jego głosie nie wyczuwałem złości, raczej zdumienie. – Zaatakowałeś policjanta i opowiadałeś jakieś bzdury o Piotruku?

– Piotrek jest mordercą. Zabił kobietę, kiedy miał osiemnaście lat. Tego jestem pewny. Prawie pewny – dodałem uczciwie. – Myślę, że zabił też Alę. I Julię, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

– Czemu nie zadzwoniłeś wcześniej? Mówiłem, że masz dać znać, jeśli policja będzie chciała z tobą rozmawiać.

– Tym razem to nie oni chcieli ze mną rozmawiać, tylko ja z nimi. Gdybym ci o tym powiedział, w życiu byś się nie zgodził.

– Fakt. Przychodzenie tutaj i oskarżanie Piotрка to był wyjątkowo dumny pomysł.

– Poza tym dzwoniłem do ciebie, zanim podjąłem decyzję. Nie odbierałeś.

– Przepraszam – mruknął. – Byłem... zajęty.

Ten specyficzny ton głosu: Nie mogę ci powiedzieć. Mam tajemnicę. Wszyscy ostatnio mieli tajemnice. Zirytowałem się, ale zabrakło mi siły. Na prawym policzku czułem ciepło słońca. Kolejny obcy pokój przesycony obcymi zapachami, delikatną wonią środka czyszczącego, papieru i ludzkiego potu, jakbym znajdował się w biurze, gdzie korpuldki pilnie pracują nad podniesieniem tego czy owego, choć wokół panowała zupełnie niebiurowa cisza. Tylko zza drzwi dobiegał od czasu do czasu odgłos kroków i dźwięki prowadzonej rozmowy.

Zorientowałem się, że Kuba o coś pyta, i poprosiłem o powtórzenie.

– Powiedz mi dokładnie to, co mówiłeś tamtemu policjantowi.

Powiedziałem. Za drugim razem historia zabrzmiała o wiele mniej sensownie niż za pierwszym.

– Naprawdę szkoda, że się do mnie nie odezwałeś – westchnął. – Zaoszczędziłbym ci czasu i całego tego upokożenia. Piotrek nie mógł nikogo zabić. Przynajmniej nie tamtego dnia.

– Bo?

– Bo ja pamiętam tamtą dożynkową zabawę. I wcześniejszą mszę też. Piotrek przyszedł do kościoła jakoś dziwnie ubrany, nie wiem, czy chodziło akurat o krawat, czy o coś innego, ale ktoś zrobił mu awanturę. Pewnie jego matka. Potem poszliśmy na imprezę i ja przez cały czas byłem z Piotrkim.

– Nie możesz tego pamiętać.

– Mogę, na sto procent. Ty i Aneta trzymaliście się razem, a ja czułem się trochę odrzucony i łąziłem za Piotrkim. Imponował mi, bo wydawał się taki dorosły, palił i pił piwo. Poprosiłem go, żeby mnie też pozwolił spróbować, a on się zgodził, kupił mi mały kufel tyskiego czy co tam wtedy było i dał się parę razy sztachnąć papierosem. Myślałem, że mnie przekreśli na drugą stronę. Rzygałem dalej, niż widziałem, a Piotrek chyba mocno spanikował, że rodzice go przeświadcą za dawanie alkoholu dziesięciolatkowi, i siedział ze mną przez kilka godzin w lesie, czekając, aż dojdę do siebie.

– To było w Węgierskiej Górcie?

– Nie pamiętam nazwy miejscowości, ale wszystkie pozostałe szczegóły się zgadzają. Wróciliśmy do rodziców dopiero po zmroku. Dorota została uduszona o której?

– Koło ósmej.

– No to Piotrek nie mógł tego zrobić. Przykro mi.

– Nie jest ci przykro.

Roześmiał się.

– Masz rację, nie jest. Cieszę się, że Piotrek nie jest mordercą, nawet jeśli to znaczy, że ty okazałeś się idiotą.

– To ktoś z naszej rodziny, wiesz o tym? Ktoś z nas zabił Dorotę. A teraz z jakiegoś powodu zabija innych ludzi.

– Brzmisz jak paranoik, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Brzmie jak jedyny człowiek, który widzi prawdę. Ironia losu, co? Jestem ślepy, a jako jedyny widzę. Chyba że Gościński miał rację. Wy wszyscy doskonale zdajecie sobie sprawę, co się stało tamtego dnia, tylko ja nic nie wiem. Chronicie mnie i jednocześnie okłamujecie.

– Teraz to już naprawdę paranoja.

– Serio? Aneta ma jakieś tajemnice, ty też. Gdzie byłeś wczoraj, kiedy do ciebie dzwoniłem?

– Ciszej.

– Czemu nie mogłeś odebrać? Mam dosyć tych wszystkich sekretów.

– To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Mam dosyć – powtórzyłem jak marudne dziecko. Mało brakowało, a dodałbym: „Chcę do domu”.

– Uspokoisz się, jeśli ci powiem, o co chodzi z Anetą i ze mną?

Skinąłem głową niepewnie.

– Mam problem, jasne? – ciągnął Kuba. – Coś jakby... ataki paniki? Stany lękowe? Jak zwał, tak zwał. W każdym razie potrzebuję wtedy, żeby ktoś ze mną posiedział. Tylko tyle. Dzwonię do Anety, a ona przyjeżdża i zaczyna ze mną rozmawiać. To pomaga, bo zamiast skupiać się na tym, że zaraz umrę, skupiam się na tym, co ona mówi.

– Ale po co te wszystkie tajemnice? – zapytałem oszołomiony. – Nawet Janek nic nie wie.



– Teraz już wie, Aneta w końcu mu powiedziała. Prosiłem ją o dyskrecję, bo dla mnie to poważny problem, rozumiesz? Nie chcę, żeby ludzie u mnie w pracy wiedzieli. Po co komu prawnik, który w każdej chwili może dostać jakiegoś dziwnego ataku?

– Powinieneś się leczyć.

– Wpadłem na to, dzięki. Już się uspokoiłem?

– Tak, sorry. – Czułem wstyd, że zmusiłem go do takich wyznań, a jednocześnie jakaś mała paskudna część mnie wierzyła, że Kuba wymyślił całą tę historię tylko po to, żeby uspić moją czujność. Chyba naprawdę mam skłonności do paranoi. – Wyciągniesz mnie stąd?

– Spróbuję pogadać z komendantem, ale nic nie obiecuję.

– W porządku.

Nie wiem, jak długo czekałem. Dziesięć minut, piętnaście? Każda z nich dłużyła się w nieskończoność. Próbowałem zająć czymś myśli, odpychając podpełzającą w ciemności grozę. Najważniejsze teraz pytanie brzmiało: jeśli nie Piotrek, to kto? Kto z moich krewnych, ludzi, których znałem od urodzenia, których kochałem, nawet jeśli czasem mnie irytowali, byłby w stanie zabić?

Nie chciałem się nad tym zastanawiać, a jednocześnie nad niczym innym zastanawiać się nie mogłem.

Kuba wrócił.

– Postraszyłem komendanta, że będę skarżył to zatrzymanie, ale nie dał się przekonać. Wygląda na to, że musisz posiedzieć tu do jutra.

– Kurwa.

– Przykro mi. – Tym razem chyba mówił szczerze.

## NAGRANIE 85

Kiedy byłem jeszcze w pełni sprawny, dwadzieścia cztery godziny po prostu przeciekały mi przez palce. Kochałem się z moją żoną, pisałem, wylegiwałem się z książką na leżaku, ogarniałem media społecznościowe i jak większość użytkowników bezmyślnie scrollowałem Facebooka, jeździłem rowerem, chodziłem do pubu ze znajomymi, grałem w planszówki... Zanim się obejrzałem, poranek zmieniał się w popołudnie, a popołudnie w wieczór.

Dwadzieścia cztery godziny spędzone w celi wlokły się, jakby trwały tydzień. Leżałem na pryczy, to budząc się, to znów zasypiając. Układałem w myślach nagranie na następny dzień i zastanawiałem się, kto z mojej rodziny może być mordercą. Czasem z nudów recytowałem zapamiętane w szkole wiersze albo po prostu mówiłem do siebie tylko po to, żeby usłyszeć czyjś głos. Zjadłem obiad, który smakował tak nijako jak posiłki podawane w samolocie, wypilem kilka kubków kawy i kilka razy poprosiłem o możliwość wyjścia do ubikacji. Zjadłem kolację. Pogadałem też z policjantem, tym miłym, który potem został zmieniony na policjantkę, znacznie mniej sympatyczną.

Kiedy Gościniak wreszcie się pojawił, byłem gotów go uściskać.

– Wracam do domu? – zapytałem.

– Najpierw chciałbym, żeby poświęcił nam pan parę minut.

– Jeśli zamierzacie mnie przesłuchiwać, dzwonię po mojego prawnika.

– Posłucha pan pewnego nagrania, a potem może pan dzwonić, gdzie pan chce.

Zaintrygował mnie, nie powiem.

Wróciliśmy do pomieszczenia, w którym rozmawialiśmy poprzednio. Tak mi się wydaje, chociaż coś się w nim zmieniło: do woni papieru, potu i środka czyszczącego dołączył ślad perfum, jakby niedawno przebywała tu kobieta lubiąca mocne kwiatowe zapachy.

– Proszę usiąść. Już. Gotowy?

– Nie powie pan, co to za nagranie?

– Rozmowa, którą dzisiaj o godzinie 6.05 przeprowadził oficer dyżurny. Proszę słuchać.

– *Komenda Powiatowa Policji w Strzelinie, w czym mogę pomóc?*

– *Nazywam się Julianna Potocka. Chciałam...*

– Co to jest? – Zerwałem się z krzesła.

– Proszę słuchać – powtórzył Gościniak.

Usiadłem z powrotem, wciąż niebotycznie zdumiony.

– *...chciałam złożyć oświadczenie. Tak to się nazywa? Złożyć oświadczenie? Nie znam właściwej terminologii. Wiem, że policja szuka od jakiegoś czasu mnie i mojej przyrodniej siostry. Że nasze zniknięcie bardzo wszystkich zaniepokoiło. Dlatego chcę wyjaśnić, jak do tego doszło, i przy okazji zapewnić, że jesteśmy całe i zdrowe.*

– *Skontaktuję panią z osobą prowadzącą tę sprawę...*

– *Nazywam się Julianna Potocka. Rok temu straciłam pracę i pokój, który wynajmowałam. Byłam w bardzo złej sytuacji. Mniej więcej w tym samym czasie dowiedziałam się, że mam starszą przyrodnią siostrę, i nawiązałam z nią kontakt. Ida zaproponowała, żebym pomieszkała u niej, dopóki nie stanę na nogi. Tak zrobiłam. Moja siostra miała wtedy obsesję na punkcie pisarza Leona Cichego. Uważała, że może on mieć coś wspólnego z morderstwem Doroty Gąski sprzed lat, ponieważ w swojej książce opisał dokładnie, jak wyglądały zwłoki. Nie chciała oskarżać go wprost, wtedy na pewno by niczego nie powiedział. Zamiast tego chodziła na jego spotkania autorskie, zadawała pytania i próbowała nawiązać rozmowę, bo liczyła, że z czymś się zdradzi. Ale to nic nie dawało, on zawsze odpowiadał jakimś banałami, a wokół było tylu ludzi, że nie dało się spokojnie pogadać. Raz nawet z desperacji napisała do jego żony, poza tym jednak nie umiała niczego sensownego wymyślić. Tak było aż do grudnia. Leon Cichy wyjechał wtedy do Włoch i zaczął publikować na Instagramie zdjęcia. Pisał, gdzie jest i dokąd się wybiera. I wyglądało na to, że podróżuje sam. Ida wpadła na pomysł, żeby spotkać się z nim tam niby przypadkiem. Powiedziała, że Polak w obcym kraju zawsze chętnie porozmawia z drugim Polakiem i wyjdzie to znacznie bardziej naturalnie, niż gdyby próbowała zaczepiać go na ulicy pod jego domem albo coś w tym rodzaju. Poprosiła, żebym poleciała z nią, bo razem będzie różnie. Zgodziłam się, a ona zapłaciła za mój bilet. Potem pojawiły się problemy, bo moja siostra zachorowała w dniu wylotu i musiałam lecieć sama. Ida dała mi szczegółowe instrukcje, jak wyciągnąć z Leona Cichego prawdę, ale ja nawet nie zamierzałam się do niego zbliżyć. Uważałam, że cała ta obsesja to bzdura. Chciałam po prostu mieć*

darmowe wakacje. Tyle że on sam mnie zaczął w kawiarni, bo czytałam książkę, którą dostałam od Idy. Jego książkę. Zaczęliśmy rozmawiać i okazało się, że Leon Cichy to bardzo miły człowiek. Elegancki i na poziomie, zupełnie nie jak mój ostatni chłopak. Zakochał się we mnie, ja w nim nie, ale naprawdę bardzo go lubiłam, dlatego kiedy nad morzem w Syrakuzach poprosił mnie o rękę, nie myślałam długo, tylko się zgodziłam. Uznałam, że to moja szansa, żeby mieć wreszcie coś z życia, i jeśli nie skorzystam, to już nigdy taki facet mi się nie trafi. Ida była wściekła, jak jej o tym napisałam, ale nic nie mogła zrobić. Pobraliśmy się i było naprawdę dobrze. Problemy zaczęły się, kiedy mieliśmy wracać do Polski. Leon dużo opowiadał o domu, w którym zamieszkamy. O Samotni. Już sama nazwa mi się nie podobała. Im bliżej było do wylotu, tym częściej myślałam o tym, co mówiła Ida. O jej podejrzeniach. I zaczynałam dochodzić do wniosku, że może jest w nich jednak ziarno prawdy. Miałam zamieszkać na jakimś odludziu z człowiekiem, który mógł być zamieszany w morderstwo. To mi się podobało jeszcze mniej. W dodatku kiedy wróciliśmy, Leon od razu pierwszego wieczoru bardzo się upił i zasnął na kanapie, a ja siedziałam w tym wielkim pustym domu coraz bardziej przekonana, że całe to małżeństwo to jedna wielka pomyłka. Wreszcie się zdecydowałam. Wezwałam taksówkę, zabrałam swoje rzeczy i kazałam się zawieźć na dworzec kolejowy w Strzelinie. Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam. Naprawdę. Wiem, że powinnam poczekać, aż Leon wytrzeźwieje, i wszystko mu wyjaśnić, ale po prostu stchórzyłam i zwałam stamtąd jak najprędzej. Nawet telefon wyrzuciłam, żeby nie mógł się ze mną skontaktować. Wcześniej tylko dałam znać Idzie, że jednak nie mogę być z Leonem i chcę zniknąć na jakiś czas. Potem się dowiedziałam, że przyjechała tam jeszcze tej nocy. Ale o tym ona sama już powie.

– I co pan o tym myśli? – zapytał Gościniak.

Przez dłuższą chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Julia mnie nie kochała – tylko ta myśl tłukła się samotnie po mojej czaszce. Lubiła mnie, ale nie kochała. Byłem szansą na lepsze życie, facetem z kasą, którego udało jej się upolować. A właściwie który sam wpadł jej w ręce. Powinno boleć, prawda? I bolało, choć nie tak, jak mógłbym się tego spodziewać. Cierpienie wydawało się stłumione, jakby odzywała się stara rana. Tyle razy powtarzałem sobie, że Julia mnie kochała, że jestem tego całkowicie pewny, ale przez cały ten czas jakaś część mnie, której nie chciałem słuchać, znała prawdę. To małżeństwo rzeczywiście było pomyłką. Powinniśmy zostawić nasz romans we Włoszech, bo tam, wyjęci z ram naszej codzienności, potrafiliśmy na chwilę stać się kimś innym i być szczęśliwi. Gdyby Julia nie odeszła tamtej marcowej nocy, nasz związek rozpadłby się tak czy inaczej. Wiem o tym i wiem, że za jakiś czas będę myśleć o nim jak o czymś pięknym, co się skończyło. Będę mógł wybaczyć Julii, zrozumieć, co nią kierowało. Okazałem się jeleniem, ale umówmy się – czy na miejscu tej dziewczyny zachowałbym się inaczej?

– Panie Cichy? – Gościniak przypomniał o swojej obecności.

– Tak?

– Czy potwierdza pan, że osobą, która dzwoniła, jest pana żona, Julianna Potocka?

– Potwierdzam. Poznałem jej głos, a poza tym... zgadzają się szczegóły. Zagadnąłem ją w kawiarni, kiedy czytała moją książkę, a oświadczyłem się nad morzem w Syrakuzach.

– A co pan myśli o całej tej historii? Brzmi prawdopodobnie?

– Brzmi – przyznałem z ociąganiem. – Przynajmniej do momentu naszego powrotu z Włoch. Jestem pewien, że mieliśmy tamtego wieczoru gościa. Julia nic o nim nie wspomina.

– Może ten gość tylko się panu przyśnił? Był pan w końcu pijany.

– To też się nie zgadza. Ja piję tylko w towarzystwie, w domu nawet nie trzymam alkoholu, z wyjątkiem może jednego czy dwóch piw w lodówce. A w strefie bezcłowej niczego wtedy nie kupowaliśmy, więc jeśli się upiłem, to ktoś musiał ten alkohol do Samotni przywieźć. I nie zgadzają się też inne drobne szczegóły. Julia nie byłaby w stanie wezwać taksówki i zapłacić za kurs do Strzelina. Nie miała własnych pieniędzy. Musiałaby wziąć moje, ale kiedy ja z kolei jechałem do Krzywiny, w portfelu wciąż miałem sporo banknotów. I jeszcze ten telefon, który podobno wyrzuciła, żeby się z nią nie kontaktował. Julia miała nowego samsunga, kupionego za ostatnią wypłatę. Która dwudziestolatka w oplakanej sytuacji finansowej wyrzuciłaby coś takiego? Poza tym Ida raczej nie przyjechała w środku nocy z Łodzi do Samborowiczek tylko dlatego, że dostała esemesa o treści: „Odchodzę od Leona”. Jeśli ta wiadomość rzeczywiście istniała, musiała brzmieć bardziej nagląco i dramatycznie.

– Jaki z tego wszystkiego wniosek?

– Ktoś był wtedy w Samotni oprócz Julii i mnie. Nastraszył moją żonę i skłonił ją do ucieczki. Albo nawet zmusił. Dał jej pieniądze i zabrał telefon.

Nie mam pojęcia, co oznaczało westchnienie Gościniaka. Ulgę? Dezaprobatę? Zgadzał się ze mną czy wręcz przeciwnie?

– Teraz proszę posłuchać drugiej części. Jest znacznie krótsza, więc pójdzie szybciej.

– Nazywam się *Ida Potocka*, jestem przyrodną siostrą *Julianny Potockiej* i potwierdzam wszystko to, co właśnie powiedziała. Przyjechałam do *Samborowiczek* w nocy z trzeciego na czwartej marca, znalazłam *Leona Cichego* na poboczu drogi, potrąconego przez samochód, i zabrałam go do szpitala. Stracił wzrok, więc przez jakiś czas mieszkałam z nim i pozwoliłam, żeby uważał mnie za *Julię*. Chciałam wyciągnąć z niego informacje, na których mi zależało. Nie zrobiłam mu krzywdy, wręcz przeciwnie – zaopiekowałam się nim, kiedy był w naprawdę ciężkim stanie, a gdy zrozumiałam, że nie miał nic wspólnego z morderstwem *Doroty Gąski*, odeszłam. W czasie tych kilku miesięcy, kiedy przebywałam w *Samotni* jako *Julianna Potocka*, nie popełniłam żadnego przestępstwa, za które można by mnie skazać. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Ten sam głos, ale intonacja odrobinę inna, zdania nieco bardziej formalne i konkretne. Skinąłem głową. Tak brzmiała *Ida*.

– Skłamała w kwestii wypadku samochodowego – powiedziałem. – Jestem prawie pewny, że to ona mnie potrafiła. I popełniła przestępstwo, kiedy ze mną mieszkała. Posługiwała się przecież dowodem *Julii*.

– Nie posługiwała się. Wiemy to już od pewnego czasu.

– Jakim cudem? Musieliście przecież spisać jej dane, kiedy przyjechała po mnie po śmierci *Ali*. A mój kuzyn *Piotrek* widział jej dowód...

– Niech pan chwilę pomyśli. Podobno pisze pan niezłe kryminały. – W głosie *Gościniaka* zabrzmiało rozbawienie. Nie wiem, kim był dzisiaj. Nie porucznikiem *Columbo* ani angielskim dżentelmenem z kryminałów *BBC*, tylko kimś innym, kogo jeszcze nie znałem.

Spróbowałem zmusić oporny mózg do myślenia. Nazwisko miały to samo, ale imiona przecież różne – trudno pomylić *Idę* z *Julianną*, nawet jeśli się patrzy na dokument przez ułamek sekundy, bo tyle miał *Piotrek*, kiedy zerknął do torebki mojej fałszywej żony...

Napłynęło wspomnienie. *Julia* wygodnie ułożona na hotelowym łóżku, przesączające się przez żaluzje światło kładzie się miękkimi złotymi plamami na jej nagim ciele. Ojcu zawdzięczam tylko dwie dobre rzeczy, mówi, pociągając nosem. Jedna to ładne nazwisko, a druga ładne imię – jego ulubione, podobno po babci.

– *Ida* ma na drugie *Julianna* – powiedziałem. – Jeśli to ulubione imię ich ojca, mógł je dać obu córkom. Mój kuzyn widział jej dowód tylko przez bardzo krótką chwilę i w oczy rzuciło mu się dłuższe imię, a krótkie przegapił. Zresztą spodziewał się zobaczyć właśnie *Juliannę Potocką*, bo był przekonany, że coś mi się pomieszało. Ludzie często widzą to, co chcą widzieć. A kiedy *Ida* przyjechała po mnie na komendę, mogła po prostu pokazać dowód i powiedzieć, że używa drugiego imienia, nie pierwszego.

– Zgadza się. – Tym razem wychwyciłem w głosie *Gościniaka* nutę uznania. – Nie przesłuchiwaaliśmy jej wtedy, kolega sporządził tylko notatkę służbową, a ja dopiero jakiś czas później wpadłem na to, żeby odkopać tę notatkę ze sterty papierów i sprawdzić, jakie imię zostało tam wpisane. Mój błąd, przyznaję.

– Czy to już wszystko?

– Prawie. Pamięta pan może, czy *Julianna* wspominała kiedyś o *Jastrzębiej Górze*? Miała tam jakichś znajomych?

– Nie. Nie mam nawet pojęcia, gdzie leży *Jastrzębia Góra*.

– Nad morzem.

– To stamtąd dzwoniła, prawda? Namierzyliście jej telefon...

– Nieważne. Jeśli nadal upiera się pan przy obecności prawnika, poczekamy na pana kuzyna, spisujemy zeznanie i może pan wracać.

– To mój wujek, nie kuzyn – zaznaczyłem dla porządku.

## NAGRANIE 86

Kuba odwiózł mnie do domu, zatrzymał się na chwilę w Samotni i zrobił nam śniadanie, bo żaden z nas niczego jeszcze nie jadł. Siedziałem na tapczanie, głaszcząc jednego z kotów, i słuchałem, jak mój wujek kręci się po kuchni, pogwizdując. Przez moment miałem absurdalną ochotę przeprosić go, że dwadzieścia lat temu czuł się porzucony przeze mnie i przez Anetę, ale to przecież nie miałyby sensu. Kuba od dawna nie był już tym bladym, zamkniętym w sobie chłopcem, któremu od czasu do czasu robiliśmy brzydkie dowcipy. Ostatnie, bardzo późne dziecko moich dziadków, chłopczyk, dla którego zabrakło już chyba trochę rodzicielskiej miłości, wychowywany bardziej przez starsze rodzeństwo niż przez matkę i ojca. Pamiętałem go z piesznych wycieczek, niezmiennie wlokącego się na końcu grupy ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń i wyrazem stoickiego cierpienia na twarzy, jakby w myślach liczył kroki dzielące go od końca tej męki. A jednak nigdy się nie skarżył ani nie buntował i już w liceum, kiedy parł do wyznaczonego celu niczym mały buldożer, zaczął mi imponować. Matura z najlepszymi ocenami w prestiżowym liceum, studia prawnicze, trzy języki, po drodze ileś tam dodatkowych kursów. Uświadomiłem sobie, że jeśli ktokolwiek z naszej rodziny miał zaliczyć poważne problemy psychiczne, to musiał być właśnie Kuba.

Zjedliśmy parówki w sosie pomidorowym, zagryzając je grzankami ze starego chleba i popijając kawą.

– Słyszałeś kiedyś o Jastrzębiej Górze? – zagadnąłem niezobowiązującym tonem. – Podobno to gdzieś nad morzem.

– Byłem tam nawet kiedyś. Sympatyczna dziura. Zimą nic się w niej nie dzieje, latem jest pełno turystów. A co?

– Gdybym tak poprosił, żebyś urwał się dzisiaj z pracy i zawiózł mnie...

– Nie.

– Nie możesz się urwać z pracy? Masz dzisiaj coś pilnego?

– „Nie” jak „nawet o tym nie myśl”. Po prostu.

– Spoko. Nie będę – obiecałem.

Ale myślałem. Oczywiście, że tak.

## NAGRANIE 87

Wciąż o tym myślę, także teraz, gdy stoję w ogrodzie, słysząc nad głową pomruk przetaczającego się nad Samotnią gromu. Temperatura spadła, na odsłoniętych łydkach czuję powiew chłodnego powietrza i przez moment, bardzo krótki, żałuję, że nie zobaczę piekła, które za chwilę się rozpęta. Wiatr miotający zdartymi z drzew liśćmi i przyginający do ziemi krzewy róż, przesłaniająca świat kurtyna deszczu i grad wielkości pięciolotówek bębniący o dach.

Zawsze lubiłem burze.

Potem wracam myślami do tego, co najważniejsze, do szczura pod kopułą mojej czaszki, który się obudził i znów zaczął przebierać łapkami. Muszę pojechać do Jastrzębiej Góry, pogadać z Julianną oraz Idą. Zadać im parę pytań i osobiście usłyszeć wyjaśnienia. Po tym wszystkim, co przeszedłem, są mi winne przynajmniej tyle. Niebo nade mną rozwiera się z posępnym przedpotopowym rykiem, wypuszczając z siebie pierwszą kroplę wody, która rozpryskuje się o moje ramię. Jednocześnie z okolicy moich stóp dobiega ciche protestacyjne miauknięcie. Schylam się i wolną ręką obmacuję kąt pomiędzy ścianą a beczką na wodę. Puchata zjeżona kulka cofa się głębiej. Łapię ją za luźną skórę na karku, podnoszę i niosę do domu.

## NAGRANIE 88

Zdążyłem postawić kota na dywanie, sprawdzić, czy drugi zwierzak wrócił, i zamknąć drzwi, gdy uderzyła pierwsza fala nawałnicy. Szyby zadzwoniły. Wystraszyłem się nawet w pierwszej chwili – gdyby grad wybił okno, miałbym przerąbane. Wyobraziłem sobie, jak zbieram z dywanu ostre odłamki szkła, podczas gdy zaniepokojone koty kręcą się w pobliżu. Albo odwrotnie: zamknięty z kotami w łazience czekam, aż przybędzie wezwana telefonicznie pomoc, wiatr wdziera się do salonu, a strugi deszczu zalewają dywan. I te wszystkie zniszczenia, których nawet nie mógłbym zobaczyć...

Na szczęście siła wichury szybko osłabła, wściekle podmuchy wiatru chlustającego w szyby litrami wody przeszły w monotonne bębnienie uderzającej o dach ulewy. Wtedy zadzwonił telefon.

– Cześć – powiedziała Aneta. – Prosiłeś, żebym sprawdziła stare zdjęcia...

Sądząc po tonie jej głosu, wieść o tym, że przesiedziałem dwadzieścia cztery godziny na dołku, jeszcze się nie rozniosła. Nie zamierzałem tego zmieniać.

– Tak?

– W 1998 roku spędzaliśmy wakacje w Zwardoniu, w domu wczasowym Szwajcaria. Tego jestem pewna, bo wiadać ten dom na zdjęciach. Mam też zdjęcia ze schronisk na Szyndzielni, Hali Lipowej i Rysiance. I mnóstwo takich, o których trudno powiedzieć, gdzie właściwie zostały zrobione. Górskie szlaki, las, dzieci bawiące się nad rzeką, te klimaty.

– Żadnych fotek z kościoła albo jakiejś większej imprezy? Na przykład dożynkowej?

– Jest zdjęcie, na którym Piotrek wygląda trochę bardziej elegancko, ma na sobie długie spodnie i koszulę. Z krótkim rękawem, ale rozpinaną, a nie tiszert. Mogę sobie wyobrazić, że ubrał się tak do kościoła, owszem. Pomogłam w czymś?

– Pomogłaś – skłamałem, świadom, że ten telefon to gałązka oliwna, którą Aneta wyciąga w moją stronę. – Powiedz mi jeszcze, kto był na tych wakacjach.

– No ja, ty, Kuba i Piotrek, z dzieciaków jeszcze Hanka i Adrian...

– A z dorosłych?

– Twoi rodzice, rodzice Piotrka, moja matka, ciocia Ela z wujkiem Ryśkiem i Krawczykowie.

– W porządku, dzięki. Słuchaj, mam jeszcze jedną prośbę.

– Tak? – Głos Anety ochłódł. Wiedziałem, że jeśli teraz przegnę i poproszę o coś, co jej się nie spodoba, nasz powrót do zwyczajnych kuzynowskich stosunków będzie poważnie zagrożony.

– Twoja mama ma dobrą pamięć. Zapytaj ją, czy pamięta może awanturę w kościele związaną z Piotrkim. Znacząca awantura to może za dużo powiedziane. Mogło chodzić o zwykłe spięcie, nieprzyjemną sytuację. Wiesz, Piotrek założył coś niestosownego i ktoś mu zwrócił uwagę.

– Słynny krawat w różowe słonie? – Wychwyciłem cień wesołości.

– Na przykład.

– W porządku, zapytam.

Podziękowałem raz jeszcze i rozłączyłem się. Zadzwoniłem do ojca, a ponieważ nie odbierał, do matki.

– Nie wiesz może, gdzie jest tato? Zastanawiam się, czy mógłby coś dla mnie zrobić.

– Nie mam pojęcia. Wyjechał wczoraj i jeszcze nie wrócił. Powiedział, że ma coś ważnego do załatwienia.

Nie spodobał mi się jej ton. Wyczuwałem w nim rezygnację i ciche cierpienie, ból jątrzącej się od wielu lat rany. Tak brzmiała w czasach, gdy tata co dwa–trzy miesiące znajdował sobie nową kochankę i znikał z domu na parę dni. Będę musiał z nim o tym kiedyś pogadać, pomyślałem.

– Daj znać, jak wróci, dobrze?

Rozłączyłem się. Jeśli nie ojciec, to kto?

Marysia, uznałem. Tylko ona mi została.

## NAGRANIE 89

– Żartujesz, prawda? Mam cię zawieźć do Jastrzębiej Góry? Przecież to na drugim końcu Polski.

– Wiem.

– I jak niby zamierzasz tam znaleźć Julię? Albo Idę? Będziesz chodził od hotelu do hotelu i pytał, czy mieszka tam jakaś Potocka?

– To mała miejscowość.

– Nie w szczycie sezonu turystycznego – roześmiała się.

– Coś wymyślę. Nieważne. Zapłacę za benzynę i za nocleg. Jeśli nie wierzysz, że ta wyprawa ma jakikolwiek sens, to potraktuj ją jako wycieczkę nad morze. Pamiętam, że zawsze je lubiałaś.

– Nadal lubię, ale nie jestem pewna, czy chce mi się jechać siedem godzin w jedną stronę tylko po to, żeby wracać zaraz następnego dnia.

Byłem już gotów obiecać, że zostaniemy tam dłużej, ale ugryzłem się w język. Bawienie się w parę spędzającą romantyczne wakacje nad morzem nie jest tym, co chciałbym robić. To znaczy chciałbym, owszem. Wiem jednak, że nie powinienem.

– Proszę – powiedziałem więc tylko, w duchu planując, że jeśli Marysia będzie naciskać, wykręcę się koniecznością opieki nad kotami.

Westchnęła teatralnie.

– Wisisz mi jeszcze za benzynę do Łodzi, wiesz o tym? I za wszystkie zakupy.

– Wiem. Naprawdę jestem wdzięczny...

– Przyjadę, jak tylko pogadam z rodzicami. – Kolejne westchnienie, tym razem już chyba autentyczne. – Nie przyjmą tego dobrze. Nadal mają pretensje, że do ciebie jeżdżę.

Może to już ostatni raz – ta myśl przyszła mi do głowy zupełnie niespodziewanie i zaraz uderzyła mnie jej prawdziwość. W domu coraz lepiej radzę sobie sam, a jeśli spotkam się z Idą i Julią, nie będę już potrzebował pomocy w moim małym prywatnym śledztwie. Wszystko się skończy.

Tego też nie powiedziałem na głos, tylko się rozłączyłem i poszedłem szukać torby, w którą mógłbym spakować rzeczy na jeden dzień.



## NAGRANIE 90

Zmierzamy autostradą w kierunku Poznania. Gdy wyjeżdżaliśmy, padał deszcz, ale za Wrocławiem niebo się wypogodziło i droga jest teraz całkiem sucha. Tak twierdzi Marysia, która siedzi obok mnie. Marysiu, powiesz coś do mikrofonu? Będziesz w książce.

– Odwal się, co?

To była Marysia. Niedługo planujemy zatrzymać się na obiad. Prawdę powiedziawszy, zaczynam być głodny.

Nadal nie mam pojęcia, jak znajdziemy Idę i Julię. Marysia śmieje się głośno. Ze mnie, jak się domyślam. W Jastrzębiej Górze będziemy po siedemnastej, co daje nam jakieś cztery godziny na to, żeby zrobić coś konstruktywnego. I jutro rano kolejne cztery, zanim trzeba będzie wsiąść w samochód i wracać.

Marysia ma rację, ta wyprawa to wariactwo.

## NAGRANIE 91

Wspominałem ostatnio, że nic w życiu nie jest proste ani łatwe, prawda? Cóż, myliłem się. Czasem zdarzają się drobne cuda. Jak ten, który miał miejsce przed chwilą.

Zadzwoniła komórka. Chwilę mi zajęło, zanim zdołałem wygrzebać ją z kieszeni i odebrać.

– Halo?

– Podobno prosił pan o telefon. W sprawie Idy Potockiej. Znamy ją. – Głos nie był ani żeński, ani męski, ale zdawał się należeć do osoby dorosłej, a nie dziecka.

– Tak, dziękuję. – Przypomniałem sobie, że Marysia zostawiła mój numer sąsiadce Idy.

– Bardzo się o nią martwimy.

– My, czyli kto?

– Po prostu my, Walerki. – Lekki nacisk w głosie przestrzegał, że nie powinienem dopytywać. Dopiero teraz załapałem, że mam prawdopodobnie do czynienia z osobą używającą zaimków niebinarnych: „my” jak nieokreślające płci they w języku angielskim.

– Hmm, w porządku. A nie wiecie przypadkiem, gdzie Ida może być?

– Gdybyśmy wiedzieli, to czy byśmy jej szukali?

– Ma może jakieś ulubione miejsce? Dalszą rodzinę albo znajomych, u których mogłaby się zatrzymać? Na przykład w Jastrzębiej Górze?

– Ida ma tylko nas. I nic nie wiemy o Jastrzębiej Górze.

– Próbowaliście do niej dzwonić?

– Oczywiście, że próbowaliśmy. Nie odpowiada.

– To może ja spróbuję? – Uświadomiłem sobie, że nie znam numeru Idy, za to ona najprawdopodobniej kojarzy mój. Nie wierzyłem, że to cokolwiek da, ale mimo wszystko warto było spróbować.

Tajemnicza osoba podyktowała mi ciąg cyfr, a ja je zapamiętałem. Staję się w tym coraz lepszy. Potem poprosiłem Marysię, żeby zjechała na pobocze.

– Mamy trzy kilometry do najbliższego McDonalda – powiedziała. – Chcesz jeść w maku? Mnie to nie przeszkadza, mogę wziąć wegeburgera i frytki.

– Mnie też nie przeszkadza.

Zatrzymaliśmy się, Marysia wystukała na mojej komórce numer Idy i poszła zamówić jedzenie. Ja usiadłem przy stoliku na zewnątrz z komórką przyłożoną do ucha. Czekałem, starając się trzymać wolną rękę z dala od błatu. Z doświadczenia wiem, że stoły w McDonaldach często są uwalane resztkami keczupu, frytek i więdnącej sałaty.

Niedaleko dziecko negocjowało z matką, czy może dostać na deser lody. Kobieta wydawała się zmęczona, dziecko za to wyraźnie tryskało energią, więc postawiłbym niewielkie pieniądze na jego sukces.

– Halo? – Głos w telefonie mnie zaskoczył. – Leon?

– Ida. – Po raz pierwszy nazwałem ją jej prawdziwym imieniem. Dziwne uczucie.

– Tak, Ida.

Co dalej? Co się mówi osobie, która wjechała w ciebie samochodem, a potem opiekowała się tobą troskliwie, chociaż pod fałszywym pretekstem? Jestem pisarzem, ale nawet mój bogaty zasób wyrażań nie obejmuje niczego stosownego na tę okazję. Na szczęście to Ida pierwsza przerwała przedłużające się milczenie.

– Wiesz, gdzie jest Julia?

– W Jastrzębiej Górze. Tam gdzie ty. Właśnie do was jadę. Chcę tylko porozmawiać, nic więcej. Podasz mi dokładny adres?

Nie poda, pomyślałem, gdy milczenie znowu zaczęło się przedłużać. Czy ja zdradziłem swoje miejsce pobytu komuś, kogo omal nie pozbawiłem życia, a kto może teraz jechać do mnie z awanturą, jeśli nie z gorszymi zamiarami?

– Jasna 12.

Rozłączyła się, a ja nawet nie zdążyłem podziękować.

## NAGRANIE 92

Stało się coś złego. Wiem o tym. Ludzie zebrani przed posesją na Jasnej 12 rozmawiają przyciszonymi głosami. Jestem za daleko, by docierały do mnie ich słowa, ale wychwytyję nuty szoku i jednocześnie podekscytowania. Marysia poszła sprawdzić, co się dzieje, ja zostałem przy samochodzie. Z nieba leje się letni żar, słychać sygnał nadjeżdżającej karetki. Albo samochodu policyjnego.

### NAGRANIE 93

Wynajęliśmy dwa pokoje w pensjonacie na tej samej ulicy. Z mojego okna podobno widać nawet Jasną 12. Marysia od czasu do czasu schodzi i próbuje się czegoś dowiedzieć, ja mniej więcej co dziesięć minut dzwonię do Idy. Jak dotąd bez rezultatu. Zjedliśmy na kolację croissanty 7 Days z pobliskiego sklepu, na które żadne z nas tak naprawdę nie miało ochoty. Siedzę teraz na łóżku z zębami oblepionymi chemiczną słodyczą i zastanawiam się nad jednym: która z nich? To najważniejsze pytanie, prawda? Która z nich?

## NAGRANIE 94

Jest bardzo późno, druga, może nawet trzecia. Marysia śpi w pokoju obok. Jakaś część mnie chce pójść do niej tej nocy, ale jest już za późno. To ona przyszła do mnie wcześniej, dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem, z aksamitną skórą i twardymi, sterczącymi piersiami, które wyczuwałem pod kusą koszulką. Pocałowała mnie, a ja pozwoliłem jej na to przez kilka sekund, za długich i za krótkich jednocześnie. Potem odsunąłem ją łagodnie.

– To nie jest dobry pomysł.

– Myślałam, że tego chcesz.

– Chcę. Ale staram się być rozsądny.

– Mam w dupie rozsądek. – Znowu mnie pocałowała.

Tym razem powstrzymałem ją szybciej. Wiedziałem, że jeszcze chwila i zabraknie mi siły woli.

– Przestań, proszę.

– Czemu? Lubię cię, Leon. Nie wiem dlaczego, bo czasem wyłazi z ciebie kawał gnoja. I idiota przy okazji. Ale cię lubię. Może nawet trochę się w tobie zakochałam.

Nieprawda, pomyślałem. Tylko ci się wydaje, bo jestem twoim pokiereszowanym przez życie bohaterem, rannym szczeniaczkiem, którym możesz się zaopiekować. Może nawet twoją pokutą, tak jak pokutą są facebookowe zbiórki na chore dzieci i schroniska dla zwierząt oraz działalność w organizacjach pomagających kobietom. Czujesz się winna, bo od dzieciństwa zawsze miałaś wszystko, podczas gdy inni nie mieli nic. I z powodu Ewity, oczywiście.

Marysia musiała wyczuć któreś z tych myśli, bo odsunęła się ode mnie.

– Mam sobie pójść, tak?

– Tak.

– Dobra, kurwa, ale jak zmienisz zdanie, to żebyś do mnie nie przyłaził z płaczem.

Trzasnęły drzwi. Chciałem za nią pójść, wyjaśnić, może nawet przeprosić. Mam wrażenie, że takie rozmowy wychodzą dobrze tylko w filmach. W każdym razie ta nie poszła tak, jak sobie wyobrażałem w chwilach, gdy ostrożnie dopuszczałem do siebie myśl, że Marysia rzeczywiście może być mną zainteresowana.

Nie ruszyłem się z miejsca.

Wiem już, że przy Jasnej 12 została zabita młoda kobieta, a policja poszukuje drugiej dziewczyny, którą widziano, jak wychodziła z pokoju ofiary.

Nadal nie wiem, która z nich jest Julią, a która Idą.

## NAGRANIE 95

Wyjechaliśmy dzisiaj koło południa. Marysia od czasu do czasu odświeża na komórce wiadomości, sprawdzając, czy pojawiło się coś nowego. Wiadomo już, że kobieta została zabita brutalnym ciosem w głowę i że dopiero niedawno przyjechała do Jastrzębiej Góry. Powiedziała, że spędza tu wakacje, ale gdyby udało jej się zahaczyć do pracy w jakiejś knajpie, chętnie zostałaby na dłużej.

Czyli Julia, pomyślałem. O dziwo, ta wiadomość właściwie nie zrobiła na mnie wrażenia. Może dlatego, że przyzwyczałem się już do myślenia o mojej żonie jak o zmarłej, a jej nagłe ożywienie było tylko chwilową przerwą w czymś, co nawet trudno nazwać prawdziwą żałobą. Śliczna, pulchna Julia wydawała się ledwo snem, który zostawiłem daleko za sobą, nad pogrążonym w zimowej mgle Morzem Jońskim. Tam, gdzie jej się oświadczyłem.

Nie opuszcza mnie za to uczucie, że coś się zdecydowanie nie zgadza: szczur pod moją czaszką znów szaleje. Mogę sobie wyobrazić motyw, dla którego Ida chciałaby zabić swoją przyrodnią siostrę, czemu nie. W końcu co ja tak naprawdę o tej kobiecie wiem? Trudno jednak pojąć, dlaczego podała mi adres Julii. Żeby mnie wrobić w morderstwo? Nie miała przecież pojęcia, że jadę do Jastrzębiej Góry. Dopiero ja jej to powiedziałem. Z jakiegoś powodu łatwiej mi wyobrazić ją sobie jako morderczynię niż kogoś charakteryzującego się tak czystą, zrodzoną pod wpływem chwili złośliwością.

Druga kwestia to ten osobliwy telefon na numer strzeleńskiej policji. „Oświadczenie”, które złożyły Ida i Julia. Z nim też coś jest nie w porządku, chociaż nie potrafię jasno sformułować co takiego. Julia mówiła długo i ze szczegółami, a Ida krótko i konkretnie, ale to mniej więcej zgadza się z ich charakterami. Czemu jednak żadna nie wspomniała nic o tym, dlaczego właściwie Ida tak uparcie wierzyła, że mam coś wspólnego z morderstwem Doroty Gąski? Dlaczego to było dla niej takie ważne? Chodziła na moje spotkania autorskie, napisała do Ali, a w końcu kupiła dwa bilety na samolot tylko po to, żeby we Włoszech zorganizować nasze spotkanie. Wszystko to musiało ją kosztować sporo czasu i pieniędzy. Czy tak zachowuje się ktoś, kto przypadkiem trafił na starą sprawę i skojarzył ją ze sceną z powieści popularnego pisarza? Mało prawdopodobne. Musi być coś więcej, kawałek układanki, który wciąż nie trafił na swoje miejsce. Co ja właściwie wiem o Dorocie Gąsce? Lubiła się bawić, zwłaszcza z młodszymi chłopakami, ponieważ chciała „nadrobić stracony czas”. Tak powiedziała Katarzyna Wojtas, a ja, jak przystało na najgorszego detektywa świata, nawet nie dopytałem, jaki to czas straciła Dorota.

## NAGRANIE 96

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytałem Marysię, gdy usiedliśmy w kąciku restauracyjnym na stacji benzynowej, żeby napić się kawy.

– Jasne, sekretarka zawsze gotowa do usług.

Zignorowałem sarkazm w jej głosie. Marysia od rana prawie się do mnie nie odzywa. Poprosiłem ją, żeby wybrała numer Walerków. A może Walerek? Diabli wiedzą, jak to odmieniać.

Wzięła ode mnie komórkę.

– Masz nieodebraną wiadomość sprzed tygodnia – powiedziała z ociąganiem, jakby się zastanawiała, czy w ogóle warto się do mnie odzywać. – Nie zauważyłam jej wcześniej, sorry.

– Przeczytasz?

– *Tu Piotr Wiesiołek. Jak pan chce pogadać o sprawie Gąski, niech pan się odezwie. Jestem wolny każdego dnia od czwartej po południu.*

– Która jest godzina?

– Czwartą piętnaście. Rozumiem, że mam zadzwonić?

– Jeśli możesz.

– Proszę bardzo. – Znow ten chłód w głosie, który zupełnie mi się nie podobał, ale z którym nie potrafiłem, a może wycyzajnie nie chciałem nic zrobić.

– Wiesiołek – odezwał się w telefonie głos zupełnie inny niż ten, który słyszałem wcześniej.

– Leon Cichy z tej strony. Katarzyna Wojtas pewnie wspominała, że będę się kontaktował.

– Tak. Sporo czasu to panu zajęło.

– Byłem chory. – Nie do końca prawda, ale też nie całkiem kłamstwo. – Mam właściwie tylko jedno pytanie. Pamięta pan może, jaki wzór miał krawat, którym została uduszona Dorota Gąska?

– Pamiętam. Trudno, żebym zapomniał coś takiego. Były na nim różowe tańczące słonie.

– Dziękuję.

– Dziwne, że tylu ludzi nagle interesuje się tą sprawą. Jest pan już drugą osobą, która mnie o to pyta.

– A kto był pierwszy? – zapytałem, choć domyślałem się odpowiedzi.

– Jakaś kobieta, prawie rok temu. Alicja Jakaśtam. Znalazła moje nazwisko w starej gazecie.

– Alina – poprawiłem ze ściśniętym gardłem. – Miała na imię Alina.

Rozłączyłem się. Marysia nic nie mówiła, ale wyczuwałem na sobie jej badawczy wzrok. Upiłem łyk cappuccino, które oparzyło mnie w język.

– Zadzwon teraz do Walerek. Proszę – dodałem dopiero po chwili.

Tym razem musiałem czekać znacznie dłużej, w końcu jednak, kiedy prawie straciłem nadzieję, że ktoś się odezwie, Walerki odebrały.

– Słuchamy.

– Leon Cichy, dzwoniliście wczoraj do mnie, pamiętacie? – Dla młodego pokolenia liczba mnoga brzmi pewnie całkiem naturalnie, dla mnie jednak, urodzonego w połowie lat osiemdziesiątych i rozumiejącego jeszcze jako tako filmy Barei, ma posmak siermiężnego PRL-u. „Obywatelu Kowalski, pójdziecie z nami”. Uśmiechnąłem się do siebie lekko.

– Pamiętamy.

– A czy wiecie może, jak zmarła matka Idy? Nazywała się Dorota Gąska i została zamordowana, prawda?

Chwila ciszy.

– Tak, została zamordowana. Ida nie lubiła o tym mówić.

– Jej matka musiała wyjść za mąż bardzo młodo.

– Miała osiemnaście lat i była już w ciąży. Rozwiodła się dwa lata później.

– I podzuciła córkę dziadkom.

– Tak. – W głosie Walerek zabrzmiał lekko obronny ton. – Nie była dobrą matką. Ale Ida bardzo za nią tęskniła i żałowała, że nigdy nie miała okazji tak naprawdę jej poznać.

Wyobrażam sobie, pomyślałem, rozłączając się. Dla zamordowanej przed laty matki Ida mogłaby wysłać anonim, jeździć na moje spotkania autorskie, a nawet wybrać się do Włoch. Pozostawało pytanie, czemu nie wspomniała o tym, kiedy zadzwoniła na komendę w Strzelinie. Ta informacja mogłaby być potraktowana jako ważna okoliczność łagodząca. Może Ida przyzwyczaiła się do ukrywania prawdy na temat śmierci matki tak bardzo, że robiła to nawet wtedy, kiedy w jej interesie było coś wprost przeciwnego. Może nie miała zwyczaju szukać usprawiedliwień. A może...

– To Julia dzwoniła na komendę w Strzelinie – powiedziałem na głos do Marysi. – Nie słyszałem głosów obu siostr, tylko jednej, która najpierw opowiedziała swoją historię, a później udawała tę drugą. Dla Julii motywacja Idy nie miała większego znaczenia, dlatego o niej nie wspomniała.

– Czemu Julia miałaby udawać Idę?

– Nie wiem. Ale ten telefon od początku wyglądał dziwnie. Ona właściwie nawet nie rozmawiała z oficerem dyżurnym, tylko wygłosiła to swoje oświadczenie, jakby przygotowała je sobie wcześniej i czytała z kartki. A wczoraj Ida podała mi adres Julii... – Zawahałem się na moment. – Uznałem z początku, że może chciała mnie zrobić w morderstwo, ale teraz... teraz wydaje mi się, że kiedy do niej dzwoniłem, Ida robiła dokładnie to samo co my. Jechała do Jastrzębiej Góry. I podała mi adres siostry na wszelki wypadek, gdybyśmy dotarli na miejsce pierwsi. Gdybyśmy mieli jeszcze szansę Julię ocalić.



## NAGRANIE 97

Dochodzi siedemnasta, do Samborowiczek zostało niecałe sto kilometrów. Stoję przy samochodzie, czekając na powrót Marysi. To nie jest żadna stacja benzynowa ani McDonald, po prostu zwyczajny MOP, na którym nie ma nic oprócz dwóch toalet i być może paru stołów, przy których można zjeść drugie śniadanie – chociaż ich obecności, rzecz jasna, mogę się tylko domyślać. Wokół panuje pustka, nie słyszę żadnych rozmów, nawet dobiegające z pobliskiej autostrady odgłosy wydają się przytłumione. Przy odrobinie wysiłku mógłbym je uznać za szum wiatru i wyobrazić sobie, że jestem sam. Gorący letni dzień bije duchotą w twarz, a ja przypominam sobie sen, który miałem dawno temu. Stałem pośrodku zniszczonego miasta, otoczony ruinami wypalonymi słońcem do białości, i czekałem na nadejście niewyobrażalnej grozy. Nie było w tym śnie potwora, tylko świadomość, że potwór nadchodzi, że nie ma przed nim ucieczki – i to okazało się po stokroć gorsze.

Tak właśnie czuję się teraz. Na horyzoncie gęstnieje cień, ziemia drży od łomotu kroków.

Jestem pisarzem, prawda? Potrafię wczuwać się w ludzi, rozumieć ich motywacje. Próbuję więc wczuć się w Alę, kobietę, której miłość do męża od jakiegoś czasu zaczyna stygnąć. Być może, podobnie jak mnie, jej też przemykały przez głowę myśli, że lepiej byłoby się rozstać, zanim będzie za późno, żeby ułożyć sobie życie od nowa. Wówczas przyszedł anonim, sugerujący, że miałem coś wspólnego ze zbrodnią sprzed lat. W pierwszym odruchu zamierzała mi go pokazać, ostatecznie jednak uznała, że to nie jest dobry pomysł. Jeśli list mówi prawdę, myślała, i tak się przecież nie przyznam, a jeśli nie, nie ma sensu mnie niepokoić. Ala zawsze była aż do przesady samodzielna, nie lubiła dzielić się troskami. Przeprowadziła więc własne małe śledztwo i doszła do wniosku, że anonimowy nadawca może mieć rację. Ten list i to, czego się dowiedziała, okazały się ostatnią kroplą przepełniającą czarę: Ala nie chciała już mieć nic wspólnego z rodziną Ochockich i zdecydowała się odejść. Bez podania powodu, ponieważ... Ponieważ co?

Może i nie kochała mnie tak mocno jak dawniej, ale wciąż byłem jej bliski. Pragnęła mnie chronić, bo wiedziała, że prawda zniszczy mi życie. Gdybym z nią porozmawiał, powiedziałyby najprawdopodobniej, że rozstała się ze mną w tak paskudny sposób dla mojego własnego dobra. Ala uwielbiała podejmować decyzje „dla czyjegoś dobra”, nie pytając osoby bezpośrednio zainteresowanej o zdanie.

Powinienem być na nią wściekły, strach przed nadciągającym potworem jednak przeważa. Na złość nie ma już we mnie miejsca.

Usunęła ciężę, bo zdawała sobie sprawę, że dziecko zwiąże ją jeszcze bardziej z moją rodziną, pewnie też bała się obciążenia złymi genami. Zmieniła zamki w mieszkaniu i próbowała odciąć się od Ochockich, ale to nie jest takie proste. Moja matka i Aneta walczyły, żeby podtrzymać kontakt, a Ala nie miała serca tak po prostu zerwać znajomości. To ją zgubiło – gdyby zaraz po rozwodzie rzuciła wszystko i przeprowadziła się na drugi koniec Polski, wciąż mogłaby żyć. Zamiast tego zaczęła nosić w torebce nóż, co ostatecznie okazało się jej zgubą.

Kto jeszcze miał klucze do mieszkania Ali?

Czyją twarz moja ekszona bała się ujrzeć w twarzy swojego nienarodzonego dziecka?

Jaka prawda zabolalaby mnie tak bardzo, że nie byłbym w stanie jej znieść?

Przed chwilą zadzwoniłem do matki i dowiedziałem się, że ojciec jeszcze nie wrócił i nie odbiera telefonu.

Potwór już tu jest.

## NAGRANIE 98

Marysia odjechała, zostawiając mnie przy furtce Samotni. Wciąż tu stoję jak ostatni idiota.

Na pożegnanie zadałem mojej szwagierce jedno pytanie.

– Wiem, że to ty wzięłaś mój telefon i dałaś go komuś na parę godzin – powiedziałem. – Kto to był?

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Wiozę cię przez pół Polski, a ty, kurwa, pytasz, komu dałam twój telefon?

– To ważne.

– „To ważne” – przedrzeźniała mnie. – Dla ciebie wszystko jest ważne. Poza mną.

Prawdopodobnie istniało coś, co mógłbym powiedzieć w tamtej chwili, żeby ocalić choć odrobinę więzi, która nas łączyła. Część ciepła i przyjaźni. Może znalazłbym właściwe słowa, gdybym tylko spróbował to zrobić. Ale nie spróbowałem, i to całkiem świadomie. Minutę temu prawdopodobnie przehandlowałem moje dobre stosunki z Marysią za możliwość poznania prawdy, o której już wiem, że wcale nie chcę jej znać.

Czasem myślę, że wszyscy mamy źle w głowach.

– Twojemu tacie – odparła. – Powiedział, że martwi się o ciebie i dlatego musi zajrzeć do twojego telefonu.

A ty uwierzyłaś, że to dla mojego dobra, pomyślałem. Tato zawsze miał talent do przekonywania ludzi.

– Dzięki.

– Spierdalaj.

Idę teraz ścieżką w stronę Samotni. Wchodzę na taras. Drzwi są jak zwykle otwarte, ale i tak dopada mnie złe przecucie. Głodne koty nie przybiegły się przywitać i połasić o jedzenie. Ktoś je skrzywdził. A może po prostu nakarmił.

Ciekaw jestem, czy to oznacza to, o czym teraz myślę.

Że ten ktoś czeka na mnie w środku.

## NAGRANIE 99

To prawdopodobnie jeden z najgorszych koszmarów osób niewidzących – w twojej bezpiecznej, oswojonej przestrzeni nagle znajduje się ktoś, kto stanowi zagrożenie. Wyczuwasz go, ale nie widzisz, za to wiesz, że on doskonale widzi ciebie.

Lekki, niemal niesłyszalny oddech osoby stojącej pośrodku salonu, trochę na prawo, bliżej aneksu kuchennego. Wiedziałem, że to nie jest złudzenie.

– Halo? – rzuciłem w przestrzeń. – Jest tu ktoś?

Oddech przyspieszył odrobinę.

– Gdzie są koty?

Tym razem nieproszony gość zareagował.

– W ogrodzie, a gdzie mają być? Nawiasem mówiąc, Puszkowi wrasta pazurek na prawej przedniej łapie. Powinnieś go zabrać do weterynarza.

Spodziewałem się głosu Idy, ale banalność tego powitania wytrąciła mnie z równowagi. Żaden ze scenariuszy, jakie sobie wyobrażałem, nie zawierał rozmowy o kotach.

– Który to Puszek?

– Ten bardziej oferbowaty i przytulaśny.

– Zajmę się nim – obiecałem. Wymacałem kanapę i usiadłem. Nogi lekko się pode mną uginały. – Julia nie żyje – powiedziałem, ponieważ ktoś musiał w końcu to powiedzieć.

– Wiem.

Ku mojemu zdumieniu Ida zaczęła płakać. Był to długi, spazmatyczny szloch człowieka, który dotarł do kresu wytrzymałości. Przyszło mi do głowy, że może powinienem wstać, objąć ją i pocieszyć. Naprawdę. Po tym wszystkim, co zrobiła i o co jeszcze ją podejrzewałem, jakaś część mnie chciała tę kobietę przytulić. Prawdopodobnie ta sama część, która wciąż pamiętała, że Ida zaopiekowała się mną, gdy najbardziej potrzebowałem pomocy.

– Wiem – powtórzyła, kiedy już udało jej się opanować. – Dostałam od niej wiadomość i chciałam... Spod Elbląga do Jastrzębiej Góry jest trochę ponad półtorej godziny, myślałam, że zdążę, ale... Byłam na miejscu chyba niewiele wcześniej niż ty. I tak dużo za późno. Żadne z nas nie mogłoby jej ocalić.

– Co, na litość boską, robiłaś w Elblągu?

– Mam tam miejsce, które bardzo lubię. Nieważne. Musimy porozmawiać. Zrobię ci coś do jedzenia. Musisz być głodny po takiej podróży.

Jej praktyczne podejście znowu mnie zaskoczyło.

– Nie jestem.

Nie była to do końca prawda. Od rana zjadłem tylko kanapkę na stacji benzynowej i byłem głodny, ale jednocześnie miałem wrażenie, że jeśli coś przełknę, zaraz to zwymiotuję, wolałem więc nie ryzykować.

– W takim razie zaparzę herbaty.

Czekałem, nasłuchując uspokajających odgłosów kuchennej krzątanimy. Po chwili Ida postawiła przede mną kubek. Gdy go podniosłem, ręce mi drżały. Położyła na nich swoje dłonie z długimi, silnymi palcami i pomogła mi. Pomyślałem, że te same dłonie podniosły mnie, gdy leżałem nieprzytomny na poboczu, te same dłonie mnie podtrzymywały, gdy po raz pierwszy wstałem z łóżka i ostrożnie poczłapałem do łazienki.

Odstawiłem kubek. Ida usiadła obok na kanapie.

– Powiedz mi, co wiesz, proszę. – Głos cichy, ale zaskakująco stanowczy. – Trzeba z tym wreszcie skończyć.

Miała rację. Trzeba było z tym wreszcie skończyć.

– Wiem, że twoją matką była Dorota Gąska, zamordowana w 1998 roku w Węgierskiej Górcie. Nie znałaś jej zbyt dobrze, bo wychowywali cię dziadkowie, ale kiedy dorosłaś, zaczęłaś się interesować, jak zginęła. Dowiedziałaś się, że została uduszona kratą w różowe słonie i że kiedy ją znaleźli, leżała z podwiniętą sukienką. Potem zobaczyłaś w mojej książce identyczną scenę i doszłaś do wniosku, że musiałem co najmniej widzieć ciało twojej matki. A może nawet, że to ja ją zabiłem. Chodziła na moje spotkania autorskie...

– Byłam chyba na siedmiu, może ośmiu. Nie zapamiętałaś mnie, prawda?

– Nie. – To też nie była do końca prawda. W pamięci został mi niejasny obraz wysokiej blondynki z ostatniego rzędu. „Czy kiedykolwiek wykorzystał pan w swojej książce autentyczną zbrodnię?” Jeszcze bardziej niejasne wrażenie dęja vu, gdzieś już słyszałem to pytanie zadane przez bardzo podobną osobę, ale nigdy nie byłem pewny. Na spo-

tkaniach autorskich pytania często się powtarzają, a twarze zlewają się ze sobą. – W każdym razie – kontynuowałem – w desperacji napisałaś do mojej żony, a ona najpierw zlekceważyła twoją wiadomość, ale potem, zaciekawiona, zaczęła szperać i doszła do podobnego wniosku co ty: że ktoś z naszej rodziny ma coś wspólnego ze śmiercią Doroty Gąski. Nie wiem, jakim cudem zdecydowała, że tym kimś musiał być mój ojciec. Może zresztą poszła do niego tak zwyczajnie, z prośbą o radę, a on... on...

– Przyznał jej się, że zabił moją matkę.

Nie zapytałem, skąd o tym wie. Nie byłem na to jeszcze gotowy.

– To miałoby sens, prawda? Dorota lubiła młodych mężczyzn, ale nie pogardziłaby też pewnie romansem z panem w średnim wieku. Mógł być jej kochankiem.

Powiedziałem to wreszcie na głos. Słowa zawisły w powietrzu i nabrały kształtu. Mój ojciec jest mordercą. Jak się żyje z czymś takim?

– Przykro mi – szepnęła Ida.

O dziwo, nie zabrzmiało to banalnie, tylko całkiem szczerze. Byłem jej wdzięczny za tę odrobinę współczucia, jak beżpański, spragniony ciepła pies, któremu ktoś rzucił ochłap mięsa. Nienawidziłem samego siebie za to uczucie.

– Mógł się przyznać Ali – ciągnąłem, bo dopóki to robiłem, nie musiałem myśleć o wszystkich implikacjach wynikających z tego prostego stwierdzenia: mój ojciec jest mordercą. – Wiedział, że po tylu latach nikt mu już niczego nie udowodni. Ale też o tym wiedziała. Rozwiodła się ze mną, mniejsza o to, dlaczego dokładnie. Powiedzmy, że miała swoje powody. Ja wyjechałem do Włoch, a wtedy ty dostrzegłaś swoją szansę. Ta część opowieści Julii była prawdziwa. Kupiłaś dwa bilety, ale się rozchorowałaś, więc Julia poleciała sama. Polubiła mnie i zgodziła się, kiedy poprosiłem ją o rękę. Potem zaczęła mieć coraz więcej wątpliwości. Pewnie odeszłaby prędzej czy później, ale mój ojciec wszystko przyspieszył. Zjawił się bez zapowiedzi w wieczór naszego powrotu. Myślę, że moje nagłe małżeństwo z dziewczyną, której nikt nie znał, musiało go zaniepokoić. Miał już problemy z jedną moją żoną, postanowił więc przekonać się, kim jest druga. Przyszedł z butelką alkoholu, a ja się upiłem jak ostatni idiota i zasnąłem na kanapie. W tym czasie tato wyciągnął z Julii całą prawdę. On potrafi rozmawiać z ludźmi, a Julia... Julii niewiele było trzeba, żeby ją przekonać. Mój ojciec opowiedział jej nieco zmienioną wersję historii, którą poczęstował Alę. Powiedział, że to ja dawno temu kogoś zabiłem, że nie ma dowodów i sprawa jest przedawniona, ale i tak lepiej trzymać się ode mnie z daleka. Obiecał jej pieniądze, jeśli zgodzi się wyjechać na drugi koniec kraju, zerwać kontakt ze mną i przy okazji z tobą. Julia, naiwna i niedoświadczona, bez problemu dała mu się urobić, a pieniądze zawsze były dla niej ważne, nie miała ich przecież w życiu zbyt wiele. Popemniła tylko jeden błąd, bo wysłała wiadomość do ciebie, a wtedy mój ojciec się zirytował i zabrał jej telefon. Potem zawiózł ją na dworzec w Strzelinie i wsadził do pociągu. W tym czasie ja spałem w Samotni. Nawiasem mówiąc, musiałem słyszeć część ich rozmowy, stąd mi się wzięła wizja Julii uduszonej krawatem i leżącej na dywanie. Mówili o Dorocie Gąsce, a mój zamroczony alkoholem umysł zamienił ją w moją żonę. Kiedy odrobinę wytrzeźwiałem, w poszukiwaniu Julii wytoczyłem się na drogę. I wpadłem pod samochód. Twój samochód. Bo to byłaś ty, prawda?

Myślałem, że zaprzeczy, ale Ida tylko westchnęła.

– Ja – przyznała. – Nie chciałam tego, naprawdę.

– Wiem, powiedziałaś mi to kiedyś. Najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłaś, było okaleczenie człowieka, którego tak naprawdę nawet nie lubiłaś. Mnie. Dlatego ze mną zostałaś? Z powodu poczucia winy? Czy liczyłaś na to, że dostaniesz wreszcie jakąś odpowiedź?

– Jedno i drugie tak naprawdę. Tamtego marcowego wieczoru Julia wysłała mi kompletnie bezsensownego esemesa. Pisała, że już zna prawdę, ale nie może mi jej zdradzić, a ja mam przestać się interesować morderstwem mojej matki, bo zabójca i tak nie poniesie kary. Zirytowała mnie, zaczęłam do niej wydzwaniać, ale ona nie odpowiadała, więc dla odmiany się zaniepokoiłam. W końcu wsiałam w samochód i pojechałam do Samborowiczek. Z opisu Julii wiedziałam mniej więcej, gdzie znaleźć Samotnię. Kiedy tu dotarłam, było już po północy, a ja, zmęczona po całym dniu pracy, za późno wcisnęłam hamulec. Gdybym mogła to cofnąć...

– Ale nie możesz.

Cisza, w której usłyszałem skrzypnięcie drzwi prowadzących na taras. Wzdrygnąłem się nerwowo, ale to tylko jeden z kotów wrócił z ogrodu i kręcił się teraz przy miskach. Żadne z nas nie zwróciło na niego uwagi.

– Nie. I nie zamierzam ukrywać, że tamtej nocy próbowałam chronić też siebie. Mogłam wezwać karetkę, ale po pierwsze, nie miałam pojęcia, jak szybko uda im się dojechać na takie odludzie, a po drugie, wtedy przyjechałaby też policja, a oni od razu by się zorientowali, że wypadek to moja wina. Dlatego położyłam cię na tylnym siedzeniu i zawiozłam na pogotowie w Strzelinie. Uważałam, żeby nie pogorszyć jeszcze twojego stanu, ale i tak ryzykowałam. Możesz mieć do mnie o to pretensje, jeśli chcesz. Tamtej nocy padał deszcz, pamiętasz? Paskudna wiosenna ulewa zadziałała lepiej niż samochodowa myjnia. Zanim dojechałam do Strzelina, splukala ślady krwi z maski mojego seta, a na stłuczony reflektor i kilka wgnieceń nikt nie zwrócił uwagi. Poważnie, ten wóz stał pod strzeleńskim pogoto-

wiem przez następnych kilkanaście godzin i nie wzbudził niczyjego zainteresowania. Czasem mi się wydaje, że większość ludzi jest po prostu ślepa.

– Przedstawiłaś się jako moja żona?

– Nie. To lekarze odruchowo uznali, że spanikowana kobieta przywożąca na pogotowie ciężko rannego mężczyźną prawdopodobnie jest jego żoną. Ja tylko im pozwoliłam w to wierzyć. Chciałam być z tobą, bo wydawało mi się...

– ...że tuż przed śmiercią obudzę się i wyznam prawdę? Jak w filmie?

– Chyba tak. – W jej głosie usłyszałem cię bardzo smutnego śmiechu. – Ale ty nie zamierzałeś się budzić, a ja musiałam w końcu się przespać i przebrać. Pojechałam do Samotni, zastałam otwarty dom i znalazłam w nim twoją komórkę. Nie miała założonej blokady, więc bez problemu przeczytałam wszystkie twoje konwersacje i obejrzałam zdjęcia, które wysyłałeś rodzinie. To wtedy się zorientowałam, że mogłabym przynajmniej przez kilka dni udawać Julię. Zawiozłam mój samochód z powrotem do Łodzi, wróciłam pociągiem i od tamtego czasu na zmianę nocowałam w Samotni albo siedziałam u ciebie w szpitalu. Nie przypuszczałam wtedy, że ta mistyfikacja potrwa tak długo. Byłam przekonana, że lada moment odzyskasz przytomność i oczywiście się zorientujesz, że nie jestem Julią. Albo zdradzę się z czymś przed twoją rodziną. Gdyby tak się stało, tobym się przyznała, naprawdę. Byłam gotowa to zrobić, porozumiałam się nawet z prawnikiem, który mi powiedział, co grozi osobie podszywającej się pod inną osobę. Okazało się, że w sumie nie tak wiele, przynajmniej dopóki nie będę czerpać z tego oszustwa konkretnych korzyści. I dopóki będę używała moich własnych dokumentów.

Potem się okazało, że straciłeś wzrok. Pamiętam moment, kiedy siedziałam przy twoim łóżku, a ty mnie zapytałeś, kim jestem. Odpowiedziałam, że oczywiście twoją żoną, ponieważ w pokoju był lekarz, ale jednocześnie pomyślałam sobie, że to już koniec, zaraz zarzucisz mi kłamstwo i wszystko wyjdzie na jaw. Zamiast tego się uśmiechnąłeś i nazwał mnie Julią.

– Zabrałaś mnie do Samotni i wypytywałaś, skąd czerpię pomysły.

– Tak. Na początku, kiedy byłeś jeszcze oszołomiony po wypadku, pytałam nawet wprost, czy kojarzysz Dorotę Gąskę zamordowaną w Węgierskiej Górcie. Założyłam się, że tego nie pamiętasz.

– Nie pamiętam – przyznałem. Wróciłem myślami do tamtych pierwszych dni po powrocie ze szpitala, gdy ból towarzyszył mi na każdym kroku. Jeszcze do niedawna sądziłem, że to najgorszy czas w moim życiu, teraz wiedziałem już, jak bardzo się myliłem. Gdybym mógł zamienić się z tamtym Leonem, leżącym w łóżku i zastanawiającym się, czy jego młoda, piękna żona zdąży zaprowadzić go na czas do toalety, zrobiłbym to bez chwili wahania.

Ida westchnęła.

– W każdym razie niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, nie potrafiłam z ciebie nic wyciągnąć. W końcu doszłam do wniosku, że sam nie masz pojęcia, gdzie ani kiedy widziałeś ciało mojej mamy. I zaczęłam dopuszczać do siebie myśl, że mogłam się pomylić i to nie ty ją zabiłeś.

– W 1998 roku miałem dwanaście lat, na litość boską.

– Sądziłam, że jesteś trochę starszy. Nigdzie w sieci nie da się znaleźć twojej dokładnej daty urodzenia. Dopiero później, już po wyjeździe z Samotni, trafiłam w bibliotece na pierwsze wydanie *Uciekaj albo gin* i tam, na skrzydełku, jest wyraźnie napisane, w którym roku się urodziłeś. Ale wtedy już oczywiście wiedziałam, że to nie ty, tylko twój ojciec.

– On musiał przez cały czas zdawać sobie sprawę, że mieszka ze mną obca kobieta – mruknąłem. – Znał przecież prawdziwą Julię.

– Wiem. Rozmawiał ze mną czasem w taki dziwny sposób. I przyglądał mi się badawczo.

– Próbował wyczuć, czy dasz się spławić jak Julia. Musiał zrozumieć, że nie, ale nie miał innego pomysłu, co z tobą zrobić, więc po prostu czekał.

Wrócił drugi kot i teraz już oba kręciły się przy misce, pomiaukując niecierpliwie. Gdzieś tam przede mną było zwyczajne życie, karmienie Puszka i Puszki, wizyta u weterynarza. Wszystko to wydawało mi się równie fantastyczne jak podróż na Księżyc.

– W czerwcu byłam gotowa odejść – mówiła Ida. – Uznałam, że pomogłam na tyle, na ile byłam w stanie, i teraz potrzebujesz już tylko instruktora czynności codziennych, a zapewnienie ci takiej osoby to zadanie rodziny. Wtedy została zamordowana Ala, a ja kompletnie straciłam głowę, bo nie miałam pojęcia, co się dzieje...

– Kiedy w mojej rodzinie rozeszła się plotka, że zwariowałam, Ala jako jedyna mi uwierzyła. Była inteligentna, musiała skojarzyć obecność obcej kobiety w moim domu z listem anonimowym i śmiercią Doroty Gąski. Tak czy inaczej postanowiła wreszcie szczerze ze mną pogadać. Mój ojciec... mógł ją śledzić. I zabić.

– Mnie powiedział, że to był właściwie przypadek. Widział Alę dzień przed jej śmiercią i domyślił się, że zamierza ci wszystko powiedzieć. Nie wiem, czy to możliwe...

– Znał Alę, odkąd była dzieckiem. Tak, myślę, że mogła się nieświadomie czymś zdradzić.

– Wtedy zdecydował, że lepiej będzie, jeśli sam opowie ci całą historię. Jechał wcześniej rano do Samotni, kiedy zobaczył jej samochód zaparkowany na poboczu przy ruinach kościoła w Krzywiniu. Zaintrygowany wysiadł, znalazł Alę czekającą na ciebie i zaczęli się kłócić. On wyciągnęła nóż, on spanikował, zaczęli się szarpać i wtedy...

– Stało się.

– Wierzysz w to?

– Nie wiem. Mnie też powiedział w pewnym momencie, że Ala zginęła przez przypadek. Chciałbym wierzyć, ale nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek mogli być pewni.

– Ja dowiedziałam się na pogrzebie, też właściwie przypadkiem. Ty rozmawiałeś z Marysią, a ja stałam niedaleko w grupie z Piotrkim, twoim tatą i taką starszą kobietą z całkiem białymi włosami, nie pamiętam, jak ona się nazywa.

– Ciocia Lonia. Matka Anety.

– Chyba tak. Ta kobieta powiedziała coś o koszuli Piotrka, że nadaje się bardziej na potańcówkę niż na pogrzeb czy jakoś tak, a potem dodała, że w sumie i tak jest nieźle, bo przynajmniej nie założył do niej krawata w różowe słonie. Zobaczyłam wtedy, jak zmienia się wyraz twarzy twojego ojca: spojrzął na mnie i już wiedział, że ja wiem. Przeraziłam się. Przez te wszystkie lata, kiedy myślałam o śmierci mojej mamy, zakładałam, że zabił ją ktoś naprawdę bardzo młody, jakiś dzieciak. Że to był impuls albo rezultat zabawy erotycznej, w żadnym razie nie zaplanowana zbrodnia. Wyobrażałam sobie, że ta osoba...

Skrzywiłam się.

– Ja. Nie ta osoba, tylko ja. Myślałaś o mnie.

– Owszem, byłeś moim najpoważniejszym kandydatem. – Znów cień zmęczonego uśmiechu. – W każdym razie wyobrażałam sobie, że ta osoba od lat cierpi z powodu poczucia winy i tak naprawdę tylko marzy, żeby w odpowiednich okolicznościach wreszcie zrzucić ciężar z serca. Naiwna byłam, wiem. Fantazjowałam, że się rozplączesz i będziesz mnie błagał o wybaczenie, a ja... ja być może nawet będę potrafiła ci wybaczyć. Nie byłam przygotowana na spotkanie z prawdziwym mordercą. Twój ojciec nie wyglądał, jakby miał zamiar o cokolwiek błagać, patrzył na mnie jak zapędzone w kąt, gotowe do walki zwierzę. Zrozumiałam, że zabił też Alę, ponieważ domyśliła się prawdy, i uznałam, że teraz ja jestem następną na jego liście. Nigdy w życiu nie bałam się tak jak wtedy. Wyszedłam z cmentarza i wsiadłam do samochodu. Potrzebowałam spokojnego miejsca, żeby chwilę pomyśleć, więc pojechałam na Gromnik, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Zaparkowałam przy jednym z wawozów i chyba przez godzinę chodziłam po lesie. W końcu doszłam do wniosku, że muszę mieć więcej czasu, zostawiłam swój samochód z kartą bankową w środku, co pewnie nie było najlepszym pomysłem... Nikt jej nie ukradł, prawda?

– Nie.

– To dobrze. Zabrałam z bagażnika torbę z rzeczami potrzebnymi przy rehabilitacji, poszłam pieszo do głównej drogi, złapałam stopa i tak dotarłam do Strzelina, a stamtąd pojechałam pociągiem do Wrocławia. I dalej, do Elbląga. Bałam się wracać do Łodzi, bo nie miałam pojęcia, ile twój ojciec o mnie wie i ile może się jeszcze dowiedzieć. Kupiłam po drodze parę najpotrzebniejszych drobiazgów i zatrzymałam się w takiej jednej małej miejscowości, nieważne, jak się nazywa. Byłam tam już wcześniej i zaprzyjaźniłam się z kobietą, od której wynajmowałam kwatery. Myślałam, że przejaśni mi się w głowie, ale tak naprawdę przez cały czas byłam tak samo spanikowana...

– Mój ojciec też zaczął panikować po twoim zniknięciu. Kiedy się dowiedział, że próbuję grzebać w sprawie Doroty Gąski, poprosił swojego kumpla aktora, żeby do mnie zadzwonił, udając Piotra Wiesiołka. Przy najbliższej okazji, wykorzystując pomoc Marysi, wykasował całą tę rozmowę z historii moich połączeń, a kiedy zostałam zatrzymana na dwadzieścia cztery godziny, pojechał do Julii. Musiał mieć z nią kontakt, może dał jej swój numer, na wypadek gdyby potrzebowała więcej pieniędzy, nie wiem. Tak czy inaczej wiedział, gdzie jej szukać. Zmusił ją albo w jakiś sposób przekonał, żeby zadzwoniła na komendę w Strzelinie, pomógł nawet przygotować całe to dziwaczne oświadczenie, żeby brzmiało wiarygodnie. A potem... potem...

– Potem moja głupiotka siostra popełniła drugi raz ten sam błąd i spróbowała się ze mną skontaktować. Zadzwoniła, kiedy jeszcze spałam. Dopiero po południu odsłuchiwałam wiadomość. Chcesz posłuchać?

Nie, pomyślałem, ale Ida już sięgała po telefon.

*Cześć, Ida, tu Julia.*

Głos mojej żony, zdyszany i pośpieszny. Brzmiała zdecydowanie bardziej naturalnie niż na nagraniu, które puszczono mi na komendzie.

*Sorry, że tak długo się nie odzywałam. Nie miałam twojego numeru, teraz dopiero udało mi się go znaleźć w ogłoszeniu gabinetu fizjo. To ty, prawda? Przed chwilą był u mnie tata Leona, chciał, żebyśmy zadzwoniła na komendę w Strzelinie i powiedziała, że wszystko w porządku. Najpierw jako ja, a potem jako ty. Nie wiem, co o tym myśleć, i chyba zaczynam się trochę bać. Jestem teraz w Jastrzębiej Górze, mam wynajęty pokój w takim jakby pensjonacie*

przy ulicy Jasnej 12 i... – Julia urwała, w tle rozległo się trzaśnięcie, które zidentyfikowałem jako odgłos zamykanych drzwi. – Zapomniał pan czegoś?

Jej ostatnie słowa, wysoki, niemal dziecinny głos z nutą już wyraźnego lęku. A potem cisza przerwane połączenia.

– Za drugim razem jej nie darował, tylko złapał za taką dużą ciężką i staroświecką popielniczkę, która musiała być na wyposażeniu pokoju, i walnął ją w głowę...

– Nie chcę tego słyszeć. – Dziecinny gestem zatkałem uszy.

Julia, która śmiała się z moich dowcipów, słuchała wywodów o Philipie Rocie, a kiedy leżeliśmy nago w łóżku, odprężeni po dobrym seksie, leniwie głaskałem ją po łydce dużym palcem u stopy. Złotowłosa Julia, śliczna niczym świąteczne ciasteczko. I wcale nie głupia, bo wpadła na coś, co mnie w ogóle nie przyszło do głowy. Też mogłem zadzwonić na numer podany w ogłoszeniu gabinetu fizjoterapeutycznego. Inna rzecz, że Ida prawdopodobnie i tak by nie odebrała.

– Miałam koszmarnie uczucie déjà vu – mówiła dalej, a ja mimo wciąż zatknięch uszu słyszałem każde jej słowo. – Julia drugi raz popełniła ten sam błąd, a ja drugi raz jechałem do niej, wciskając gaz do dechy. Z Elbląga do Jastrzębiej Góry jest trochę ponad półtorej godziny. Łudziłam się, że zdążę, ale najpierw musiałam znaleźć właścicielkę kwater i poprosić o pożyczenie samochodu, a potem utknęłam w korku na rondzie we Władysławowie. Kiedy weszłam do pokoju Julii, od razu zrozumiałam, że nie żyje. W upale krew zaczynała już cuchnąć. Wiedziałam, że to kwestia czasu, zanim ktoś się zorientuje. Dlatego po prostu zamknęłam za sobą drzwi i odjechałam. – Umilkła na moment, po czym spazmatycznie nabrała powietrza w płuca. – Ona na to nie zasłużyła, Leon, po prostu, kurwa, na to nie zasłużyła. Czasami zachowywała się jak kompletna idiotka i trochę za bardzo lubiła kasę, a kiedy zgodziła się za ciebie wyjść, miałam ochotę urwać jej głowę przy samej dupie, ale była moją siostrą. I starała się być w porządku, nawet kiedy twój ojciec przegonił ją z Samotni, wysłał mi wiadomość, chociaż po waszym ślubie prawie ze sobą nie gadałyśmy...

Odśloniłem uszy. Zostało jedno, ostatnie pytanie. To, którego tak bardzo nie chciałem zadawać.

– Widziałaś się z nim, prawda?

– Tak. Oddałam samochód właścicielce, a potem zadzwoniłam do twojego ojca. Mam zapisane numery większości członków twojej rodziny. Powiedziałam, że wiem wszystko i chcę z nim porozmawiać. Po śmierci Julii już się nie bałam. Umówiłam się z nim w lesie przy Gromniku, mniej więcej tam, gdzie zostawiłam twoje auto. Pojechałam pociągiem do Tczewa, potem do Wrocławia i do Strzelina. Tam wzięłam taksówkę, na którą wydałam moje ostatnie pieniądze. W drugą stronę, do Samotni, szłam pieszo albo jechałam stopem. Jestem brudna, niewyspana i mam dość.

– A mój ojciec?

– Pytasz, czy coś mu zrobiłam?

– Tak.

Milczała. Nie mam pojęcia, czy tych kilkanaście długich sekund ciszy, z których każda wbijała się w moje trzewia jak rozżarzony pręt, miało być jakąś formą kary. Wciąż się nad tym zastanawiam.

– Przyszłam na spotkanie z dużym kuchennym nożem, który kupiłam we Wrocławiu. Nie wiem, co zamierzałam z nim zrobić. Może wzięłam go tylko do obrony, a może... może brałam pod uwagę coś innego. Nie chcę o tym myśleć. Czulałam się jak we śnie, jakbym nie do końca kontrolowała własne ciało. Twój ojciec przyznał się do zabicia mojej matki, Ali i Julii, ale tak naprawdę niewiele więcej z niego wyciągnęłam. Nie był... w żaden sposób agresywny. Nie wyglądał już na zapędzone w kąt zwierzę. Wyglądał na przegranego. Nawet gdybym bardzo chciała, nie potrafiłabym go nienawidzić. Powiedział, że mogę z nim zrobić, co chcę. Jakby się spodziewał, że go zabiję. Prawie jakby miał na to nadzieję. To mnie otrzeźwiło. Odwróciłam się i odeszłam, a on został pod Gromnikiem. Nie mam pojęcia, czy wciąż tam jest, i szczerze mówiąc, mam to w dupie. Teraz twoja kolej: zrób użytek z tego, co wiesz. Albo nie rób nic. Decyzja należy do ciebie. Ja wracam do domu, do mojego życia i pracy. Jeśli chcesz, możesz zgłosić na policję, że to ja w ciebie wjechałam. Za spowodowanie wypadku z poważnym uszczerbkiem na zdrowiu grożą mi trzy lata więzienia. Sprawdziłam. Biorąc pod uwagę, że zawiozłam cię na pogotowie, pewnie dostanę karę w zawieszaniu. Jakość to przeżyję. I to właściwie tyle.

Odniosłem wrażenie, że czeka jeszcze na moje słowa, ale nie miałem nic do powiedzenia. Po chwili wstała i usłyszałem dźwięk zatraskujących się drzwi na taras. Pomyślałem, że powinienem wstać i otworzyć je dla kotów. Pomyślałem, że mógłbym zawołać Idę i zapytać, czy pozwoliłaby mi dotknąć swojej twarzy. Że chciałbym wiedzieć, czy naprawdę wygląda jak blondynka z filmów Bergmana. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat to przyszło mi do głowy.

Myślałem o bardzo wielu rzeczach, choć tak naprawdę żadna z nich nie miała już znaczenia. Wreszcie sięgnąłem po komórkę i wykonałem ten jeden, najważniejszy telefon.

## NAGRANIE 100

Do wieczora nakarmiłem koty, podlałem sporą część ogródka, umyłem naczynia i wyczyściłem jako tako kuwetę. Udało mi się nawet zjeść na kolację dwie kanapki, które smakowały, jakbym przeżuwał kępkę wyschłej trawy. Wszystko to robiłem, żeby odepchnąć choć o kilka milimetrów zgromadzoną wokół mnie ciemność. Czekałem, bo nic innego mi nie zostało. I myślałem. Tego też nikt nie mógł mi odebrać. Zwłaszcza jedna myśl uparcie przebijała się przez głupstwa krążące mi po głowie.

Historia, którą opowiedziałem Idzie, była prawdziwa, ale nie do końca, jakbym układając puzzle, pomylił kilka elementów, przez co obraz odrobinę się wypaczył. Nie wszystkie linie przylegały do siebie idealnie, gdzieniegdzie pojawiały się szpary.

Dlaczego tato miałby zabić Dorotę Gąskę? Gdy przełamałem już pierwszy opór i zacząłem się nad tym zastanawiać, odpowiedź wcale nie była taka oczywista. Najprawdopodobniej w ogóle jej nie znał, bo wakacje spędzaliśmy przecież w Zwardoniu, a nie w Węgierskiej Górze. Nawet jeśli w czasie dożynkowej zabawy namówił obcą dziewczynę na szybki numerek gdzieś na zapleczu, co z tego? Mój ojciec nie ukrywał jakoś szczególnie swoich romansów, Dorota nie szukała stałego związku. Nie miał żadnego powodu, żeby ją dusić.

Śmierć Ali naprawdę mogła być przypadkiem, skoro moja ekszona zginęła od własnego noża. Idzie tato pozwolił żyć przez kilka miesięcy w Samotni, chociaż musiał zdawać sobie sprawę, że obecność tej kobiety w pobliżu naszej rodziny grozi niebezpieczeństwem. Julia... za pierwszym razem nie zrobił jej nic złego, zabrał tylko smartfona. Za drugim... Nawet to brutalne morderstwo nie wyglądało na premedytację. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak do niego doszło. Doprowadzony do ostateczności człowiek, który od kilku miesięcy zatykał dziury we wciąż przeciekającej tamie. Dziewczyna popełniająca głupi błąd. Zamiast zaczekać i się upewnić, że mój ojciec na pewno sobie poszedł, zadzwoniła do Idy od razu. A on wrócił. Może faktycznie czegoś zapomniał, może usłyszał jej głos na korytarzu. Nieważne. Stał w progu, doskonale rozumiejąc, że kolejny plan właśnie się posypał. Zrodzony z czystej rozpaczny gniew niczym wybuchająca pod czaszką supernowa. Popielniczka leżąca gdzieś w pobliżu, ciężka i tak bardzo poręczna...

Nic, co mój ojciec zrobił, nie wskazywało na zachowanie zimnokrwistego mordercy.

I dlaczego na dobrą sprawę miałby się przyznać Ali do zamordowania Doroty Gąski? Gdyby to on popełnił tamtą zbrodnię, obróciłby całą sprawę w żart. Nie miała przecież żadnych dowodów. Skoro się przyznał, mogło to oznaczać tylko jedno: bał się, że jeśli zaprzeczy, Ala zacznie grzebać głębiej, a wtedy trafi na sekret najpilniej strzeżony. Ten prawdziwy, ukryty pod sekretem fałszywym. Liczył, słusznie zresztą, że Ala zadowolony się zmyśloną tajemnicą i nic z nią nie zrobi, bo miłość i lojalność wobec naszej rodziny okażą się silniejsze.

Stałem na tarasie w gęstniejącej ciemności, która otulała mnie jak płaszcz. Nie widziałem jej, ale wiedziałem, że tam jest, czułem jej ciężar i zapach. Woń rozkwitających nocą kwiatów i zmoczonej deszczem trawy. Gdy człowiek żyje w wiecznym mroku, uczy się rozpoznawać różne jego odcienie, tak jak rozpoznaje się bliskich ludzi po odgłosie kroków.

Skrzypnięcie furtki, zgrzyt żwiru pod stopami idącej w moją stronę osoby. To nie były kroki nikogo bliskiego, ale i tak je rozpoznałem. Marek Gościniak.

– Panie Cichy. – Nie musiał mówić nic więcej, wiedziałem, jaką wiadomość przyniósł. – Przepraszam, że przychodzę tak późno, ale pomyślałem, że chyba chciałby pan wiedzieć. Pół godziny temu znaleźliśmy pana ojca. Niestety, nie żyje.

Zamknąłem oczy i otworzyłem je ponownie, co oczywiście niczego nie zmieniło. Ciemność była wszędzie.

– Jak zmarł?

Teraz, pomyślałem, dowiem się prawdy. Jeśli Ida skłamała i jednak użyła tego noża...

– Powiesił się na drzewie tuż przy jednym z wąwozów. Tym, który nazywają Diabelską Kręgielnią. Bardzo mi przykro. Zostawił list, w którym przyznał się do zabicia Doroty Gąski, Aliny Stasiaczek oraz Julianny Potockiej. Nie ujawnił motywu.

Gdybym potrzebował jeszcze jakiegoś dowodu, to byłby właśnie ten. Ludzie, którzy mordują z zimną krwią, nie mają potem wyrzutów sumienia i nie wieszają się na gałęzi, zostawiając list z przyznaniem się do winy.

– Panie Cichy?

– Tak?

– Zastanawiam się, skąd pan wiedział, gdzie go znajdziemy.

– Nie rozumiem.



– Zadzwoił pan do matki, powiedział jej, że ojca trzeba szukać w wąwozach otaczających Gromnik, a ona powiadomiła nas. Zastanawiam się, skąd przyszło to panu do głowy.

– Powiedzmy, że miałem przeczucie.

Gościniak westchnął.

– Naprawdę nie chcę tego mówić w takiej chwili, ale...

– I tak pan powie. Wiem.

Ślad śmiechu w ciemności jak przelatująca obok ćma.

– Pana upodobanie do kłamania bywa naprawdę irytujące. Od początku śledztwa próbuję pana skłonić, żeby chociaż raz był pan ze mną szczerzy. Jak na razie bez rezultatu.

– Byłem szczerzy, kiedy rozmawialiśmy na komendzie. Po prostu wtedy wydawało mi się, że prawda wygląda inaczej.

– A jak wygląda teraz?

Milczałem.

– Panie Cichy?

– Muszę zadzwonić. Przepraszam.

Nie zaprotestował, gdy zostawiłem go na tarasie, wszedłem do Samotni i zamknąłem za sobą drzwi.

Wybrałem numer Anety. Odebrała po kilku sygnałach.

– Rany, Leon, nie możesz dzwonić o takich porach. Zaraz kładę dzieciaki spać. Kupiłam ci ten telefon dla niewidomych, ale jeszcze nie zdążyłam podrzucić go do Samotni. A jeśli chodzi o instruktora...

– Do diabła z instruktorem. – Powinienem jej powiedzieć o śmierci mojego ojca. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, będzie miała do mnie pretensje. Jednak w tle słyszałem zwykłe domowe odgłosy, w czajniku gotowała się woda, Janek krzyczał: „Gdzie moja koszula? Potrzebuję jej na jutro!”, a chłopcy śmiali się z czegoś, co najprawdopodobniej było puszczoną w telewizorze kreskówką. Potrzebowałem tej normalności choć przez kilka minut. – Mam pytanie...

– Jedno z twoich dziwnych pytań.

– Tak. Podobno powiedziałaś Jankowi, że cała rodzina mnie chroni, odkąd byłem dzieckiem. O co ci chodziło?

– O nic szczególnego. Bywałeś upierdliwym małym gnojkiem.

– W jakim sensie?

– Na przykład byłeś tak bardzo pewny, że twój urok wszystko załatwi. Owszem, na niektórych faktycznie działał, ale innych tylko wkurzał. Pamiętasz tę kobietę, która przyłapała nas na bieganiu po jej ogrodzie i deptaniu grządek? Wybiegła, wymachując grabkami, a ty zacząłeś coś nawijać z uśmiechem, jakby ktoś ci wsadził do ust banana, święcie przekonany, że za chwilę będzie po kłopotcie. Nie zauważyłeś, że z każdym twoim słowem podnosi jej się ciśnienie i zaraz któremuś z nas tymi grabkami przyłoży, więc złapałam cię za rękę i uciekliśmy.

– Nic poważniejszego?

– Co niby miałyby być poważniejszego? Byłeś wkurzającym dzieciakiem, chodzącym z głową w chmurach i głęboko wierzącym we własną zajebistość, ale wszyscy cię kochaliśmy. A, bo jeszcze zapomnę. Moja mama pamięta scenę w kościele, o którą pytałeś. To było, kiedy Piotrek kończył osiemnaście lat. Przyszedł na mszę w jakimś dziwnym krawacie, twoja matka się zirytowała, obsztorcowała go od góry do dołu, a potem zdjęła mu ten krawat i schowała do torebki. Tyle. Nie mam pojęcia, w czym to może pomóc.

– Jesteś pewna, że tak to wyglądało?

– Ja nie, ale moja mama tak. Ona ma dobrą pamięć.

– Dzięki.

Rozłączyłem się i przez dłuższą chwilę stałem zupełnie nieruchomo. Moja matka chowająca do torebki krawat Piotra. Matka latami cierpliwie znosząca upokorzenia, jakimi były ciągłe skoki w bok ojca. Przyłapała tatę na seksie z Dorotą? A może po prostu zobaczyła, jak flirtują podczas kupowania lodów, potem zaś, gdy natknęła się przypadkiem na pijaną dziewczynę, leżącą nad rzeką w pozie ladacznicy z zadartą sukienką, przypomniała sobie ich uśmiechy i coś w niej pękło.

Gdyby ktoś oskarżył moją matkę o zabójstwo, nie roześmiałaby mu się w twarz, tak jak z pewnością zrobiłby to ojciec. Wręcz przeciwnie, jestem pewny, że nie zniosłaby presji i przyznała się, nawet gdyby nie było żadnych dowodów.

Dlatego tato chronił ją przez wszystkie te lata.

Dokładnie w chwili, gdy o tym pomyślałem, odzyskałem zagubione w dzieciństwie wspomnienie tak łatwo, jakby ktoś mi wsunął w dłoń gładki kamyczek.

Mam dwanaście lat, jest lato, a ja kręcę się odrobinę znudzony po dożynkowej imprezie. Nie martwię się tym, że zgubiłem w tłumie pozostałych członków rodziny – Węgierska Górka to żadna metropolia, prędzej czy później na nich wpadnę. Czasy, gdy trzymałem się maminej spódnicy, dawno minęły, potrzebuję jednak pieniędzy na gofra, lody albo zabawkę ze straganu. Wypatruję więc mamy, taty lub któregoś z innych licznych krewnych, kto mógłby mnie poratować. Wreszcie idę nad rzekę i tam widzę moją matkę. Pochyla się nad leżącą w krzakach dziewczyną, która wygląda, jakby spała. Co się stało? – pytam. Matka odwraca się w moją stronę, zaskoczenie na jej twarzy, jakbym przyłapał ją na czymś nieprzyzwoitym. Zaskoczenie i coś jeszcze, czego wówczas nie zrozumiałem, bo byłem na to zbyt młody, ale cała ta sytuacja pozostawiła we mnie osad niepokoju. Wiedziałem, że nie powinno mnie tam być. Nic, odpowiada mama, chwyta mnie za rękę i ciągnie w stronę bawiącego się tłumu. Pani śpi, nie przeszkadzajmy jej. Odwracam się, kątem oka rejestruję jeszcze widoczną aż do biodra szczupłą nagą nogę i coś jakby kolorową chustkę zamotaną na szyi leżącej dziewczyny. Ta ostatnia interesuje mnie zdecydowanie mniej niż noga, patrzę jednak na nią wystarczająco długo, żeby się zorientować, że to nie chustka, tylko krawat. I że są na nim różowe słonie. Wydaje mi się to zabawne, chcę coś powiedzieć, ale mina matki mówi wyraźnie, że nie życzy sobie żadnych rozmów. Milczę więc, bo mimo wszystkich swoich wad jestem przecież rozsądnym chłopcem.

## NAGRANIE 101

Dwadzieścia minut temu wytłumaczyłem grzecznie Gościniakowi, że nie mam nic więcej do powiedzenia i powinien sobie pójść.

Dwadzieścia minut temu mój świat rozpadł się na kawałki i złożył ponownie, po raz trzeci w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Tym razem jednak mam całkowitą absolutną pewność.

Czekam teraz na telefon od matki. Wiem, że złapie za słuchawkę, gdy tylko dowie się o śmierci taty. Boję się tej rozmowy bardziej niż czegokolwiek innego w całym moim trzydziestokilkuletnim życiu. Kobieta, która czytała mi w dzieciństwie bajki, otulała kocem na dobranoc i pomagała odrabiać lekcje, jest winna morderstwa. A ja nawet nie potrafię jej potępić, bo przecież ją rozumiem, prawda? Tak samo jak jestem w stanie zrozumieć, dlaczego tato zrobił to, co zrobił.

Potwór z mojego snu na dobre zdomowił się w Samotni.

Myślę o tym, że muszę kogoś poprosić, by wykasował całe to nagranie. Nikt nigdy nie może go odsłuchać. Zastanawiam się też, co powiem mamie, gdy będzie szlochać do słuchawki. Jak poradzę sobie z jej rozpaczą i samotnością.

Jak ją pocieszę i zapewnię, że nie musi się niczym martwić.

Ojciec chronił ją przez te wszystkie lata.

Teraz moja kolej.